



Patricia Cornwell

Point of Origin

'The bleakest
and best of
Cornwell's novels'
Guardian



PATRICIA CORNWELL

PUNKT ZAPALNY



Prószyński i S-ka

PATRICIA CORNWELL
PUNKT ZAPALNY

(Point of Origin)

Przełożył: Dariusz Bakalarz



Prószyński i S-ka

1999

Spis treści

PUNKT ZAPALNY

Karta tytułowa

Dedykacja

Motto

Dzień 523.6

Rozdział pierwszy

Rozdział drugi

Rozdział trzeci

Rozdział czwarty

Rozdział piąty

Rozdział szósty

Rozdział siódmy

Rozdział ósmy

Rozdział dziewiąty

Rozdział dziesiąty

Rozdział jedenasty

Rozdział dwunasty

Rozdział trzynasty

Rozdział czternasty

Rozdział piętnasty

Rozdział szesnasty

Rozdział siedemnasty

Rozdział osiemnasty

Rozdział dziewiętnasty

Rozdział dwudziesty

Rozdział dwudziesty pierwszy

Rozdział dwudziesty drugi

Rozdział dwudziesty trzeci

Rozdział dwudziesty czwarty

Tydzień później Wyspa Hilton Head

*Barbarze Bush z miłością
(za poczynioną zmianę)*

*Tak też jawne się stanie dzieło każdego:
odsłoni je dzień [Pański];
okaże się bowiem w ogniu,
który je wypróbuje, jakie jest.
(1 Kor 3, 13)*

Dzień 523.6

Miejsce jednego Bażanta

Oddział Kobiety Kirby

Wyspa Ward, Nowy Jork

Cześć, doktorku,

Tik tak torku.

Przeplłowane kości i ogień.

Nadal w chacie z łgarzem z FBI?

Uważaj na zegar, doktorku.

Mignęło ciemne światło i straszliwy PO-CIĄG- PO-CIĄG- PO-CIĄG.

GKSFWFY chce zdjęć.

Odwiędź nas. Trzecie piętro. Pohandlujemy.

Tik tak torku! (Lucy powie?)

Lucy-Boo w TV. Leci przez okno. Idzie z nami pod kołdrę. Aż do świtu. Śmiech i śpiew. Jakaś ładna piosenka. LUCY. LUCY. LUCY i my!

Czekaj i patrz Carrie

Rozdział pierwszy

Benton Wesley właśnie zdejmował w mojej kuchni sportowe buty, gdy podbiegłam do niego z sercem rozdygotanym ze strachu i nienawiści. Emocje te wywołało wspomnienie o dawnym koszmarze. List od Carrie Grethen jeszcze przed chwilą leżał sobie spokojnie pomiędzy innymi przesyłkami i papierami, ale go znalazłam, gdy postanowiłam wypić cynamonową herbatę w zaciszu mego pokoju w domu w Richmond, stan Wirginia. Było niedzielne popołudnie, dwadzieścia dwie minuty po siedemnastej, ósmy czerwca.

– Przypuszczam, że wysłała to do twojego biura – powiedział Benton.

Nie wyglądał na wytrąconego z równowagi, gdy pochylony zdejmował białe skarpety firmy Nike.

– Rosę nie czyta przesyłek oznaczonych jako poufne lub osobiste – wyjaśniłam, chociaż oczywiście sam doskonale zdawał sobie z tego sprawę; mój puls cały czas był przyśpieszony.

– Może powinna. Zdaje się, że masz dużo fanów. – Jego sarkastyczne słowa raniły jak papier ścierny.

Przyglądałam mu się, gdy tak siedział z łokciami opartymi na kolanach i pochyloną głową. Na rękach i ramionach wybijały się plamy potu, charakterystyczne dla mężczyzn w jego wieku, ja jednak patrzyłam na łydki i ponad kostki, gdzie znać było jeszcze ślady po gumce skarpetek. Zaczesał ręką siwe włosy do tyłu i rozparł się na krześle.

– Chryste – mruknął, wycierając twarz i kark ręcznikiem. – Za stary jestem na takie imprezy. Głęboko zaczerpnął powietrza i kiedy powoli je wypuszczał, stopniowo narastał w nim gniew. Na stole leżał zegarek

Breitling Aerospace z nierdzewnej stali, który podarowałam mu na gwiazdkę. Podniósł go i włożył na rękę.

– A niech to cholera. Ci ludzie są gorsi od tkanki rakowej. Pokaż to – powiedział.

List napisany był ręcznie, na czerwono, drukowanymi, dziwnie pokręconymi literami. Na górze widniał rysunek klatki z ptakiem o długim, pierzastym ogonie. Pod rysunkiem było napisane tajemnicze łacińskie słowo *ergo*, czyli: tak więc, które w tym kontekście zupełnie nie miało dla mnie znaczenia. Rozwinęłam tę zwyczajną kartkę maszynowego papieru, trzymając ją za różki, i położyłam na zabytkowym francuskim stole kuchennym z dębowego drewna. Nie dotykając listu, który mógł jeszcze posłużyć za dowód rzeczowy, Benton uważnie czytał dziwaczne słowa Carrie Grethen i zaczynał przepuszczać je przez zgromadzone w głowie zasobne bazy danych.

– Stempel z Nowego Jorku. Tam znają ją oczywiście z czasów procesu – powiedziałam, nadal starając się myśleć racjonalnie i zaprzeczać faktom. – Poza tym dwa tygodnie temu ukazał się sensacyjny artykuł. Każdy mógł znaleźć w nim personalia Carrie Grethen. Nie mówiąc już o tym, że adres mojego biura jest znany publicznie. To pewnie nie ona pisała ten list. Prędzej już ktoś chce mi wykręcić jakiś numer.

– List pisała raczej ona. – Benton nadal czytał.

– Wysłałaby coś takiego z sądowego szpitala psychiatrycznego i nikt by o tym nie wiedział? – spekulowałam, a strach ścisnął mi serce.

– I w Saint Elisabeth's, i w Bellevue, i w Mid-Hudson, i w Kirby – nie podnosił wzroku znad listu – siedzą sobie takie Carrie Grethen, tacy Johnowie Hinckleyowie Młodszy, tacy Markowie Chapmanowie i są tam pacjentami, a nie więźniami. Mają w ośrodkach psychiatrycznych, zarówno więziennych, jak i sądowych, swoje prawa obywatelskie, więc wydają na

komputerach pedofilskie gazetki i drogą pocztową udzielają rad dotyczących mordowania... No i piszą drwiące listy do patologów.

Mówił coraz ostrzejszym głosem, słowa stawały się coraz bardziej urywane. Gdy w końcu na mnie spojrzał, w jego oczach zobaczyłam płonąca nienawiść.

– Carrie Grethen robi cię w konia. Tak samo jak mnie i FBI – mówił dalej.

Wstał z ręcznikiem zarzuconym na ramiona.

– Powiedzmy, że to ona pisała – zaczęłam od początku.

– Oczywiście, że ona. – Widać nie miał żadnych wątpliwości.

– Okej. A w takim razie, Benton, to coś więcej niż robienie w konia.

– Oczywiście. Stara się, żebyśmy nie zapomnieli, że była kochanką Lucy. A tego nie podano jeszcze do wiadomości publicznej. Przynajmniej na razie – mówił. – To jasne, że Carrie Grethen nie przestała jeszcze rujnować ludziom życia.

Nie mogłam już dłużej znieść dźwięku jej nazwiska. Dotknęło mnie do żywego to, że wdarła się do mojego domu na West Endzie. Czułam się dokładnie tak, jakby siedziała tu ze mną przy stole i psuła powietrze emanującym z siebie złem. Wyobrażałam sobie jej pobłażliwy uśmiech, rozpromieniony wzrok i zastanawiałam się, jak wygląda teraz, po pięciu latach spędzonych za kratkami w towarzystwie szaleńców z kryminalną przeszłością. Carrie nie była szalona. Nigdy. Była psychopatką, charakteropatką i miała nieświadome skłonności do przemocy.

Wyjrzałam przez okno na targane wiatrem japońskie klony przed domem i na niedokończony kamienny mur, który słabo oddzielał mnie od sąsiadów. Nagle zadzwonił telefon i niechętnie podniosłam słuchawkę.

– Doktor Scarpetta – powiedziałam, patrząc, jak Benton znowu opuszcza wzrok na zapisaną czerwonymi literami kartkę.

– Hej – usłyszałam znajomy głos Pete’a Marina. – To ja.

Marino był kapitanem Departamentu Policji w Richmond i znałam go na tyle dobrze, że potrafiłam zinterpretować ton jego głosu. Przygotowałam się więc na złe wieści.

– Co się stało? – zapytałam.

– Wczoraj w nocy spaliła się stadnina koni w Warrenton. Było o tym w wiadomościach – powiedział. – Poszły z dymem stajnie, dwadzieścia drogich koni i dom. Nic nie zostało.

Jak na razie nic nie rozumiałam.

– Marino, po co do mnie dzwonisz w sprawie pożaru? A przede wszystkim północna Wirginia to nie twój rejon.

– Teraz mój – powiedział.

Czekając na dalsze informacje, poczułam, że kuchnia robi się za mała i brakuje w niej powietrza.

– ATF odwołało NRT – kontynuował kapitan.

– Czyli kolej na nas.

– Bingo. Na mnie i na ciebie. Decyzja zapadła dziś rano.

Państwowy Zespół Reagowania (National Response Team), czyli NRT, należący do Biura Alkoholu, Tytoniu i Broni Palnej (Bureau of Alcohol, Tobacco and Firearms), w skrócie ATF, jest wzywany w przypadku pożarów kościołów, budynków przeznaczonych na działalność gospodarczą i innych katastrof podlegających jurysdykcji ATF. Ja i Marino nie pracowaliśmy w ATF, ale zarówno oni, jak i inne agencje zajmujące się egzekwowaniem prawa zatrudniały nas, gdy zaistniała taka potrzeba. Pracowałam już przy podłożeniu bomby w Światowym Centrum Handlowym i w Oklahoma City, a także przy katastrofie samolotu TWA Flight 800. Pomagałam przy identyfikacji sekty dawidowej w Waco. Badałam też oszpecenia i zgony powodowane przez Unabombera. Z

przykrych doświadczeń wiedziałam, że ATF wzywa mnie tylko wtedy, gdy umierają ludzie. A ponieważ w sprawę zaangażowany był Marino, musiało zachodzić podejrzenie morderstwa.

– Ilu? – zapytałam, sięgając po notatnik.

– Nie chodzi o to ilu, doktoru, tylko kto. Właścicielem farmy jest fisza ze świata mediów: Kenneth Sparkes. Nie kto inny, tylko właśnie on. Wygląda na to, że teraz szczęście mu nie dopisało.

– O Boże – jęknęłam. Świat stał się zbyt zagmatwany, żeby cokolwiek rozumieć. – Jesteś pewien?

– Hm, w każdym razie Sparkes zaginął.

– A możesz mi wyjaśnić, dlaczego ty mi o tym wszystkim mówisz?

Czułam narastającą złość i mogłam się tylko starać nie wybuchnąć. Zajmowanie się nienaturalnymi zgonami w Wirginii wchodziło w zakres moich obowiązków. Marino nie musiał mi o tym przypominać. Wkurzyło mnie to, że biuro z północnej Wirginii nie zadzwoniło do mnie do domu.

– Nie denerwuj się na swych kolegów z Fairfax – powiedział kapitan, który chyba czytał w moich myślach. – Fauquier County poprosiło ATF o zwrócenie się bezpośrednio tutaj.

Wcale mi się to nie podobało, ale miałam czas na oswojenie się z sytuacją.

– Przypuszczam, że nie wydobyto jeszcze żadnego ciała – powiedziałam, pośpiesznie robiąc notatki.

– Pewnie że nie. Przecież to twoja robota.

Zawahałam się, zatrzymując pióro na kartce z notesu.

– Marino, mamy do czynienia z pożarem jednej posiadłości. Nawet jeśli istnieje podejrzenie podpalenia i sprawa jest priorytetowa, to nadal nie rozumiem, dlaczego interesuje się tym ATF.

– Whiskey, karabiny maszynowe, nie mówiąc już o handlu końmi z podrabianymi rodowodami – odpowiedział Marino. – No i mamy już działalność gospodarczą.

– Świetnie – bąknęłam.

– No pewnie. To cholerny koszmar. Jeszcze dzisiaj zadzwoni do ciebie naczelnik straży pożarnej. Lepiej zacznij się pakować, bo przed świtem przylatuje po nas śmigłowiec. Jak zwykle wtrynią ją się nie w porę. Pewnie nici z twojego urlopu.

Wieczorem mieliśmy z Bentonem jechać na Hilton Head i spędzić cały tydzień nad oceanem. Jak dotąd od początku roku nie mieliśmy dla siebie czasu, byliśmy zmęczeni i bardzo chcieliśmy wyjechać. Odkładając słuchawkę, nie chciałam mu patrzeć w oczy.

– Tak mi przykro – powiedziałam. – Na pewno już się domyśliłeś, że to poważna sprawa. – Z pewnym wahaniem spojrzałam na niego, ale nie podnosił wzroku znad listu Carrie. – Muszę wcześniej rano wyjechać. Może mi się uda do ciebie dołączyć gdzieś w połowie tygodnia. – Nie słuchał, nie chciał do siebie dopuszczać moich słów. – Zrozum mnie, błagam – mówiłam.

Nie słuchał; czułam, że jest strasznie niezadowolony.

– To ty pracowałaś nad tamtymi ciałami – mówił, nie przerywając czytania. – Nad tymi poćwiartowanymi z Irlandii i tymi tutaj. „Przepiłowane kości”. Wyobraża sobie Lucy i się onanizuje. Rzekomo osiąga orgazm pod kołdrą kilka razy co noc. – Zdawało się, że stojąc tak ze wzrokiem wbitym w list, mówi sam do siebie. – Twierdzi, że nadal mają ze sobą romans. To znaczy Carrie i Lucy – ciągnął. – Używa formy my, starając się zasugerować dysocjację. Niby nie jest obecna przy popełnianiu zbrodni. Popełnia je inna część jej osobowości. Mogłaby wymyślić coś

bardziej oryginalnego. Tylko ktoś nieorientowany uznałby to za ważny argument.

– Idealnie się przygotowała do procesu – odpowiedziałam w przypiływie nowej fali złości.

– My to wiemy. – Napił się wody z plastikowej butelki. – Skąd wzięła „Lucy Boo”?

Kropelka wody spłynęła mu na brodę i wytarł ją grzbietem dłoni.

Początkowo nie mogłam nic powiedzieć.

– Tak ją pieśczośliwie nazywałam, gdy chodziła jeszcze do przedszkola. Potem już nie chciała, żeby tak do niej mówić. Czasami nawet teraz mi się wymyka to przezwisko. – Przerwałam i przypomniałam sobie Lucy z tamtych czasów. – Przypuszczam, że powiedziała o tym Carrie.

– Hm, wiadomo, że swego czasu zwierzała się Carrie z wielu rzeczy. – Wesley zaczynał mówić banały. – Pierwsza miłość Lucy. A normalne, że tej pierwszej nigdy się nie zapomina, choćby była najpaskudniejsza w świecie.

– Rzadko kto na początek zakochuje się w psychopacie – powiedziałam, nadal nie chcąc uwierzyć, że Lucy, mojej siostrzenicy, to się przytrafiło.

– Psychopaci są wśród nas, Kay – mówił tak, że czułam się jak na wykładzie. – Atrakcyjna, inteligentna osoba siedząca obok ciebie w samolocie, stojąca za tobą w kolejce, spotkana gdzieś przypadkowo, rozmawiająca z tobą przez Internet. Bracia, siostry, koledzy z klasy, synowie, córki, kochankowie. Wyglądają tak samo jak my. Lucy nie miała żadnych szans. Nie mogła przejrzeć Carrie Grethen.

Na trawniku za domem rosło za dużo koniczyny, a nadzwyczaj chłodna wiosna znakomicie wpływała na róże. Pochylały się i drżały pod wpływem podmuchów wiatru, płatki spadały na ziemię. Wesley, emerytowany dowódca zespołu psychologicznego FBI, mówił dalej.

– Carrie chce zdjęć Gaulta. Z miejsca zdarzenia, z sekcji zwłok. Jeśli jej zanieśiesz, w za mian poda ci szczegóły potrzebne w dochodzeniu, perełki, które prawdopodobnie przeoczyłaś. W przyszłym miesiącu pomogą one prokuraturze podczas rozprawy. Szydź z ciebie, że czegoś mogłaś nie dostrzec. Czegoś, co może mieć związek z Lucy.

Zaczął wyjmować okulary do czytania zawinięte w kawałeczek irchy.

– Carrie chce, żebyś ją odwiedziła w Kirby.

Spojrzał na mnie ze zmarszczoną twarzą.

– Zobacz sama.

Wskazał na list.

– Zaczyna pokazywać rogi. Wiedziałem, że tak będzie – mówił zmęczonym głosem.

– Co to jest to „ciemne światło”? – zapytałam wstając, bo nie mogłam już dłużej usiedzieć w miejscu.

– Krew. – Sprawiał wrażenie pewnego siebie. – Gdy dźgnęłaś Gaulta w udo, uszkodziłaś tętnicę udową i wykrwawiłby się na śmierć, gdyby pociąg nie dokończył dzieła. – Zdjął okulary, był poruszony. – Tempie Gault. Gdy tylko pojawia się Carrie Grethen, wypływa również on. Bliźniaki zła – dodał.



Właściwie nie byli bliźniakami, ale rozjaśniali sobie włosy i obcinali przy samej skórze. Gdy po raz ostatni widziałam ich w Nowym Jorku, byli przeraźliwie chudzi i ubrani w jednakowe stroje, po których nie dało się określić płci. Dawniej popełniali wspólnie morderstwa, ale ją złapaliśmy w Bowery, a jego zabiłam w tunelu metra. Nie miałam zamiaru nawet go tknąć czy chociaż zamieniać z nim słowa ani w ogóle go spotkać, bo moja życiowa misja nie polega na ściganiu kryminalistów i popełnianiu prawnie

usankcjonowanych morderstw. Ale Gault sam tego chciał. Chciał zginąć z mojej ręki, bo to oznaczało związaną się ze mną na zawsze. Nie mogłam się uwolnić od Temple'a Gaulta, choć minęło już pięć lat. Cały czas miałam przed oczami jego zakrwawione szczątki na stalowych szynach i szczury wyłaniające się z zakamarków, żeby się rzucić na krew.

Nocą w koszmarach widziałam jego lodowate, błękitne oczy, słyszałam huk pociągu świecącego reflektorami jak księżyc w pełni. Przez kilka lat po zabiciu go unikałam wykonywania sekcji zwłok ofiar wypadków kolejowych. Byłam zatrudniona przez Zakład Medycyny Sądowej w Wirginii i niektóre przypadki mogłam przekazywać swym zastępcom, co też czyniłam. Nawet teraz nie patrzę na skalpele bez emocji, tylko jak na ostre narzędzia, ponieważ Gault zmusił mnie, żebym rzuciła się na niego z takim nożem – i rzuciłam się. Widywałam go w tłumie, między ludźmi, a nocami spałam z bronią przy łóżku.

– Benton, może się w końcu wykąpiesz i porozmawiamy o naszych planach na następny tydzień – powiedziałam, odsuwając od siebie trudne do zniesienia wspomnienia. – Przyda ci się kilka dni samotności, lektury i spacerów po plaży. Sam wiesz, że lubisz wycieczki rowerowe. Dobrze ci zrobi trochę swobody.

– Trzeba powiadomić Lucy. – Wstał od stołu.

– Nawet jeżeli Carrie teraz jest skłonna do zwierzeń, potem może przysporzyć Lucy wiele kłopotów. Sama zresztą obiecuje to w liście do ciebie.

Ruszył do wyjścia z kuchni.

– Jak jej jeszcze może zaszkodzić? – zawołałam za nim, choć dusiło mnie w gardle.

– Wplątując ją w proces. – Zatrzymał się. – Zajęłyby się tym media na całym świecie. Trafiłaby na pierwszą stronę „The New York Timesa”. W

Associated Press byłoby: „Sensacja wieczoru: agentka FBI, lesbijka, kochanką seryjnej morderczyni o rozdwojonej jaźni...”.

– Lucy rzuciła FBI i wszystkie te jego uprzedzenia, zakłamania i odgórne spojrzenie na świat. – Łzy napłynęły mi do oczu. – Już nie mogą zranić jej duszy. Nie mogą.

– Kay, tu chodzi o coś więcej niż tylko o FBI – powiedział. Słysząc było, że ma już dosyć.

– Benton, nie zaczynaj... – Nie miałam szansy dokończyć.

Skręcił do przejścia prowadzącego do dużego pokoju, gdzie paliło się w kominku, ponieważ temperatura na dworze nie przekraczała szesnastu stopni. Nie lubił, gdy w taki sposób do niego mówiłam, nie chciał zaglądać do ciemniejszych zakamarków swej duszy. Nie chciał sobie wyobrazić, do jakich bezceństw zdolna jest Carrie, poza tym oczywiście trochę się o mnie martwił. Byłam ciotką Lucy. Przypuszczam, że moja wiarygodność jako świadka zostałaby podważona, a moja reputacja zrujnowana.

– Może skoczymy gdzieś wieczorem? – zapytał Wesley dziecięcym tonem. – Dokąd miałybyś ochotę pójść? Do La Petite? A może na piwo i grilla u Benny’ego?

– Rozmrozę jakąś zupę. – Wytarłam oczy. Głos mi się łamał. – Nie jestem za bardzo głodna, a ty?

– Podejź do mnie – powiedział czule.

Przytuliłam się do niego, przycisnął moją głowę do piersi. Czułam słoność, gdy się całowaliśmy. Jak zwykle jego ciało zaskoczyło mnie swą prężnością. Zarost na brodzie cesał moje włosy. Było jasne jak słońce na plaży, że już się w tym tygodniu nie zobaczymy. Nie będzie długich spacerów po piasku, długich rozmów przy kolacji w La Polla i U Charliego.

– Chyba powinnam pójść zobaczyć, czego chce – odezwałam się w końcu do jego ciepłej, wilgotnej szyi.

- Nie. Po stokroć nie.
- Zdjęcia z sekcji Gaulta robił Nowy Jork. Ja ich nie mam.
- Carrie doskonale wie, kto wykonał autopsję Gaulta.
- No to czego chce ode mnie?

Z zamkniętymi oczami przytulałam się do Bentona. Pocałował mnie w czubek głowy i pogładził po włosach.

– Sama wiesz – powiedział. – Nękać cię, manipulować tobą. Ludzie tacy jak ona w tym są najlepsi. Chce, żebyś jej załatwiła te zdjęcia, aby mogła zobaczyć Gaulta poćwiartowanego na kawałki jak mrożone mięso i snuć potem na tej podstawie różne fantazje. Najgorszą rzeczą, jaką mogłabyś zrobić, to jakoś zareagować.

- A to „GKSWFY”? Coś osobistego?
- Nie wiem.
- A „Miejsce Jednego Bazanta”?
- Nie mam pojęcia.

Dłuższy czas staliśmy przy drzwiach domu, który zaczęłam uważać za swój. Benton zatrzymywał się u mnie, gdy nie doradzał akurat w jakichś dziwnych sprawach w tym czy innym kraju. Wiedziałam, że trochę się denerwuje, gdy stałe mówię: ja to, to jest moje, chociaż wiedział doskonale, że nie jesteśmy małżeństwem i nic, co posiadamy oddzielnie, nie jest nasze wspólne. Ja przekroczyłam już połowę życia i nie mogłam legalnie dzielić się zarobkami z nikim, nawet z ukochanym i rodziną. Może to brzmi trochę samolubnie, ale taka już jestem.

- Ty jutro pojedziesz, a co ja mam robić? – Wesley wrócił do tematu.
- Jedź na Hilton Head i zrób zakupy – odpowiedziałam. – Tylko żeby było dużo szkockiej i Black Bush. Więcej niż zwykle. I krem do opalania SPF 35 i 50. Poza tym orzechy z Karoliny Południowej, pomidory i cebulę Vidalia.

Do oczu napłynęły mi łzy, przełknęłam ślinę.

– Jak tylko się wyrobię, wskakuję do samolotu i lecę do ciebie. Tylko nie wiem, dokąd mnie zaprowadzi ta sprawa w Warrenton. Zawsze albo ty nie możesz, albo ja.

– Życie nas więzi – szepnął mi do ucha.

– Czasem sami się o to prosimy – odpowiedziałam i nagle poczułam nieodpartą ochotę na sen.

– Możliwe.

Pochylił się do moich ust i zsunął dłonie na swoje ulubione miejsca.

– A przed zupą możemy skoczyć do łóżka.

– Podczas tego procesu zdarzy się coś złego – powiedziałam. Chciałam, żeby moje ciało zareagowało na jego starania, ale nic z tego.

– Znowu wszystko wraca do Nowego Jorku. FBI, ty, Lucy. Na pewno przez minione pięć lat Carrie o niczym innym nie myślała i narobi tyle kłopotów, ile tylko zdoła.

Wzdrygnęłam się, bo z mrocznego zakątka umysłu wyskoczyła na mnie nagle kanciasta twarz Carrie. Zapamiętałam ją, gdy była uderzająco piękna i paliła z Lucy papierosa przy kempingowym stoliku podczas wieczornego pikniku nieopodal strzelnic FBI w Akademii Quantico. Jeszcze słyszę ich namiętne głosy, widzę przepełnione erotyzmem pocałunki, dłonie gładzące włosy. Pamiętam dziwne uczucie, jakie się wtedy we mnie pojawiło, gdy w milczeniu uciekłam i nawet nie zauważyły mojej obecności. Wtedy Carrie zaczęła rujnować życie mojej siostrzenicy, a teraz nadchodziło groteskowe zakończenie tej historii.

– Benton, muszę jeszcze spakować sprzęt.

– Na pewno jest już wzorowo spakowany.

Namiętnie ściągał ze mnie kolejne warstwy ubrania w desperackich poszukiwaniach skóry. Zawsze najbardziej pragnął mnie w takich chwilach,

kiedy ja akurat nie miałam ochoty.

– Nie mogę dodać ci otuchy – szepnęłam. – Nie mogę ci powiedzieć, że wszystko będzie dobrze, bo nie będzie. Adwokaci i media rzucą się na mnie i na Lucy. Zaczną nas przypierać do muru, a Carrie może zostać zwolniona. – Objęłam dłońmi jego głowę. – Prawda i sprawiedliwość. Po amerykańsku – zakończyłam.

– Przestań. – Wyprostował się i spojrzał na mnie przenikliwym wzrokiem. – Nie zaczynaj od nowa – powiedział. – Nie musisz być cyniczna.

– Nie jestem. I to nie ja zaczęłam. – Coraz bardziej narastał we mnie gniew. – To nie ja zaczęłam od obcinania po kawałku ciała jedenastoletniemu chłopcu i to nie ja powiesiłam go nago przy Dumpster z kulą w głowie. Nie ja zabiłam naczelnika i strażnika więzienia i Jayne, prawdziwą bliźniaczkę Gaulta. Zapomniałeś już o tym, Benton? Zapomniałeś Central Park w Wigilię? Odciski bosych stóp na śniegu i marznącą krew w fontannie?

– Ależ pamiętam. Byłem tam i znam szczegóły równie dobrze jak ty.

– Nie, nieprawda.

Porządnie się już wkurzyłam, wyrwałam mu się z rąk i zaczęłam się z powrotem ubierać.

– Nie wkładałeś dłoni w ich pokancerowane ciała, nie dotykałeś i nie mierzyłeś ich ran – mówiłam. – Nie słyszałeś, jak mówią po śmierci. Nie widziałeś twarzy tych, którzy ich kochali, czekających w moim obskurnym korytarzyku na bezduszne, przekazywane bez słowa współczucia informacje. Nie widziałeś, co ja robię. O nie, Bentonie Wesley. Ty widzisz tylko czyściutkie akta sprawy i błyszczące fotografie z miejsca zbrodni. Ty więcej czasu spędzasz z mordercami niż z ich ofiarami. I pewnie sypiasz lepiej ode mnie. Może nawet potrafisz marzyć, ponieważ się nie boisz.

Wyszedł z mego domu bez słowa, bo posunęłam się za daleko. Byłam ostra, niesprawiedliwa, a nawet mijałam się z prawdą. Sen Wesleya zawsze był torturą. Rzucał się, mamrotał, ściągał pościel. Rzadko cokolwiek mu się śniło, a jeśli już, to starał się jak najszybciej o tym zapomnieć. Postawiłam solniczkę i pieprzniczkę na rogach listu Carrie Grethen, aby się nie zwijał. Jej dziwaczne słowa stanowiły teraz dowód rzeczowy i nie można ich było dotykać ani niszczyć.

Ninhydrin albo Luma Lite odsłoniłyby odciski palców na tanim, białym papierze, a inne przykłady jej pisma da się porównać z tym, co skreśliła do mnie. Potem można by udowodnić, że napisała te słowa tuż przed swym procesem o morderstwo przed nowojorskim Sądem Najwyższym. Ława przysięgłych zobaczyłaby, że Carrie nic się nie zmieniła przez pięć lat psychiatrycznej terapii opłacanej z ich podatków. Że nie ma żadnych wyrzutów sumienia. I że robiła wszystko w pełni świadomie.

Nie miałam wątpliwości, że Benton jest jeszcze gdzieś w pobliżu, bo nie słyszałam odjazdu jego BMW. Wskoczyłam na niedawno wybrukowaną ulicę i pobiegłam wzdłuż dużych ceglanych domów, aż w końcu znalazłam go pod drzewem – przyglądał się skałom nad brzegiem rzeki James. Woda była zimna, miała kolor szkła, kredowe smugi chmur majaczyły na blednącym niebie.

– Jak tylko wrócę do domu, zaraz wyjeżdżam do Karoliny Północnej. Wynajmę domek i kupię ci szkocką – odezwał się, nie odwracając głowy.

– I Black Bush.

– Nie musisz wyjeżdżać wieczorem – powiedziałam. Bałam się do niego przysunąć. Boczne światło rozjaśniało jego zmierzwione przez wiatr włosy.

– Muszę wstać jutro rano. Możesz wyjechać razem ze mną.

W milczeniu przypatrywał się orłowi, który podążał za mną od wyjścia z domu. Naciągnął czerwony kaptur, ale widać było, że marznie w

wilgotnych spodenkach treningowych. Skrzyżowane ręce mocno przyciskał do piersi. Gdy przełykał ślinę, poruszyło mu się gardło. Emanował bólem, który tylko ja mogłam zrozumieć. W takich momentach jak teraz nie wiedziałam, dlaczego Benton ze mną jest.

– Chyba nie myślisz, że jestem maszyną – powiedziałam cichutko po raz tysięczny, odkąd go pokochałam.

Nadal nic nie mówił. Wodzie wyraźnie brakowało sił na płynięcie w stronę miasta i z tłumionym pluskiem napierała na zaporę.

– Robię, co w mojej mocy – wyjaśniałam. – Robię więcej niż inni ludzie. Benton, nie oczekuj ode mnie zbyt wiele.

Orzeł zatoczył krąg nad czubkami drzew, a gdy Benton w końcu przemówił, w jego głosie wyraźnie dominowała rezygnacja.

– Ja też robię więcej niż inni – powiedział. – Częściowo z twojego powodu.

– Tak, każdy kij ma dwa końce. – Podeszłam bliżej i położyłam mu dłonie na śliskiej tkaninie ponad pasem. – Doskonale zdajesz sobie z tego sprawę.

Przytuliłam go do siebie, przyciskając twarz do jego pleców.

– Jeden z twoich sąsiadów nas podgląda – powiedział. – Widziałem go w lusterku. Wiedziałaś, że macie na tym snobistycznym osiedlu podglądacza? – Położył swoje dłonie na moich, a potem bez specjalnego celu podnosił jeden palec po drugim. – Oczywiście, gdybym ja tu mieszkał, też bym cię podglądał – dodał z uśmiechem.

– Przecież mieszkasz.

– Nie. Ja tu tylko sypiam.

– Rano o tym porozmawiamy. Jak zwykle ściągają mnie do Instytutu Eye o piątej – powiedziałam. – Więc jeśli wstanę o czwartej... –

Westchnęłam, zastanawiając się, czy życie już zawsze będzie tak wyglądać.

– Powinieneś zostać na noc.

– Przecież ja nie wstanę o czwartej.

Rozdział drugi

Nad płaskim polem ciemny błękit pierwszych prześwitów słońca brutalnie obwieścił nadejście kolejnego poranka. Wstałam o czwartej, a Wesley postanowił wyjechać razem ze mną i też się obudził. Pocałowaliśmy się w przelocie i poszliśmy każde do swego samochodu, prawie na siebie nie zwracając uwagi, ponieważ szybkie pożegnania zawsze są łatwiejsze od ciągnących się w nieskończoność. Lecz gdy jechałam ulicą West Carry do mostu Hugenotów, poczułam się nagle ociężała, straciłam pewność siebie i ogarnął mnie smutek.

Z doświadczenia wiedziałam, że nie ma najmniejszych szans na spotkanie Wesleya jeszcze w tym tygodniu, że nie będzie odpoczynku, czytania ani spania do wczesnego południa. Pożary zawsze przysparzają większych problemów niż jakiegokolwiek inne sytuacje. A sprawa dotycząca ważnej i bogatej osobistości waszyngtońskiego światka zmusi mnie do kontaktów z politykami i do papierkowej roboty. Im większą uwagę wzbudza dany zgon, tym większa szykuje mi się presja opinii publicznej.

Ani jedno światło nie paliło się w Instytucie Eye, który nie był medycznym ośrodkiem badawczym ani nie nosił swej nazwy ku czci jakiegoś dobroczyńcy czy ważnej osobistości o nazwisku Eye. Kilka razy do roku przyjeżdżałam tutaj na sprawdzenie wzroku i dopasowanie okularów. Trochę dziwne wydało mi się parkowanie koło miejsca, z którego często wznosiłam się w powietrze i byłam wieziona w stronę chaosu. Otworzyłam drzwi i pod wpływem znajomych dźwięków dolatujących z nad czubków drzew wyobraziłam sobie okopcone kości i zęby porozrzucane po

mokrym, czarnym pogorzeliem. Pomyślałam o ostrych rysach twarzy i efektownych strojach Sparkesa i nagle poczułam dreszcze.

Gdy przypominający kijankę kształt pojawił się na tle znikającego księżyca, zabrałam z samochodu wodoszczelne torby i porysowaną, aluminiową skrzyneczkę z różnymi medycznymi przyborami i narzędziami, między innymi sprzętem fotograficznym. Na trasie Huguenotów zaczęły zwalniać dwa samochody osobowe i jedna furgonetka – poranni podróżnicy nie mogli się oprzeć widokowi podchodzącego do lądowania śmigłowca. Ciekawscy zjechali na parking i zaczęli się przyglądać, jak łopaty wirnika sprawnie omijają przewody elektryczne, poruszają powierzchnię kałuży i wzniesają tumany kurzu.

– Pewnie lecą do Sparkesa – odezwał się starszy człowiek, który nadjechał zardzewiałym plymouthem.

– Może dostarczą mi jakiś narząd – rzekł kierowca furgonetki i omiół mnie szybkim spojrzeniem.

Ich słowa rozsypały się jak suche liście, kiedy czarny Bell Long-Ranger zagrział miarowym hukiem i delikatnie zaczął siadać na ziemi. Pilotująca śmigłowiec moja siostrzenica Lucy wzbudziła burzę nad równo przystrzyżonym trawnikiem i gładko usiadła na ziemi. Zabrałam swoje rzeczy i ruszyłam pod wiatr. Nie widziałam nic przez przyciemnioną szybę z pleksiglasu, więc dopiero po otwarciu drzwi rozpoznałam długą rękę sięgającą po mój bagaż. Gdy wspinałam się do środka, zatrzymywały się kolejne samochody, kierowcy chcieli popatrzeć na obcych, a zza czubków drzew wyłaniały się złote nitki promieni słonecznych.

– Już się zastanawiałam, gdzie się podziewasz – podniosłam głos, żeby przekrzyczeć silniki.

– Zabrała mnie z lotniska – odpowiedział Pete Marino, gdy przy nim siadałam. – Miałem bliżej.

– Wcale nie – powiedziałam.

– No ale dają tam kawę i „wędowniczka” – rzekł, a ja wiedziałam, że odwrócił kolejność hierarchii, według której traktował napoje. – Domyślałam się, że Benton pojechał na wakacje bez ciebie – dodał.

Lucy otworzyła przepustnicę do oporu i łopaty śmigła nabrały prędkości.

– Powiem ci, mam przeczucie – odezwał się gderliwym tonem, gdy helikopter lekko się wzniósł i zaczął nabierać wysokości – że przed nami spore kłopoty.

Marino specjalizował się w śledztwach dotyczących zgonów, chociaż zupełnie nie brał pod uwagę swojej śmierci. Nie lubił latać, zwłaszcza urządzeniem, które nie miało skrzydeł ani nadzoru naziemnego. Na kolanach miał pognieciony egzemplarz „Richmond Times Dispatch” i nie chciał patrzeć na szybko oddalającą się ziemię ani na niezbyt odległe miasto wznoszące się nad horyzontem.

W gazecie na pierwszej stronie znajdował się odpowiednio zaaranżowany artykuł na temat pożaru oraz lotnicze zdjęcie poczerńiałych zgliszczy. Uważnie przeczytałam tekst, ale nie dowiedziałam się niczego nowego, ponieważ dotyczył głównie nieumotywowanej śmierci Kennetha Sparkesa, jego wpływów i bogatego życia, jakie wiódł w Warrenton. Na temat jego koni nie wiedziałam nic, z wyjątkiem tego, że niejaka Wichura startowała w derbach Kentucky i warta była milion dolarów. Ale nie byłam zaskoczona. Sparkes zawsze lubił się udzielać towarzysko, był chełpliwy i miał rozdęte ego. Odkładając gazetę na wolny fotel, zauważyłam, że pas bezpieczeństwa Marina jest rozpięty i zbiera kurz z podłogi.

– Co będzie, jak wpadniemy w silne turbulencje, skoro masz odpięty pas? – zapytałam głośno, żeby pomimo silników było mnie słychać.

– Wyleję sobie kawę. – Poprawił na biodrze pistolet. Skóra koloru kiełbasy odcinała się od stroju w barwie khaki. – Jeśli nie potrafisz sobie

tego wyobrazić pomimo tylu poszatkowanych ciał, które masz na koncie, to powiem ci, doktorku, że jak ta maszyna spadnie, nie pomogą nam żadne pasy bezpieczeństwa. Ani poduszki powietrzne, o ile je tu mamy.

Prawda wyglądała tak, że nienawidził wszystkiego, co go opasywało, a spodnie nosił tak nisko, że sama się dziwiłam, jakim cudem utrzymują się jeszcze na biodrach. Zaszeleścił papier, gdy Marino wyjął z poplamionej smarem kieszeni dwa herbatniki Hardee. Z kieszeni koszuli wystawały papierosy, a twarz miał zaczerwienioną w sposób typowy dla nadciśnieniowców. Gdy przeprowadziłam się do Wirginii z rodzinnego Miami, pracował jako detektyw w wydziale zabójstw i był tak odrażający, jakby od urodzenia miał do tego specjalny talent. Pamiętam, że podczas pierwszych spotkań w kostnicy zwracał się do mnie „pani Scarpetta”, wrzeszczał na moich ludzi i brał sobie każdy dowód, jaki mu się spodobał. Zbierał kule, zanim je oznaczyłam, co mnie doprowadzało do szewskiej pasji. Palił papierosy w poplamionych krwią rękawicach, dowcipkował na temat zwłok, które przecież były wcześniej ludzką istotą.

Wyjrzałam przez okno na chmury płynące po niebie i pomyślałam o upływającym czasie. Marino miał już niemal pięćdziesiąt pięć lat i nie chciało mi się w to wierzyć. Działaliśmy sobie na nerwy niemal codziennie już od prawie jedenastu lat.

– Chcesz jednego? – Podsunął mi herbatnik owinięty w pergamin.

– Nie chcę nawet na to patrzeć – powiedziałam niewdzięcznie.

Pete Marino wiedział, że martwią mnie jego złe nawyki, ale po prostu chciał zwrócić moją uwagę. Ostrożnie dodawał sobie cukru do plastikowego kubka z kawą, która chlupotała pod wpływem turbulencji, więc musiał przytrzymywać się swą mięsistą ręką.

– Napij się kawy? – zapytał. – Należę ci.

– Nie, dziękuję. Wolę, żebyś podał mi najświeższe wiadomości. – Czułam się coraz bardziej spięta i chciałam przejść do rzeczy. – Czy wiemy coś więcej niż wczoraj wieczorem?

– Ogień jeszcze się gdzieniegdzie tli. Głównie w stajniach – mówił. – Sparkes miał więcej koni, niż nam się wydawało. Upiekło się ze dwadzieścia, między innymi rasowe, rozplodowe i wyścigowe. Oczywiście o tym, co biegł w derbach, już wiesz. A ten milion to tylko suma, na jaką koń był ubezpieczony. Rzekomi świadkowie twierdzą, że konie krzyczały jak ludzie.

– Jacy świadkowie? – Słyszałam o nich po raz pierwszy.

– A, takie tam darmozjady. Zleciało się toto od razu. Teraz twierdzą, że wszystko wiedzą i wszystko widzieli. Normalka, zawsze są takie numery, gdy sprawa przyciąga dużo uwagi. Naocznych świadków tego, że konie krzyczały i kopały w boksy, próbując się wydostać, nie ma. – Zmienił ton na ostrzejszy. – Dorwiemy skurwiela, który to zrobił. Zobaczymy, jak mu się spodoba, gdy jemu przypalimy tyłek.

– Nie wiemy jeszcze nic o niczym udziale. A w każdym razie nie mamy dowodów – przypomniałam mu. – Nikt jeszcze nie mówił o podpaleniu, chociaż oczywiście domyślam się, że nie zostałam tam zaproszona na wycieczkę.

Skierował uwagę za okno.

– Wkurza mnie, gdy cierpią zwierzęta. – Wylał sobie kawę na kolano. – Cholera. – Spojrzał na mnie, jakbym ja była temu winna. – Szlag mnie trafia, gdy coś się dzieje dzieciom albo zwierzętom.

Pozornie nie przejmował się sławnym człowiekiem, który być może zginął w ogniu, ale ja znałam Marina na tyle dobrze, żeby wiedzieć, iż okazuje tylko te uczucia, które sam jest w stanie tolerować. Nawet w

połowie nie nienawidzi ludzi tak, jak to okazuje. A gdy wyobrażałam sobie to, co opisywał, widziałam przerażenie malujące się w oczach koni.

Nie potrafiłam jednak znieść wyobrażeń krzyków i kopyt walących w rozpadające się drewno. Nad farmą Warrenton, nad domem, stajniami, nad zapasami starej whiskey i kolekcją broni ogień rozpływał się jak potoki lawy. Po pożarze nie zostało nic z wyjątkiem resztek ścian.

Spojrzałam w stronę kokpitu, gdzie Lucy mówiła coś przez radio do drugiego pilota z ATF, komentując zapewne pojawienie się śmigłowca Chinook oraz samolotu tak odległego, że przypominał tylko srebrne szkielecko. Stopniowo coraz jaśniej zaczynało świecić słońce, a gdy patrzyłam na swą siostrzenicę, trudno mi było się skoncentrować, bo czułam otwierające się stare rany.

Rzuciła FBI, bo sami się o to postarali. Zostawiła komputerowy system sztucznej inteligencji, który tworzyła, roboty, które programowała, i helikoptery, którymi nauczyła się latać dla swego ukochanego Biura. Lucy przestała być sobą i nie miałam już na nią wpływu. Nie chciałam z nią rozmawiać na temat Carrie.

Siedziałam cicho na swym fotelu i zaczęłam robić zapiski w sprawie Warrenton. Już dawno nauczyłam się koncentrować całą uwagę na jednej rzeczy, bez względu na swoje opinie i chwilowy nastrój. Czułam, że Marino nadal spogląda przez okno i dotyka dłońią paczki papierosów, upewniając się, że jego „zastępcy” jadą razem z nim. Rozległ się głośniejszy turkot wirnika, gdy Pete odsunął swoje okienko, wyjął papierosy i zaczął jednego wyłuskiwać z paczki.

- Nie pal – powiedziałam, odwracając kartkę. – Nawet o tym nie myśl.
- Nie widzę tu tabliczki „Nie palić” – rzekł, biorąc marlboro do ust.
- Nigdy nie widzisz, bez względu na to, ile ich wisi. – Dalej robiłam notatki, opierając się jedynie na ustnym oświadczeniu, które wczoraj

telefonicznie złożył mi dowódca straży pożarnej.

– Podpalenie dla zysku? – odezwałam się, podnosząc wzrok. – Wynikałoby z tego, że właściciel, Kenneth Sparkes, mógł przypadkowo zginąć w pożarze, który sam wzniecił? Na czym jest oparte to przypuszczenie?

– A co, może nie ma nazwiska podpalacza* [Słowo sparkes oznacza po angielsku: iskry (przyp. tłum.) ?] – rzekł Marino. – Sam sobie winien. – Zaciągnął się głęboko. – A jeśli rzeczywiście tak sprawa wygląda, to ma, czego chciał. Można ich zgarnąć z ulicy, ale ulicy nie da się z nich wyczyścić.

– Sparkes nie wychowywał się na ulicy – powiedziałam. – Był stypendystą Rhodesa.

– Co za różnica. Pamiętam, że swego czasu skurwiel w swoich gazetach umiał tylko krytykować policję. Wszyscy wiedzieli, że szaleje za kobietami i kokainą. Nie mogliśmy mu niczego udowodnić, bo nikt nam nie chciał pomóc.

– Zgadza się. Nikt mu niczego nie udowodnił – powiedziałam. – Nie można kogoś nazywać podpalaczem z powodu nazwiska czy polityki wydawniczej.

– Tak się złożyło, że rozmawiasz z ekspertem w sprawach dziwnych nazwisk i ich właścicieli. – Marino dolał sobie kawy i pociągnął papierosa.

– Gore jest koronerem. Slaughter seryjnym mordercą. Childs pedofilem. A pan Bury grzebie swe ofiary na cmentarzach. Potem mamy jeszcze sędziów Gallowa i Frye'a. No i Freddiego Gamble'a. Doktor Faggart zamordował pięciu homoseksualistów. Wydłubywał im oczy. A Crisp, pamiętasz?* [Angielskie słowa gore, slaughter, childs, bury, gallow, frpe, gambie i crisp można tłumaczyć na polski odpowiednio: plama krwi, rzeźnik, grzebać, łapać w sieć, smażyć, uprawiać hazard, harować i kruchy (przyp. tłum.)] – Spojrzał na mnie. –

Trafił go piorun, rozrzucił wszystkie ciuchy po całym parkingu przed kościołem i namagnetyzował sprzączkę przy pasku.

Nie chciałam tego słuchać o tak wczesnej porze, sięgnęłam więc po słuchawki, żeby odciąć się od Marina i zobaczyć, co słychać w kokpicie.

– Nie chciałbym, żeby piorun mnie trzasnął przed kościołem i żeby potem wszyscy o tym czytali – mówił dalej Pete.

Znów nalał sobie kawy, zupełnie jakby miał kłopoty z prostatą lub drogami moczowymi.

– Przez wszystkie lata uzupełniam tę listę i nigdy o niej nikomu nie mówiłem. Nawet tobie. Ty o tym nie piszesz. – Napił się kawy. – Ale chyba na takie rzeczy jest zbyt. Może kiedyś zobaczysz na półce książkę o tym.

Założyłam słuchawki, spoglądałam na farmy i puste pola, na których coraz częściej zaczynały się pojawiać domy, zagrody i długie wybrukowane podjazdy. Krowy i cielęta zgromadzone w stada stanowiły białoczarne plamy na zielonej trawie. Jakiś kombajn wolno jadący po polu pełnym siana wzniewał wokół siebie kłęby kurzu.

Stopniowo krajobraz zaczął się przekształcać w opływający w bogactwo Warrenton, gdzie panuje znikoma przestępczość, a w wielusetakrowych posiadłościach są gościnne domki, korty tenisowe, baseny i wspaniałe stajnie. Przelatywaliśmy ponad prywatnymi pasami startowymi i jeziorami pełnymi dzikich kaczek i gęsi. Marino ziewał.

Nasi piloci w milczeniu czekali, aż znajdą się w zasięgu NRT. Potem usłyszałam głos Lucy zmieniającej częstotliwość i zaczynającej nadawać.

– Echo jeden, śmigłowiec dziewięć-jeden-dziewięć Delta Alfa. Teen, słyszysz mnie?

– Słyszę cię, Delta Alfa – zgłosiła się T.N. McGover, dowódca zespołu.

– Jesteśmy dziesięć mil w kierunku południowym, będziemy lądować z pasażerami – mówiła Lucy. – Przewidywany czas przylotu godzina ósma

zero zero.

– Przyjęłam. U nas pogoda jak w zimie i nie zanosi się na ocieplenie.

Lucy połączyła się z Automatycznym Serwisem Służb Meteorologicznych Manassas i wysłuchałam nagranej prognozy na temat wiatru, widoczności, warunków na niebie, temperatury, wilgotności. Były to najbardziej aktualne wiadomości. Nie ucieszyłam się na wieść o spadku temperatury o pięć stopni Celsjusza w porównaniu z tą, jaka była, kiedy wychodziłam z domu. Od razu przyszedł mi na myśl Benton wygrzewający się w słońcu nad wodą.

– Będziemy mieć deszcz – powiedział do mikrofonu drugi pilot.

– Na razie jest jeszcze trzydzieści dwa kilometry na zachód, a jak na czerwiec to dość daleko – odpowiedziała Lucy.

– Zdaje się, że poniżej horyzontu leci kolejny chinook.

– Przypomnijmy mu o sobie – powiedziała Lucy, znów zmieniając częstotliwość. – Chinook nad Warrenton, mówi śmigłowiec dziewięć-jeden-dziewięć Delta Alfa, macie zamiar się wznosić? Jesteśmy od was na godzinie trzeciej, trzy kilometry na północ, na trzystu metrach.

– Delta Alfa, widzimy was – padła odpowiedź z wojskowego śmigłowca noszącego nazwę indiańskiego plemienia. – Trzymajcie się.

Moja siostrzenica kliknęła klawisz nadajnika. Jej spokojny, zrównoważony głos wydawał mi się jakiś dziwny, zupełnie jakby dolatywał gdzieś z oddali, za pośrednictwem obcych anten. Dalej słuchałam bez słowa, ale gdy tylko nadarzyła się okazja, wtrąciłam się do rozmowy.

– O co chodzi z tym wiatrem i zimnem? – zapytałam, wpatrując się w potylicę Lucy.

– Dwadzieścia, w porywach do dwudziestu pięciu z zachodu – usłyszałam w słuchawkach. – I może się pogorszyć. Wszystko tam u was z tyłu w porządku?

– Jasne – powiedziałam, chociaż znów pomyślałam o liście od Carrie.

Lucy miała na sobie niebieskie spodnie, jakie nosi się w ATF, i okulary słoneczne Cebe. Urosły jej już długie kręcone włosy, które teraz opadały na ramiona i przypominały mi czerwone drewno eukaliptusa – egzotyczne, wypolerowane i tak zupełnie różne od mojej siwiejącej blond czupryny. Wyobrażałam sobie, jakie muszą być miękkie w dotyku. Manewrując pedałami, ustawiała moment oporowy tak, aby utrzymać maszynę na kursie.

Do latania podchodziła tak samo jak do wszystkiego, do czego się zabierała. Pozwolenia na loty prywatne i zawodowe zdobyła w minimalnym wymaganym czasie, a potem szybko uzyskała licencję instruktorską, i to z czystej radości wypływającej z dzielenia się swymi talentami z innymi ludźmi.

Nie trzeba było ogłaszać, że nasz lot dobiega końca. Gdy minęliśmy las pełen połamanych drzew, za niewielkim wzgórzem ukazała się chmura rozciągnięta pionowo. Nie było wątpliwości, że to smuga dymu unosząca się nad ziemią zamienioną w piekło. Szalony żywioł ognia zrobił swoje, farma Kennetha Sparkesa zamieniła się w czarną otchłań.

Pożar pozostawił po sobie wyraźne ślady. Obserwowałam poczynione szkody z powietrza: po budynku mieszkalnym zostały tylko resztki, a stajnie i budynki gospodarcze były zrównane z ziemią. Wozy strażackie wjechały za białe ogrodzenie otaczające posiadłość i stanęły na wypielegnowanych trawnikach. W oddali widać było pastwiska, wąską drogę publiczną, podstację energetyczną, a jeszcze dalej kolejne domy.

Wtargnęliśmy na teren posiadłości Sparkesa kilka minut przed ósmą i wylądowaliśmy w takiej odległości od ruin, żeby ich nie uszkodziły nasze śmigła. Marino wyszedł na zewnątrz i ruszył przed siebie beze mnie, bo ja czekałam, na zatrzymanie silnika i wyłączenie wszystkich urządzeń.

– Dzięki za podwiezienie – powiedziałam do agenta Jima Mowery’ego, który pełnił funkcję drugiego pilota.

– To ona prowadziła.

Otworzył drzwi ładowni.

– Przejdź się, jeśli chcesz, ja zostanę – powiedział do mojej siostrzenicy.

– Widzę, że trochę się znasz na tej maszynie – zwróciłam się żartobliwie do Lucy, gdy wychodziłyśmy.

– Robię, co mogę – odparła. – Daj, pomogę ci z tymi ładunkami.

Oddałam jej aluminiową skrzyneczkę, która w jej dłoni sprawiała wrażenie dość lekkiej. Byłyśmy podobnie ubrane, chociaż ja nie miałam pistoletu ani radionadajnika. Nasze podbite żelazem buty ze zniszczenia poszarzały i zaczynały się łuszczyć. Czarne błoto chlapało pod podeszwami, gdy zbliżyłyśmy się do szarego namiotu, w którym przez następne kilka dni miało się mieścić nasze dowództwo. Tuż obok namiotu stała zaparkowana biała furgonetka z migającymi światłami na dachu, plombami Departamentu Skarbu i jaskrawoniebieskimi znakami ATF oraz Urzędu Dochodzeń do spraw Ładunków Wybuchowych.

Lucy szła jeden krok przede mną, jej twarz zasłaniał cień rzucany przez granatową czapkę. Została przeniesiona do Filadelfii i wkrótce wyprowadza się z Waszyngtonu. Na myśl o tym poczułam się stara i zużyta. Była już dorosła. Miała równie skomplikowaną osobowość jak ja w jej wieku. Nie chciałam, żeby znów się przeprowadzała. Ale nie zamierzałam jej tego powiedzieć.

– Kiepsko to wygląda – zaczęła rozmowę. – Przynajmniej parter. Są tylko jedne drzwi. Większość wody spłynęła do piwnic. Wóz z pompami jest już w drodze.

– Jak głęboko?

Pomyślałam sobie o tysiącach litrów wody tryskających ze strażackich węzłów, a potem o czarnej, gęstej zawieszynie, w której pływa wiele niebezpiecznych szczątków.

– Zależy z której strony. Na twoim miejscu bym nie sprawdzała – powiedziała to w taki sposób, że poczułam się niepotrzebna.

– Nie będę – odparłam urażona.

Lucy nie troszczyła się specjalnie ukrywaniem, jak na nią wpływa praca w moim towarzystwie. Nie była opryskliwa, ale często w obecności swoich kolegów zachowywała się tak, jakby mnie nie znała. Pamiętam, że gdy dawniej odwiedzałam ją na uniwersytecie, nie chciała, żeby studenci widzieli nas razem. Nie wstydziła się mnie, raczej nie chciała znaleźć się w moim cieniu, toteż starałam się nie wpływać zbyt na jej życie.

– Skończyłaś się pakować? – zapytałam ze sztuczną swobodą.

– Nie przypominaj mi, proszę cię – powiedziała.

– Ale nadal zamierzasz wyjechać?

– Tak, to dla mnie ogromna szansa.

– Rzeczywiście. Cieszę się razem z tobą.

– A jak tam Janet? Wiem, że ciężko jej...

– Przecież nie będziemy mieszkać na dwóch różnych półkulach – natychmiast odpowiedziała.

Doskonale o tym wiedziałam. Janet była agentką FBI. Poznały się i pokochały już na pierwszych szkoleniach w Quantico. Teraz pracowały dla różnych agencji państwowych i wkrótce miały zacząć mieszkać w różnych miastach. Istniała ewentualność, że kariery nie pozwolą im na kontynuację związku.

– Myślisz, że uda nam się wygospodarować dzisiaj minutkę na rozmowę? – zapytałam, omijając kałużę.

– Jasne. Kiedy skończymy z tym, skoczmy na piwo, jeśli znajdziemy tu jeszcze jakiś otwarty bar – odpowiedziała. Wiatr przybrał na sile.

– Może być późno.

– No to w porządku. – Lucy westchnęła, a zaraz potem doszliśmy do namiotu. – Hej, wy tam! – zawołała. – To tu jest ta impreza?

– Jasne.

– O, pani doktor teraz przyjmuje wezwania na telefon?

– Nie, raczej niańczy Lucy.

Oprócz Marina i mnie było jeszcze dziewięciu mężczyzn i dwie kobiety z NRT, między innymi szefowa zespołu, McGovern. Wszyscy byliśmy podobnie ubrani w niebieskie stroje, pozaszywane i połatane tak samo jak buty. Inspektorzy zachowywali się beztrosko i hałaśliwie, zgromadzili się przy tylnym wyjściu z ciężarówki wyłożonej we wnętrzu lśniącym aluminium, z półkami, na których leżały zgromadzone rolki z żółtą taśmą do ogradzania miejsca przestępstwa lub wypadku, kosze na śmieci, narzędzia do kopania, reflektory, łomy i piły elektryczne.

Nasza ruchoma kwatera główna wyposażona była również w komputery, kserokopiarkę, faks, hydrauliczną rozpórkę, młot pneumatyczny i nożyce używane przy rozbiórce lub przy wypadku do ratowania ludziom życia. Właściwie niczego w tym wyposażeniu nie brakowało, może z wyjątkiem kuchni i – co ważniejsze – toalety.

Niektórzy agenci odkażali sobie buty i narzędzia w plastikowych rynienkach z mydlaną wodą. Stale trzeba było powtarzać tę czynność, a przy wilgotnej pogodzie ręce wcale nie chciały schnąć. Nawet rury wydechowe zostały oczyszczone i zatkane, żeby nie wydostawały się wyloty benzyny, a wszystkie urządzenia działały na prąd elektryczny. Chodziło o to, aby w sądzie na rozprawie nie można było podważyć wiarygodności zebranych dowodów.

McGovern siedziała przy stoliku pod namiotem w odpiętych butach i z notatnikiem na kolanach.

– No dobra – zwróciła się do swego zespołu. – My wszystko to już przerabialiśmy na posterunku straży pożarnej, gdzie przepadła wam kawa i pączki – zwróciła się do tych, którzy dopiero przybyli. – Ale posłuchajcie jeszcze raz. Jak dotąd wiemy, że pożar najprawdopodobniej rozpoczął się przedwczoraj wieczorem, pomiędzy siódmą dwadzieścia a ósmą.

McGovern była w moim wieku i miała swe biuro w Filadelfii. Patrząc na nią, dostrzegłam nową mentorkę Lucy i poczułam, że sztywnieją mi kości.

– W każdym razie o tej porze w domu włączył się alarm przeciwpożarowy – kontynuowała McGovern. – Gdy przybyła straż pożarna, zajęty był już cały dom. Płonęły też stajnie. Wozy nie mogły podjechać dostatecznie blisko, ale jeździły dokoła i gasiły. A przynajmniej się starały. W piwnicach znajduje się mniej więcej sto tysięcy litrów wody. Jeśli założymy, że będziemy mieć cztery pompy, które nie będą się co chwila zatykać, to wypompowanie wszystkiego zajmie nam jakieś sześć godzin. Aha, nie ma prądu, ale tutejsza straż pożarna ma nam zainstalować.

– Ile czasu minęło od chwili wezwania od przybycia straży? – zapytał Marino.

– Siedemnaście minut – odpowiedziała. – Musieli zebrać ludzi niebędących na służbie. Tutaj działa ochotnicza straż.

Ktoś jęknął.

– Nie bądźcie dla nich zbyt ostrzy. Wykorzystali wszystkie zbiorniki z okolicy, żeby nabrać wody, więc nie ma tu ich winy – tłumaczyła McGovern swoim ludziom. – Takie domy palą się jak papier, a wiał zbyt duży wiatr, żeby użyć pianki, zresztą pewnie nic by nie pomogła. – Wstała i podeszła do ciężarówki. – Problem w tym, że ogień rozprzestrzenił się bardzo szybko. To można stwierdzić z całą pewnością.

Otworzyła czerwone drzwi i zaczęła podawać kilofy i łopaty.

– Nie mamy nic na temat punktu zapalnego ani przyczyn – kontynuowała. – Ale przypuszcza się, że Kenneth Sparkes, magnat prasowy, przebywał w środku i nie udało mu się wydostać. Właśnie po to wezwaliśmy tu panią doktor.

McGovern spojrzała prosto na mnie świdrującym wzrokiem, a jej oczom na pewno nie umknął żaden szczegół.

– Skąd te przypuszczenia, że był właśnie wtedy w domu? – zapytałam.

– Po pierwsze, zginął. A jego mercedes spłonął na tyłach rezydencji. Jeszcze nie badaliśmy szczątków, ale najprawdopodobniej należał do niego – mówiła szefowa dochodzeń pożarowych. – Kowal kujący jego konie był tu dwa dni przed pożarem, w czwartek piątego, i nic nie wskazywało na to, że Sparkes gdzieś się wybiera.

– A kto opiekował się jego końmi podczas wyjazdów? – zapytałam.

– Nie wiemy – powiedziała McGovern.

– Mogę dostać nazwisko i telefon tego kowala?

– Nie ma problemu. Kurt? – powiedziała do jednego z inspektorów dochodzeniowych.

– Pewnie, proszę bardzo. – Przewrócił kartki kołonotatnika swą młodą, potężną i nawykłą do ciężkiej pracy dłońią.

Z innej części ciężarówki McGovern wyciągnęła niebieskie kaski i rozdając wszystkim po kolei, przypominała o przydzielonych zadaniach.

– Lucy, Robby, Frank, Jennifer, wy wchodźcie ze mną do środka. Bill, ty zajmiesz się sprawami ogólnymi, a Mick mu pomaga, bo to pierwszy dzień Billa w NRT.

– Powodzenia.

– O, prawiczek.

– Dajcie spokój, panowie – powiedział agent o imieniu Bill. – Żona ma dzisiaj czterdzieste urodziny. Znów się przestanie do mnie odzywać.

– Rusty zostaje przy samochodzie – zakończyła McGovern. – Marino i pani doktor czekają, aż będą potrzebni.

– Czy Sparkes otrzymał jakieś pogrożki? – zapytał Marino, ponieważ jego praca polegała na zakładaniu ewentualności morderstwa.

– Jak na razie wiemy tyle samo co pan – powiedział agent zwany Robby.

– A co wiadomo na temat tych rzekomych świadków? – zapytałam.

– Mieliśmy jeden telefon – wyjaśnił. – Jakiś mężczyzna, ale nie zostawił swego nazwiska. To była rozmowa zamiejscowa, więc nie potrafimy podać żadnych bliższych szczegółów. Nie mamy pojęcia, czy to człowiek wiarygodny.

– Ale twierdzi, że słyszał zdychające konie – naciskałam.

– Tak, podobno krzyczały jak ludzie.

– Czy wyjaśnił, dlaczego znalazł się tak blisko, że mógł je dosłyszeć? – Znów zaczynałam się denerwować.

– Powiedział, że zauważył pożar z daleka i podjechał się przyjrzeć. Mówi, że patrzył z piętnaście minut, a potem odjechał, gdy usłyszał wozy strażackie.

– Jeszcze nie wiem co, ale coś mi tu nie gra – powiedział złowieszczym głosem Marino. – To, co mówi, zgadza się z resztą. A wiemy, że podpalacze lubią się kręcić i oglądać swoje ogniska. Miał jakieś cechy szczególne?

– Rozmawiałem z nim zaledwie pół minuty – mówił Robby. – Nie miał jakiegoś specjalnego akcentu. Mówił spokojnym, łagodnym głosem.

Zapadła chwila ciszy i zdawało się, że wszyscy starają się uporać z własnym niezadowoleniem wywołanym brakiem jakiegokolwiek wiedzy na temat świadka.

McGovern wróciła do listy zadań na najbliższy dzień.

– Johnny Kostyło, nasz ukochany rzecznik z Filadelfii, będzie współpracował z mediami i miejscowymi notablami, na przykład z burmistrzem Warrenton, który już dzwonił, że nie chce, aby o jego miasteczku źle mówiono.

Spoglądając znad notatnika, przyglądała się twarzom.

– Jest w drodze jeden z naszych współpracowników – kontynuowała. – I niedługo przybędzie nam z pomocą Pepper.

Kilku agentów gwizdnęło z podziwem na wzmiankę o Pepperze, psie tropiącym podpalenia.

– Dzięki Bogu Pepper nie jest tresowany na alkohol. – McGovern założyła kask. – Bo tu było z tysiąc litrów bourbona.

– Czy wiadomo coś więcej na ten temat? – zapytał Marino. – Są przypuszczenia, że produkował albo sprzedawał ten towar? Przecież to trochę za dużo gorzały jak na jednego faceta.

– Widocznie Sparkes lubił gromadzić wszystko, co najlepsze – McGovern mówiła tak, jakby miała pewność co do jego śmierci. – Bourbon, cygara, broń automatyczna, kosztowne konie. Nie wiadomo, czy postępował zgodnie z prawem, czy nie. I między innymi dlatego wy tu jesteście, a nie fedzie.

– Przykro mówić, ale fedzie już tu wężą. Chcą wiedzieć, czy nie mogliby w czymś służyć pomocą.

– Czyż to nie miło z ich strony?

– Może nam pokażą, co robić.

– Gdzie oni są? – zapytała McGovern.

– Jakies półtora kilometra drogą w dół, na przedmieściach. W swoich kamizelkach kuloodpornych FBI. Już rozmawiali z mediami.

– Cholera. Za nimi wszędzie się włoką kamery.

Rozległy się pomruki i drwiące uwagi na temat fedziów, jak w ATF przezywano agentów FBI. Tajemnicą poliszynela było to, że te dwie agencje rządowe nie pałają do siebie miłością i że FBI często bywa wzywane rutynowo i nie zawsze jest potrzebne.

– A skoro mowa o przykrych sprawach – odezwał się inny agent – to tutejszy motel nie przyjmuje kart AmEx. Szefowa, jak to jest, nosimy dziurawe buty, a do tego jeszcze mamy płacić swoimi kartami?

– I do tego obsługa działa tylko do siódmej.

– Podejrzana buda.

– Nie można by się gdzieś przenieść?

– Postaram się o coś – obiecała McGovern.

– I dlatego tak cię kochamy.

Jaskrawoczerwony wóz strażacki wtoczył się po niebrukowanej drodze, wznieczając wokół siebie kłęby kurzu. Miał pomóc w usuwaniu wody. Dwaj strażacy w kombinezonach i wysokich, gumowych butach zeszli z maszyny na krótką naradę z McGovern, a potem zajęli się rozwijaniem węży o średnicy jeden i trzy czwarte cala z zamocowanymi filtrami. Zanieśli je do zrujnowanego budynku i w czterech różnych miejscach wrzucili końce do wody. Potem zdjęli z samochodu przenośne pompy Prossera i podłączyli kable do generatora. Wkrótce rozległ się hałas silników, a węże zaczęły zasysać wodę i wylewać ją na trawę.

Pobrałam ciężkie rękawice brezentowe, kombinezon i dopasowałam sobie hełm, a potem zajęłam się czyszczeniem moich pocziwych butów Red Wing. Zmoczyłam je w rynience z zimną wodą, która zaczęła przenikać przez stare skórzane języki i nasączyła sznurówki. Nie pomyślałam o włożeniu ciepłej bielizny, bo przecież był czerwiec. I to był mój błąd. Od północy wiał zimny wiatr, a każda kropla wody działała tak, jakby obniżała temperaturę ciała o jeden stopień. Nienawidziłam zimna.

Nie mogłam wtedy ufać palcom, bo były albo zeszywniałe, albo opatulone grubymi rękawicami. Gdy chuchnęłam w dłonie i zapięłam kombinezon pod samą brodę, podeszła do mnie McGovern.

– Zapowiada się długi dzień – powiedziała. – Gdzie to lato?

– Teen, przez ciebie zrezygnowałam z urlopu. Niszczysz moje życie osobiste. – Nie oszczędzałam jej.

– Dobrze, że chociaż je masz. – Zaczęła myć swoje buty.

Przezwise „Teen” wzięło się od inicjałów T.N. pochodzących od jakiegoś straszliwego Południowca Tina Nola, a przynajmniej tak mi kiedyś powiedziano. Odkąd współpracowałam z NRT, zwracano się do niej Teen, więc i ja tak mówiłam. Była zdolną rozwódką. Miała siłę i kondycję, jej siwym włosom i figurze nikt by się nie oparł. Potrafiła działać impulsywnie. Nieraz widziałam, jak buchała gniewem niczym pokój zajęty ogniem. Miała talent do wykrywania podpałek. Legenda głosiła, że potrafi określić przyczynę pożaru intuicyjnie, znając tylko opis miejsca.

Gdy wkładałam dwie pary lateksowych rękawic, McGovern lustrowała horyzont, zatrzymując oczy dłuższą chwilę na poczerniającej ruinie. Spojrzałam tam gdzie ona, w stronę stajni, i wyobraziłam sobie krzyki koni i rozpaczliwe kopanie kopytami w boksy. Na chwilę poczułam skurcz w gardle. Widziałam już zaciśnięte dłonie ludzi spalonych żywcem i rany u ofiar próbujących walczyć ze swymi zabójcami. Wiedziałam co nieco na temat walki o życie i nie mogłam znieść wyraźnie rysujących się w myślach scen.

– Cholerni dziennikarze – McGovern podniosła głowę ku lecącemu po niebie małemu helikopterowi.

Był to biały Schweitzer bez żadnych oznaczeń ani widocznych kamer. McGovern potrafiła wyczuć każdego dziennikarza w promieniu ośmiu kilometrów.

– Widzisz tę furgonetkę? – zapytała. – To radio. Jakaś miejscowa prezenterka o nazwisku Jezebel, która opowiada o życiu, o swym kulawym synu i o trzynogim psie Sporcie. A tam inne radio. W tym eskorcie znowu jakaś cholerna gazeta, pewnie brukowiec z Waszyngtonu. A potem mamy „Post”. – Wskazała ręką hondę. – Tylko spójrz na tę brunetkę z długimi nogami. Myślisz, że wejdzie tutaj w tej swojej spódniczce? Pewnie myśli, że chłopaki wszystko jej opowiedzą. Oni przynajmniej coś wiedzą, a nie jak fedzie.

Wróciła do namiotu i zabrała z ciężarówki garść lateksowych rękawic. Wsunęłam dłonie głębiej do kieszeni kombinezonu. Zdążyłam już przywyknąć do psioczeń McGovern na „stronnicze i zakłamate media” i puszczałam jej uwagi mimo uszu.

– A to dopiero początek – kontynuowała. – Te glisty rozpełzną się tu wszędzie, już ja ich znam. Tu nie trzeba jasnowidza, żeby odgadnąć, jak to miejsce spłonęło i jak zginęły te biedne koniki.

– Jesteś bardziej optymistycznie nastawiona niż zwykle – powiedziałam.

– Wcale nie jestem optymistycznie nastawiona.

Właśnie stawiała nogę na lśniącym zderzaku ciężarówki, gdy zajechał stary samochód. Na przednim siedzeniu dla pasażera, w ciepłe, leżał wygodnie Pepper, pies potrafiący tropić podpalenia. Był to czarny labrador z odznaką ATF na obroży.

– Może w czymś pomogę, zamiast tak stać i czekać, aż będę potrzebna? – zapytałam.

Podniosła na mnie wzrok.

– Na twoim miejscu poszłabym do Peppera. Przynajmniej będzie wam ciepło.

McGovern pracowała już ze mną wiele razy i wiedziała, że nie przerazi mnie konieczność zanurkowania w rzece, przedarcia się przez ogień czy

przeszukania szczątków po wybuchu bomby. Wiedziała, że nie usiedzę w miejscu, choćbym miała machać łopata. Nie przyjąłem do wiadomości jej propozycji i czułem, że coś dla mnie szykuje. Odwróciłem się, żeby z nią porozmawiać, ale zobaczyłem, że struchlała i stoi niczym pies na warcie. Miała dziwną minę i wpatrywała się w jakiś punkt na horyzoncie.

– Jezu Chryste – jęknęła.

Podążyłem za jej wzrokiem i w odległości jakichś dwustu metrów na wschód od nas tuż obok ruin stajni ujrzałem samotne karę źrebię. Zwierzę wyglądało jak wyrzeźbiony z hebanu, a po napiętych mięśniach można było sądzić, że on też zwrócił na nas uwagę.

– Jak mu się, do diabła, udało wydostać ze stajni? – odezwała się zdumiona McGovern.

Sięgnęła po radionadajnik.

– Teen do Jennifer – powiedziała.

– Słyszę cię.

– Spójrz w stronę stajni. Widzisz to co ja?

– Tak jest. Czworonożny obiekt w zasięgu wzroku.

– Powiedz o tym miejscowemu. Trzeba ustalić, czy to zwierzę jakimś cudem przeżyło, czy skądś tu przyszło.

– Zrobione.

Ze szpadłem na ramieniu McGovern wyszła z namiotu. Patrzyłem, jak wchodzi do czarnego otworu, który kiedyś był frontowym wejściem, i staje po kolana w wodzie. W oddali podejrzliwy czarny konik zaczął brykać, jakby przestraszył się ognia. W wilgotnych butach ruszyłem przed siebie. Czułem, że ręce zaczynają odmawiać mi posłuszeństwa. Wiedziałam, że wkrótce będę musiała pójść do toalety, którą zazwyczaj było drzewo, pagórek lub miejsce, gdzie w promieniu półtora kilometra nie było żadnego faceta.

Nie weszłam między ruiny, ale postanowiłam je obejść dokoła. Resztki budowli stanowiły wyraźne zagrożenie i choć ściany wydawały się dosyć solidne, to zdecydowanie wolałabym, aby rozwalił je jakiś dźwig lub spychacz. Pomimo zimnego, przenikliwego wiatru nie przerywałam oględzin, ale nie wiedziałam, od czego zacząć poszukiwania. Ręce bolały mnie od noszenia aluminiowej skrzynki, a na samą myśl o rozgarnianiu mokrego gruzu zaczynało mnie strzykać w plecach. Byłam pewna, że McGovern obserwuje, jak długo wytrzymam.

Przez otwory po drzwiach i oknach widziałam pływające w czarnej wodzie okopcone resztki baryłek po whiskey z metalowymi obręczami. Oczami wyobraźni widziałam białe dębowe drewno eksplodujące pod wpływem płonącego bourbona płynącego rzeką w dół do stajni zamieszkałych przez cenne konie Kennetha Sparkesa. Gdy inspektorzy dochodzeniowi zaczęli ustalać miejsce rozniecenia ognia oraz przyczynę, starałam się przejść przez wodę, stając na każdej rzeczy, która wydawała się na tyle mocna, że mogłaby utrzymać mój ciężar.

Wszędzie poniewierały się gwoździe i specjalnym narzędziem, które otrzymałam w prezencie od Lucy, wyciągnęłam jeden z lewego buta. Zatrzymałam się na kamieniu przed wejściem do budynku. Kilka minut stałam tylko i patrzyłam. W przeciwieństwie do inspektorów dochodzeniowych nie musiałam obfotografować każdego cala. Czekałam, aż oczy przyzwyczają się do mroku. Gdy w milczeniu rozglądałam się dokoła, uderzyło mnie wiele rzeczy.

Sprzed domu – nic dziwnego – rozciągał się wspaniały widok. Nie było już piętra, więc wyraźnie było widać drzewa, łagodne wzgórza i zagrody dla koni, które właściciel kupował, wychowywał, zamieniał i sprzedawał. Uważano, że w noc pożaru, siódmego czerwca, Kenneth Sparkes był w

domu. Pamiętam, że było wtedy dość ciepło, wiał lekki wiaterek i była pełnia księżyca.

Badawczym wzrokiem oglądałam ruiny, które przedtem musiały być prawdziwym pałacem, i widziałam zwęglone części foteli, metal, szkło, roztopione wnętrza telewizora i innych urządzeń. Wszędzie leżało pełno nadpalonych książek, obrazów, materacy i mebli. Z góry wszystko zleciało i wpadło do wody w piwnicy. Wyobrażałam sobie, że gdy zaczął działać alarm przeciwpożarowy, Sparkes siedział w salonie z pięknym widokiem albo w kuchni, może nawet coś gotował. Lecz im bardziej się zastanawiałam, gdzie mógł wtedy być, tym mniej rozumiałam, dlaczego nie uciekł. Chyba że był pod wpływem alkoholu lub narkotyków; albo próbował gasić ogień i zatrzał się tlenkiem węgla.

Lucy i inni byli teraz po drugiej stronie zgliszczy i zmagali się ze skrzynką elektryczną, która pod wpływem wody i ciepła zaczynała już rdzewieć.

– Powodzenia! – krzyknęła McGovern, podchodząc do nich. – To nie z tego powodu wybuchł pożar.

Mówiąc to, podniosła poczerniałą ramę od deski do prasowania. Poruszyło się także żelazko i to, co pozostało z przewodu. Kopnęła leżące jej na drodze resztki beczulek, jakby była wkurzona na kogoś, kto odpowiadał za panujący tu bałagan.

– Widzieliście okna? – rzuciła. – Popękane szkło wleciało do środka. Może ktoś się włamał?

– Niekoniecznie – odezwała się Lucy, odwracając głowę. – Z wewnątrz działało na szyby gorące powietrze, więc szkło w środku pomieszczenia rozszerzało się szybciej niż na zewnątrz, przez co tworzyło się nierówne napięcie i szkło popękało, ale zupełnie inaczej niż pod wpływem uderzenia.

Podła McGovern, swojej zwierzchniczce, kawałek szyby.

– Dym wydobywał się na zewnątrz – kontynuowała Lucy – a do środka dostawało się powietrze. Wyrównanie ciśnień. Wcale nie znaczy to, że ktoś szybę wybił.

– Cztery plus – powiedziała McGovern.

– A skąd. Należy mi się piątka.

Kilku inspektorów wybuchnęło śmiechem.

– Nie można się nie zgodzić z Lucy – rzekł jeden z nich. – Jak na razie nie zauważyłem najmniejszego śladu, że ktoś mógł wybić okno.

Dowódczyni nadal zamieniała miejsce wypadku w salę lekcyjną przyszej licencjonowanej inspektorki pożarowej, CFI.

– Pamiętasz rozmowę na temat wpływu dymu na cegły? – Wskazała ścianę przy dachu, która wyglądała tak, jakby ktoś mocno tarł ją metalowymi szczotkami. – A może to po prostu wpływ strumieni wody?

– Nie. Naruszona jest zaprawa. To nie od dymu.

– Zgadza się. To dym napierający na łącza. – McGovern mówiła rzeczowym tonem. – W czasie pożaru dym znajduje sobie własne ujścia wentylacyjne. Tu niżej na ścianie i tu, i tu – pokazywała – ściana się paliła, a nie pojawiły się nawet sadze. Mamy też stopione szkło i miedziane rury.

– Ogień musiał wybuchnąć gdzieś nisko, na parterze – powiedziała Lucy. – W pomieszczeniu mieszkalnym.

– Mnie się też tak wydaje.

– A gdy płomienie osiągnęły trzy metry, zajęło się też piętro i dach.

– Co stanowiło dodatkowe paliwo.

– Materiały łatwo palne. Ale nie ma co marzyć o znalezieniu w tym bałaganie jakiejś prawidłowości.

– Nie zapominajcie o niczym – upomniała McGovern swój zespół. – Nie wiadomo, czy materiał łatwo palny był konieczny, bo nie wiemy, co tam było na piętrze.

Rozeszli się w swoje strony i rozmawiali między sobą przy pracy, a w tle było słycać miarowy dźwięk pracujących silników i pomp zasysających wodę. Zwróciłam uwagę na skrzynię ze sprężynami, o którą zaczepiły moje grabki, i rękami zdjęłam z nich nadpalone kawałki drewna i bryły gruzu. Nigdy nie można wykluczać ewentualności, że ofiara zginęła we śnie, toteż dokładnie przejrzałam, co znajdowało się w łóżku, które musiało spaść z piętra. Nie znalazłam nic, co można by uznać za ludzkie szczątki. Wszędzie dokoła były tylko śmieci po tym, co kiedyś mieniło się wspaniałą posiadłością Kennetha Sparkesa. Kilka rzeczy osobistych leżało na stertach, których nie przykryła woda, a prawie wszystko, co zgrabiałam, było zimne i przesiąknięte mdlącą wonią spalonego bourbona.

Nasze poszukiwania trwały cały ranek; przesuając się z jednego fragmentu mazi do drugiego, robiłam, co się dało. Zanurzałam ręce i po omacku rozpoznawałam kształty, a gdy któryś mnie zaintrygował, zdejmowałam grube rękawice strażackie i dalej badałam znalezisko palcami osłoniętymi tylko warstwą lateksu. Inspektorzy rozpierzchli się wiedzeni własnym instynktem i dopiero koło południa McGovern odezwała się do mnie: – Jak leci?

– Jeszcze się trzymam.

– Nieźle jak na detektywa biurkowego. – Uśmiechnęła się.

– Domyślam się, że to komplement.

– Widzisz, jak tu się wszystko układa? – Pokazała usmolonym sadzą palcem w rękawiczce. – Ogień o wysokiej temperaturze równo rozchodził się od jednego miejsca w domu do drugiego. Płomienie były tak gorące i wysokie, że ogarnęły dwie wyższe kondygnacje i pochłonęły prawie wszystko, co się na nich znajdowało. I nie mamy tu do czynienia z jakąś iskrą elektryczną, od której zajęło się coś łatwo palnego. Tu było coś większego i bardziej skomplikowanego.

Już wiele lat temu dostrzegłam, że ludzie walczący z ogniem mówią o nim jak o istocie żywej, posiadającej własną wolę i własny charakter. McGovern zaczęła poszukiwania tuż obok mnie, czego nie mogła oczyścić od razu, odkładała do taczki. Starłam brud z kamienia, który mógł uchodzić za kość palcową, a chwilę potem McGovern rączką grabi wskazała niebo.

– Najwyższe piętro spadło ostatnie – powiedziała – a więc gruzy z dachu i drugiego piętra są na wierzchu. Przypuszczam, że właśnie teraz je badamy. – Puknęła grabiami stalową, wygiętą belkę, która kiedyś podtrzymywała dach. – Taa. To dlatego tu tyle dachówek i materiałów izolacyjnych.

Poszukiwania trwały w nieskończoność i nikt nie robił sobie przerwy dłuższej niż piętnaście minut. Miejscowa straż pożarna zaopatrywała nas w kawę, napoje i kanapki. Dostarczyli też lampy kwarcowe, żebyśmy dokładnie widzieli nasze miejsca pracy. Pompy Prossera zasysały wodę, węże wypluwały ją poza granitowymi ścianami budynku. Po wypompowaniu czterech tysięcy litrów warunki poprawiły się zaledwie trochę. Miało minąć jeszcze wiele godzin, zanim poziom wody spadł w sposób odczuwalny.



O wpół do trzeciej miałam już dosyć i wyszłam na zewnątrz. Poszukałam wzrokiem ustronnego miejsca i znalazłam je pod wysoką jodłą nieopodal dymiących stajni. Ręce i stopy miałam zeszywniałe, ale pod ciężkim strojem ochronnym byłam spocona. Nerwowo zerkałam, czy nikt nie idzie w tamtym kierunku. Na miękkich nogach musiałam przejść obok nadpalonych boksów. Zapach śmierci wdzierał się do moich nozdrzy i szukał dla siebie miejsca w mózgu.

Klacze, ogiery i wałachy leżały w żalosnych pozycjach, na grzbietach, z podkurczonymi nogami; z wypalonych do kości ciał, podobnie jak z

drewnianych części, sączył się jeszcze dym. Miałam tylko nadzieję, że zanim płomienie dosięgły koni, zabił je tlenek węgla.

Naliczyłam dziewiętnaście zwierzęcych ciał, wśród nich dwa roczne i jednego źrebaka. Odór spalonej końskiej sierści i padłych zwierząt ogarnął mnie jak gęsta mgła, gdy wracałam w stronę spalonego domu. Na horyzoncie znów zauważyłam jedyne, który przeżył – stał spokojnie, obserwował mnie, był bardzo samotny i smutny.

McGovern cały czas rozgarniała śmieci i szczerze mogłam powiedzieć, że wyglądała na zmęczoną, co sprawiło mi jakąś perwersyjną radość. Robiło się już późno. Niebo ciemniało, a wiatr stawał się jeszcze zimniejszy.

– Ten źrebak jeszcze tu jest – odezwałam się.

– Szkoda, że nie umie mówić. – Wyprostowała się i pomasowała sobie plecy.

– Został wypuszczony z jakiegoś powodu – powiedziałam. – Nie sądzę, żeby sam się wydostał. Mam nadzieję, że ktoś się nim zaopiekuje.

– Staramy się o to.

– A nie może pomóc któryś z sąsiadów? – nie chciałam łatwo dać za wygraną, bo naprawdę się przejęłam tym konikiem.

Patrzyła na mnie dłuższą chwilę, a potem pokazała ręką w górę.

– Dokładnie tu była główna sypialnia i łazienka – oznajmiła, podnosząc z wilgotnej podłogi kawałek marmuru. – Mosiężne dodatki, marmurowa podłoga, jacuzzi: W suficie świetlik z widokiem na niebo, który akurat podczas pożaru był otwarty. Jakieś piętnaście centymetrów od ciebie znajdują się resztki wanny.

Poziom wody stale opadał, za to po trawnikach spływały wąskie strumyki. Inspektorzy wydobyli zabytkowy parkiet dębowy spalony z wierzchu, a pod spodem zostało trochę nienaruszonego drewna. To

potwierdzało, że ogień wybuchł na drugim piętrze w salonie głównym, gdzie znaleźliśmy mosiężne uchwyty od szuflad, mahoniowe meble i setki wieszaków do ubrań. Dokopaliśmy się do nadpalonego cedru i resztek męskich butów oraz ubrań z garderoby.

Do siedemnastej woda opadła na wysokość jednej stopy i zaczęło się przed nami odsłaniać prawdziwe pobojuwisko: szkielety osmolonych urządzeń, rozbebeszone fotele i sofy. Ja i McGovern badałyśmy jeszcze miejsce po łazience, wyławiając buteleczki z pastylkami, szamponami i płynami do włosów, gdy w końcu znalazłam pierwszy kawałek zwłok. Ostrożnie wytarłam sadzę z kawałka szyby o ostrych brzegach.

– Chyba coś mamy – powiedziałam, ale zdaje się, że mój głos rozplynął się w hałasie pracujących pomp i walącej strumieniami wody.

McGovern skierowała światło latarki na moje znalezisko i struchlała.

– O Jezu – jęknęła wstrząśnięta.

Zza mokrego kawałka szkła patrzyły na nas matowe, martwe oczy.

– Szyba z okna albo z drzwi do kabiny prysznicowej upadła na ciało i częściowo uchroniła je przed wypaleniem aż do kości – powiedziałam.

Odsunęłam szybę, a McGovern ze zdziwieniem zdała sobie sprawę, że zniekształcone ciało wcale nie należy do Kennetha Sparkesa. Górna część twarzy była spłaszczona szybą, a oczy przybrały szary kolor, ponieważ pierwotna barwa po prostu się wygotowała. Spoglądały na nas spod okopconego czoła. Pukle długich blond włosów rozsypały się swobodnie, gdy wyjęłam je z wody. Nie było nosa ani ust, tylko kredowe kości i zęby wypalone do tego stopnia, że nie została w nich żadna substancja organiczna.

Szyja uległa częściowemu zniekształceniu, a na tułowiu znajdowało się mnóstwo kawałków szkła, na nadpalonym ciele stopiła się ciemna tkanina bluzki lub koszuli. Dało się nawet wyróżnić poszczególne włókna tkaniny.

Pośladki i okolice miednicy również uchroniła szyba. Ofiara była ubrana w dżinsy. Choć nogi zostały wypalone do kości, skórzane buty osłoniły i uratowały stopy. Przedramion i dłoni brakowało całkowicie, nie mogłam doszukać się po nich nawet śladu.

– A to kto, do diabła? – zapytała zdziwiona McGovern. – Mieszkał z kimś?

– Nie wiem – powiedziałam, odgarniając od siebie wodę.

– Czy to kobieta? – zapytała, przystawiając bliżej latarkę.

– Nie przysięgłabym przed sądem, bo muszę przeprowadzić dokładniejsze badania. Ale sądzę, że jednak kobieta.

Podniosłam głowę ku niebu, starając się wyobrazić sobie łazienkę, w której najprawdopodobniej zginęła ta kobieta. Następnie, stojąc w zimnej wodzie, wyjęłam aparat fotograficzny. W drzwiach stanęli pies Pepper i jego opiekun, a gdy rozeszła się wieść o naszym znalezisku, brodząc w wodzie, nadeszła Lucy i reszta inspektorów. Myślałam o Sparkesie, ale niczego nie dało się wywnioskować z wyjątkiem tego, że w dzień pożaru była u niego kobieta. Bałam się, że zaraz znajdziemy także jego szczątki.

Nadeszli inspektorzy, jeden z nich przyniósł worek na zwłoki. Rozwinęłam go i zrobiłam jeszcze kilka zdjęć. Szkło przykleiło się do ciała i trzeba było je odrywać. Wolałam jednak zająć się tym w kostnicy, poleciłam więc, żeby odtransportowano tam także wszystkie szczątki przyklejone do zwłok.

– Będę potrzebowała pomocy – zwróciłam się do nieokreślonej osoby. – Trzeba przynieść nosze i prześcieradła. I ktoś powinien wezwać jakiś miejscowy zakład pogrzebowy. Będziemy też potrzebować samochodu. Uwaga, bo szkło jest ostre. Aha, niech zostanie w takiej pozycji, jak jest. Twarzą do góry, lepiej nie narażać ciała na napięcia i rozerwanie skóry. O, tak dobrze, otwórz worek trochę bardziej. Najszerzej, jak się da.

– Nie zmieści się.

– To może ułamiemy tutaj przy krawędzi trochę szkła? – zaproponowała McGovern. – Ma ktoś młotek?

– Nie, nie – powiedziałam. – Lepiej zakryjmy ją tak jak teraz. – Wydawałam komendy, ponieważ teraz ja dowodziłam. – Zarzućcie prześcieradło na nią i na szkło, żeby się nie skaleczyć. Wszyscy mają rękawice?

– Tak.

– Ci, co nie pomagają przy przenoszeniu, niech szukają tu dalej. Może być jeszcze jedno ciało.

Czekając na powrót dwóch inspektorów z noszami i niebieskimi prześcieradłami, byłam zdenerwowana i spięta.

– Okej – powiedziałam. – Na trzy podnosimy.

Chlupała woda, gdy cała nasza czwórka starała się przyjąć jak najstabilniejsze pozycje. Kiedy się podnosi mokre szkło na tyle ostre, że może przeciąć skórę, trzeba mocno stać na nogach.

– No dobra – powiedziałam. – Trzy, cztery, do góry.

Przenieśliśmy ciało na nosze. Możliwie najdokładniej przykryłam je prześcieradłami i przymocowałam paskami. Niosąc zwłoki szliśmy małymi kroczkami, woda nie sięgała nam już ponad buty. Generator i pompy Prossera nadal miarowo warkotały, ale prawie wcale nie zwracaliśmy na to uwagi, niosąc martwy ładunek coraz bliżej pustego otworu, w którym kiedyś znajdowały się drzwi. Dokoła czuć było odór śmierci i spalonego ciała, a woń ta mieszała się z ohydny zapachem strawionego ogniem jedzenia, mebli i wszystkiego, co znajdowało się w domu Kennetha Sparkesa. Z trudem oddychałam; gdy wyszliśmy na blednące światło kończącego się dnia, poczułam mdłości powodowane stresem i zimnem.

Położyliśmy zwłoki na ziemi, reszta inspektorów kontynuowała poszukiwania. Odchyliłam prześcieradło i przyjrzałam się uważniej dotkliwie odkształconej ludzkiej istocie. Z aluminiowej skrzyneczki wyjęłam obiektywy i lampę błyskową. Czoło osłaniało szkło trzymające się na mostku nosa, a we włosach znajdował się popiół i drobinki czegoś różowego. Korzystając z powiększających obiektywów i światła, przyglądałam się odsłoniętemu kawałkowi ciała. Nie wiedziałam, czy to moja wyobraźnia, czy rzeczywiście widzę ślady po krwotoku na okopconej tkance w okolicach skroni, około dwóch i pół centymetra od oka.

Nagle pojawiła się przy mnie Lucy. Przyjechał lśniący, granatowy karawan Zakładu Pogrzebowego „Wiser”.

– Znalazłaś coś? – zapytała Lucy.

– Nie mam pewności, ale chyba widzę krwotok. Albo jest to zaschnięta krew po pęknięciu skóry.

– Po pęknięciu pod wpływem ognia?

– Tak. Ciało się gotuje i pęcznieje, a skóra pęka.

– Tak samo jak przy pieczeniu kurczaka w kuchence.

– No właśnie.

Uszkodzenia skóry, mięśni i kości łatwo pomylić z aktami przemocy, jeśli ktoś nie zna się za bardzo na skutkach pożarów. Lucy pochyliła się bliżej mnie. Obserwowała.

– Pojawiło się coś nowego? – zapytałam. – Mam nadzieję, że nie ma dalszych ciał.

– Na razie nie. Zaraz zrobi się całkiem ciemno i pozostanie nam tylko zabezpieczyć miejsce, a jutro rano zacząć od nowa.

Spojrzałam na mężczyznę w marynarce w jodełkę, który wysiadł z samochodu pogrzebowego i wkładał lateksowe rękawice. Wyciągnął z tyłu wózek, a przy rozkładaniu metalowych rurek rozległ się hałas.

– Chce pani zacząć jeszcze dzisiaj? – zapytał mnie, a ja miałam wrażenie, że już gdzieś go widziałam.

– Pojedźmy do Richmond i zacznę jutro rano – powiedziałam.

– Ostatnio widzieliśmy się po strzelaninie w Moser. Ta młoda dziewczyna, z którą walczyli, nadal sprawia tu sporo kłopotów.

– Tak? – Słabo pamiętałam zdarzenie, o którym mówił, bo przecież tak wiele było strzelanin i tak wielu ludzi sprawia kłopoty. – Dziękuję za pomoc.

Podnieśliśmy plastikowy worek za brzegi i ułożyli ciało na wózku, który wsunęliśmy do samochodu. Trzasnęły tylne drzwi.

– Mam nadzieję, że to nie Kenneth Sparkes – powiedział.

– Jeszcze nie zidentyfikowaliśmy zwłok.

Westchnął i zajął fotel dla kierowcy.

– Coś pani powiem – rzekł, zapuszczając silnik. – Nie obchodzi mnie, co ludzie gadają. To był dobry człowiek.

Gdy obserwowałam, jak rusza, poczułam na sobie wzrok Lucy.

Dotknęła mojego ramienia.

– Jesteś zmęczona – powiedziała. – Może przepisz się tutaj, a rano polecę z tobą. A jak znajdziemy coś nowego, będziesz od razu wiedziała. Nie musisz się spieszyć.

Czekała mnie ciężka praca i jedyną rozsądną rzeczą, jaką mogłam teraz zrobić, był powrót do Richmond. Ale rzeczywiście nie chciało mi się wracać do pustego domu. Benton był już w Hilton Head, a Lucy zostawała w Warrenton. Było już za późno na telefon do jakiejś koleżanki, a poza tym czułam się zbyt zmęczona na grzecznościowe konwersacje. Była to jedna z tych chwil, kiedy właściwie nic mi nie pasowało.

– Teen przeniosła nas do lepszego miejsca i mam w swoim pokoju dodatkowe łóżko, ciociu Kay – dodała z uśmiechem Lucy, wyciągając z

kieszoni klucz.

- A więc znów jestem ciocią Kay?
- Póki w okolicy nikogo nie ma.
- Muszę coś zjeść – powiedziałam.

Rozdział trzeci

Gdy w Burger Kingu przy drodze Broadview kupiliśmy hamburgery i frytki, zrobiło się już ciemno i zimno. Reflektory z przeciwnej strony drogi raniły mi oczy i żadne ilości Motrinu nie chciały złagodzić bólu w skroniach ani uśmierzyć lęku w sercu. Lucy wzięła ze sobą płyty kompaktowe i teraz, gdy sunęliśmy przez Warrenton wynajętym czarnym formem, odtwarzała je na cały regulator.

– Czego słuchasz? – zapytałam takim tonem, że łatwo było wyczuć w nim skargę.

– Jima Brickmana – odpowiedziała słodko.

– Nie za ostre – powiedziałam przekrzykując flety i bębny. – Jakby ludowe, amerykańskie granie. Ale może dałoby się trochę ściszyć?

Lucy pogłośniła.

– David Arkenstone, Duch Wiatru. Otwórz się na muzykę, ciociu Kay. Ten utwór nazywa się „Przeznaczenie”.

Lucy prowadziła jak szalona, a mnie zaczynało migotać przed oczami.

– Zwariuję przez ciebie – powiedziałam, wyobrażając sobie wilki i ognisko w lesie.

– Jego muzyka opowiada o pozytywnych siłach, znajdowaniu swojej drogi i o połączeniu z naturą – mówiła, a muzyka stała się nieco zwawsza, gdy włączyły się gitary. – Może być?

Nic nie mogłam poradzić na to, że rozśmieszyły mnie jej skomplikowane wyjaśnienia. Lucy musiała wiedzieć, jak i dlaczego działa każda rzecz. Muzyka rzeczywiście była kojąca i czułam spokój ogarniający umysł.

– Ciociu Kay, jak myślisz, co się stało? – Lucy nagle zmieniła temat. – Co ci serce podpowiada?

– Na razie trudno powiedzieć – odpowiedziałam tak, jak odpowiedziałabym każdemu innemu. – Nie powinniśmy robić żadnych założeń, nawet co do płci lub osób, które mogły przebywać w domu.

– Teen podejrzewa podpalenie, ja też – powiedziała wprost. – Ale dziwne, że Pepper nie zareagował w żadnym miejscu, gdzie się spodziewaliśmy.

– Na przykład w łazience na pierwszym piętrze.

– Nigdzie. Biedny Pepper, napracuje się, a pensji nie dostanie.

Labrador od wczesnej młodości był nagradzany jedzeniem za wykrycie węglowodorowych destylatów ropy, takich jak nafta, benzyna, gaz do zapalniczek, rozpuszczalniki do farb czy olejki do lampek. Wszystkie te substancje podpalacz mógł zapalić jedną zapałką. Gdy środek łatwo palny zostaje rozlany, rozpląwa się na boki, a jego opary się unoszą. Płyn wsiąka w tkaniny, w podłóża i w dywany, dostaje się pod meble i między klepki w podłodze; nie jest rozpuszczalny w wodzie i trudno się go zmywa. Tak więc, jeżeli nic nie poruszyło nosa Peppera, to wedle wszelkiego prawdopodobieństwa niczego tam nie było.

– Musimy się dowiedzieć, co dokładnie znajdowało się w domu, żeby zacząć się domyślać, co się zaczęło palić – mówiła Lucy, a w muzyce odezwały się skrzypce, natomiast instrumenty szarpane i bębny nieco ucichły. – Wtedy zorientujemy się, ile i czego było potrzeba do wzniesienia takiego pożaru jak ten.

– Mieliliśmy stopione szkło i aluminium, a także strasznie spaloną górną część ciała, przedramiona, górne części nóg, czyli miejsca nieosłonięte szklanymi drzwiami – powiedziałam. – Z tego wnioskuję, że gdy ogień dosięgnął ofiary, ona leżała, możliwe, że w wannie.

– Mało przekonująco brzmi hipoteza, że pożar zaczął się w łazience wykładanej marmurem – rzekła moja siostrzenica.

– A instalacja elektryczna? Nie wchodzi w rachubę? – zapytałam, gdy ponad szosą, jakieś półtora kilometra przed nami, pojawił się czerwono-żółty neon naszego motelu.

– Słuchaj, dom miał porządną instalację. Kiedy ogień dotarł do przewodów, pod wpływem gorąca stopiła się izolacja, przewody zaczęły się ze sobą stykać, zrobiło się spięcie i wysiadły bezpieczniki. Tak właśnie wszystko powinno wyglądać, niezależnie od tego, czy ogień został podłożony, czy nie. Trudno jednak cokolwiek wyrokować. Trzeba jeszcze sprawdzić mnóstwo rzeczy, a wiele okaże się dopiero w laboratoriach. Ale niezależnie od tego, gdzie zaczął się pożar, rozprzestrzeniał się bardzo szybko. Na to wskazuje podłoga. Wierzchnia część spalonych klepek bardzo różni się od spodniej, nienaruszonej, czyli ogień był gorący i przemieszczał się błyskawicznie.

Przypomniałam sobie, że drewno leżące obok zwłok wyglądało właśnie tak, jak opisywała Lucy. Rozwarstwiało się albo było szerniałe na wierzchu, nie żarzyło się więc powoli ani całe jednocześnie.

– Znów pierwsze piętro? – zapytałam. Moje domysły na temat sprawy stawały się coraz bardziej mętne.

– Prawdopodobnie. O tym, że wszystko działo się szybko, świadczy też czas pomiędzy włączeniem alarmu a przybyciem straży: siedemnaście minut. – Chwilę milczała, a potem zaczęła mówić dalej. – U tej w łazience domniemany krwotok znajduje się przy lewym oku, tak? Może brała prysznic albo kąpała się w wannie, a gdy dotarł do niej tlenek węgla, upadła i uderzyła się w głowę.

– Ale wygląda na to, że w chwili śmierci była kompletnie ubrana – przypomniałam. Miała nawet buty. Jeśli podczas kąpieli włącza się alarm

przeciwpożarowy, to raczej nie ma czasu na ubieranie się.

Lucy jeszcze raz pogłośniła muzykę i poprawiła basy. Dźwięk dzwonków i bębnow wywoływał we mnie skojarzenia z kadzidłami i mirrą. Wolałabym wylegiwać się z Bentonem na słońcu, a potem pójść spać. Chciałam, żeby ocean obmywał mi stopy podczas porannego spaceru po plaży. Przypomniałam sobie, że w takiej sytuacji widziałam po raz ostatni Kennetha Sparkesa. Domyślałam się, że wkrótce wyjdzie na jaw, co z niego zostało.

– Ten utwór ma tytuł „Polowanie na wilka” – powiedziała Lucy, skręcając do Shell Food Mart. – Może my też polujemy na wielkiego, złego wilka.

– Nie – odparłam, gdy się zatrzymałyśmy. – Raczej na smoka.

Na pistolet i kombinezon Lucy narzuciła kurtkę Nike.

– Nie widziałaś, co zrobiłam – powiedziała, otwierając drzwi. – Teen skopałaby mi za tyłek.

– Chyba za dużo przebywasz z Marinem. – On na ogół nie przejmował się jakimikolwiek regułami i woził do domu piwo w bagażniku nieoznakowanego samochodu policyjnego.

Lucy weszła do środka. Na pewno nikt nie miał wątpliwości co do jej profesji, wystarczyło spojrzeć na buty i spodnie z wieloma kieszeniami, poza tym roznosił się wokół niej zapach spalenizny.

Z płyty kompaktowej popłynęły dźwięki instrumentów klawiszowych. Czekałam w samochodzie i marzyłam o odrobinie snu. Lucy wróciła z sześciopakiem Heinekena, a ja się zdrzemnąłam i obudziły mnie dopiero perkusja i flet. Przed oczami zaczęły mi majaczyć obnażone, spopielone zęby i martwe oczy w szaroniebieskim kolorze za długo gotowanych żóltek. Falowały włosy zanurzone w czarnej wodzie, a popękane szkło zasłaniało resztki ciała.

– Nic ci nie jest? – Patrząc na mnie, Lucy wyglądała na zmartwioną.

– Nie, chyba się zdrzemnęłam.

Motel Johnson's znajdował się tuż przed nami, po drugiej stronie drogi. Zbudowany był z kamienia, miał biało-czerwone markizy, a czerwono-żółty szyld obiecywał, że motel czynny jest przez całą dobę i posiada klimatyzację. Nie wywieszono napisu „Brak wolnych miejsc”, z czego musiał się cieszyć każdy, kto szukał noclegu. Wsiadaliśmy z samochodu, na wycieracze przed wejściem do holu przywitał nas napis „Hello”. Lucy nacisnęła dzwonek. Przy drzwiach pojawił się duży, czarny kot, a potem nie wiadomo skąd wyłoniła się przed nami postawna kobieta.

– Powinna tu być zarezerwowana dla nas dwójka – odezwała się Lucy.

– Doba kończy się o jedenastej – oświadczyła kobieta, wchodząc za kontuar recepcyjny. – Dam wam piętnastkę tu na dole, na końcu korytarza.

– Jesteśmy z ATF.

– Przecież widzę. Tamta pani już tu jest. Już macie zapłacone.

Przed drzwiami widniał napis, że nie przyjmują czeków, ale mile widziane są karty Visa i MasterCard, więc zwróciłam uwagę, że McGovern musi być bardzo zaradna.

– Chcecie dwa klucze? – zapytała, otwierając szufladę.

– Tak.

– Proszę bardzo. Na pewno spodobają wam się łóżka. Gdyby mnie nie było, jak będziecie wychodzić, po prostu zostawcie tutaj klucze.

– Widzę, że ma tu pani bezpiecznie – zażartowała Lucy.

– No pewnie. W każdych drzwiach po dwa zamki.

– A do której działa obsługa? – Lucy żartowała dalej.

– Póki automat z colą się nie opróżni – odpowiedziała właścicielka bez mrugnięcia okiem.

Miała co najmniej sześćdziesiąt lat, liche, rude włosy, podwójny podbródek, a masywne ciało szczelnie opinały brązowe spodnie z poliestru i żółty sweter. Wyraźnie była zafascynowana czarno-białymi krowami, bo ich drewniane i ceramiczne figurki znajdowały się na półkach, na stolikach i wisały na ścianach. W niewielkim akwariium pływały dziwaczne kijanki i płoćki. Nie mogłam się powstrzymać, żeby nie zapytać.

– Sama pani je hoduje?

Uśmiechnęła się z pobłażaniem.

– Łapię je w stawie. Jedna z nich niedawno zamieniła się w żabę i utonęła. Nie wiedziałam, że żaby nie mogą żyć pod wodą.

– Muszę zadzwonić z automatu – powiedziała Lucy, otwierając szklane drzwi. – A właśnie, co się dzieje z Marinem?

– Pewnie gdzieś się zaczepił – odparłam.

Odeszła, zabierając torebkę z hamburgerami, a ja obawiałam się, że jeśli dzwoni do Janet, to na pewno wszystko nam wystygnie. Opierając się o kontuar recepcyjny, ujrzałam po drugiej stronie nieporządek na biurku właścicielki oraz gazetę z nagłówkiem „Farma magnata mediów zniszczona przez pożar”. Wśród papierów na biurku znajdowały się listy gończe z nagrodami pieniężnymi za wskazanie morderców oraz portrety pamięciowe gwałcicieli, złodziei i zabójców. Fauquier należało do typowych, spokojnych okolic, gdzie ludzie nudzą się swoim bezpieczeństwem.

– Pani chyba nie pracuje tutaj na noce sama? – zapytałam, ponieważ posiadałam nawyk dodawania otuchy każdemu, czy tego potrzebował, czy nie.

– Jest ze mną Piekło – wskazała na tłustego, czarnego kota.

– Ciekawe imię.

– Wystarczy zostawić słoik po piklach, a ona już przy nim jest. Zaraz wsadza do środka łapki. I tak od maleńkości.

Piekle siedziała przy drzwiach, które, jak mi się wydawało, prowadziły do pomieszczeń prywatnych. Wpatrywała się we mnie złotymi jak monety oczami i poruszała puszystym ogonem. Wyglądała na znudzoną, gdy zadźwięczał dzwonek, a jej pani otworzyła drzwi mężczyźnie w bezrękawniku trzymającemu przepaloną żarówkę.

– Helen, chyba znowu to samo. – Pokazał jej dowód rzeczowy.

Podeszła do szafki i wyjęła pudełko z żarówkami, a ja dałam znak Lucy, żeby kończyła rozmowę, bo także chcę zadzwonić. Spojrzałam na zegarek i wyliczyłam, że Benton na pewno dotarł już do Hilton Head.

– Proszę cię bardzo, Jim. – Zamieniła zepsutą żarówkę na nową. – Sześćdziesiąt watów? – Spojrzała. – Uhm. Zostajesz jeszcze trochę? – spytała z nadzieją w głosie.

– Cholera wie.

– Mój biedaku – mówiła Helen. – Znow ci się nie układa?

– A kiedy się układało? – Pokręcił głową i zniknął w ciemnościach nocy.

– Kłóci się z żoną – odezwała się do mnie Helen i też pokręciła głową. – Już od dawna tutaj przyjeżdża i częściowo dlatego się kłóca. Tu się szybko wszyscy o wszystkim dowiadują. Połowa moich klientów to ludzie mieszkający nie dalej niż trzy mile stąd.

– Ukrywają się tutaj?

– Może i tak. Ale póki nie demolują pokoi, to nie moja sprawa.

– Niedaleko stąd do tej farmy, która się spaliła – powiedziałam.

– Wyraźnie się ożywiła.

– Pracowałam tamtej nocy. Widać było ogień buchający jak z wulkanu. – Zrobiła rękami zamaszty gest. – Wszyscy klienci wyszli popatrzeć i posłuchać syren. Biedne koniki. Nie mogę się z tym pogodzić.

– Znała pani Kennetha Sparkesa?

– Osobiście to raczej nie.

– A kobietę, która z nim mieszkała? – pytałam. – Słyszała pani coś o niej?

– Tylko tyle, co ludzie gadają. – Spojrzała na drzwi, jakby ktoś miał się zaraz pojawić.

– Co na przykład?

– No wie pani, pan Sparkes to dżentelmen – mówiła Helen. – Może nie cieszy się szczególnym powodzeniem tu w okolicach, ale to w końcu figura. Lubi młode i ładne kobiety. – Zastanawiała się chwilę, patrząc na mnie, a za oknem trzepotała skrzydłami ćma. – Niektórych wkurzało, że co rusz to pojawia się z jakąś nową – mówiła. – Cokolwiek by powiedzieć, to tu jeszcze jest staroświeckie Południe.

– A może kogoś szczególnie to wkurzało? – zapytałam.

– Hm, chłopaków Jacksonów. Oni zawsze wdeptują jak nie w te, to inne kłopoty – mówiła, stale obserwując drzwi. – Nie lubią kolorowych. Więc gdy on zadawał się z młodymi, ładnymi i białymi, robiło się dużo... Ech, to tylko gadanie. Zostawmy to.

Wyobraziłam sobie ludzi z Ku-Klux-Klanu, płonące krzyże, białe kaptury, zimne oczy i strzelby. Większą część życia zajmuje mi grzebanie w zmasakrowanych ciałach, dlatego wiem, co to jest nienawiść. Czułam się nieprzyjemnie, mówiąc Helen dobranoc. Starłam się nie zdradzić nic na temat podejrzeń, podpalenia i ofiary, którą mógł być tylko Sparkes, a nie kobieta wieziona teraz do Richmond. Przecież rezydencja była na tyle duża, że sprawcy po prostu nie wiedzieli, że ktoś jest w domu.

Gdy wychodziłam z holu, mężczyzna w bezrękawniku stał przy telefonie; wciąż trzymając w dłoni nową żarówkę, mówił ściszym głosem. Kiedy go mijałam, ogarnęła go złość.

– Cholera jasna, Louise! Właśnie tego chcę. Nigdy się chyba nie zamkniesz! – wrzeszczał do słuchawki. Postanowiłam zadzwonić do

Bentona trochę później.



Otworzyłam czerwone drzwi do pokoju numer piętnaście i zastałam Lucy udającą, że na mnie nie czeka. Siedziała na krześle pochylona nad kołonotatnikiem, robiąc notatki i wyliczenia. Nie tknęła jednak naszej kolacji, chociaż wiedziałam, że jest głodna. Wyjęłam z torby hamburgery i frytki, po czym ułożyłam je na serwetkach na stoliku.

- Wszystko wystygło – powiedziałam.
- Można się przyzwyczać – odparła nieobecny głosem.
- Chcesz się pierwsza wykapać? – Starłam się być uprzejma.
- Nie, idź ty – powiedziała zatopiona w rachunkach, skrobiąc się po czole.

W naszym pokoju, jak za taką cenę, było zadziwiająco czysto, wystrój w odcieniach brązów, a do tego telewizor Zenith dorównujący wiekiem mojej siostrzenicy. Poza tym chińskie lampki, porcelanowe figurki, olejne pejzaże i narzuty w kwiaty. Na dywanie widniał indiański wzór, a tapeta przedstawiała leśne scenki. Meble były z płyt albo tak grubo zamalowanego drewna, że nie było widać słoików.

Zajrzałam do łazienki i zobaczyłam całkiem porządne, różowo-białe kafelki pochodzące chyba z lat pięćdziesiątych, styropianowe kubki i małe kawałki mydła na umywalce. Najbardziej jednak przykuła moją uwagę czerwona, plastikowa róża na oknie. Ktoś się starał, żeby goście czuli się jak najlepiej, chociaż wątpię, żeby ktokolwiek zwracał na różę uwagę. Takie starania i przykładanie wagi do szczegółów robiłyby większe wrażenie jakieś czterdzieści lat temu, kiedy ludzie byli chyba bardziej cywilizowani niż teraz.

Zasłoniłam klapą muszlę i usiadłam, żeby zdjąć buty, a potem po zmaganiach z guzikami i zaczepami wylądowały na podłodze moje ubrania. Stałam pod prysznicem tak długo, aż zrobiło mi się cieplej i przestałam czuć, że zalatuje ode mnie śmiercią i pogorzeliem. Gdy wyszłam w starym podkoszulku z napisem Medical College of Virginia i otworzyłam piwo, Lucy pracowała przy swoim laptopie.

– I co tam? – zapytałam, siadając na sofie.

– Kręcimy się w kółko. Za mało wiemy, żeby coś wywnioskować – odpowiedziała. – Ale mówię ci, ciociu Kay, to był pożar wielki jak cholera. I raczej nie użyto benzyny.

Nie miałam nic do powiedzenia.

– I ktoś zginął? W łazience? Możliwe. Jak to się stało? O ósmej wieczorem?

Nie wiedziałam.

– Może myła właśnie zęby, gdy usłyszała alarm.

Lucy nie spuszczała ze mnie wzroku.

– I co dalej? Stała tam i czekała na śmierć? – Przerwała i przeciągnęła się. – No powiedz, przecież jesteś specjalistką.

– Lucy, nie mam żadnego wyjaśnienia.

– Proszę, panowie i panie, światowej sławy ekspert doktor Scarpetta nic nie wie. – Zaczynała się irytować. – Dziewiętnaście koni. Kto się nimi opiekował? Sparkes nie miał stajennego. I dlaczego jeden z koni, ten mały kary ogier, był na zewnątrz?

– Skąd wiesz, że to ogier? – zapytałam właśnie w chwili, gdy ktoś zapukał do drzwi. – Kto tam? – zawołałam.

– To ja – burknął Marino.

Wpuściłam go do środka i zaraz poznałam po minie, że przyniósł ze sobą jakąś wiadomość.

- Kenneth Sparkes jest cały i zdrowy – oznajmił.
- Gdzie jest? – Znów czułam się zdezorientowana.
- Wyjechał z kraju, a na wieść o pożarze najwidoczniej powrócił. Zatrzymał się w Beaverdam i nic o niczym nie wie, nawet o ofierze – mówił Marino.
- Dlaczego akurat w Beaverdam? – zapytałam, zastanawiając się, ile czasu zajmie podróż do tego odległego zakątka Hanover County.
- Bo tam mieszka jego trener.
- Jego trener?
- Nie, nie chodzi o żadnego instruktora od zrzucania wagi, tylko o trenera koni.
- Rozumiem.
- Jadę tam jutro rano około dziewiątej – powiedział. – Wracasz do Richmond czy jedziesz ze mną?
- Trzeba zidentyfikować ciało, więc muszę z nim porozmawiać niezależnie od tego, czy twierdzi, że coś wie, czy nic. Więc chyba jadę z tobą – mówiłam, a Lucy odwróciła do mnie głowę. – Chcesz przekonać naszego dzielnego pilota, żeby nas podrzucił, czy zorganizujesz samochód?
- Rezygnuję ze śmigłowca – odparł Marino. – Chyba nie muszę ci przypominać, że ostatnim razem nieźle wkurzyłaś Sparkesa?
- Nie pamiętam. – Mówiłam prawdę. Niejeden raz zdarzyło mi się go zdenerwować, gdy nie zgadzaliśmy się w sprawach szczegółów, które można ujawniać mediom.
- Możesz mi wierzyć. Dasz się napić tego piwa czy co to tam jest?
- Nie wierzę, że nie masz swoich zapasów – odezwała się Lucy, po czym wróciła do pracy nad laptopem i rozległo się stukanie klawiszy.
- Podszedł do lodówki i sam się poczęstował.

– Chcecie poznać moją opinię po całym dzisiejszym dniu? – zapytał. – Brzmi tak samo jak poprzednio.

– Czyli?

– Za tym stoi Sparkes.

Położył otwieracz do butelek na stoliku i zatrzymał się przy drzwiach z ręką na klamce.

– Przecież to cholernie ograny przypadek, że wyjechał akurat na czas pożaru – mówił, ziewając. – Wynajął kogoś do brudnej roboty. Ach, forsa. – Z kieszeni koszuli wyciągnął papierosa i włożył do ust. – Ten skurwiel o nic innego się nie troszczy, tylko o forszę i o swojego kutasa.

– Marino – upomniałam go. Chciałam, żeby się zamknął i sobie poszedł, ale zignorował moje pragnienia.

– A najgorsze w tym wszystkim jest to, że teraz na głowie mamy prawdopodobnie głównie morderstwo – powiedział, otwierając drzwi. – A to znaczy, że cała twoja robota psu na budę się przyda. To dotyczy was obydwu, cholera. – Wyjął zapalniczkę, papieros poruszał mu się w ustach. – Wiecie, ilu ludzi siedzi pewnie u tego zasańca w kieszeni? – nie przestawał. – Sędziowie, szeryfowie, naczelnicy straży...

– Marino – przerwałam mu, bo tylko pogarszał sprawę. – Przesadzasz z wnioskami. Równie dobrze mógłbyś je wziąć z Marsa!

Wymierzył we mnie z zapalonego papierosa.

– Poczekaj tylko – powiedział na odchodne. – Skończy się na tym, że znowu cię zrobią w konia.

– Przyzwyczaiałam się – powiedziałam.

– Tak ci się tylko wydaje.

Trochę za mocno zamknął drzwi.

– Nie wyrwij futryny – zawołała za nim Lucy.

– Całą noc masz zamiar stukać w tego laptopa? – zapytałam.

– Nie całą.

– Robi się późno, a musimy porozmawiać o pewnej sprawie. – Znow wróciłam myślami do Carrie Grethen.

– A jeśli nie mam na to nastroju? – Lucy nie żartowała.

– Nic nie szkodzi – odparłam. – Musimy porozmawiać.

– Ciociu Kay, jeśli masz zamiar znowu zaczynać o Teen i Filadel...

– Co? A co ma do tego Teen?

– Nie lubisz jej.

– Przecież to śmieszne.

– Nie sędzę.

– Nie mam nic do Teen, a poza tym nie o nią chodzi.

Siostrzenica umilkła. Zajęła się zdejmowaniem butów.

– Lucy, dostałam list od Carrie. – Liczyłam na jakąś reakcję, ale się nie doczekałam. – Taki dosyć dziwny. Z Więziennego Ośrodka Psychiatrycznego Kirby, trochę niepokojący, może nawet groźny. – Przerwałam, a Lucy rzuciła but na dywan. – Zasadniczo daje do zrozumienia, że zamierza podczas rozprawy narobić nam kłopotów. Ale... – Ze zdumieniem obserwowałam, jak ściąga skarpetę i masuje sobie nogę. – Musimy się na to przygotować, to wszystko.

Lucy odpinała pasek i spodnie, jakby nie dosłyszała ani jednego mojego słowa. Zdjęła przez głowę koszulę, rzuciła ją na podłogę i została w samych bawełnianych majtkach i staniku. Ruszyła do łazienki. Ze zdumieniem patrzyłam na płynne ruchy jej ciała, aż w końcu doleciał mnie plusk odkręconej wody.

Wydawało mi się, że jeszcze nigdy tak naprawdę nie zauważyłam jej pełnych ust, krągłych piersi ani rąk i nóg o kształtach tak wysmukłych jak łuk myśliwego. A może po prostu nie chciałam dostrzec w niej obiektu seksualnego, ponieważ nie rozumiałam jej albo jej sposobu życia. Poczułam

się trochę zdezorientowana i zawstydzona, gdy na ułamek sekundy wyobraziłam ją sobie z pożądliwą kochanką Carrie. Wcale nie wydawało mi się takie dziwne, że kobieta mogła chcieć dotykać mojej siostrzenicy.

Lucy zabawiła trochę pod prysznicem i wiedziałam, że celowo chce odwlec rozmowę. Zastanawiała się. Przypuszczalnie była bardzo zdenerwowana. Domyślałam się, że będzie chciała wyładować swą złość na mnie. Ale gdy wyszła po pewnym czasie z łazienki, miała na sobie podkoszulek naczelnika straży w Filadelfii, który tylko pogorszył mój nastrój. Lucy była chłodna i pachniała cytrynami.

– To nie moja sprawa... – powiedziałam, patrząc na rysunek na piersi.

– Dostałam od Teen – odparła.

– Aha.

– Masz rację, ciociu, to nie twoja sprawa.

– Zastanawiam się tylko, dlaczego nie nauczysz się... – zaczęłam, ale szybko straciłam zapał.

– Czego?

Miała pozbawioną wyrazu minę, jakby chciała mnie zniechęcić i zdenerwować.

– Żeby nie sypiać z ludźmi, z którymi pracujesz.

Moje emocje kłębiły się i prowadziły na fałszywe tory. Postępowałam nieuczciwie, wyciągając wnioski na podstawie błahych dowodów. Ale bałam się o Lucy tak, jak to tylko można sobie wyobrazić.

– To, że dostałam od kogoś podkoszulek, oznacza, że się z nim przespałam? Hm, cóż za wspaniałe myślenie dedukcyjne, pani doktor Scarpetta – mówiła rozwścieczona Lucy. – A propos spania z ludźmi z pracy. Spójrz na siebie, z kim ty żyjesz. No co?

Byłam pewna, że gdyby miała na sobie ubranie, wybiegłaby na dwór. Teraz odwróciła się do mnie plecami i patrzyła na zasłonięte okna. Otarła z

twarży łyzy gniewu, a ja starałam się ratować to, co zostało z chwili, kiedy nie chciałam, żeby sprawy przybrały taki obrót.

– Obydwe jesteśmy zmęczone – powiedziałam łagodnym głosem. – Mamy za sobą straszny dzień, a Carrie dopięła swego. Zwróciła nas przeciwko sobie.

Siostrzenica nie poruszyła się, nie wydobyła z siebie ani jednego dźwięku, jej plecy wydawały mi się twardym murem.

– Wcale nie chodziło mi o to, czy masz, czy nie masz spać z Teen. Przestrzegam cię tylko przed chaosem, złamanym sercem... Cóż, wiem, jak mogło do tego dojść.

Odwróciła się i spojrzała pełnym wyzwania wzrokiem.

– Jak to „wiesz, jak mogło do tego dojść”? – zapytała ostro. – Że jest les? Nie przypominam sobie, żeby mi coś takiego mówiła.

– Może z Janet ci się akurat nie za bardzo układa – ciągnęłam. – Ludzie są tylko ludźmi.

Usiadła przy moim łóżku i stało się jasne, że chce kontynuować ten temat.

– I co z tego? – zapytała.

– Nic. Nie wyszłam z jaskini. Orientacja Teen mnie nie interesuje. Nie wiem o niej nic a nic. Ale skoro was do siebie ciągnie? Cóż, czemu nie? Obydwe jesteście przystojne, przebojowe, inteligentne i odważne. Lucy, ja ci tylko przypominam, że to twoja przełożona. – Czułam, że krew krąży mi coraz szybciej, mój głos stawał się coraz bardziej dobitny. – A co potem? – zapytałam. – Będziesz się przenosić z jednej agencji federalnej do drugiej, aż zniszczysz sobie karierę? Tak właśnie to widzę. Czy ci się podoba, czy nie. A bardzo bym nie chciała, żeby do tego doszło.

Lucy patrzyła na mnie oczami, w których znów zaczęły się gromadzić łyzy. Tym razem ich nie otarła i kropelki spływały strużkami na podkoszulek

od Teen McGovern.

– Przykro mi, Lucy – powiedziałam. – Wiesz sama, że życie nie jest łatwe.

Przez pewien czas milczaliśmy, a ona wpatrywała się przed siebie i płakała. W końcu odetchnęła głęboko, powietrze drżało jej w piersiach.

– Kochałaś kiedyś kobietę? – zapytała.

– Ciebie kocham.

– Wiesz, o co mi chodzi.

– Nie kochałam się w żadnej. Nic mi na ten temat nie wiadomo.

– To trochę wymijająca odpowiedź.

– Nie chciałam, żeby tak to zabrzmiało.

– A potrafiłabyś?

– Co bym potrafiła?

– Pokochać kobietę – nalegała.

– Nie wiem. Zaczynam sądzić, że niczego już nie wiem. – Starłam się być jak najszczersza. – Pewnie mam jakąś nieodkrytą część mózgu.

– Tu nie chodzi o twój mózg.

Nie wiedziałam, co powiedzieć.

– Ja spałam z dwoma mężczyznami – mówiła. – A więc wiem, na czym polega różnica.

– Lucy, nie musisz się przede mną usprawiedliwiać.

– Moje życie osobiste to nie usprawiedliwienie.

– Jak sądzisz – chciałam już wrócić do tematu – jaki będzie kolejny ruch Carrie?

Lucy otworzyła sobie drugie piwo i spojrzała, czy ja jeszcze mam.

– Roześle listy do mediów? – mówiłam. – Będzie kłamać pod przysięgą? A może zechce odtworzyć szczegółowo wszystko to, o czym rozmawialiście, o czym marzyliście i co robiłyście?

– A skąd mam wiedzieć? – odparła. – Ona przez pięć lat nic nie robiła, tylko planowała, a my wszyscy byliśmy raczej dość zajęci.

– Wie jeszcze coś, co teraz mogłoby wypłynąć na jaw? – Musiałam zadać to pytanie.

Lucy wstała i zaczęła spacerować.

– Kiedyś jej ufałaś – ciągnęłam. – Ty jej się zwierzałaś, a ona w tym czasie brała udział w zbrodniach Gaulta. Byłaś ich kanałem komunikacyjnym, przez który dostali się do naszych serc.

– Jestem za bardzo zmęczona na takie tematy.

A jednak chciała o tym mówić, byłam przekonana. Wstałam i wyłączyłam górne światło, bo zawsze łatwiej mi było rozmawiać w atmosferze tworzonej przez półmrok. Poprawiłam poduszki na swoim i na jej łóżku, zdjęłam narzuty. Początkowo nie odpowiedziała na to zaproszenie i spacerowała nieco dzikim krokiem po pokoju, a ja w milczeniu ją obserwowałam. W końcu usiadła na swoim łóżku i oparła się wygodnie.

– Porozmawiajmy na razie o czymś innym niż twoja reputacja – zaczęłam spokojnym głosem. – Porozmawiajmy o tym, czego będzie dotyczył ten nowojorski proces.

– Wiem, czego będzie dotyczył.

Musiałam podsunąć jej na początek jakiś argument i podniosłam rękę, żeby mnie posłuchała.

– Tempie Gault zabił w Wirginii co najmniej pięć osób – zaczęłam. – Wiemy, że Carrie była zamieszana w co najmniej jedno z tych zabójstw, ponieważ mamy na taśmie wideo, jak strzela człowiekowi prosto w głowę. Pamiętasz o tym?

Milczała.

– Byłaś w pokoju, kiedy oglądaliśmy ten okrutny fragment w kolorowym telewizorze.

– Dobrze o tym wszystkim wiem. – W jej głosie znów pojawiła się nutka zagniewania. – Przerabialiśmy to już miliony razy.

– Widziałaś, jak zabija – ciągnęłam. – Kobieta, która była twoją kochanką, gdy miałaś dziewiętnaście lat, byłaś naiwna, siedziałaś w OBI i programowałaś CAIN.

Czułam, że staje się coraz bardziej spięta, bo mówiłam o sprawach dla niej bolesnych. OBI to należący do FBI Ośrodek Badań Inżynieryjnych, w którym działa system komputerowy CAIN (Criminal Artificial Intelligence Network), Kryminalistyczna Sieć Sztucznej Inteligencji. Lucy poświęcała się CAIN i stanowiła jego siłę stwórczą. Teraz została od niego odcięta i nie mogła nawet znieść tej nazwy.

– Widziałaś, że twoja kochanka zabija, po tym, jak z chłodną premedytacją owinęła sobie ciebie wokół palca. Nie pasowałaś do niej.

– Po co to wszystko mówisz? – Głos jej drżał, opierała głowę na rękę.

– Uściślam fakty.

– Nie potrzebujesz.

– Ja nie, ale ty tak. *À propos*, nie doszliśmy nawet jeszcze do takiego szczegółu, skąd Carrie i Gault dowiedzieli się o mnie. I to nas prowadzi do Nowego Jorku, gdzie Gault zamordował własną siostrę i co najmniej jednego oficera policji, a jak wynika z dowodów, nie uczynił tego sam. Odciski palców Carrie znaleziono na osobistych rzeczach Jayne Gault. A gdy Carrie została ujęta w Bowery, miała na spodniach krew Jayne. Z tego co wiemy, Carrie też pociągała za spust.

– Najprawdopodobniej – odezwała się Lucy. – Ja o tym już wiem.

– Ale nie o Eddiem Heacie. Pamiętasz batonik i puszkę zupy, które kupił w 7-Eleven? Były w torebce znalezionej przy jego martwym ciele. Tam też znaleziono odciski Carrie.

– Nieprawda! – Lucy była wstrząśnięta.

– To jeszcze nie koniec.

– Dlaczego mi wcześniej o tym nie powiedziałaś? Pewnie za każdym razem mu pomagała.

I w ucieczce z więzienia także.

– Bez wątpienia. Lucy, oni byli jak Bonnie i Clyde o wiele wcześniej, niż ją poznałaś. Zabijała w wieku siedemnastu lat i nigdy nikt jej nie pocałował.

– Nie wiesz, czy ktoś pocałował mnie – wtrąciła bez sensu moja siostrzenica.

Przez chwilę milczałyśmy obydwie.

– A więc myślisz – zaczęła drżącym głosem – że dwa lata snuła intrygę, żeby mnie poznać i zostać... I robiła wszystkie te rzeczy...

– Żeby cię omamić – powiedziałam. – Nie wiem, czy z góry to sobie zaplanowała. Szczerze mówiąc, nic mnie to nie obchodzi. – Znów się zaczęłam denerwować. – Poruszyliśmy niebo i ziemię, żeby za te zbrodnie przeprowadzić jej ekstradycję do Wirginii, ale się nie udało. Nowy Jork jej nie puścił.

Zapomniałam o butelce piwa w dłoni, zamknęłam oczy i ujrzałam przed oczami przesuające się zwłoki. Eddiego Heatha opartego o betoniarkę i deszcz rozmywający mu krwawe rany, naczelnika i strażnika więzienia zabitych przez Gaulta i najprawdopodobniej także Carrie. Dotykałam tych ciał i przekładałam ich cierpienia na wykresy, raporty z autopsji i rysunki uzębienia. Nic nie mogłam poradzić na to, że pragnęłam, aby Carrie umarła za to, co zrobiła mnie, mojej siostrzenicy i tamtym ludziom.

– To potwór – powiedziałam głosem pełnym gniewu. – Zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby została odpowiednio ukarana.

– Po co ty o tym wszystkim ze mną rozmawiasz? – zapytała podniesionym głosem Lucy. – Myślisz może, że nie chcę tego samego co

ty?

– Nie. Na pewno nie.

– To pozwól mi pociągnąć za dźwignię albo wbić jej igłę w żyłę.

– Lucy, nie dopuść do tego, aby dawna kochanka wypaczyła twoje spojrzenie na sprawiedliwość.

– Jezu Chryste.

– Już bardzo wiele przeszłaś. Ale jeśli zaczniesz patrzeć na to inaczej, Carrie będzie górą.

– Jezu Chryste – powtórzyła Lucy. – Nie chcę już nic więcej słyszeć.

– Zastanawiasz się, czego ona chce? – nie przestawałam mówić. – Powiem ci dokładnie. Manipulować. W tym jest najlepsza. A co potem? Zostanie uznana za niewinną z powodu niepoczytalności i sędziowie odeślą ją z powrotem do Kirby. Tam nagle i nieoczekiwanie jej stan się poprawi i lekarze z Kirby uznają, że nie jest chora. Dojdzie do ponownego procesu. Będzie dwa razy sądzona za to samo i w końcu znów wyjdzie na wolność.

– Jeżeli tak się stanie – powiedziała chłodnym tonem Lucy – znajdę ją i rozwalę jej czaszkę.

– Czy to jest twoja odpowiedź? – Patrzyłam, jak siada wyprostowana i opiera się o poduszki. Była spięta, słyszałam jej oddech i czułam bijącą nienawiść. – Nikogo naprawdę nie obchodzi, z kim ty sypiasz czy sypiałaś – mówiłam łagodniejszym tonem. – Sądzę, że ława przysięgłych zrozumie, co się wtedy działo. Byłaś młoda. Ona była starsza, bystrzejsza i atrakcyjna. Miała charyzmę i dominowała nad tobą.

– Jak Teen – powiedziała Lucy. Nie wiedziałam, czy to ma być kpina.

– Teen nie jest psychopatką.

Rozdział czwarty

Następnego dnia rano zasnęłam w wynajętym samochodzie i obudziłam się dopiero na polach kukurydzianych; widziałam silosy i kępy drzew tak starych, że pochodziły chyba jeszcze z czasów wojny secesyjnej. Prowadził Marino, mijaliśmy ogromne, puste przestrzenie zagrodzone drutem kolczastym, gdzie wznosiły się tylko słupy telefoniczne, potem przejeżdżaliśmy obok wjazdów do domów ze skrzynkami na listy pomalowanymi w kwiatki. Zostawialiśmy za sobą mosty, rzeki, łąki i zarośnięte wysokimi chwastami pastwiska z bydłem. Widziałam przeważnie małe domki z pochylonymi płotami i sznurkami, na których suszyła się poruszana wiatrem bielizna.

Ziewnęłam zasłaniając usta, i odwróciłam głowę, bo znudzenie lub zmęczenie zawsze stanowiło dla mnie oznakę słabości. Po kilku minutach skręciliśmy w prawo na drogę numer 715 do Beaverdam i znów pojawiły się krowy. Budynki gospodarcze miały szare, wypłowiałe kolory, a tutejsi ludzie chyba nigdy nie oddawali na złom starych samochodów. Właściciel farmy Hootowl mieszkał w dużym domu z białej cegły otoczonym płotem i niekończącymi się połaciami pastwisk. Zgodnie z tabliczką na froncie dom został zbudowany w 1730 roku. Teraz miał basen i antenę satelitarną wyglądającą tak poważnie, że mogła chyba odbierać sygnały z innych galaktyk.

Zanim jeszcze wysiedliśmy z samochodu, wyszła nam na spotkanie Betty Foster. Wyglądała na pięćdziesiąt kilka lat, miała arystokratyczne rysy, skórę pomarszczoną od słońca i długie, białe włosy upięte w kok.

Chodziła sprężystym krokiem, jakby była o połowę młodsza. Mocno i pewnie ścisnęła mi na powitanie rękę i popatrzyła piwnymi oczami.

– Jestem Betty – powiedziała. – A pani to zapewne doktor Scarpetta. I pan kapitan Marino.

Jemu również uścisnęła rękę, poruszała się dziarsko i pewnie. Ubrana była w dzinsy i drelichową koszulę bez rękawów, na brązowych butach widać było ślady błota. Wyraźnie coś ukrywała pod wylewną gościnnością, jakby czuła się nami skrepowana i nie wiedziała, od czego zacząć.

– Kenneth jest na wybiegu – powiedziała. – Czeka na państwa i powiem nawet, że jest strasznie przygnębiony. Kochał te konie, kochał każdego z nich. No i oczywiście wstrząsnęło nim, że ktoś zginął u niego w domu.

– A co dokładnie panią z nim łączy? – zapytał Marino, gdy ruszyliśmy ścieżką w stronę stajni.

– Od wielu lat zajmuję się wychowaniem i szkoleniem jego koni – odparta. – Odkąd tylko zamieszkał w Warrenton. Miał najwspanialsze morgany w okolicy. Podobnie zresztą jak konie półkrwi i szlachetne.

– Przywoził konie do pani? – zapytałam.

– Czasami. Na przykład kupował u mnie roczniaki i zostawiał na dwa lata do wytrenowania.

A potem dołączał je do swojego stada. Albo wychowywał konie wyścigowe i sprzedawał, gdy można je było zacząć szkolić na tor. Ja też do niego jeździłam, czasami dwa, trzy razy na tydzień. Przeważnie żeby zrobić przegląd ogólny.

– Nie ma stajennego? – zapytałam.

– Ostatni odszedł kilka miesięcy temu. Od tamtej pory większość robót Kenny wykonywał sam. Nie chce zatrudniać byle kogo. Musi być ostrożny.

– Chciałbym dowiedzieć się czegoś więcej o tym stajennym – powiedział Marino, wyciągając notes.

- Uroczy stary człowiek z bardzo chorym sercem.
- Prawdopodobnie przeżył jeden koń – powiedziałam.

Początkowo nie zareagowała. Zbliżyliśmy się do pomalowanej na czerwono szopy otoczonej płotem z napisem „Uwaga, zły pies”.

- To źrebak – mówiłam – kary.
- Klacz czy ogier?
- Nie wiem. Nie potrafię określić płci.
- Miał strzałkę czy gwiazdkę? – Chodziło jej o białą plamkę na czole.
- Nie podchodziłam tak blisko.

– Kenny miał źrebaka Śpiew Wichury – powiedziała Foster. – Jego matka, Wichura, brała udział w derbach i zajęła ostatnie miejsce. Ale już samo zakwalifikowanie się było sukcesem. A jego ojciec wygrał kilka poważnych wyścigów. Śpiew Wichury to chyba najcenniejszy koń z całej stadniny Kenny’ego.

- Może jakoś udało mu się wydostać i ocalał.
- Mam nadzieję, że nie biega swobodnie.
- Jeśli nawet, to nie pobiega zbyt długo. Policja o nim wie.

Marino nie interesował się szczególnie ocalałym koniem. Weszliśmy do krytego wybiegu i przywitał nas odgłos kopyt oraz gdakanie chodzących swobodnie kurek liliputek. Marino się zakrztusił, ponieważ w powietrzu unosił się czerwony pył wzniesany przez biegającą w kółko kasztanową klacz rasy morgan. Konie w boksach rżały i parskały, gdy mijał je jeździec w angielskim siodle. I chociaż poznałam Kennetha Sparkesa, to muszę przyznać, że jeszcze nigdy nie widziałam go w brudnych butach i drelichowym ubraniu. Jeździł pierwszorzędnie. Gdy spojrzeliśmy na siebie, nie okazał ani cienia ulgi i udawał, że nas nie poznaje. Dobrze wiedziałam, że wcale nie jesteśmy tu mile widziani.

– Jest tu gdzieś miejsce, gdzie moglibyśmy z nim porozmawiać? – zapytałam Foster.

– Na zewnątrz są miejsca do siedzenia. – Kiwnęła ręką. – Możecie też skorzystać z mego gabinetu.

Sparkes rozpedził się, mknąc w naszą stronę, a małe kurki, trzepocząc skrzydłami, zbiegły mu z drogi.

– Wie pani coś na temat damy, która mieszkała być może z nim w Warrenton? – zapytałam, gdy znów znaleźliśmy się na dworze. – Widziała pani kogoś, kiedy przyjeżdżała tam pani w sprawie koni?

– Nie – rzekła Foster.

Podnieśliśmy białe, plastikowe krzesła i usiedliśmy na tyłach padoku, spoglądając na pobliski las.

– Ale sam Pan Bóg wie, ile Kenny miał dziewczyn, o których ja nic nie wiem – powiedziała Foster, odwracając głowę w stronę wybiegu. – Jeżeli się mylicie w sprawie Śpiewu Wichury, to ten koń jest ostatni, jaki mu pozostał. Czarny Opal. W skrócie mówimy na niego Pal.

Ani Marino, ani ja nie odpowiedzieliśmy, bo patrzyliśmy, jak Sparkes zsiada z konia i podaje wodze jednemu ze stajennych pani Foster.

– Dobrze się spisałeś, Pal – powiedział Sparkes, klepiąc konia po zgrabnej szyi i łbie.

– A z jakich powodów ten koń nie przebywał z innymi na farmie? – zapytałam.

– Jest jeszcze za młody. To trzyletni wałach wymagający treningu. I na swoje szczęście musiał tu jeszcze trochę pobyc.

Przez ułamek sekundy na jej twarzy widniał smutek, ale szybko odwróciła głowę. Chrząknęła i wstała z krzesła. Odeszła, gdy Sparkes, poprawiając pasek i spodnie, zbliżał się od strony padoku. Wstaliśmy z

Marinem i uścisnęliśmy mu dłoń. Na czerwonej, wypłowiałej koszuli znać było pot. Odwiązał spod szyi żółtą bandanę i wytarł sobie twarz.

– Siadajcie, proszę – powiedział uprzejmie, jakby właśnie godził się przyjąć nas na audiencji.

Z powrotem zajęliśmy swoje miejsca, a on wyciągnął krzesło dla siebie i usiadł twarzą do nas. Oczy miał rezolutne, ale nabiegłe krwią.

– Pozwólcie, że najpierw powiem wam coś, o czym jestem już teraz święcie przekonany – rzekł. – Ten pożar nie wybuchł przypadkiem.

– Nasze zadanie, sir, polega właśnie na zbadaniu tego – powiedział Marino uprzejmiej niż zwykle.

– Przypuszczam, że sprawa ma podłoże rasistowskie. – Szczeka Sparkesa zaczęła drzeć, w jego głosie pojawił się gniew. – I oni, kimkolwiek są, celowo zamordowali moje konie i zniszczyli wszystko, co kocham.

– Jeśli to miałyby być motyw rasistowskie, to dlaczego nie sprawdzono, czy jest pan w domu? – zapytał Marino.

– Są rzeczy gorsze od śmierci. Może chcieli, żebym żył i cierpiał? Wy się musicie tego dowiedzieć.

– Staramy się – powiedział Marino.

– Nie ważcie się zrzucać winy na mnie. – Wskazał na nas palcem. – Dobrze wiem, co tacy jak wy sobie myślą – ciągnął. – Że podpaliłem swoje konie i farmę dla pieniędzy. Posłuchajcie mnie uważnie. – Nachylił się do nas. – Mówię wam, że to nie moja robota. Nigdy, przenigdy nie uczyniłbym czegoś takiego. Nie mam nic wspólnego z tym, co się stało. Jestem ofiarą i pewnie mam szczęście, że wyszedłem z tego cało.

– Porozmawiajmy o innej ofierze – odezwałam się spokojnie. – O białej kobiecie z długimi, jasnymi włosami. Czy tamtej nocy mógł u pana w domu być ktoś odpowiadający temu opisowi?

- W moim domu nie powinno być nikogo! – oświadczył.
- Przypuszczamy, że ta osoba straciła życie w salonie głównym albo w łazience – powiedziałam.
- Kimkolwiek była, musiała się włamać – rzekł. – Albo to podpalaczka, której nie udało się uciec na czas.
- Nie ma żadnych śladów włamania, sir – odparł Marino. – I jeśli alarm był włączony, to nie zadziałał. Zareagował tylko alarm przeciwpożarowy.
- Nie rozumiem. – Wydawało się, że mówi prawdę. – Naturalnie włączyłem alarm przed wyjazdem.
- A dokąd pan wyjechał? – spytał Marino.
- Do Londynu. Zostałem poinformowany o pożarze, gdy tylko tam dotarłem. Nawet nie opuściłem Heathrow, wróciłem najbliższym lotem. Z Waszyngtonu przyjechałem prosto tutaj.
- Pustym wzrokiem patrzył w ziemię.
- Czym pan przyjechał? – indagował Marino.
- Własnym cherokee. Zostawiłem go na Dulles na długoterminowym parkingu.
- Ma pan pokwitowanie?
- Mam.
- A co z tym mercedesem w pana domu?
- Sparkes zmarszczył brwi.
- Jakim mercedesem? Nie mam mercedesa. Zawsze jeżdżę amerykańskimi wozami.
- Przypomniało mi się, że często nagłaśniał tę swoją zasadę.
- Za domem stał mercedes. Spalił się, więc na razie niewiele więcej możemy o nim powiedzieć – poinformował go Marino. – Ale jak na mój gust nie był to najnowszy model. Sedan, taki trochę kanciasty, jak dawniej.
- Sparkes pokręcił głową.

– A zatem powinniśmy chyba uznać, że to samochód ofiary – wywnioskował Marino. – Chyba że ktoś niespodziewanie przyjechał do pana w odwiedzinach. Kto oprócz pana miał klucze i znał kod alarmu?

– Boże – rzekł Sparkes, zanim udzielił odpowiedzi. – Josh, mój stajenny. Najuczciwszy człowiek pod słońcem. Zrezygnował z pracy ze względów zdrowotnych. Nie spieszylem się ze zmianą zamków.

– Musi pan nam powiedzieć, gdzie go zastaniemy – powiedział Marino.

– On nigdy... – zaczął Sparkes, ale przerwał, a na jego twarzy pojawił się wyraz niedowierzania. – Mój Boże. – Ciężko westchnął. – O mój Boże.

Spojrzał na mnie.

– Mówi pani, że to była blondynka?

– Tak – potwierdziłam.

– Może pani powiedzieć coś bliższego o jej wyglądzie? – W jego głosie czuć było panikę.

– Szczupła, raczej biała. Ubrana w dzinsy i jakąś koszulę, zwykłe, wiązane buty albo kowbojki.

– Ile wzrostu?

– Nie wiem. Jeszcze jej nie badałam.

– A miała jakąś biżuterię?

– Nie miała rąk. Znów westchnął.

– Długie włosy? – drżał mu głos. – Gdzieś tak do połowy pleców? Jasny blond?

– Na pierwszy rzut oka tak to wyglądało – odpowiedziałam.

– Młoda kobieta – zaczął, odchrząkując kilka razy. – Boże... Mam dom na plaży w Wrightsville i tam ją poznałem. Była studentką uniwersytetu albo właśnie rzuciła studia. Nasz związek nie trwał długo, najwyżej sześć miesięcy. Kilka razy była u mnie na farmie. Kiedy widzieliśmy się po raz ostatni, zerwałem z nią, bo to nie miało przyszłości.

– I ona miała mercedesa? – zapytał Marino.

Sparkes pokręcił głową. Schował twarz w dłoniach i starał się zapanować nad sobą.

– Volkswagena, jasnoniebieskiego – udało mu się powiedzieć. – Nie miała pieniędzy. Dałem jej trochę na odchodne. Chyba tysiąc dolarów w gotówce. Powiedziałem, żeby wróciła na studia i skończyła je. Nazywała się Claire Rawley. Przypuszczam, że podczas pobytu na farmie mogła bez mojej wiedzy wziąć zapasowe klucze. Kod alarmu też mogła podpatrzeć.

– Nie miał pan kontaktu z Claire Rowley od ponad roku? – zapytałam.

– Żadnego – odparł. – Dla mnie to już była przeszłość. W istocie niemądra miłostka. W Wrightsville zobaczyłem, jak surfuje, i zacząłem z nią rozmowę. Trzeba powiedzieć, że to najpiękniejsza kobieta, jaką w życiu widziałem. Na jakiś czas straciłem głowę, ale potem rozsądek wrócił. Pojawiło się wiele komplikacji i problemów. Claire potrzebowała opiekuna, a ja się nie nadawałem.

– Chcę wiedzieć o niej wszystko, co może pan powiedzieć – powiedziałam z uczuciem. – Skąd pochodziła, z jakiej rodziny. Wszystko, co mogłoby mi pomóc w identyfikacji lub wykluczeniu Claire Rowley. Oczywiście skontaktuję się też z uczelnią.

– Pani doktor, muszę wyznać pani smutną prawdę – zaczął. – Właściwie nic o niej nie wiem. Nasz związek ograniczał się do seksu, wspierałem ją finansowo, jak tylko mogłem. Opiekowałem się. – Przerwał na moment. – Ale to nie było nic poważnego, przynajmniej z mojej strony. To znaczy, wcale nie rozpatrywałem małżeństwa.

Nie musiał więcej wyjaśniać. Był człowiekiem zamożnym. To się wyczuwało. Mógł zdobyć prawie każdą kobietę, której zapragnął. Ale nie miałam ochoty teraz go oceniać.

– Przykro mi – powiedział, wstając z krzesła. – Mogę tylko powiedzieć, że była raczej nieudaną artystką. Chciała być aktorką i większość czasu spędzała na surfowaniu i spacerach po plaży. Gdy byłem z nią trochę bliżej, zacząłem dostrzegać, że coś jest nie tak. Wydawało się, że brakuje jej jakiegokolwiek motywacji, była tak strasznie niekonsekwentna, że to aż raziło.

– Nadużywała alkoholu? – zapytałam.

– Nie. Alkohol ma za dużo kalorii.

– Narkotyki?

– Właśnie to zacząłem podejrzewać. Ale nigdy nie miałem z nimi kontaktu, więc nie wiem.

– Chciałabym, żeby pan nam przeliterował jej imię i nazwisko.

– Zanim pan odejdzie... – odezwał się Marino i usłyszałam w jego głosie ton „złego gliniarza”. – Myśli pan, że możemy wykluczyć samobójstwo? Może chciała przy okazji zniszczyć wszystko, co pan posiadał, podpalić to i zginąć w płomieniach? Panie Sparkes, jest pan pewien, że nie miała powodów, żeby tak postąpić?

– W tej sprawie niczego nie mogę być pewien – odpowiedział Sparkes, zatrzymując się przy wejściu do stajni.

Marino również wstał.

– Proszę nie traktować tego jako braku szacunku – mówił – ale chciałbym zobaczyć wszystkie dokumenty z podróży do Londynu. Także kwity z lotniska Dulles. Wiem też, że ATF interesuje się piwnicą pełną bourbona i broni automatycznej.

– Zbieram broń z okresu drugiej wojny światowej, każdy egzemplarz jest zarejestrowany i legalny – mówił, usiłując nie podnosić głosu. – Bourbon kupiłem od gorzelni z Kentucky, która pięć lat temu

zbankrutowała. Oni nie powinni mi tego sprzedać, a ja nie powinienem kupić. Ale nic poza tym.

– Myślę, że ATF ma poważniejsze problemy niż pańskie beczki z bourbonem – rzekł Marino. – A więc jeśli ma pan ze sobą jakieś pokwitowania, byłbym wdzięczny, gdyby pan mi je przekazał.

– A potem mnie pan rozbierze i przeszuka, kapitanie? – Sparkes wbił w niego wzrok.

Marino popatrzył na kurki liliputki podskakujące, jakby tańczyły breakdance.

– Proszę się porozumieć z moim adwokatem – powiedział Sparkes. – Wtedy chętnie podejmę z państwem współpracę.

– Marino – przyszła moja kolej na zabranie głosu. – Mógłbyś zostawić mnie z panem Sparkesem na minutkę?

Wkurzony Marino odszedł bez słowa do stajni, za nim podążyło kilka kurek. Ja stałam naprzeciwko Sparkesa. Był przystojnym, wysokim, smukłym mężczyzną z gęstymi, siwymi włosami. Miał oczy koloru bursztynu, arystokratyczne rysy, prosty nos w stylu Jeffersona i gładką skórę, jakby liczył sobie o połowę mniej lat niż w rzeczywistości. Mocno ścisnął szpicrutę, jakby w ten sposób poprawiał sobie humor. Kenneth Sparkes gotów byłby zastosować przemoc, ale z tego, co wiedziałam, nigdy mu się to nie zdarzyło.

– No dobrze, o co pani chodzi? – zapytał podejrzliwie.

– Chciałam tylko, aby pan wiedział, że nasze spory z przeszłości...

Pokręcił głową i nie pozwolił mi dokończyć.

– Co było, to było – rzekł krótko.

– Nie, Kenneth, nieprawda. Musisz wiedzieć, że nie chowam do ciebie złych uczuć. To, co się dzieje teraz, nie ma żadnego związku z naszymi sprawami.

Kiedy aktywniej angażował się w wydawanie swych gazet, oskarżył mnie o rasizm, gdy podałam do publicznej wiadomości statystyki na temat zabójstw czarnoskórych popełnianych przez czarnoskórych. Wykazałam, jak wiele morderstw ma związek z narkotykami, prostytutką i zwykłą nienawiścią jednego czarnoskórego do drugiego.

Jego dziennikarze wyjęli z kontekstu kilka moich zdań, trochę sami dorobili, i pod koniec dnia Sparkes wezwał mnie do swego wystawnego gabinetu. Nigdy nie zapomnę tego miejsca pełnego mahoni, świeżych kwiatów, kolonialnych mebli i żyrandoli. Apelował do mnie o okazanie większej wyrozumiałości Amerykanom pochodzenia afrykańskiego i publiczne wycofanie swych fanatycznych ustaleń. Patrzyłam na niego teraz, gdy miał pot na czole i łajno na butach, i wydawało mi się, że rozmawiam z kimś innym, a nie z tamtym arogantem. Trzęsły mu się ręce, jego sztywność zniknęła, był bliski załamania.

– Poinformujesz mnie, gdy się czegoś dowiedzie? – zapytał ze łzami w oczach i wysoko podniesioną głową.

– Poinformuję cię o wszystkim, o czym będę mogła.

– Chcę się tylko dowiedzieć, czy to ona. I czy cierpiała – powiedział.

– Większość ofiar pożarów nie cierpi. Tlenek węgla pozbawia je przytomności na długo przed nadejściem płomieni. Śmierć jest zazwyczaj cicha i bezbolesna.

– Dzięki Bogu.

Spojrzał ku niebu.

– Dzięki ci, Boże – wymamrotał.

Rozdział piąty

Do domu przybyłam akurat w porze kolacji, ale nie chciało mi się gotować. Benton zostawił mi trzy wiadomości, a ja nie odpowiedziałam na żadną. Czułam się dziwnie. Z jednej strony miałam wrażenie osaczenia przez los, a z drugiej strony czułam lekkość w sercu, która pozwoliła mi aż do zmroku pracować w ogródku, gdzie wypieliałam chwasty i nacięłam róż do kuchni. Wybrałam różowe i żółte, jeszcze nie całkiem rozwinięte, jak sztandar tuż przed zwycięstwem. O zmroku poszłam na spacer i pożałowałam, że nie mam psa. Fantazjowałam chwilę na ten temat, ustalając, jaka rasa byłaby dla mnie najpraktyczniejsza.

Zdecydowałam się na charta spoza podstawowego miotu i uratowanego od likwidacji. Oczywiście tryb mojego życia nie pozwala na trzymanie zwierzaka. Myśląc o tym, natknęłam się na sąsiada wychodzącego z wielkiego kamiennego domu na spacer z malutkim, białym pieskiem.

– Dobry wieczór, doktor Scarpetta – odezwał się z uśmiechem. – Na jak długo pani przyjechała do domu?

– Jeszcze nie wiem – powiedziałam, nadal marząc o własnym chartcie.

– Słyszałem o tym pożarze. – Emerytowany chirurg pokręcił głową. – Biedny Kenneth.

– Zdaje się, że pan go znał.

– O tak.

– Kiepsko u niego. Jakiej rasy jest ten piesek?

– On jest jak sałatka. Każdej rasy ma po trochu – odparł sąsiad.

Odchodząc, wyjął i zapalił fajeczkę, niewątpliwie żona zabraniała mu palić w domu. Mijałam domy sąsiadów, każdy inny, a jednak wszystkie

takie same; miały fasady z cegieł lub ozdobnych tynków i były niezbyt stare. Pasowały do wijącej się rzeki pomiędzy skałami i sprawiały, że okolica wyglądała tak samo jak przed dwustu laty. Richmond nie znało zmian.

Doszedłszy do miejsca, gdzie ostatnio dogoniłam Wesleya, gdy o coś się na mnie wściekł, stanęłam przy tym samym drzewie, ale wkrótce zrobiło się zbyt ciemno na wypatrywanie latających orłów lub skał na drugim brzegu rzeki. Jakiś czas stałam wpatrzona w jaśniejące blaskiem okna sąsiadów, zabrakło mi energii, żeby ruszyć z miejsca. Stałam więc i zastanawiałam się, czy Kenneth Sparkes jest mordercą, czy ofiarą. Nagle tuż za sobą usłyszałam ciężkie kroki. Ze zdziwieniem odwróciłam głowę, ściskając w dłoni pojemnik z gazem pieprzowym przyczepiony do kluczy od domu.

Najpierw usłyszałam głos, a potem ujrzałam sylwetkę Marina.

– Doktorku, nie powinnaś chodzić po ulicach o tak późnej porze.

Byłam zbyt zmęczona, aby wyrazić swój stosunek do jego opinii na temat tego, jak spędzam wieczory.

– Skąd wiedziałeś, że tu jestem?

– Od jednego z twoich sąsiadów.

Nie obchodziło mnie, od którego.

– Mam tu samochód, podrzucę cię do domu – powiedział.

– Marino, czy ja już nie mogę mieć nawet chwili spokoju? – powiedziałam bez złości, bo wiedziałam, że Marino nie ma nic złego na myśli.

– Nie dzisiaj – rzeki. – Mam naprawdę podłe wiadomości i chyba lepiej, żebyś wysłuchała ich na siedząco.

Nagle pomyślałam o Lucy i poczułam, że nogi mi się robią miękkie jak z waty. Zachwiałam się i przytrzymałam jego ramienia, czując, że mózg rozpada mi się na milion kawałków. Zawsze wiedziałam, że nadejdzie ten

dzień, w którym ktoś dostarczy mi wiadomość o jej śmierci. Nie mogłam myśleć ani mówić. W tej chwili czułam się oddalona o setki mil, miałam wrażenie wsysania w coraz głębszą ciemność, w głowie dominował zamęt. Marino chwycił mnie za rękę i przytrzymał.

– Jezu! – zawołał. – Chodź sobie usiąść do samochodu.

– Nie – ledwie zdołałam to wymówić, ale chciałam dowiedzieć się natychmiast. – Co z Lucy?

– Zawahał się i wyglądał na zdezorientowanego.

– Ona jeszcze nie wie, chyba że słyszała w wiadomościach – odparł.

– Czego nie wie? – zapytałam, a krew z powrotem zaczęła płynąć mi żyłami.

– Carrie Grethen uciekła z Kirby – powiedział. – Dzisiaj, późnym popołudniem. Nie wiedzieli o tym aż do chwili, gdy poszli zabrać jej sąsiadkę na obiad.

Szybkim krokiem ruszyliśmy do samochodu. Strach budził w Marinie złość.

– A ty sobie chodzisz po nocach po ulicy uzbrojona tylko w breloczek przy kluczach – mówił. – Cholera. Nigdy więcej tego nie rób, słyszysz? Nie wiemy, gdzie ta pieprzona suka jest, ale pewne jak w banku, że póki bryka na wolności, ty nie jesteś bezpieczna.

– Nikt na świecie nie jest bezpieczny – mruknęłam, wsiadając do samochodu. Myślałam o Bentonie samotnie spacerującym po plaży.

Carrie Grethen nienawidziła go równie mocno jak mnie, a przynajmniej tak mi się wydawało. On opracował zarys jej osobowości i odegrał ważną rolę w pojmaniu jej i zabiciu Tempie'a Gaulta. Benton przyzwyczyił się, że siły FBI trzymają Carrie od niego z daleka i aż do teraz rzeczywiście tak było.

– Czy ona może się z jakiegoś źródła dowiedzieć, gdzie przebywa Benton? – zapytałam, gdy Marino wiozł mnie do domu. – Jest na wyspie w ośrodku turystycznym i pewnie chodzi na plażę bez broni. Nie ma pojęcia, że ktoś może na niego czyhać.

– To zupełnie tak samo jak pewna moja znajoma – wtrącił Marino.

– Celny strzał.

– Benton na pewno już wie, ale zadzwonię do niego – rzekł Marino. – Poza tym nie ma powodów do przypuszczeń, że Carrie wie o Hilton Head. Jeszcze tam nie jeździliście, gdy Lucy wyjawiała jej wszystkie twoje tajemnice.

– Nie mów tak – powiedziałam, gdy wjechał na podjazd i gwałtownie się zatrzymał. – Lucy nigdy nie podchodziła do tego w ten sposób. Nie chciała być wobec mnie niełojalna ani mnie zranić.

Chwyciłam za klamkę przy drzwiach do domu. – W tej chwili jej motywy nie mają żadnego znaczenia.

Wypuścił przez okno dym.

– Jak Carrie uciekła? – zapytałam. – Kirby jest na wyspie i niełatwo się tam dostać.

– Nie wiadomo. O trzeciej powinna zejść na obiad ze wszystkimi pozostałymi damami i właśnie wtedy strażnik zdał sobie sprawę, że znikła. Pyk, i nie ma po niej ani śladu. Jakieś trzy kilometry dalej jest kładka dla pieszych prowadząca przez rzekę East do osiedla Harlem.

Wyrzucił niedopałek na mój podjazd.

– Na razie nikt nie jest w stanie wyobrazić sobie innej drogi ucieczki. Wszędzie kręcą się gliny, dostali śmigłowce, żeby sprawdzać, czy czasem nadal nie ukrywa się na wyspie. Ale osobiście w to wątpię. Myślę, że planowała ucieczkę przez dłuższy czas i wszystko doskonale skoordynowała. Mogę się założyć, że wkrótce o niej usłyszymy.

Byłam bardzo zdenerwowana, gdy wchodziłam do domu, sprawdzałam drzwi i ustawiałam alarm. Potem zrobiłam coś, co robię rzadko i co mnie załamuje. W gabinecie wyciągnęłam z szuflady dziewięćmilimetrowy pistolet Glock i obeszłam wszystkie szafy i szafki. Ścisnęłam w dłoni pistolet, serce waliło mi jak młotem. Carrie Grethen znów stała się monstrum o nadprzyrodzonych siłach. Zaczęłam sobie wyobrażać, że potrafi sforsować każdy system zabezpieczający i może się wyłonić z cienia w każdej chwili, gdy ja będę się czuła bezpieczna i nic nie będę przeczuwać.

Najwyraźniej jednak w dwukondygnacyjnym domu nie było nikogo prócz mnie. Zabrałam kieliszek czerwonego burgunda, poszłam do sypialni i przebrałam się w nocną koszulę. Zadzwoiłam do Wesleya i poczułam dreszcz na plecach, gdy nikt nie odebrał słuchawki.

– Boże drogi – powiedziałam. Byłam w pokoju sama.

Łagodne światło lampy padało na zabytkowe szafy i stoliki, które zostały oczyszczone z wszelkich powłok do czystego dębowego drewna, bo lubiłam skazy i oznaki upływu czasu. Jasnoróżowe zasłony poruszały się pod wpływem powietrza wlatującego przez wywietrzniki. Z każdą chwilą rozklejałam się coraz bardziej, chociaż tłumaczyłam sobie, że nie ma powodu. Mój umysł coraz bardziej pogrążał się w lęku. Starłam się nie dopuszczać do siebie wspomnień o Carrie Grethen. Miałam nadzieję, że Benton sam zadzwoni. Powtarzałam sobie, że na pewno nic mu się nie stało, że potrzeba mi snu. Próbowałam czytać poezje Seamusa Heaneya i gdzieś w środku poematu „The Spoonbait” zasnęłam. Dwadzieścia po drugiej zadzwonił telefon i książka spadła na podłogę.

– Scarpetta – powiedziałam do słuchawki. Serce szalało jak zawsze, gdy nagle zostaję obudzona.

– Kay, to ja – odezwał się Benton. – Przepraszam, że dzwonię tak późno, ale bałem się, że dzwoniłaś i mnie nie złapałaś. Jakoś nie włączyłem automatycznej sekretarki i poszedłem coś zjeść, a potem dwie godziny spacerowałem po plaży. Musiałem pomyśleć. Pewnie znasz już najnowsze wieści.

– Tak. – Poczułam nagły niepokój.

– Nic ci nie jest? – zapytał. Dobrze mnie znał.

– Przed pójściem do łóżka przeszukałam wszystkie zakamarki. Wyciągnęłam pistolet i zajrzałam do każdej szafki i za każdą zasłonę prysznicową.

– Tak też myślałem.

– Czuję się tak, jakbym wiedziała, że ma przyjść do mnie przesyłka pocztowa z bombą w środku.

– Nie, Kay, to nie tak. Nie wiemy, co się stanie ani kiedy. A szkoda. Ale ona ma taką taktykę. Żeby zmusić nas do domysłów.

– Benton, wiesz, jak ona jest do ciebie nastawiona. Nie podoba mi się, że jesteś tam sam.

– Chcesz, żebym wrócił do domu? – Zastanawiałam się, lecz nie mogłam znaleźć odpowiedniej odpowiedzi. – Jeśli tylko chcesz, zaraz wskakuję do samochodu – dodał.

Opowiedziałam mu o zwłokach znalezionych na zgliszczach rezydencji Kennetha Sparkesa, o tym, jak się na nie natknęłam, a potem o spotkaniu z magnatem na farmie Hootowl. Mówiłam i wyjaśniałam, a on cierpliwie słuchał.

– Rzecz w tym – zaczęłam podsumowywać – że wszystko strasznie się pogmatwało i jest jeszcze wiele do zrobienia. Marino ma rację. Nie ma powodu podejrzewać, że Carrie wie o Hilton Head. Tam jesteś pewnie bezpieczniejszy niż tutaj.

– A niech tu przyjeżdża – zaczął ostrym głosem. – Przywitam ją swoim sigsauerem i w końcu doprowadzimy sprawę do końca.

Wiedziałam, że naprawdę pragnął ją zabić, i w pewnym sensie to była największa szkoda, jaką Carrie mogła wyrządzić. Żądza przemocy nie leżała w naturze Bentona, a teraz cień zła padł na jego serce i sumienie. Słuchając go, sama też czułam się winna.

– Widzisz, jakie to destrukcyjne? – powiedziałam poruszona. – Siedzimy i rozmawiamy o zastrzeleniu jej, o przywiązaniu do elektrycznego łóżka, o wstrzyknięciu jej trucizny. Benton, jej się udało nami zawładnąć. Przyznaję, że ja też chciałabym jej śmierci, bardziej niż czegokolwiek.

– Chyba powinienem jednak wracać do domu – powiedział.



Wkrótce odłożyliśmy słuchawki, a przez resztę nocy jedynym wrogiem okazała się bezsenność. Pozbawiła mnie kilku godzin spokojnego snu pozostałych do świtu i wtargnęła do mego mózgu z fragmentami snów i koszmarów. Śniło mi się, że spóźnię się na ważne spotkanie, że nie mogę wykręcić numeru telefonu, zapadam się w śniegu, czuję kres swego życia, nagle uczestniczę w groźnym wypadku samochodowym i nie mogę się ruszyć, żeby udzielić pomocy. Przewracałam się z boku na bok, przekładałam poduszki, poprawiałam nakrycie, aż w końcu niebo zaczęło się robić szare i znikły gwiazdy. Wstałam zrobić sobie kawy.

Do pracy jechałam z włączonym radiem, słuchałam stale powtarzanych wiadomości na temat pożaru w Warrenton i znalezionej w nim ofiary. Pojawiały się dramatyczne spekulacje, że ofiarą jest magnat prasowy, a ja się zastanawiałam, czy to chociaż trochę rozśmieszy Sparkesa. Dziwiło mnie, iż jeszcze nie dał oświadczenia do prasy, aby świat się dowiedział, że jest cały i zdrowy, i znów ogarnęły mnie wątpliwości dotyczące jego osoby.

Przy naszym nowym budynku na ulicy Jacksona, pomiędzy rzędem domów Jackson Ward, Akademią Medyczną Wirginii i campusem uniwersytetu stanowego stał czerwony ford mustang doktora Jacka Fieldinga. W nowym budynku mieściły się laboratoria sądowe, a także szybko rozwijający się instytut przetwarzania danych, znany jako Biotech Park.

Przenieśliśmy się tu ze starej siedziby zaledwie dwa miesiące temu i jeszcze się przyzwyczajałam do nowoczesnej architektury ze szkła i cegły oraz okien, w których odbijała się cała okolica. W nowym miejscu pracy miałam dobre światło, brązową epoksydową podłogę i ściany, które łatwo było zburzyć. Wiele zostało jeszcze do rozpakowania, poprawienia, wybrania i z pewnym dreszczykiem myślałam, że gdy w końcu znajdę się w nowoczesnym prosektorium, będę się czuć jeszcze bardziej przytłoczona niż poprzednio. Wschodzące słońce świeciło mi w oczy, gdy parkowałam na zarezerwowanym miejscu przy ulicy Jacksona. Weszłam do budynku tylnymi drzwiami.

Na korytarzu panowała idealna czystość i czuć było jakiś ostry środek dezynfekujący, przy ścianach stały pudła z przewodami elektrycznymi, przełącznikami i puszkami z farbą. Fielding otworzył już stalową chłodnię, większą niż niejeden salon, a także drzwi do sali, gdzie wykonywaliśmy sekcje zwłok. Schowałam klucze do kieszeni, poszłam do szatni, zdjęłam żakiet i powiesiłam go na wieszaku. Laboratoryjny kitel zapięłam pod samą szyję, włożyłam swoje dość paskudne, czarne reeboki służące mi jako obuwie do pracy. Były poplamione i z pewnością pod względem biologicznym mogły stanowić pewne niebezpieczeństwo. Niemniej osłaniały moje niemłode już nogi i nigdy nie opuszczały prosektorium.

Nowa sala do wykonywania sekcji zwłok była o wiele większa niż poprzednia i została lepiej zaprojektowana pod względem przydatności do

pracy. Nie było długich stalowych stołów wbudowanych w podłogę, które zawadzały, gdy nie były używane. Pięć nowych stołów było przenośnych i można było wsuwać je na kółkach do chłodni. Wbudowane w ściany umywalki zostały przystosowane zarówno dla prawo-, jak i leworęcznych lekarzy. A ponieważ nowe stoły miały kółka, nie musieliśmy nadwerężyć pleców przy przenoszeniu lub podnoszeniu zwłok. Były też niezapychające się pochłaniacze powietrza, stanowiska do przemywania oczu i specjalny, podwójny kanał wentylacyjny połączony z systemem wentylacyjnym budynku.

W gruncie rzeczy zapewniono mi większość rzeczy potrzebnych do wprowadzenia systemu medycyny sądowej stanu Wirginia w trzecie tysiąclecie, chociaż prawdę mówiąc, nie nastąpiły żadne zmiany, a w każdym razie nie na lepsze. Co roku badaliśmy coraz więcej uszkodzeń spowodowanych kulami i ostrzami, coraz więcej ludzi wytaczało nam bzdurne procesy, sądy traktowały sprawiedliwość instrumentalnie, prawnicy kłamali, a ławnicy nie byli już zainteresowani faktami ani dowodami rzeczowymi.

Buchnęło lodowate powietrze, gdy pociągnęłam za masywne drzwi chłodni. Minęłam worki ze zwłokami, zakrwawione całuny ze sztucznych tworzyw, wystające sztywne stopy i małe woreczki, które przypomniały mi o nagłych zgonach dzieci i niemowlaku utopionym w rodzinnym basenie. Ofiara znaleziona po pożarze była przykryta ze szkłem, tak jak ją zostawiłam. Pociągnęłam wózek ze zwłokami bliżej jarzeniowego światła. Jeszcze raz zmieniłam buty i poszłam na drugi koniec pierwszego piętra, gdzie znajdowały się biura i sala konferencyjna, odgródzone od prosektorium.

Było już prawie wpół do dziewiątej, pracownicy biurowi kręcili się po korytarzu i przygotowywali sobie kawę. Wymieniając się grzecznościowym

„dzień dobry”, szłam w stronę otwartych drzwi Fieldinga. Puknąłam i weszłam do środka. Rozmawiał przez telefon i pośpiesznie zapisywał coś na kartce.

– Znów zaczynać? – mówił dosadnym głosem, trzymając słuchawkę pomiędzy ramieniem a policzkiem. Palcami poprawiał sobie opadające na czoło czarne włosy. – A adres? Jak się ten policjant nazywa?

Nie patrząc na mnie, coś zapisywał.

– Masz miejscowy numer telefonu?

Szybko przeczytał ponownie, żeby się upewnić, iż dobrze zanotował.

– Wiadomo cokolwiek o przyczynie śmierci? Okej, okej. Na jakim skrzyżowaniu? Spotkamy się przy samochodzie. W porządku, możesz jechać.

Fielding odłożył słuchawkę. Jak na tak wczesną godzinę, wyglądał na bardzo zabieganego.

– Co się stało? – zapytałam.

– Zdaje się, że mechaniczne uduszenie. Czarnoskóra kobieta uzależniona od narkotyków i alkoholu. Leżała na łóżku z głową przy ścianie. Szyja wykręcona pod takim kątem, że nie było szans na przeżycie. Jest naga, więc lepiej sprawdzić, czy nie było czegoś jeszcze.

– Ktoś koniecznie powinien to zobaczyć – przyznałam mu rację.

Zrozumiał moje intencje.

– Jeśli chcesz, wyślemy Levine.

– Świetna myśl, bo ja właśnie zaczynam z tą ofiarą pożaru i nie mogę pomóc – powiedziałam.

– Przynajmniej na początku.

– W porządku.

Fielding odsunął krzesło i wy dobył zza biurka swe silne ciało. Ubrany był w spodnie koloru khaki, białą koszulę z podwiniętymi rękawami, miał

też stary skórzany pas zapięty wokół mocnej, smukłej talii. Choć skończył już czterdziestkę, nie przestał dbać o kondycję fizyczną, która w niczym nie ustępowała tej, jaką miał, gdy go poznałam krótko po otrzymaniu gabinetu. Gdyby jeszcze tak samo troszczył się o prowadzone sprawy. Zawsze jednak okazywał mi szacunek i zaufanie i chociaż był trochę powolny, nie miał uprzedzeń i nie popełniał błędów. Był zaradny, miły i można było na nim polegać. Nie zamieniłabym go na żadnego innego zastępcę.

Weszliśmy do sali konferencyjnej i zajęłam główne miejsce przy długim błyszczącym stole. Jediną dekorację stanowiły modele i rysunki mięśni, narządów oraz szkielety. Nie licząc oczywiście kilku fotografii poprzednich szefów, które przywieźliśmy ze starej siedziby. Tego rana obecni byli wszyscy moi zastępcy, asystenci, toksykolog i pracownicy administracyjni. Mieliśmy też studenta z MCV, który odbywał tu praktyki, a także patologa z Londynu objeżdżającego prosektoria USA i zbierającego wiadomości na temat seryjnych morderców i ran postrzałowych.

– Dzień dobry – powiedziałam. – Przyjrzyjmy się, co my tu mamy, a potem opowiem o pożarze i jego konsekwencjach.

Najpierw Fielding opowiedział o prawdopodobnie mechanicznym uduszeniu, a potem Jones, administrator, szybko zreferował inne sprawy. Mieliśmy białego mężczyznę, który władował swojej dziewczynie pięć kul w głowę, a potem rozwalił swój sfiksowany mózg. Oprócz tego nagła śmierć dziecka przez utopienie i młodzieńca, który zmieniając koszulę i krawat, walnął samochodem w drzewo.

– Ho, ho – odezwał się student medycyny o nazwisku Sanfors. – Jak on to zrobił?

– Miał do połowy włożoną kamizelkę, a koszula i krawat leżały zmięte na fotelu dla pasażera – wyjaśnił Jones. – Chyba jechał z pracy na spotkanie

z przyjaciółmi w barze. Mieliśmy już takie przypadki. Przebieranie się, golenie, robienie makijażu podczas jazdy.

– Wtedy właśnie człowiek ma ochotę na świadectwie zgonu przystawić pieczęć „z głupoty” – rzekł Fielding.

– Prawdopodobnie wszyscy już wiecie o tym, że wczoraj po południu z Kirby uciekła Carrie Grethen – powiedziałam. – Nie ma to bezpośredniego wpływu na nasze laboratorium, ale powinniśmy zachować większą czujność niż zwykle. – Staralam się mówić możliwie spokojnie i rzeczowo. – Możemy się spodziewać zainteresowania mediów – dodałam.

– Zeszłej nocy dyżurni odebrali pięć telefonów od prasy – powiedział Jones, spoglądając zza okularów do czytania.

– W sprawie Carrie Grethen? – wolałam się upewnić.

– Tak. I jeszcze cztery telefony w sprawie Warrenton.

– Przejdźmy do tego tematu – powiedziałam.

– Na razie nie wolno nam podawać jakichkolwiek informacji. Ani dotyczących ucieczki z Kirby, ani pożaru w Warrenton. Ja i Fielding większość czasu spędzimy na dole i wolałabym, żeby nam nie przeszkadzano, chyba że będzie to absolutnie konieczne. To bardzo delikatna sprawa.

Rozejrzałam się po twarzach wokół stołu: były ponure, ale pełne ciekawości.

– Na razie nie wiem, czy mamy do czynienia z wypadkiem, samobójstwem czy morderstwem, i szczątki nie zostały jeszcze zidentyfikowane. Tim – zwróciłam się do toksykologa – zrobimy badanie na alkohol i tlenek węgla. Ta kobieta mogła przyjmować narkotyki, więc dobrze sprawdzić, czy nie ma we krwi środków nasennych, amfetaminy, metamfetaminy lub kanabiny. I to jak najszybciej.

Skinął głową i zrobił notatkę. Zatrzymałam się jeszcze na chwilę, żeby przeczytać gazetowy artykuł przyniesiony przez Jonesa, a potem poszłam korytarzem do prosektorium. W przebieralni dla kobiet zdjęłam spódnicę i bluzkę, po czym wzięłam pas z nadajnikiem i mikrofon zaprojektowane specjalnie dla mnie przez Laniera. Pas zapięłam w talii, pod górną częścią fartucha chirurgicznego, tak aby urządzenie nie miało bezpośredniego kontaktu z zakrwawionymi dłońmi. Na koniec przyczepiłam do kołnierza bezprzewodowy mikrofon, z powrotem włożyłam buty przeznaczone do pracy, okryłam je osłonkami z tkaniny, a na koniec zawiązałam sobie na twarzy maskę chirurgiczną.

Fielding zjawił się w sali sekcji zwłok jednocześnie ze mną.

– Najpierw zrobimy jej rentgen – powiedziałam.

Przepchnęliśmy stalowy stół przez korytarz do sali prześwietleń i rozwinęliśmy ciało oraz resztki po pożarze z prześcieradła. W takiej formie przenieśliśmy zwłoki pod system cyfrowego obrazowania ruchomego, będący połączeniem urządzenia do prześwietleń i fluoroskopu w jedną, kontrolowaną przez komputer maszynę. Wykonałam serię standardowych procedur, połączyłam kilka przewodów i uruchomiłam urządzenie za pomocą kluczyka. Na panelu kontrolnym zaświecił się czasomierz i inne wskaźniki, załadowałam kasetę z filmem i nadepnęłam na podłogowy pedał, żeby uaktywnić monitor wideo.

– Fartuchy – powiedziałam do Fieldinga.

Podałam mu niebieski z paskami. Czułam, że mój jest ciężki od piasku, gdy zawiązywałam go na plecach.

– Chyba jesteśmy gotowi – oznajmiłam i wcisnęłam guzik.

Przesuwając czujnik w kształcie litery C mogliśmy oglądać zwłoki pod różnymi kątami jednocześnie, a od badania pacjenta w szpitalu różniło się to tylko tym, że nie widzieliśmy oddychania, przełykania ani bicia serca.

Na monitorze obrazy nieruchomych, martwych organów i kości były czarno-białe i nie dostrzegłam w nim żadnych obcych przedmiotów ani anomalii. Przesuwając dalej czujnik, zauważyliśmy jakieś nie przepuszczające promieni X kształty, które uznałam za metalowe resztki z pogorzelniska. Patrząc na ekran monitora, szukałam ich odzianymi w rękawice dłońmi, aż w końcu natknęłam się na dwa twarde przedmioty. Jeden miał kształt i wielkość półdolarówki, a drugi był mniejszy i kwadratowy. Poszłam je umyć w zlewie.

– To pozostałość po małej metalowej zapince od paska – powiedziałam, wrzucając to do powlekanego folią pudełka, które oznaczyłam pisakiem.

Moje drugie znalezisko było o wiele łatwiejsze do rozszyfrowania. Nie musiałam się specjalnie głowić, żeby dostrzec w tym zegarek. Pasek całkiem spłonął, szkiełko było roztrzaskane. Zainteresowała mnie tarcza, która po dalszym płukaniu zdradziła swój jaskrawo-pomarańczowy kolor z dziwnym abstrakcyjnym rysunkiem.

– To chyba męski zegarek – zauważył Fielding.

– Kobiety też noszą takie duże – odparłam. – Na przykład ja.

– Może to jakiś sportowy?

– Możliwe.

Ustawialiśmy czytnik pod różnymi kątami i kontynuowaliśmy badanie, a promienie X penetrowały ciało, zanieczyszczenia i tkaniny. W okolicach prawego pośladka zauważyłam coś, co przypominało kształtem pierścioneł, ale gdy próbowałam go wydobyć, nic tam nie było. Ponieważ ciało leżało na plecach, wszystko to, co było z tyłu, także ubrania, częściowo się uratowało. Wsunęłam dłonie pod pośladki, przeszukałam palcami kieszenie džinsów i wyjęłam połowę marchewki i coś, co wyglądało na obrączkę ślubną. Początkowo myślałam, że jest ze stali, ale okazało się, że to platyna.

– To też wygląda na męską obrączkę – rzekł Fielding. – Chyba że miała bardzo duże palce.

Wziął ode mnie obrączkę i przyjrzał jej się z bliska. Ze stołu rozniósł się swąd spalonego i rozkładającego się ciała, gdy odkryłam dziwne ślady wskazujące na to, co ta kobieta robiła przed samą śmiercią. Na mokrej drelichowej tkaninie znajdowała się ciemna, ostra sierść zwierzęca. I chociaż nie miałam stuprocentowej pewności, byłam przekonana, że to końskie włosie.

– Nie ma żadnych znaków – powiedział Fielding, chowając obrączkę do koperty z dowodami rzeczowymi.

– Nie – potwierdziłam z narastającym zdziwieniem.

– Ciekawe, dlaczego miała ją w kieszeni, a nie na palcu.

– Dobrze pytanie.

– Może robiła coś, przy czym musiała ją zdjąć – dalej myślał na głos. – Czasami ludzie zdejmują biżuterię do mycia rąk.

– Być może karmiła konie.

Zebrałam pęsetą kilka włosów.

– Może tego czarnego źrebaka, który ocalał – powiedziałam.

– No dobrze – rzekł Fielding pełen wątpliwości. – Ale co z tego? Zauważyła małego konia, nakarmiła go marchewką i nie zaprowadziła do stajni? A chwilę później wszystko spłonęło, łącznie z domem, stajniami i końmi? I tylko źrebak się uratował?

Patrzył na mnie zza stołu.

– Może samobójstwo – spekulował dalej. – Ale nie mogła się zdobyć na odebranie życia temu źrebakowi. Jak on się nazywa? Śpiew Wichury?

Na razie jednak nie było odpowiedzi na żadne z tych pytań. Dokończyliśmy prześwietlenie, żeby mieć pełny zapis badania ciała. Prawie cały czas patrzyliśmy na ekran, znaleźliśmy nity od dzinsów i

wewnątrzmaciczną wkładkę świadczącą o seksualnej aktywności z mężczyznami.

Znaleźliśmy także zamek, poczerniały zwitek wielkości piłeczki bejsbolowej, który okazał się metalową bransoletką z małymi oczkami, a także srebrne kółko z trzema miedzianymi kluczykami. Oprócz zatok – które są tak niepowtarzalne jak odciski palców – i jednej porcelanowej koronki na prawym górnym siekaczu, nie trafiliśmy na nic, co mogłoby pomóc w identyfikacji.

Koło południa przepchnęliśmy zwłoki na drugą stronę korytarza do sali sekcji zwłok i przymocowaliśmy stół koło zlewu w odległym kącie, z dala od zgiełku. Przy innych stanowiskach woda bębniła w zlewy, różni lekarze ważyli i dzielili poszczególne organy, a wyniki dyktowali do miniaturowych mikrofonów. Ich czynnościom przyglądali się różni inspektorzy śledczy. Wszyscy porozumiewali się między sobą przeważnie dość szorstko, niepełnymi zdaniami. Rozmowy były przypadkowe i urywały się nagle, jak życie naszych „pacjentów”.

- Przepraszam, chciałbym zająć twoje miejsce.
- Psiakrew, potrzebuję baterii.
- Jakich?
- Byle jakich, tylko żeby pasowały do kamery.
- Dwadzieścia dolarów w przedniej kieszeni.
- Pewnie z kradzieży.
- Kto będzie liczył tabletki? Bierz całość.
- Pani doktor Scarpetta, mamy następną sprawę. Prawdopodobnie zabójstwo – powiedział głośno jeden ze stażystów, odkładając słuchawkę telefonu przeznaczonego dla tych z czystymi rękami.
- To może poczekać do jutra – powiedziałam. Nasza praca stawała się coraz trudniejsza.

– Mamy pistolet przy mordercy – samobójcy – zawołał jeden z asystentów.

– Naładowany?

– Nie.

Podeszłam się upewnić, bo w przypadkach znalezienia broni przy zwłokach należy zachowywać szczególną ostrożność. Denat był potężnym mężczyzną ubranym w dżinsy Faded Glory z kieszeniami wywleczonymi przez policję. Broń trzymał w dłoni pod brązową, papierową torbą. Z nosa ciekły mu strużki krwi, głowa leżała na drewnianym klocku.

– Mogę dotknąć pistoletu? – zapytałam inspektora śledczego, przekrzykując warczenie elektrycznej piły.

Podniosłam smith & wessona i zajrzałam do magazynka, komora była pusta. Przyłożyłam ręcznik do rany postrzałowej na głowie, mój zwierzchnik w prosektorium, Chuck Ruffin, wyciągnął szczypcami nóż.

– Widzicie to zaczerwienie i odcisk lufy? – powiedziałam do inspektora i stażysty nachylających się z uwagą. – Widać ślad, że przyłożył broń prawą ręką. A po tym wylocie, a właściwie po wyciekającej krwi, można wnioskować, że leżał na prawym boku.

– W takiej właśnie pozycji go znaleźliśmy – rzekł inspektor. Znow zaczęła warczeć piła i w powietrze poleciały kawałki ciała.

– Zanotujcie kaliber, producenta i model – powiedziałam, wracając do swojego stanowiska. – To był zwykły pocisk czy kumulacyjny?

– Zwykły. Remington dziewięć milimetrów.

Fielding postawił obok „naszego” ciała drugi wózek, przykrył go prześcieradłem i składał tam wszystkie śmieci, które się udało odzepić. Ja spróbowałam zmierzyć strasznie uszkodzone ogniem kości udowe w nadziei, że zdołam w przybliżeniu określić wzrost kobiety. Reszty nóg, od mniej więcej kolan do kostek, wcale nie było, dopiero stopy ocalały dzięki

butom. Oprócz tego ogień dokonał amputacji rąk. Zdjęliśmy fragmenty tkaniny, zebraliśmy więcej końskiego włosa i wykonaliśmy rysunki, a wszystko po to, żeby nareszcie wziąć się do trudnego zadania usuwania szkła.

– Puśćmy ciepłą wodę – powiedziałam do Fieldinga – może uda nam się trochę zmiękczyć skórę.

– To się trzyma jak spalenizna na patelni.

– Dlaczego wy zawsze macie porównania z jedzeniem? – dobiegł nas głęboki, pewny siebie głos, który od razu rozpoznałam.

W stronę naszego stołu szła Teen McGovern ubrana w strój wymagany w prosektorium. Zza maski wyraźnie widziałam jej oczy. Przez moment patrzyłyśmy na siebie. Wcale się nie zdziwiłam, że ATF wysłało inspektora do nadzoru sekcji zwłok. Ale nie spodziewałam się, że będzie to McGovern.

– Co słyhać w Warrenton? – zapytałam.

– Pracujemy – odparła. – Nie znaleźliśmy ciała Sparkesa, czyli wszystko gra, bo on żyje.

– Dobrze – odezwał się Fielding.

McGovern stanęła naprzeciwko mnie na tyle daleko od stołu, że od razu się domyśliłam, iż rzadko bierze udział w autopsjach.

– Co dokładnie robicie? – zapytała, gdy brałam do ręki gumowy wąż.

– Puszczamy ciepłą wodę pomiędzy skórę a szkło, może się rozdzielić bez większych uszkodzeń – odpowiedziałam.

– A jeśli to nie zadziała?

– Wtedy będziemy mieli niezły galimatias – rzekł Fielding.

– I weźmiemy skalpele – wyjaśniłam.

Ale nie było takiej potrzeby. Po kilku minutach ciepłej kąpieli zaczęłam powoli i bardzo ostrożnie wyjmować grube kawały potłuczonego szkła z

twarży zmarłej kobiety. Skóra rozsuwała się, przez co ofiara wyglądała jeszcze koszarniej. Jakiś czas pracowaliśmy z Fieldingiem w milczeniu, wyjmowaliśmy kawałki skurzonego w wysokiej temperaturze szkła i układaliśmy je w plastikowych kuwetach. Trwało to około godziny, a kiedy skończyliśmy, smród zrobił się bardzo dziwny. Z nieszczęsnej kobiety zostało naprawdę niewiele, a uszkodzenia głowy wyglądały strasznie.

– Mój Boże – powiedziała McGovern, podchodząc bliżej. – To najokropniejsza rzecz, jaką w życiu widziałam.

Na wypalanej dolnej części twarzy z trudem dało się dostrzec zarysy rozwartej szczęki i powykrzywianych zębów. Zostały tylko niewielkie fragmenty uszu, ale od oczu w górę ciało zachowało się stosunkowo nieźle, toteż wyraźnie widziałam jasne włosy. Czoło było całe, lecz z powodu uszkodzeń spowodowanych szkłem, nie było już gładkie. Jeśli miała zmarszczki, to teraz stały się niewidoczne.

– Nie wiem, co to, do diabła, jest – powiedział Fielding, oglądając kawałek materiału na włosach. – Pełno tego wszędzie na głowie.

Wyglądało to trochę jak spalony papier, ale inne lepiej zachowane kawałki utrzymały jaskraworóżowy kolor. Zdrapałam trochę tego skalpelem i umieściłam w oddzielnym pudełku.

– Niech w laboratorium się nad tym głowią – powiedziałam do McGovern.

– Pewnie.

Włosy miały czterdzieści siedem i pół centymetra długości. Zostawiłam kawałek do zbadania DNA, na wypadek gdyby trzeba było je porównać z próbką włosów sprzed zgonu.

– Gdybyśmy znaleźli ją na liście osób zaginionych – zwróciłam się do McGovern – i zdobyli jej szczoteczkę do zębów, to mielibyśmy komórki z

jamy ustnej, a błonę śluzową można wykorzystać do porównania DNA. Szczotka do włosów też by się nadała.

McGovern zanotowała. Przysunęłam lampę chirurgiczną bliżej lewej skroni denatki i używając szkła powiększającego ostrożnie badałam to, co mi się wydawało wylewem w tkance, której udało się przetrwać.

– Zdaje się, że mamy tu jakieś zranienie – powiedziałam. – W tym miejscu skóra zdecydowanie nie pękła pod wpływem gorąca. Możliwe, że nacięcie spowodował jakiś ostry przedmiot, który jeszcze się znajduje w ranie.

– Mogła się zatruć tlenkiem węgla, upaść i uderzyć się w głowę? – McGovern wypowiedziała pytanie, które i my mieliśmy na myśli.

– Musiałaby upaść na coś naprawdę ostrego – powiedziałam, robiąc zdjęcia.

– Daj popatrzeć – poprosił Fielding.

Podaliśmy mu szkło powiększające.

– Nie widzę żadnych rozdarć ani poszarpanych krawędzi – zauważył.

– Rzeczywiście nie ma rozerwań – zgodziłam się. – To mi wygląda raczej na dzieło jakiegoś ostrego narzędzia.

Oddał mi szkło powiększające i zajęłam się delikatnym wyjmowaniem zanieczyszczeń z rany plastikowymi szczypcami. Odkładałam je na kawałek czystej bawełnianej tkaniny. Na pobliskim stoliku stał mikroskop, więc wsunęłam pod niego tkaninę z zanieczyszczeniami i dokładnie je oświetliłam. Spojrzałam przez okular i nastawiłam ostrość.

W oświetlonym kręgu ujrzałam błyski kilku posrebrzanych opiłków metalu, takich, jakie odlatują przy tokarce. Przymocowałam do mikroskopu polaroid i wykonałam kilka kolorowych zdjęć o wysokiej rozdzielczości.

– Popatrzcie – powiedziałam.

Najpierw Fielding, a potem McGovern pochyłili się nad mikroskopem.

– Widzieliście kiedyś coś takiego? – zapytałam.

Poczekalam, aż pojawią się zdjęcia, bo chciałam się upewnić, czy wyraźnie wszystko widać.

– To mi trochę przypomina blaszki łuszczące się z choinkowej bombki – rzekł Fielding.

– Zostało po tym, co ją zraniło. – McGovern nie miała nic więcej do powiedzenia.

– Ja też tak myślę – przyznałam jej rację.

Wyjęłam białą tkaninę spod mikroskopu, zawinęłam metalowe opiłki i zaplombowałam.

– Kolejna sprawa dla laboratorium – powiedziałam do McGovern.

– Ile im to zajmie czasu? – zapytała. – Bo w razie czego możemy to zabrać do naszych laboratoriów w Rockville.

– Nie będzie żadnych problemów. – Spojrzałam na Fieldinga. – Nasi dadzą sobie radę.

– Okej – powiedział. – Lecimy dalej.

Otworzyłam szyję w poszukiwaniu urazów w tych okolicach. Zaczęłam od języka – musiałam go wyjąć, na co McGovern patrzyła ze stoickim spokojem. Mało przyjemnym zajęciem jest procedura oddzielania tkanek miękkich od twardych.

– Tu nie ma nic – powiedziałam, podnosząc język i wycierając go ręcznikiem. – Żadnych ugryzień wskazujących na atak epilepsji. Ani żadnych innych uszkodzeń.

Zajrzałam do gładkich dróg oddechowych i nie ujrzałam ani grama sadzy, czyli nie oddychała, gdy dosięgły jej płomień i gorąco. Dostrzegłam za to krew, co stanowiło następną przykrą wiadomość.

– Kolejny uraz sprzed zgonu – odezwałam się.

– Może coś na nią upadło, gdy była już martwa? – zapytała McGovern.

- To się nie dzieje w ten sposób.
- Zanotowałam to w karcie i podyktowałam przez nadajnik.
- Krew w drogach oddechowych oznacza, że ją wciągnęła – wyjaśniłam.
- A więc w chwili powstania urazu oddychała.
- Jaki to mógł być uraz? – zapytała McGovern.
- Przekłucie albo podcięcie gardła. Nie widzę żadnych śladów w podstawie czaszki ani w płucach, ani na karku, żadnych uszkodzeń ani złamanych kości. Miała ponad dwadzieścia lat i najprawdopodobniej nie została uduszona ręcznie ani za pomocą jakiegoś sznurka.

Znów zaczęłam dyktować do nadajnika.

- Skóra na podbródku i mięsień powierzchniowy spalone – mówiłam do mikrofonu. – Głęboko w tchawicy znalazłam skrzepniętą pod wpływem temperatury krew, to samo w pierwszym, drugim i trzecim oskrzelu. Zadławienie się krwią i krew w przełyku.

Wykonałam nacięcie w kształcie litery Y i otworzyłam odwodniony, zniszczony tułów. Dalsza część sekcji zwłok przebiegała rutynowo. Chociaż narządy były ugotowane, pozostały na miejscu, genitalia potwierdziły płeć denatki. W żołądku także miała krew, a poza tym był pusty i nierozepchany, co sugerowało, że kobieta niewiele jadła. Nie znalazłam jednak żadnych uszkodzeń czy ran – ani nowych, ani starych.

Nie mogłam precyzyjnie ustalić wzrostu, więc odwołałam się do tabeli Trottera i Glesera łączącej długość kości udowej z sylwetką ofiary. Usiadłam przy najbliższym biurku i przerzucałam „Osteologię człowieka” Bassa, aż w końcu znalazłam odpowiednią tabelę dla białej Amerykanki. Przy kości udowej mierzącej 50,2 centymetra wzrost wynosił około stu siedemdziesięciu siedmiu centymetrów.

Z wagą było trudniej, bo nie istniała żadna tabela, żaden wykres ani żadne naukowe obliczenia, które mogłyby mi służyć podpowiedzią. Prawdę

mówiąc, zazwyczaj określamy wagę na podstawie rozmiarów resztek ubrań, a w tym przypadku były to dzinsy ósemki. Tak więc na podstawie posiadanych danych mogłam w przybliżeniu określić jej wagę na od sześćdziesięciu do sześćdziesięciu pięciu kilogramów.

– Innymi słowy – powiedziałam do McGovern – była wysoka i bardzo szczupła. Wiemy też, że miała długie jasne włosy, najprawdopodobniej była aktywna seksualnie, swobodnie czuła się wśród koni i nie żyła już, gdy wybuchł pożar w domu Sparkesa. Wiemy też, że przed zgonem odniosła ciężką ranę w szyję i została ugodzona w lewą skroń. – Pokazałam palcem. – Jak zostały zadane rany, tego nie potrafię określić.

Gdy wstawałam od biurka i zbierałam swoje papiery, McGovern obserwowała mnie w zamyśleniu. Zdjęła z twarzy maskę i odwiązała troki fartucha.

– Da się jakoś określić, czy miała problemy z narkotykami? – zapytała. W tle uporczywie dzwonił telefon.

– Z całą pewnością toksykologia wykaże, czy była pod wpływem narkotyków – powiedziałam.

– Mogą się jeszcze znaleźć kryształki w płucach i ciała obce z ostrza, na przykład talk. A także włókna tkaniny używanej do odcedzania nieczystości. Niestety nie ma miejsc, gdzie mogłyby być widoczne miejsca po nakłuciach.

– A co z mózgiem? Czy długotrwałe stosowanie narkotyków nie powoduje jakichś widocznych szkód w mózgu? Może dałoby się wywnioskować, czy miała jakieś problemy psychiczne, jakieś psychozy czy coś w tym rodzaju? Ze słów Sparkesa wynika, że mogła być chora psychicznie. Nie dałoby się określić, czy miała depresje albo stany maniako-depresyjne?

Wkrótce czaszka była już otwarta, a na blacie leżał gumowaty, skurczony od ognia, nieruchomy mózg.

– Po pierwsze – odparłam – nic się nie da powiedzieć po zgonie, bo mózg się ugotował. I choć nie o to chodzi, na razie szukanie związków pomiędzy budową morfologiczną a zjawiskami psychicznymi nadal należy do teorii. Na przykład poszerzenie bruzdy i zredukowanie szarej istoty spowodowane atrofią może dla nas być jakąś wskazówką, jeśli znamy masę mózgu z czasów, gdy dana osoba była zdrowa. Wtedy mogłabym być może powiedzieć: „Okej, teraz jej mózg waży sto gramów mniej niż przedtem, a więc być może cierpiała na jakąś chorobę psychiczną”. Jeśli nie miała żadnych defektów lub starych ran sugerujących istnienie problemu, to moja odpowiedź na twoje pytanie brzmi: nie da się.

McGovern milczała i wcale nie dlatego, że poczuła się dotknięta moim oficjalny tonem pozbawionym jakiegokolwiek odcienia serdeczności. Chociaż zdawałam sobie sprawę, że postępuję z nią ostro, to nie mogłam się zdobyć na ocieplenie stosunków. Rozejrzałam się w poszukiwaniu Ruffina. Stał przy pierwszym stanowisku i igłą oraz nicią zaszywał nacięcie w kształcie litery Y. Skinęłam do niego i zaraz podszedł. Był jeszcze za młody, żeby się martwić, że zbliża się trzydziestka, miał za sobą odpowiednie szkolenie i praktykę w zakładzie pogrzebowym.

– Chuck, jak skończysz, odwieź ją do chłodni – powiedziałam.

– Dobrze.

Wrócił na swoje stanowisko dokończyć pracę, a ja zdjęłam rękawice i razem z maską wrzuciłam je do jednego z licznych tutaj czerwonych pojemników na niebezpieczne biologicznie przedmioty.

– Chodźmy do mojego gabinetu na kawę – zaproponowałam McGovern, starając się przejść na mniej oficjalny poziom. – Przy okazji dokończymy dyskusję.

W przebieralni umyłyśmy się mydłem antybakteryjnym, ja się przebrałam. Miałam pytania do McGovern, ale byłam też ciekawa jej samej.

– A wracając do chorób psychicznych wywoływanych narkotykami – powiedziała McGovern, gdy szłyśmy korytarzem. – Wielu z tych ludzi dokonuje samodestrukcji, zgadza się?

– W ten czy inny sposób.

– Umierają w wypadkach, popełniają samobójstwa, a to znów prowadzi nas do pytania najważniejszego – mówiła. – Czy z taką sytuacją mamy do czynienia tym razem? Czy możliwe jest, że popełniła samobójstwo?

– Z tego, co wiem, przed śmiercią zadano jej ranę – przypomniałam.

– Ale mogła tego dokonać sama, jeśli miała nie po kolei w głowie – powiedziała. – Bóg jeden wie, jakie rodzaje okaleczeń przychodzą psychopatom do głowy.

To była prawda. Widziałam już przypadki, kiedy ludzie sami sobie podcinali gardła lub wbijali ostry przedmiot w pierś, amputowali kończynę, strzelali w narządy płciowe czy też wchodzili do rzeki, żeby się utopić. Nie mówiąc już o rzucaniu się z dużych wysokości lub samospaleniach. Lista okropieństw, jakie ludzie potrafią wyrządzić sami sobie, jest bardzo, bardzo długa. A kiedy pomyślę, że wszystkie je widziałam, patrzę na gatunek ludzki zupełnie innym okiem.

Gdy przekręcałam klucz w zamku, zaczął dzwonić telefon. Ledwie zdążyłam odebrać.

– Scarpetta – powiedziałam.

– Mam dla ciebie wyniki – powiedział toksykolog Tim Cooper. – Etanolu, metanolu, isopropanolu i acetonu nie wykryto. Tlenku węgla mniej niż jeden procent. Nad pozostałymi pracujemy.

– Dziękuję. Co ja bym bez ciebie zrobiła?

Odkładając słuchawkę, spojrzałam na McGovern, a potem powtórzyłam, czego się dowiedziałam od Coopera.

– Nie żyła przed pożarem – wyjaśniłam. – Przyczyną jej śmierci było wykrwawienie i uduszenie spowodowane wciągnięciem krwi, bo w wyniku poważnego zranienia szyi obficie krwawiła. Sposób zadania rany określi być może dalsze dochodzenie, ale możemy chyba założyć zabójstwo. Na razie trzeba ją zidentyfikować. I od tego właśnie zacznę.

– I ja mam przyjąć, że ta kobieta wznieciła pożar i być może podcięła sobie gardło, zanim ją dopadł ogień? – zapytała z odrobiną zagniewania.

Nie odpowiedziałam, zajęta odmierzaniem kawy do ekspresu.

– Nie sądzisz, że to trochę za daleko posunięte założenia?

Nalałam butelkowanej wody i wcisnęłam guzik.

– Kay, nikomu to zabójstwo nie jest potrzebne – mówiła. – Zarówno z powodu Kennetha Sparkesa, jak i wszystkiego, co z tego wyniknie. Mam nadzieję, że wiesz, na co się porywasz.

– I na co się porywa ATF – powiedziałam, siadając za zawalonym papierami biurkiem.

– Słuchaj, nie obchodzi mnie, kim on jest – odparła. – Każdą robotę wykonuję z pełnym zaangażowaniem i po to, żeby doprowadzić do aresztowania. Ale nie mam zamiaru użerać się z politykami.

Ja jednak nie myślałam teraz o Sparkesie i mediach. Zastanawiałam się, dlaczego tak głęboko mnie ta sprawa poruszyła, i nie mogłam tego pojąć.

– Ile czasu będziecie jeszcze na tych zgliszczach? – zapytałam.

– Jeszcze dzień, najwyżej dwa – odparła. – Sparkes i firma ubezpieczeniowa dały nam wykaz rzeczy znajdujących się w domu. Za znakomite paliwo mogły posłużyć już same antyczne podłogi, meble i boazerie.

– A co w sprawie łazienki? – zapytałam. – Można powiedzieć, że tam się znajdował punkt zapalny?

Zawahała się.

– Tu jest pewien problem.

– No właśnie. Bo skoro nie został zastosowany żaden środek przyspieszający palenie, a w każdym razie nie pochodna ropy, to w jaki sposób mogło do tego dojść?

– Wszyscy nad tym główkujemy – powiedziała. Widać było jej frustrację. – Ja też. Mogę próbować określić, ile trzeba energii, żeby pomieszczenie zajęło się ogniem. A żadnego dodatkowego paliwa tam nie było. Sparkes twierdzi, że w łazience trzymał tylko wycieraczkę i ręczniki. Szafki były obite metalową blachą. Kabina prysznicowa miała szklane drzwi. Na oknie zasłony. – Przerwała na moment, gdy zbulgotał ekspres do kawy. – Więc o czym mowa? – kontynuowała. – Pięćset czy sześćset kilowatów na pomieszczenie trzy na cztery metry? Oczywiście muszą być inne warianty. Trzeba oszacować, ile powietrza dostawało się przez drzwi...

– A co z resztą domu? Mówiłaś, że było tam dużo paliwa.

– Kay, koncentrujemy się tylko na jednym pomieszczeniu. Tym, w którym został podłożony ogień. Bez punktu zapalnego reszta materiałów łatwo palnych się nie liczy.

– Rozumiem.

– Wiemy, że ogień oddziaływał na sufit w łazience. Wiemy więc, jaki musiał być wysoki i ile kilowatów było trzeba do jego wzniesienia. Kilka ręczników, wycieraczka i zasłony dałyby niewielki ułamek potrzebnej energii.

Wiedziałam, że bilanse energetyczne to sprawa czysto matematyczna, i nie wątpiłam w żadne ze słów McGovern. Ale nie o to chodziło. Nadal miałam ten sam problem. Istniały powody, by domniemywać, że przed

wzniesieniem ognia zostało popełnione morderstwo, a ofiara znajdowała się w łazience na niepalnej marmurowej podłodze, przy dużych lustrach i metalowych powierzchniach. Mogła też leżeć w wannie.

– A co ze świetlikiem w suficie? – zapytałam. – Pasuje do twojej teorii?

– Tak. Płomienie musiały być na tyle wysokie, że szkło popękało, a potem przez otwór, jak przez komin, wylatywało ciepło. Każdy pożar ma swój własny charakter, ale pewne zjawiska we wszystkich przypadkach są jednakowe, bo wynikają z praw fizyki.

– Rozumiem.

– Istnieją cztery etapy – mówiła tak, jakbym się na tym nie znała. – Najpierw mamy pióropusz ognia, gdy unoszą się płomienie, dym i gorące gazy. Tak może być, jeśli, powiedzmy, zajęła się ogniem wycieraczka. Gazy im wyżej się unoszą, tym są chłodniejsze i bardziej zagęszczone. Tam mieszają się z produktami ubocznymi spalania i zaczynają opadać, cykl się powtarza, tworzy się dym rozchodzący w poziomie. Gorące warstwy dymu nadal opadają, aż znajdą sobie drogę ujścia – w tym przypadku możemy założyć, że były to drzwi. Warstwy dymu wydostają się, a wlatuje świeże powietrze. Przy odpowiedniej ilości tlenu temperatura przy suficie mogła osiągnąć nawet sześćset stopni Celsjusza. Sufit może się zająć ogniem. I nagle mamy już rozwinięty pożar.

– Pożar wybuchający w łazience – powiedziałam.

– A gdy przeniósł się do pełnych tlenu i materiałów łatwo palnych pozostałych pomieszczeń, łatwo mógł spalić wszystko doszczętnie. I tak się właśnie stało. Nie dręczy mnie samo rozchodzenie się ognia, tylko jego wzniesienie. Jak już mówiłam, zasłony, wycieraczka i ręczniki to za mało. Chyba że było tam jeszcze coś.

– Może było – powiedziałam, wstając z miejsca, żeby nalać kawy. – Jaką pijesz?

– Z cukrem i śmietanką. – Odprowadziła mnie wzrokiem. – Tylko żadnych sztucznych wynalazków.

Ja zrobiłam sobie czarną. Gdy stawiałam kawę na biurku, McGovern rozglądała się po moim nowym gabinecie. Oczywiście był jaśniejszy i bardziej nowoczesny od tamtego w starym budynku przy rogu Czternastej i Franklina, ale wcale nie miałam za dużo miejsca. A najgorsze, że uhonorowano mnie gabinetem dyrektorskim w rogu budynku, z dużymi oknami, a kto rozumie lekarzy, wie, że potrzebujemy ścian, aby ustawiać półki na książki, a nie kuloodpornych szyb z widokiem na autostradę do Petersburga. Setki medycznych, prawnych i specjalistycznych wydawnictw, czasopism i potężnych woluminów musiałam układać na półce podwójnie. Moja sekretarka Rosy nie raz wysłuchiwała przekleństw, gdy nie mogłam znaleźć książki, która akurat w danym momencie była mi potrzebna.

–Teen – powiedziałam, podnosząc kawę – chciałam skorzystać z szansy i podziękować ci za opiekę nad Lucy.

– Ona sama potrafi o siebie zadbać.

– Nie zawsze tak było. – Uśmiechnęłam się, żeby okazać więcej życzliwości i zagłuszyć ból i zazdrość kłujące mnie w serce. – Ale masz rację – dodałam.

– Chyba ma teraz odpowiednią dla siebie pracę. Na pewno jej się wszystko ułoży w Filadelfii.

McGovern potrafiła odczytać każdy wysyłany przeze mnie sygnał, robiła to nawet sprawniej, niżbym chciała.

– Kay, jej nigdzie nie będzie łatwo – powiedziała. – Cokolwiek ja bym zrobiła. – Zakręciła kawę w kubku, jakby był to kubek z winem. – Jestem jej przełożoną, a nie matką.

Zirytowały mnie trochę te słowa i okazałam to, gdy szybkim ruchem podniosłam słuchawkę telefonu i poleciłam Rosę nie łączyć do mnie

nikogo. Wstałam i zamknęłam drzwi.

– Mam nadzieję, że nie została przeniesiona do biura na twoim terenie, bo potrzebuje matki – powiedziałam chłodnym głosem, wracając do biurka stanowiącego dzielącą nas barierę. – Lucy jest przede wszystkim dobrą profesjonalistką.

McGovern uniosła dłoń, żeby mnie powstrzymać.

– Oczywiście – zaprotestowała. – Ja niczego nie przesądzam. Jest dobra, ale ma do przezwyciężenia wiele przeciwności. Czasami przeszłość w FBI będzie działać na jej niekorzyść. Będzie ją określać jako kogoś, kto postępuje samowolnie, ma złe przyzwyczajenia i brak mu praktyki.

– Taki stereotyp długo nie przetrwa – powiedziałam. Było mi bardzo trudno obiektywnie rozmawiać z nią o siostrzenicy.

– Dopóki nie zobaczą, jak sadza helikopter, lub nie dowiedzą się, że programowała roboty do usuwania bomb – zażartowała. – Albo nie zorientują się, że oblicza Q w głowie szybciej, niż inni zaczną się zastanawiać, jak to wykonać na kalkulatorze.

Q to żargonowa nazwa matematycznego równania lub naukowych wyliczeń stosowanych do szacowania chemicznych i fizycznych cech pożaru na podstawie tego, co inspektor zauważył na miejscu lub czego dowiedział się od świadków. Nie sądziłam, aby umiejętność przeprowadzania tak ezoterycznych kalkulacji w głowie przysporzyła jej zbyt wielu przyjaciół.

– Teen – powiedziałam łagodniejszym tonem.

– Lucy jest inna i nie zawsze dobrze na tym wychodzi. Pod wieloma względami bycie geniuszem to zarówno przewaga, jak i kłopot.

– Zgadzam się. Lepiej zdaję sobie z tego sprawę, niż jesteś w stanie sobie wyobrazić.

– Na ile możesz to zrozumieć – powiedziałam tak, jakbym przekazywała jej pałeczkę w sztafecie trudnego rozwoju Lucy.

– A jeśli ty to potrafisz zrozumieć, to wiedz, że była i będzie traktowana na równi z innymi. Ale chodzi też o reakcje innych inspektorów na jej przeszłość, w tym na plotki związane z powodami opuszczenia FBI i z jej złożonym życiem osobistym – powiedziała uczciwie.

Długo mierzyłam ją wzrokiem, zastanawiając się, ile ona naprawdę wie o Lucy. Jeśli nie doniósł jej nikt z FBI, nie było powodów sądzić, że wie cokolwiek na temat romansu mojej siostrzenicy z Carrie Grethen i wynikających z tego implikacjach, które mogą mieć znaczenie podczas procesu – jeżeli Carrie zostanie złapana. Moje niezręczne milczenie zachęciło McGovern do przejęcia inicjatywy.

– Mam syna – powiedziała cicho. Napiała się kawy. – Wiem, co to znaczy, gdy dziecko dorasta i nagle odchodzi. Obiera własną drogę i jest zbyt zajęte, żeby odwiedzić rodziców czy choćby zadzwonić.

– Lucy już dawno dorosła – odezwałam się szybko, bo wcale nie chciałam jej współczucia.

– Poza tym nigdy ze mną nie mieszkała. Przynajmniej na stałe. Zawsze gdzieś wyjeżdżała.

McGovern tylko uśmiechnęła się i wstała zza biurka.

– Chyba już pójdę – powiedziała. – Muszę skontrolować swoich ludzi.

Rozdział szósty

Tego samego dnia o czwartej po południu mój personel pracował jeszcze w sali sekcji zwłok. Poszłam poszukać Chucka. Razem z dwoma stażystami zajmował się zwłokami spalonej kobiety, ostrożnie obskrobywali ją plastikowymi szpachelkami, ponieważ każde mocniejsze pchnięcie mogło naruszyć kości.

Pod czepkiem lekarskim i maską Chucka widać było pot, gdy zdrapywał tkankę z czaszki. Jego brązowe oczy tylko czasami spoglądały spod osłony twarzy. Był wysoki, dobrze zbudowany, miał krótkie jasne włosy, które sterczały bez względu na rodzaj użytego żelu. Był mężczyzną atrakcyjnym, a pomimo roku pracy nadal się mnie bał.

– Chuck – odezwałam się, patrząc na jedno z najbardziej upiornych zajęć w medycynie sądowej.

– Tak?

Przerwał zdrapywanie i spojrzał na mnie ukradkiem. Odór stawał się coraz bardziej nieznośny, niezamrożone ciało z minuty na minutę ulegało rozkładowi. Nie cieszyłam się z powodu czynności, która mnie teraz czekała.

– Teraz ja się nią zajmę – powiedziałam do Ruffina, który był tak wysoki, że podczas rozmowy często pochylał głowę jak zółw. – Nasze stare garnki już się nie nadadzą.

– Chyba już poszły na śmieci – odrzekł.

– I słusznie. A to znaczy, że musimy po nie skoczyć.

– Teraz?

– Tak.

Nie tracąc czasu, poszedł prosto do męskiej przebieralni, ściągnął brudne, śmierdzące ubrania, a pod prysznicem nie zdążył nawet dokładnie zmyć szamponu z włosów. Twarz miał czerwoną od wycierania, gdzieniegdzie widziałam jeszcze kropelki wody, gdy spotkaliśmy się na korytarzu i dawałam mu kluczyki. W garażu stał zaparkowany należący do prosektorium ciemnoczerwony tahoe. Wsiadłam na fotel dla pasażera i pozwoliłam prowadzić Ruffinowi.

– Jedziemy do „Wyposażenia restauracji” Cole’a – powiedziałam, gdy wielki silnik ożył. – Jakies dwa kwartały za Parham na Broad. Wjedźmy na sześćdziesiątkę czwórkę i wyjedziemy przy West Broad. Tam ci pokażę.

Nacisnął guzik na pilocie i ciężka brama się uniosła, wpuszczając do środka promienie słońca, których jeszcze tego dnia nie widziałam. Właśnie zaczęła się pora szczytu i za pół godziny miało zrobić się strasznie tłoczno. Ruffin prowadził jak stara baba, miał na nosie okulary słoneczne i jechał osiem kilometrów poniżej dopuszczalnej prędkości.

– Mógłbyś jechać nieco szybciej – zaproponowałam delikatnie. – Zamykają o piątej, więc musimy się trochę pośpieszyć.

Wcisnął gaz, przyśpieszył i wsunął rękę do pojemniczka z kartami na przejazd autostradą.

– Pani doktor, chciałbym zadać pani pytanie.

– Proszę bardzo. Śmiało.

– Ale to trochę dziwne.

Spojrzał w lusterko wsteczne.

– W porządku.

– Wie pani, widziałem już wiele rzeczy i w szpitalu, i w zakładzie pogrzebowym – zaczął nerwowo. – I właściwie nic mnie już nie rusza.

Zwolnił przy bramkach na autostradę, wsunął kartę w otwór, podniósł się czerwony szlaban i wjechaliśmy na prawy pas. Z lewej strony mijały nas

rozpędzone samochody. Ruffin zamknął okno.

– To normalne, przyzwyczałeś się – wyjaśniłam.

Ale nie to chciał mi powiedzieć.

– Widzi pani, przeważnie przychodzę rano do prosektorium przed panią – mówił wpatrzony przed siebie. – Dlatego odbieram telefony i wszystko dla pani przygotowuję. No tak, bo jestem wtedy sam, prawda?

Skinęłam głową, nie miałam pojęcia, o co mu chodzi.

– To się zaczęło jakieś dwa miesiące temu, jeszcze w starym budynku. Około wpół do siódmej rano, tuż po moim przyjściu, zaczyna dzwonić telefon. A gdy odbieram, nikt się nie odzywa.

– I często tak się dzieje? – zapytałam.

– Jakieś trzy razy na tydzień. A czasami codziennie. I to trwa nadal.

Teraz bardziej zainteresowałam się jego słowami.

– Po przeprowadzce? – Chciałam się upewnić.

– Oczywiście. Przecież mamy ten sam numer – przypomniał mi. – Dzisiaj było to samo i zacząłem trochę mieć pietra. Może powinniśmy się dowiedzieć, co tu jest grane.

– Proszę mi dokładnie powiedzieć, co się dzieje, gdy podnosisz słuchawkę – powiedziałam, gdy jechaliśmy autostradą dokładnie z dozwoloną prędkością.

– Mówię: „Prosektorium” – odparł. – A ten ktoś z drugiej strony nie wypowiada ani słowa. Jest cisza, zupełnie jakby doszło do rozłączenia. Wtedy kilka razy mówię „Halo?” i w końcu odkładam słuchawkę. Tam na pewno ktoś jest. To się czuje.

– Dlaczego mi wcześniej o tym nie powiedziałaś?

– Wolałam się upewnić, że nie przesadzam, że nie daję się za bardzo ponieść wyobraźni. Bo to wygląda trochę makabrycznie, jest ranek, słońce jeszcze nie wzeszło, a dokoła ani żywej duszy.

– I to się zaczęło dwa miesiące temu?

– Mniej więcej – odpowiedział. – Na początku nie zwracałem na to uwagi.

Zdenerwowało mnie trochę, że tak długo czekał, żeby mi to powiedzieć, ale nie było powodu, żeby teraz to rozgrzebywać.

– Przekażę to kapitanowi Marino. Gdyby się to powtórzyło, proszę zaraz dać mi znać, dobrze?

Skinął głową, od zaciskania dłoni na kierownicy zbieleły mu kostki.

– Za następnymi światłami powinien być duży, beżowy budynek. Po lewej stronie, zaraz za JoPa.

Do zamknięcia sklepu pozostało piętnaście minut, gdy stanęliśmy na parkingu obok dwóch wozów. Wysiedliśmy i weszliśmy do klimatyzowanego pomieszczenia z półkami od podłogi do sufitu, na których pełno było wszystkiego, co potrzebne do wyposażenia restauracji: wielkie łyżki wazowe i łyżeczki do kawy, piecyki do bufetów, miksery i ogromne ekspresy do kawy. Mnie interesowały kociołki i po krótkich poszukiwaniach odnalazłam odpowiedni dział trochę z tyłu, za elektrycznymi rondlami i kubkami z podziałką.

Zacząłam przebierać pomiędzy aluminiowymi garami i kociołkami, gdy zjawił się sprzedawca. Był łysy, z dużym brzuchem i wytatuowanymi na prawym przedramieniu nagimi kobietami grającymi w karty.

– Czym mogę służyć? – zapytał Ruffina.

– Chciałam największy garnek, jaki tylko macie – odpowiedziałam.

– Czterdzieści litrów.

Sięgnął na półkę, za wysoką dla mnie, po czym wręczył Ruffinowi gigantyczny gar.

– Muszę mieć pokrywkę – powiedziałam.

– Trzeba będzie dopasować.

- A ma pan coś prostokątnego i głębokiego?
- Chodziło mi o coś do gotowania długich kości.
- Mam dwudziestolitrowy rondel.

Sięgnął na drugą półkę, zaklekotał metal i sprzedawca wyjął rondel przeznaczony zapewne do gotowania ziemniaków, jarzyn i mięs.

- Do tego też nie ma przykrywki? – zapytałam.
- Też.

Zabrzęczały pokrywki w różnych rozmiarach, aż w końcu sprzedawca wyjął jedną z nich.

- Tutaj jest specjalne nacięcie na chochlę. Chochlę też podać?

– Nie, dziękuję – odparłam. – Ale poproszę o coś długiego do mieszania, najlepiej z drewna lub plastiku. Aha, i jeszcze odporne na temperaturę rękawice. Dwie pary. Jeszcze coś? – W zastanowieniu spojrzałam na Ruffina. – Może jeszcze jakiś dwudziestolitrowy garnek na mniejsze rzeczy? – zaproponowałam.

– Dobra myśl – zgodził się. – Ten duży po napełnieniu wodą zrobi się strasznie ciężki. A przy mniejszych rzeczach nie warto go wyciągać. Ale teraz i tak będzie potrzebny ten większy, no nie?

Sprzedawca był skołowany naszą niejasną rozmową.

– Proszę mi powiedzieć, co państwo zamierzają gotować, to może będę mógł w czymś doradzić – zaproponował, znów Ruffinowi.

- Takie różności – odpowiedziałam. – Normalnie.

– Rozumiem – rzekł, chociaż wcale nie rozumiał. – Czy podać coś jeszcze?

- To wszystko – odparłam z uśmiechem.

Przy ladzie wystukał na kasie sto siedemdziesiąt siedem dolarów za artykuły restauracyjne, a ja wyjęłam portfel i zaczęłam szukać karty MasterCard.

– Ma pan może rabaty dla instytucji rządowych? – zapytałam, gdy brał ode mnie kartę.

– Nie – powiedział, masując sobie podbródek i przyglądając się karcie. – Zdaje się, że słyszałem pani nazwisko kiedyś w telewizji. – Spojrzał podejrzliwym wzrokiem. – Już wiem. – Strzelił palcami. – Parę lat temu kandydowała pani do Senatu. A może na zastępcę gubernatora? – pytał zadowolony z siebie.

– O nie – odparłam. – Staram się trzymać z daleka od polityków.

– I ja także! – zawołał głośno, gdy szliśmy z Ruffinem do drzwi. – Same gnidy. Co do jednego!

Po powrocie do prosektorium poleciłam Ruffinowi zabranie szczątków ofiary pożaru z chłodni i przeniesienie ich do sali dekompozycyjnej. Wysłuchałam wiadomości telefonicznych, większość pochodziła od dziennikarzy. Zdałam sobie sprawę, że nerwowo ciągnę się za włosy, gdy nagle w drzwiach ukazała się Rose.

– Wyglądasz tak, jakbyś miała dzisiaj kiepski dzień – odezwała się.

– Nie gorszy niż zwykle.

– Może zrobić ci herbaty cynamonowej?

– Nie – odparłam. – Ale dziękuję. Położyła mi na biurku plik świadectw zgonu i dodała jeszcze masę innych dokumentów do podpisu lub zatwierdzenia. Ubrana była w granatowe spodnie, jasnoczerwoną bluzkę i zwykłe spacerowe sznurowane buty ze skóry.

Przekroczyła już wiek emerytalny, chociaż po twarzy zupełnie nie było tego widać – miała arystokratyczne rysy i subtelny makijaż. Lecz włosy stały się już śnieżnobiałe, a w krzyżu, biodrach i palcach dawał się we znaki artretyzm, toteż coraz bardziej było jej niewygodnie siedzieć za biurkiem i troszczyć się o mnie tak, jak troszczyła się od mego pierwszego dnia pracy w tej instytucji.

– Już prawie szósta – powiedziała, patrząc dobrotliwie.

Spojrzałam na zegarek i zaczęłam przeglądać oraz podpisywać dokumenty.

– Idę na kolację do kościoła – odezwała się dyplomatycznie.

– Świetnie – odpowiedziałam, marszcząc brwi przy czytaniu. – Cholera, ile razy będę jeszcze powtarzać doktorowi Carmichaelowi, żeby nie pisał na świadectwie „wstrzymanie akcji serca”. Jezu, przecież każdy umiera na wstrzymanie akcji serca. Skoro umierasz, serce przestaje działać, no nie? Inny jego numer to „wstrzymanie oddychania”. Ile razy przeglądam jego dokumenty, zawsze to samo. – Podpisałam z oburzeniem. – Ile on lat był lekarzem sądowym w Halifax County, co? – kontynuowałam tyradę. – Chyba ze dwadzieścia pięć.

– Proszę nie zapominać, że doktor Carmichael się starzeje – przypomniała mi Rose. – Ma też swoje nawyki. To miły starszy pan, który nie jest już w stanie nauczyć się niczego nowego. Swoje raporty pisze na maszynie Royal z rozklekotanymi klawiszami. A o kolacji w kościele wspomniałam dlatego, że mam tam być za dziesięć minut. – Przerwała, gdy spojrzałam na nią znad okularów. – Ale mogę zostać, jeśli chcesz – dodała.

– Mam do zrobienia jeszcze parę rzeczy – powiedziała. – I na pewno nie chciałabym, żeby kolidowały one z kościelną kolacją. Z Bogiem i tak już jestem na bakier.

– A zatem dobranoc – powiedziała Rose. – To, co mi podyktowałaś, masz u siebie na biurku. Do zobaczenia jutro rano.

Gdy na korytarzu umilkły jej kroki, ogarnęła mnie cisza przerywana jedynie szelestem papieru przesuwanego po biurku. Myślałam o Bentonie i powstrzymałam się przed zadzwonieniem do niego, bo nie chciałam jeszcze pozwolić sobie na odprężenie, a być może nie chciałam poczuć się człowiekiem. Mimo wszystko trudno się czuć zwykłym człowiekiem ze

zwykłymi emocjami, kiedy ma się ugotować ludzkie szczątki w dużym kotle na zupę. Kilka minut po siódmej poszłam korytarzem do sali dekompozycyjnej znajdującej się niedaleko chłodni.

Przekręciłam w zamku klucz i weszłam do małej sali autopsyjnej z zamrażarką i specjalnym systemem wentylacji. Szczątki leżały na ruchomym stole i były przykryte prześcieradłem. Na elektrycznym palniku stał nowy czterdziestolitrowy kocioł z wodą. Włożyłam maskę, rękawice i maksymalnie zmniejszyłam moc palnika, żeby nie niszczyć dalej kości. Dolałam dwie miarki środka do prania bielizny i filizankę wybielacza, żeby przyspieszyć wyluzowanie błony włóknistej, tkanki chrzestnej i tłuszczu.

Podniosłam prześcieradło, odsłaniając kości prawie całkowicie pozbawione tkanki i wyglądające żałośnie jak nadpalone bierwiona. Ostrożnie włożyłam do kotła kości udowe, piszczele, a potem miednicę i części czaszki. Kręgi i żebra dołączyły później, gdy woda była gorętsza, i po pomieszczeniu zaczęła rozchodzić się para o ostrym odorze. Musiałam obejrzeć gołe, czyste kości, bo one mogły mi co nieco powiedzieć, a nie było innego sposobu na uzyskanie właściwego efektu.

Na chwilę usiadłam na krześle, spod pokrywy głośno wydobywała się para. Byłam zmęczona. Czułam się samotna i wypompowana emocjonalnie. Woda się grzała, a resztki kobiety, która moim zdaniem została zamordowana, zaczynały ulegać w kotle przetworzeniu. Dla osoby, którą była ta kobieta, był to proces brutalny i poniżający.

– O Boże – westchnęłam, jakby Bóg mógł mnie jakimś cudem usłyszeć.
– Pobłogosław ją, gdziekolwiek teraz jest.

Trudno sobie wyobrazić człowieka zredukowanego do gotowanych w kotle kości i im dłużej na ten temat rozmyślałam, tym bardziej mnie to przygnębiało. Ktoś kiedyś ją kochał i coś w życiu zapewne osiągnęła, zanim jej ciało zostało w tak okrutny sposób poszatowane. Starłam się

nigdy nie rozbudzać w sobie nienawiści, ale teraz było już za późno. Naprawdę nienawidziłam sadystów stawiających sobie w życiu za cel zadawanie cierpienia, jakby miało ono być ich spełnieniem. Naprawdę denerwowały mnie egzekucje, ale tylko dlatego, że stanowiły przypieczętowanie bezlitosnych zbrodni i społeczeństwo lepiej o nich pamiętało.

W powietrzu unosił się coraz gorętszy i bardziej mdły smród, który nie zelżeje, dopóki kości będą ulegać reakjom. Wyobrażałam sobie szczupłą, wysoką blondynkę ubraną w dżinsy i ładne buciki, z platynową obrączką w tylnej kieszeni. Nie miała rąk i prawdopodobnie nie będę miała okazji sprawdzić, czy rozmiar jej palców pasował do obrączki. Ale to było mało prawdopodobne. Zapewne Fielding miał rację. Wiedziałam, że muszę zadać Sparkesowi jeszcze jedno pytanie.

Myślałam o jej ranach i starałam się wyobrazić sobie, w jaki sposób je zadano i dlaczego całkowicie ubrane ciało znalazło się w łazience. Właśnie umiejscowienie ciała wydawało mi się bardzo dziwne. Dżinsy miała na sobie, zamek zasunięty, pośladki z całą pewnością zasłonięte. Syntetyczne włókna wtopione w ciało nie dawały podstaw do podejrzeń, iż miała odsłonięte piersi. Zwłoki nie spełniały żadnych reguł związanych z zabójstwem na tle seksualnym. I wszystko świadczyło przeciwko takim motywom.

Sprawdzałam właśnie kości w kotle, gdy telefon zadzwonił i mnie wystraszył. Początkowo myślałam, że to może zakład pogrzebowy z jakimś ciałem, ale po migającym światełku zorientowałam się, że telefon jest na jednej z linii sali autopsyjnej. Natychmiast przypomniałam sobie słowa Ruffina o porannych głuchych telefonach i spodziewałam się usłyszeć ciszę.

– Tak – powiedziałam ostro.

- Jezu, ktoś ci narobił do zupy czy co? – odezwał się Marino.
- A – odparłam z ulgą. – Przepraszam. Myślałam, że kogoś się trzymają głupie żarty.
- Jakie żarty?
- Później ci opowiem. Co się stało?
- Siedzę na twoim parkingu i mam nadzieję, że mnie wpuścisz do środka.
- Zaraz zejdem.

Właściwie nawet się ucieszyłam z towarzystwa. Podbiegłam do garażu i wcisnęłam guzik na ścianie. Potężna brama zaczęła się unosić, a gdy Marino wsunął się do środka, zauważyłam niebo przykryte chmurami zwiastującymi deszcz. Ciemność nocy łagodziły latarnie sodowe.

- Dlaczego tak długo siedzisz w pracy? – zapytał swym zwykłym gburowatym tonem Marino, ściskając w ustach papieros.
- U mnie w pracy się nie pali – przypomniałam mu.
- Jakby komuś w tym towarzystwie mógł zaszkodzić dym.
- Paru z nas jeszcze oddycha.

Wyrzucił papieros na betonową podłogę i ze złością przydepnął go stopą, jak gdybyśmy jeszcze nigdy nie rozmawiali na ten temat. W gruncie rzeczy taka sprzeczka stanowiła nasz zwyczajny rytuał i w jakiś patologiczny sposób cementowała nasz związek. Byłam niemal pewna, że urażę uczucia Marina, jeżeli nie zwrócę mu uwagi.

- Możesz pójść ze mną do sali dekompozycyjnej – powiedziałam, zamykając bramę. – Jestem zajęta.
- Wiem, wiem – rzekł zrzędlwym tonem. – Wyczułem to przez telefon.
- Nie przejmuj się, to nic strasznego. Oczyszczam kości.
- Może to dla ciebie nic strasznego – powiedział – ale ja nigdy się nie przyzwyczaję do zapachu gotowanego człowieka.

Poszliśmy do sali i wręczyłam mu maskę chirurgiczną. Sprawdziłam, co się dzieje w kotle, zmniejszyłam temperaturę gotowania, żeby woda się nie przegrzała, i upewniłam się, że kości nie stykają się ze sobą i nie dotykają ścianek kotła. Marino naciągnął maskę na usta i nos i zawiązał sobie na plecach fartuch. W pojemniku na rękawice znalazł pasującą na siebie parę. Na ironię zakrawała jego obsesja na punkcie niedopuszczenia z zewnątrz żadnych zarazków zagrażających zdrowiu, chociaż sam żył stale w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Pocił się w stroju khaki, białej koszuli i krawacie, w ciągu dnia ochlapanym keczupem.

– Mam dla ciebie parę interesujących drobiazgów – rzekł, oparłszy się o błyszczący zlew. – Wysłaliśmy resztki tego spalonego mercedesa z za domu Sparkesa i wyszło, że to niebieski benz 240D z 1981 roku. Licznik kilometrów przekreślił się już chyba ze dwa razy. Zarejestrowany na doktora Newtona Joyce’a z Wilmington w Karolinie Północnej. Jest do tego doktora numer w książce, ale nie zastałem go. Zgłasza się tylko automatyczna sekretarka.

– Podobno Claire Rawley studiowała w Wilmington. A to blisko należącego do Sparkesa domu na plaży.

– No właśnie. Na razie wszystkie ślady wiodą w tamtym kierunku.

Tępy wzrokiem patrzył na parujący kocioł na palniku.

– Przyjechała cudzym wozem do Warrenton, dostała się jakoś do domu Sparkesa podczas jego nieobecności, została zamordowana, a potem spłonęła w pożarze – mówił, uciskając sobie skronie. – Powiem ci, ta sprawa śmierdzi tak samo jak to, co tutaj pichcisz, doktoru. Musieliśmy przeoczyć jakiś bardzo ważny element, bo inaczej nic tu nie ma sensu.

– Czy w okolicach Wilmington mieszkają jacyś Rawleyowie? – zapytałam. – Może miała krewnych?

– Są dwie rodziny, ale żadna nie słyszała nigdy o żadnej Claire – odparł.

– A uniwersytet?

– Jeszcze nie mamy wiadomości – odpowiedział, gdy po raz kolejny poszłam zajrzeć do kotła. – Myślałem, że ty tam skoczysz.

– Rano.

– Masz zamiar całą noc gotować ten syf?

– Bynajmniej – powiedziałam wyłączając ogrzewanie. – Dalej będzie stało gorące, a ja idę do domu. Którą tam mamy godzinę? O Boże, prawie dziewiąta. A ja jutro rano muszę być w sądzie.

– No to spadamy stąd.

Zamknęłam na klucz drzwi do sali dekompozycyjnej i otworzyłam bramę. Dostrzegłam kłębiaste chmury wpływające na księżyc niczym rozpędzone łodzie, wiatr wpadł do środka i szumiał po zakątkach budynku. Marino odprowadził mnie do samochodu i bez jakiegokolwiek widocznego pośpiechu zaczął zapalać papierosa.

– Nie chcę ci mieszać w głowie – powiedział. – Ale powinnaś wiedzieć o pewnej rzeczy.

Otworzyłam drzwi do samochodu i usiadłam za kierownicą.

– Aż się boję pytać – odparłam jak najszczerzej.

– Dzisiaj koło wpół do piątej po południu dzwonił do mnie Rex Willis z gazety. Prowadzi swoją rubrykę.

– Znam go.

Zapięłam pas bezpieczeństwa.

– Dostał z anonimowego źródła list w formie donosu prasowego. Nie za wesoły.

– Na jaki temat? – zapytałam. Czułam budzący się do życia dzwoneczek alarmowy.

– Hm, prawdopodobnie od Carrie Grethen. Pisze, że uciekła z Kirby, bo była straszona przez fedziów. I że na pewno by ją zamordowali za coś,

czego nie zrobiła. Utrzymuje, że w czasie morderstw miałaś romans z ważną osobą zainteresowaną sprawą, Bentonem Wesleyem, i że „pseudodowody” świadczące przeciwko niej zostały spreparowane. Obydwoje zmówiliście się, żeby FBI nie straciło twarzy.

– Skąd wysłała list? – zapytałam z narastającą złością.

– Z Manhattanu.

– Był zaadresowany do Willisa?

– Tak.

– A on oczywiście nie ma zamiaru nic z tym zrobić.

Marino wyglądał niepewnie.

– Słuchaj, kiedy ostatnio dziennikarz nic nie robił, mając taki temat?

– Boże drogi! – wybuchłam zapalając silnik.

– Czy te media już całkiem powariowały? Chcą wydrukować list od psychopatki?

– Mam egzemplarz. Możesz popatrzeć.

Wyciągnął z kieszeni i wręczył mi zwiniętą kartkę papieru.

– To faks. Oryginał jest już w laboratorium. Będą go porównywać z innymi dokumentami.

Drżącymi rękami rozwinęłam kartkę, ale nie poznałam starannych liter wypisanych czarnym atramentem. List ten zupełnie nie przypominał dziwnych czerwonych bazgrołów, które dostałam od Carrie. Sama treść również przedstawiona była jasno i przejrzysto. Przez chwilę przeglądałam śmieszna argumentację, aż zatrzymałam się na ostatnim, długim akapicie.



A co do agentki specjalnej Lucy Farinelli, to robiła wspaniałą karierę tylko dzięki swej wpływowej cioci, głównej patolog, doktor Scarpencie, która od lat kryje błędy i grzeszki swojej siostrzenicy. Kiedy byłyśmy w Quantico, to Lucy mnie poderwała, a nie ja ją, jak się najprawdopodobniej

będzie mówiło w sądzie. Prawda, że byliśmy przez pewien czas kochankami, co z jej strony stanowiło manipulację, bo miałam być przykrywką dla niej, gdy cały czas pieprzyła coś z systemem CAIN. Chwaliła się pracą, której wcale nie wykonała. Przysięgam na Boga, że to prawda. Przysięgam. Proszę Pana, niech Pan wydrukuje ten list, żeby wszyscy zobaczyli. Nie chcę się ukrywać przez resztę życia, nie chcę, żeby społeczeństwo było przekonane o moich strasznych przestępstwach, których nie popełniłam. Moją jedyną nadzieję na wolność i sprawiedliwość stanowi to, że ludzie zrozumieją prawdę i coś z tym zrobią.

*Z błogosławieństwem,
Carrie Grethen*

Marino palił w milczeniu, a gdy skończyłam czytać, odezwał się: – Ta osoba wie za dużo. Nie mam wątpliwości, że to pisała ta suka.

– Do mnie napisała list sprawiający wrażenie, że jest szalona. A teraz to... To wygląda na pismo całkiem rozumnej osoby. – Byłam tak zdenerwowana, że aż robiło mi się niedobrze. – Gdzie tu sens, Marino?

Wzruszył ramionami, z nieba poleciały pierwsze krople deszczu.

– Powiem ci, jakie jest moje zdanie. Tobie wysłała sygnał. Chce, abyś wiedziała, że wszystkich dokoła może robić w konia. Nie miałyby zabawy, gdyby nie mogła cię wkurzyć i rozwalić ci dnia.

– Benton już o tym wie?

– Jeszcze nie.

– Naprawdę myślisz, że gazeta to wydrukuje? – zapytałam raz jeszcze z nadzieją, że tym razem odpowiedź będzie inna.

– Sama wiesz, że tak.

Wyrzucił niedopałek papierosa, iskierki rozpierzchły się po ziemi.

– Pójdzie artykuł o tym, że psychopatyczna, notoryczna morderczyni skontaktowała się z nimi, podczas gdy poszukuje jej połowa organów ścigania w kraju – powiedział. – A co gorsza, nie można stwierdzić, czy czasem takich samych listów nie wysłała również gdzie indziej.

- Biedna Lucy – jęknęłam.
- Tak, wszystkim nam nielekkko.

Rozdział siódmy

Kiedy wracałam do domu, padał deszcz tak rzęsisty, że przez szybę prawie nic nie widziałam. Wyłączyłam radio, bo tego dnia nie chciałam już słyszeć żadnych wiadomości. Byłam pewna, że w nocy nie zmruję oka z powodu podekscytowania. Dwa razy musiałam zwolnić do pięćdziesiątki, gdy mój ciężki mercedes sedan wjeżdżał w kałużę i czułam się jak w łodzi motorowej. Przy ulicy West Cary woda wypełniła dosłownie każdy otwór i zagłębienie w jezdni, a czerwone i niebieskie światła ostrzegawcze przebijające się przez ulewę przypominały mi, że nie trzeba się spieszyć.

Około dziesiątej zajechałam na podjazd przed swym domem. Poczułam w sercu strach, ponieważ światło na czujnik ruchu zamontowane przy drzwiach do garażu nie zapaliło się. Panowała absolutna ciemność. O świetle przypominał mi tylko warkot silnika i stukanie deszczu o dach. Przez moment wybierałam pomiędzy otwieraniem garażu a wciśnięciem gazu i ucieczką.

– To śmieszne – powiedziałam do siebie i wcisnęłam guzik pilota.

Ale drzwi nie zareagowały.

– Cholera!

Wrzuciłam wsteczny bieg i nie widząc ani podjazdu, ani murku z cegieł, ani krzaków, wycofałam samochód. Drzewko, w które uderzyłam, było małe, słabe i nie wyrządziło żadnych szkód, ale czułam, że przy tych wszystkich swoich manewrach zniszczyłam sporą część trawnika, zanim zajechałam pod sam dom, gdzie zegar umieszczony wewnątrz włączył światło na werandzie i w holu. Czujniki ruchu po obu stronach schodów

również nie zadziałały. Przekonywałam sobie, że z pewnością to deszcz spowodował jakieś spięcia w obwodach i spalenie bezpieczników.

Gdy otworzyłam drzwi, naleciało mi wody do samochodu. Zabrałam notatnik, aktówkę i wbiegłam po frontowych schodach. Zanim otworzyłam drzwi, przemokłam do suchej nitki, a witająca mnie cisza wzbudziła strach. Migające na klawiaturze światełka przy drzwiach oznaczały, że alarm przeciw włamaniowy nie działa lub też w jakiś sposób przepalił się bezpiecznik. Nie miało to znaczenia. Byłam przerażona i bałam się poruszyć. Stałam w holu, woda ociekała na parkiet, a moje myśli krążyły wokół najbliższego znajdującego się w domu pistoletu.

Nie mogłam sobie przypomnieć, czy odłożyłam glocka z powrotem do kuchennej szuflady. Tam z pewnością byłoby bliżej niż do sypialni czy gabinetu znajdujących się po drugiej stronie domu. Na okna i kamienne ściany napierał wiatr i smugi deszczu, a ja stałam, nasłuchując innych dźwięków w rodzaju skrzypnięć podłogi czy kroków na dywanie. Ogarniała mnie panika, upuściłam notatnik i aktówkę, rzuciłam się przez jadalnię do kuchni, ledwie udało mi się utrzymać na mokrych nogach. Wyszarpnęłam najniższą szufladę i niemal z okrzykiem ulgi chwyciłam pistolet.

Jakiś czas zajęło mi przeszukanie domu, zajrzałam do każdego pokoju. Uspokojona, że nie ma żadnych nieproszonych gości, zajrzałam do pomieszczenia na śmieci, gdzie mam skrzynkę z trzema bezpiecznikami, które rzeczywiście wysadziło. Przywróciłam porządek, od nowa ustawiłam alarm, przyrządziłam sobie irlandzką whiskey Black Bush z lodem i poczekałam, aż trochę uspokoją mi się nerwy. Potem zadzwoniłam do motelu Johnson's w Warrenton, ale nie zastałam Lucy. Spróbowałam więc złapać ją w mieszkaniu w Waszyngtonie, gdzie słuchawkę odebrała Janet.

– Cześć, mówi Kay – powiedziałam. – Mam nadzieję, że nikogo nie obudziłam.

– O, doktor Scarpetta – odezwała się Janet, która nie chciała mi mówić po imieniu, chociaż prosiłam ją o to już setki razy. – Nie, siedzę przy piwie i czekam na Lucy.

– Rozumiem – powiedziałaam rozczarowana. – Ma z Warrenton wrócić do domu?

– Tak, niedługo. Szkoda, że pani nie widzi, co tu się dzieje. Same pudła, wszędzie bałagan.

– A jak ty się z tym wszystkim czujesz, Janet?

– Jeszcze sama nie wiem – powiedziała. Dosłyszałam drżenie w jej głosie. – Kwestia przyzwyczajenia. Do wielu rzeczy już trzeba się było przystosowywać.

– Na pewno wszystko znakomicie wam się powie. – Napiłam się whiskey, nie bardzo wierzyłam w swoje słowa, ale bardzo się cieszyłam, że mogę w tej chwili porozmawiać z kimś o ciepłym ludzkim głosie. – Kiedy byłam mężatką, w dawnych czasach, Tony i ja żyliśmy w zupełnie innych światach – mówiłam. – Ale udawało nam się znajdować dla siebie czas. Pod pewnymi względami taka sytuacja była nawet lepsza.

– Ale rozwiedliście się – zauważyła uprzejmie.

– Nie od razu.

– Pani doktor, Lucy przyjedzie najwcześniej za godzinę. Przekazać jej jakąś wiadomość?

Zawahałam się, nie wiedziałam, co robić.

– Czy coś się stało? – zapytała Janet.

– Właściwie tak – powiedziałaam. – Pewnie nie słyszałaś, Lucy chyba także...

Opowiedziałam jej pokrótce o liście Carrie do prasy, a gdy skończyłam, Janet milczała jak grób.

– Mówię ci o tym, bo lepiej, żebyście były przygotowane – dodałam. – Jutro rano możecie się obudzić i znaleźć to w gazecie. A może nawet usłyszeć o tym dziś wieczór w telewizji.

– Dobrze, że mi to pani mówi – powiedziała Janet bardzo cicho. – Poinformuję Lucy, jak tylko przyjedzie.

– Poproś ją, żeby do mnie zadzwoniła, jeśli nie będzie za bardzo zmęczona.

– Dobrze.

– Dobranoc, Janet.

– O nie, to nie będzie dobra noc – powiedziała. – Tamta suka od lat rujnuje nam życie. W ten czy inny sposób. Mam już tego, kurwa, dosyć! Przepraszam za to słowo.

– Użyłam takiego samego.

– Boże, przecież ja przy tym byłam – mówiła. – Widziałam tę sukę, tę intrygantkę. Lucy nie miała szans się jej oprzeć. Była jeszcze dzieckiem, genialnym dzieckiem, które zamiast chodzić do college’u, pokumało się z pieprzonym FBI. Tak, pracuję w FBI. Ale widzę tam. całe to gówno. Nie postąpili wobec niej uczciwie, skoro narazili ją na szykany ze strony takiej Carrie.

Ubyła już połowa whiskey, ale teraz żadna ilość nie poprawiłaby mi samopoczucia.

– Lucy nie powinna tyle przecierpieć – Janet zebrało się na szczerość i bezpośredniość, jakiej jeszcze nigdy od niej nie słyszałam. – Nie wiem, czy pani mówiła, chociaż chyba nie zamierzała. W każdym razie przez dwa lata chodziła do psychiatry.

– To dobrze. Cieszę się. – Kryłam cierpienie.

– Nie, nie mówiła mi o tym, ale można się tego było spodziewać – dodałam idealnie spokojnym głosem, chociaż serce mi krwawiło.

– Próbowwała popełnić samobójstwo – mówiła Janet. – I to nie raz.

– Cieszę się, że nie jest sama. – Łzy nie pozwoliły mi powiedzieć niczego więcej. – Byłam przytłoczona. Dlaczego Lucy nie zwróciła się z tym do mnie? – Nawet ci, co osiągają najwięcej, przechodzą trudne chwile – powiedziałam.

– Dobrze, że stara się z tego wyjść. Bierze coś?

– Wellbutrin. Po prozacu dziwaczała. Raz chodziła przygnębiona jak zombie, a drugi raz miała ochotę hulać po barach.

– O! – Odebrało mi mowę.

– Dalsze stresy, wstrząsy czy niepowodzenia na pewno dobrze jej nie zrobią – kontynuowała Janet. – Pani nie wie, jak to wygląda. Coś wytrąci ją z równowagi, i już kilka tygodni w dołku. Potem się podnosi na nogi i z powrotem to samo. W jednej chwili przygnębiona i ponura, a w następnej tryska radością.

Zasłoniła dłonią mikrofon i wydmuchnęła nos. Chciałam poznać nazwisko psychiatry Lucy, ale bałam się zapytać. Warto by się dowiedzieć, czy moja siostrzenica rzeczywiście miota się pomiędzy dwoma skrajnymi stanami. A może diagnoza została postawiona błędnie?

– Pani doktor... – zaszlochała – nie chcę, żeby Lucy umarła.

– Nie umrze – powiedziałam. – Obiecuję ci.

Gdy skończyłyśmy rozmowę, siedziałam jeszcze chwilę na łóżku. Byłam ubrana i bałam się zasnąć z powodu chaosu panującego w głowie. Miotałam się pomiędzy złością a bólem. Bardziej już Lucy nie mogła mnie skrzywdzić i na pewno o tym wiedziała. Ugodziła mnie w samo serce, słowa Janet przytłamsiły mnie bardziej niż cokolwiek innego z dzisiejszych wydarzeń. Natychmiast przyszła mi na myśl rozmowa z Teen McGovern w biurze – najwyraźniej wiele wiedziała o przejściach Lucy. Jej Lucy powiedziała, a mnie nie?

Czekałam na telefon od niej, ale nie odezwała się. Ponieważ aż do północy nie zadzwoniłam do Bentona, on przejął inicjatywę.

– Kay?

– Słyszałeś już? – zapytałam niespokojnie. – Słyszałeś, co Carrie zrobiła?

– Wiem o jej liście.

– Niech to diabli, Benton. Niech to wszyscy diabli!

– Jestem w Nowym Jorku. – Zaskoczył mnie tą informacją. – Biuro mnie wezwało.

– No tak, zrozumiałe. Tak powinni zrobić. Przecież ją znasz.

– Niestety.

– Ja się z tego cieszę – powiedziałam. – Tak jest bezpieczniej. Zabawne, co? Od kiedy to w Nowym Jorku jest bezpieczniej?

– Jesteś potwornie zdenerwowana.

– Wiecie już coś bliżej na temat miejsca jej pobytu? – Zamieszałam lód roztapiający się w szklance.

– Wiemy, że ostatni list wysłała spod numeru kodu 10 036, czyli z Times Square. Stempel pocztowy pochodzi z dziesiątego czerwca, z wtorku, a więc z wczoraj.

– Z dnia ucieczki.

– Tak.

– Ale nadal nie wiadomo, gdzie jest?

– Nadal nie wiadomo – powtórzył. – Wygląda na to, że dostała skrzydeł i przefrunęła przez rzekę.

– Nie – powiedziałam stanowczym tonem. – Ktoś musiał coś wiedzieć i najprawdopodobniej ktoś jej pomógł. Zawsze umiała owijać sobie ludzi wokół palca.

– Jednostka opracowująca jej portret osobowościowy nie może się opędzić od telefonów. Najwyraźniej przypuściła szybki atak pocztowy. Zwróciła się do wszystkich ważniejszych gazet, łącznie z „Post” i „The New York Times”.

– I?

– Kay, dla nich to zbyt gorący temat, żeby wyrzucili go do kosza. Polowanie na nią przypomina obławę na Unabombera czy Cunanana. A do tego ona pisze listy do prasy. Sprawa sama się kręci. Zaczną, cholera, drukować spis jej zakupów i nadawać w radiu, jak pierdzi. Dla nich to żyła złota. Trafi do filmów i na okładki magazynów.

– Nie chcę tego słuchać.

– Tęsknię za tobą.

– Zmieniłbyś zdanie, Benton, gdybyś był teraz ze mną.

Powiedzieliśmy sobie dobranoc, poprawiłam poduszki i zastanawiałam się nad kolejną whiskey, ale zrezygnowałam. Starłam się wyobrazić sobie, co robi Carrie, i wszystkie domysły prowadziły do Lucy. Dla Grethen była to manifestacja siły, ponieważ trawiła ją zazdrość. Lucy była bardziej utalentowana, szlachetniejsza, lepsza we wszystkim i Carrie nie spocznie, dopóki nie zniszczy tego piękna i nie wysie z Lucy ostatniej kropli życia. Wydawało mi się oczywiste, że Carrie wcale może przy tym nie być. Wszyscy zbliżaliśmy się do czarnej dziury, a siła, z jaką Carrie nas za sobą ciągnęła, była szokująco ogromna.

Sen stanowił dla mnie torturę, śniła mi się katastrofa lotnicza i prześcieradła nasiąknięte krwią. Obudziłam się wpół do siódmej, gdy słońce ukazało się już na majestatycznym błękicie nieba, a na trawie błyszczały krople rosy. Zabrałam pistolet do łazienki, zamknęłam drzwi na klucz i wzięłam szybki prysznic. Po zakręceniu wody uważnie się wsłuchałam, czy nie zadziałał alarm przeciwwłamaniowy, a później

sprawdziłam w sypialni klawiaturę, aby się upewnić, że cały system pozostaje w pogotowiu. Cały czas zdawałam sobie sprawę ze swojego szalonego i paranoicznego zachowania, ale nic nie mogłam na to poradzić. Zwyczajnie się bałam.

Nagle wszędzie zaczęłam dostrzegać Carrie. W spacerującej po ulicy szczupłej kobiecie w okularach słonecznych i bejsbolowej czapeczce, w kierowcy jadącym tuż za mną na autostradzie, w bezdomnej wpatrzonej we mnie, gdy przechodziłam ulicę Cross. Widziałam ją w każdym człowieku z białą skórą, z fryzurą punk, w każdym dziwnie się zachowującym, inaczej ubranym, o nieokreślonej płci. I cały ten czas powtarzałam sobie, że nie widziałam Carrie od pięciu lat. Nie miałam pojęcia, jak teraz może wyglądać, toteż istniało prawdopodobieństwo, że rozpoznam ją, kiedy będzie już za późno.

Gdy zatrzymywałam samochód na parkingu przy prosektorium, wejście do budynku było otwarte, a ludzie z Zakładu Pogrzebowego Blileya rutynowymi ruchami ładowali ciało do lśniącego czarnego karawanu.

– Ładna pogoda – odezwałam się do jednego z pracowników w schludnym, czarnym garniturze.

– Rzeczywiście. Co u pani słyhać? – Z jego tonu wynikało, że nie ma zamiaru wysłuchać odpowiedzi.

Z pomocą przyszedł drugi wystrojony na czarno urzędnik, złożyły się koła wózka z noszami i trzasnęły tylne drzwi. Czekałam, aż odjadą, żeby zamknąć za nimi bramę.

Najpierw zajrzałam do gabinetu Fieldinga. Nie minął jeszcze kwadrans po ósmej.

– Jak leci? – zapytałam, pukając do drzwi.

– Proszę wejść – odpowiedział.

Spoglądał na książki ustawione na półkach, laboratoryjny kitel opinał jego silne ramiona. Dla mojego zastępcy życie było ciężkie – rzadko gdzie mógł dla siebie kupić ubranie, bo praktycznie nie miał talii ani bioder. Pamiętam pierwszy piknik zorganizowany przez firmę w moim domu i Fieldinga ubranego w same spodnie ucięte nad kolanami. Ze zdziwieniem i lekkim zakłopotaniem stwierdziłam, że z trudem odrywam od niego wzrok, i to nie z powodów łóżkowych, lecz po prostu z uwagi na jego wspaniałą urodę. Nie wiem, skąd ludzie biorą czas na to, żeby tak wyglądać.

– Pewnie widziałaś już gazety – odezwał się.

– Chodzi o list? – Nagle straciłam humor.

– Tak.

Wyciągnął stary, zdezaktualizowany informator i położył go na podłodze.

– Na pierwszej stronie jest twoje zdjęcie i jej stara, niewyraźna fotografia. Przykro mi, że musisz przez to przejść – powiedział, poszukując innych książek. – Telefon dzwoni jak szalony.

– A co nowego u nas? – zmieniłam temat.

– W nocy był samochodowy wypadek na obwodnicy. Pasażer i kierowca nie żyją. DeMaio już się nimi zajął. A poza tym nic więcej.

– I tak wystarczy – powiedziałam. – Idę do sądu.

– Myślałem, że masz urlop.

– Ja też.

– Mówię poważnie. Możesz już iść na urlop. Wracasz tu jeszcze czy jedziesz prosto do Hilton Head?

– Mam rozprawę z sędzią Bowlsem.

– Uuu – powiedział z niesmakiem Fielding. – Ile razy już ci wykręcił numer? On chyba tylko czeka na to, żeby znaleźć jakąś niewypełnioną

rubryczkę i stwierdzić przed sądem, że sknociłaś sprawę. No i co? Będiesz musiała wrócić? Przecież on i tak przeważnie prowadzi sprawę dalej.

– W razie czego złapiesz mnie przez pager.

– A ty się chyba domyślasz, co ja będę robił.

Wskazał palcem stosy dokumentów piętrzących się na jego biurku.

– Jestem tak do tyłu, że chyba mi potrzebne lusterko wsteczne – zażartował.

– Nikt cię za to nie ukrzyżuje.



Od naszego nowego budynku do gmachu sądu Johna Marshalla było dziesięć minut drogi spacerkiem, doszłam więc do wniosku, że dobrze mi zrobi trochę ruchu. Poranek był jasny, powietrze rześkie i czyste. Poszłam ulicą Leight, skręciłam w Dziewiątą i minęłam komendę policji. Pod pachą miałam teczkę z aktami, a na ramieniu notatnik.

Na porannej rozprawie miałam przedstawić wyniki oględzin ciała jednego handlarza narkotyków zabitego przez drugiego, toteż zdziwiłam się na widok kilkunastu dziennikarzy czekających na trzecim piętrze przed salą rozpraw. Sądziłam, że Rosę pomyliła się przy opracowywaniu dla mnie harmonogramu, bo nawet mi przez myśl nie przeszło, że reporterzy mogli się tam zebrać z mojego powodu.

Lecz gdy tylko zostałam zauważona, rzucili się na mnie z wycelowanymi kamerami, mikrofonami i błyskającymi fleszami. Po początkowym zdziwieniu przyszło zdenerwowanie.

– Pani doktor Scarpetta, co pani ma do powiedzenia na temat listu Carrie Grethen? – zapytała dziennikarka Channel 6.

– Żadnych komentarzy – powiedziałam, przepychając się do prokuratora, który wezwał mnie na świadka w tej sprawie.

- Co pani powie o spisku?
- Pomiędzy panią a pani kochankiem z FBI?
- Czy to Benton Wesley?

– Jak zareagowała pani siostrzenica? Odwróciłam się do kamerzysty plecami, serce waliło mi jak oszałałe, ledwie trzymałam nerwy na wodzy. Zamknęłam się w maleńkim pomieszczeniu bez okien przeznaczonym dla świadków i zasiadłam na drewnianym krześle. Czułam się ośmieszona i zagoniona w pułapkę. Zastanawiałam się, czemu byłam tak niemądra i nie przewidziałam, że Carrie może coś takiego urządzić. Zwłaszcza że znałam jej wcześniejsze postęпки. Otworzyłam teczkę z dokumentami i zajęłam się przeglądaniem raportów i rysunków przedstawiających miejsca wlotu i wylotu kul, a także ustalenia, które pociski spowodowały śmierć. Siedziałam w tym dusznym pomieszczeniu prawie pół godziny, aż wreszcie zjawił się prokurator. Rozmawialiśmy kilka minut, a potem miałam wystąpienie.

To, co się teraz działo, było dalszym ciągiem wydarzeń sprzed kilkudziesięciu minut na korytarzu. Nagle musiałam zacząć się bronić przed czymś, co przypominało bezlitosny atak.

- Pani doktor Scarpetta – zaczął obrońca Will Lampkin, który od lat wyciskał ze mnie siódme poty. – Ile razy zeznawała pani w tym sądzie?
- Sprzeciw – powiedział obrońca.
- Odrzucony – rzekł mój zwolennik, sędzia Bows.
- Nigdy nie liczyłam – odpowiedziałam.
- Ale na pewno może nam pani podać przybliżoną liczbę. Więcej niż dziesięć? Ponad sto? Milion?
- Ponad sto – powiedziałam. Czułam jego żądzę krwi.
- I zawsze zeznawała pani prawdę przed sędziami i przysięgłymi?

Lampkin spacerował wolnym krokiem z nabożną miną i zarumienioną twarzą, z rękami na plecach.

– Zawsze mówiłam prawdę – odparłam.

– A nie uważa pani, że to trochę nieuczciwe, że sypia pani z funkcjonariuszem FBI?

– Sprzeciw – prokurator zerwał się na równe nogi.

– Podtrzymany – powiedział sędzia, ale spojrzał na Lampkina zachęcającym do ataku wzrokiem. – Do czego pan zmierza, panie Lampkin?

– Chodzi o konflikt interesów, Wysoki Sądzie. Powszechnie wiadomo, że doktor Scarpetta pozostaje w intymnym związku z co najmniej jednym funkcjonariuszem bezpieczeństwa państwowego, z którym pracowała. Poza tym używała wpływów na agencje rządowe, FBI i ATF, aby pomóc w karierze swej siostrzenicy.

– Sprzeciw!

– Oddalam. Proszę wracać do przesłuchania, panie Lampkin – powiedział sędzia, sięgając po szklanę z wodą.

– Dziękuję, Wysoki Sądzie – rzekł Lampkin z boleścią w głosie. – Próbowałem przedstawić proceder mający tu miejsce już od dawna.

– Pani doktor Scarpetta, czy to prawda, że manipulowała pani wedle własnej woli wynikami?

– Sprzeciw! To jest dręczenie świadka!

– Oddalam – rzekł sędzia. – Doktor Scarpetta, proszę odpowiedzieć na pytanie.

– Nie, to absolutna nieprawda – powiedziałam z przekonaniem, patrząc na ławę przysięgłych.

Lampkin podniósł kartkę ze stołu, przy którym siedział jego dziesiętnastoletni klient.

– Według porannej gazety – odezwał się Lampkin – od lat manipulowała pani agencjami rządowymi...

– Wysoki sędzie, sprzeciw! To obraza!

– Oddalam – orzekł chłodnym głosem sędziego.

– Wynika z tego czarno na białym, że konspirowała pani z FBI, aby wysłać niewinną kobietę na krzesło elektryczne!

Lampkin pomachał przed ławą przysięgłych fotokopią artykułu.

– Wysoki Sędzie, na litość boską! – zawołał spocony ze zdenerwowania prokurator.

– Panie Lampkin, proszę kontynuować przesłuchanie świadka – powiedział sędzia Bows do grubego obrońcy z podwójnym podbródkiem.

To, co mówiłam na temat trajektorii, odległości i ważnych narządów uszkodzonych pociskami kalibru dziesięć milimetrów, wypadło dosyć mętnie. Prawie nic z tego nie pamiętałam, gdy zbiegłam po schodach sądu i odeszłam, nie zamieniając z nikim ani słowa. Dwóch bardziej wytrwałych dziennikarzy szło za mną pół kwartału, ale w końcu zrezygnowali, przekonawszy się, że łatwiej namówić na rozmowę kamień. Nieuczciwości wszystkiego tego, co się działo, nie dało się opisać słowami. Carrie mogła wystrzelić jedną maleńką kulkę, a na pewno ja zostanę zraniona. I wiedziałam, że szybko się to nie skończy.

Kiedy weszłam z jasnego słońca do wnętrza budynku prosektorium, przez moment nic nie widziałam. Otworzyłam drzwi wejściowe i poczułam ulgę na widok idącego korytarzem w moją stronę Fieldinga. Miał na sobie świeży kitel, więc domyśliłam się, że mamy jakąś nową sprawę.

– Wszystko w porządku? – zapytałam, chowając w aktówce okulary słoneczne.

– Samobójstwo w Powhatan. Piętnastolatka strzeliła sobie w głowę. Zdaje się, że ojciec nie pozwalał jej się spotykać z jakimś obdartusem. Kay,

wyglądasz strasznie.

– Zaatakowały mnie rekiny.

– Ech, przekłęci prawnicy. Kto tym razem? Chętnie dałby komuś w mordę.

– Lampkin.

– O, gruby Lampkin. – Położył mi rękę na ramieniu. – Nie przejmuj się. Wszystko będzie dobrze. Naprawdę. Zapomnij o tym wszystkim.

– Pewnie – uśmiechnęłam się. – Jakby co, jestem w sali dekompozycyjnej.

Wykonywane w samotności zajęcie przyniosło mi ulgę. Zajmując się kośćmi, cieszyłam się, że nikt z pracowników nie widzi mojego strachu i przygnębienia. Włączyłam światło i zamknęłam za sobą drzwi. Zawiązałam strój i naciągnęłam dwie warstwy lateksowych rękawic. Włączyłam elektryczny palnik i zdjęłam z kotła pokrywkę. Od wczoraj kości nadal reagowały z roztworem. Sprawdziłam je, dotykając drewnianą łyżką. Na stole rozłożyłam foliowaną płachtę. Podczas sekcji zwłok została rozcięta czaszka, więc teraz ostrożnie wyjęłam z letniej, gęstej wody sklepienie czaszki, kości twarzowe i szczękę. Kładłam je na stole, żeby obeschły.

Do zdejmowania tkanki z kości wolę drewniane łopatki niż plastikowe szpachelki. Metalowych narzędzi w ogóle nie można brać pod uwagę, ponieważ mogą spowodować uszkodzenia i zniszczyć ślady prawdziwej przemocy. Postępowałam bardzo ostrożnie, oddzielałam ciało od kości, a reszta szkieletu gotowała się w kotle. Przez dwie godziny czyściłam kości z tkanki ciała, aż zaczęły mnie boleć nadgarstki i palce. Zapomniałam o lunchu, ale i tak nie miałam na niego ochoty. Około drugiej po południu znalazłam ślad na kości w okolicach skroni, tam gdzie podejrzewałam wylew krwi. Patrzyłam ze zdziwieniem i niedowierzaniem.

Przysunęłam bliżej lampy chirurgiczne i dodatkowo oświetliłam stół. Nacięcie kości było proste i równe, nie miało więcej niż dwa i pół centymetra długości i łatwo je było przeoczyć. Tylko raz w życiu widziałam podobne uszkodzenie – na dziewiętnastowiecznych czaszkach u ludzi oskalpowanych. W tamtych przypadkach pęknięcia czy nacięcia nie były umieszczone na kościach skroniowych, ale to nie miało teraz żadnego znaczenia.

Skalpowania nie przeprowadza się z chirurgiczną dokładnością, więc wszystko jest możliwe. I chociaż nie miałam dowodów, że ofiara z Warrenton straciła część włosów lub skóry na głowie, nie mogłam tego stwierdzić pod przysięgą. Naturalnie kiedy ją znaleźliśmy, głowę miała już uszkodzoną, a skalpowanie może polegać zarówno na ściąganiu całej skóry głowy, jak i na odcięciu jednego kosmyka.

Podniosłam słuchawkę za pomocą ręcznika, bo nie chciałam niczego dotykać brudnymi rękami. Zadzwoiłam na pager do Marina. Dziesięć minut czekałam, aż oddzwoni, a przez ten czas dalej skrobałam kości. Żadnych innych śladów jednak nie znalazłam. To oczywiście nie znaczyło, że nie było dalszych uszkodzeń, ponieważ co najmniej jedna trzecia spośród dwudziestu dwóch kości czaszki spłonęła. Zastanawiałam się, co robić dalej. Zdjęłam rękawice i wrzuciłam je do kosza, po czym zaczęłam wertować książkę adresową i właśnie wtedy zadzwonił Marino.

– Gdzie się, do diabła, podziewasz? – zapytałam. Stres zalewał mój organizm toksynami.

– Na lunchu w Liberty Valace.

– Dziękuję, że tak szybko oddzwoniłeś – powiedziałam poirytowana.

– Jezu, opóźnienie musiało być gdzieś tam w przestrzeni, bo ja dopiero co odebrałam sygnał. Co się dzieje?

Słyszałam w tle odgłosy jedzenia – ludzie delektowali się ciężkimi i drogimi, ale wartymi swej ceny potrawami.

– Dzwonisz z automatu? – zapytałam.

– Tak. I jak wiesz, nie jestem na służbie. Usłyszałam, że coś połyka, i domyśliłam się, że to piwo.

– Muszę jutro jechać do Waszyngtonu. Wskoczyła ważna sprawa.

– Ho, ho. Nie znoszę ważnych spraw.

– Znalazłam nową rzecz.

– Chcesz powiedzieć, że znów całą noc będę na nogach, doktorku?

Był wstawiony, ale nie zamierzałam dowiadywać się, jak bardzo.



– Słuchaj, pojedziesz ze mną do doktora Vessey'a? Zakładając, że nas przyjmie.

– Do tego od kości? Ze Smithsonian?

– Zaraz zadzwonię do niego do domu.

– Jutro mam wolne, więc chyba mogę cię podrzucić.

Nic nie mówiąc, spojrzałam na kocioł i przykręciłam trochę płomień.

– Dobra, możesz na mnie liczyć – powiedział Marino, znów coś przełykając.

– Spotkamy się u mnie w domu. O dziewiątej.

– Będę punktualnie.

Zaraz potem zadzwoniłam do prywatnego domu doktora Vessey'a w Bethesda. Odebrał po pierwszym sygnale.

– Dzięki Bogu – odezwałam się. – Alex? Mówi Kay Scarpetta.

– O! Co słychać?

Jak zawsze był trochę roztargniony i miał kłopoty z nawiązaniem kontaktu ze wszystkimi, którzy nie zajmują się w życiu zbieraniem w

całość ludzkich ciał. Doktor Vessey należał do najlepszych na świecie antropologów sądowych i pomagał mi już wielokrotnie.

– Byłoby wspaniale, gdybym jutro mogła zastać cię w mieście – powiedziałam.

– Jak zwykle będę ciężko harował.

– Mam pewien ślad na czaszce i potrzebuję twojej pomocy. Słyszałeś o pożarze w Warrenton?

– Chyba każdy przytomny człowiek słyszał.

– Okej, to mnie rozumiesz.

– Będę w pracy dopiero około dziesiątej. Aha, tu nie ma miejsca do parkowania. Mam teraz jakiś świński ząb z aluminiową folią. Przypuszczam, że pochodzi z pieczenia prosiaka. Koroner z Missisipi twierdzi, że to było zabójstwo i jakiemuś człowiekowi strzelono w usta. – Odkasznął i usłyszałam, że coś pije. – Tu i ówdzie ma ślady niedźwiedzych pazurów – ciągnął. – Większość koronerów twierdzi, że to ludzkie ręce.

– Tak, tak, Alex – powiedziałam. – Nic się nie zmienia.

Rozdział ósmy

Marino przyjechał do mnie wcześniej, jakiś kwadrans przed dziewiątą, bo chciał się napić kawy i coś zjeść. Oficjalnie nie był w pracy, więc miał na sobie niebieskie dżinsy, podkoszulek z napisem „Policja Richmond”, a także kowbojskie buty. Resztkę włosów, jakie pozostawił mu upływ czasu, zaczesał sobie do tyłu i wyglądał jak stary kawaler z brzuszkiem po piwie zabierający kobietę do Billi Bob.

– Jedziemy na rodeo? – zapytałam, wpuszczając go do środka.

– Ty to zawsze lubisz mi dołożyć.

Spojrzał na mnie z wymówką, ale wcale nie poczułam się skarcona.

– Mam kawę i musli.

– Tyle razy już ci mówiłem, że nie jadam cholernej karmy dla ptaków – burknął, idąc za mną po domu.

– Ja nie robię steków.

– A może gdybyś robiła, to nie musiałabyś tylu wieczorów spędzać w samotności.

– Nie myślałam o tym.

– Nie mówił ci, gdzie przed Smithsonian mamy zaparkować? W Waszyngtonie nie ma parkingów.

– W całym mieście? Prezydent powinien się tym zająć.

Poszliśmy do kuchni, gdzie przez okna wpadały złote promienie słońca prześwitujące przez korony drzew. Roztaczał się stąd widok na rzekę. Tej nocy spałam już trochę lepiej, choć nie miałam pojęcia dlaczego, ponieważ mój umysł był tak prześladowany, że już dawno powinien skończyć żywot. Nie pamiętałam żadnego snu i chwała Bogu.

– Mam kilka kart parkingowych dla VIP-ów z czasów, gdy Clinton był w mieście – powiedział Marino, nalewając sobie kawy. – Wystawionych przez biuro burmistrza. – Mnie także nalał kawy i upił spory łyk, jak piwo przy barze. – Może weźmiemy twego mercedesa, to gliniarze pomyślą, że mamy jakiś immunitet dyplomatyczny czy coś takiego – kontynuował.

– Zapewne widziałeś, jakie tam zakładają blokady na koła.

Ukroiłam pełnoziarnistego pieczywa i otworzyłam lodówkę.

– Mam szwajcarski ser, cheddar z Vermont i prosciutto.

Otworzyłam drugą szufladę.

– I parmezan, podobno bardzo dobry. Niestety, nie mam serków topionych. Ale jeśli wolisz, proponuję miód.

– A może cebulę Vidalia? – zapytał, patrząc mi przez ramię.

– Mam.

– Szwajcarski ser, prosciutto i plasterek cebuli. To mi zaleca lekarz – mówił uradowany Marino. – To się nazywa śniadanie.

– Ale nie mam masła – powiedziałam. – Moja tolerancja ma swoje granice. Nie biorę odpowiedzialności za twoją nagłą śmierć.

– Wystarczy mi musztarda Deli – powiedział.

Rozsmarowałam ostrą musztardę, położyłam na to prosciutto i cebulę, a na wierzchu umieściłam plasterk sera, i kiedy toster się rozgrzewał, dałam się skusić. Przyrządziłam sobie to samo co jemu, schowawszy musli z powrotem do puszki. Siedzieliśmy przy kuchennym stole i popijaliśmy kolumbijską kawę, a na placyku przed domem białe słońce nadawało kwiatom jaskrawszych odcieni. Niebo zrobiło się jasnoblękitne. O wpół do dziesiątej jechaliśmy już drogą 1-95 i aż do Quantico nie mieliśmy problemów z tłokiem.

Gdy mijaliśmy zjazd do Akademii FBI i bazy Korpusu Marynarki Wojennej, przypomniały mi się stare czasy, wróciły wspomnienia o tym, jak

poznałam Bentona i jaka byłam dumna z osiągnięć Lucy w agencji rządowej, która wtedy wciąż jeszcze była poprawnym politycznie klubem tylko dla chłopców, jak za czasów Hoovera. Dopiero teraz uprzedzenia w Biurze są bardziej skrywane, czają się w ciemnościach jak wojsko maszerujące w nocy, wpływają na zakres obowiązków i praw, ilekroć się da, a jego pracownicy w coraz większym stopniu stają się oficjalnymi siłami policyjnymi Ameryki.

Bardzo mną wstrząsnęło zrozumienie tego faktu, chociaż nigdy z nikim się nim nie dzieliłam, żeby nie urazić żadnego agenta ciężko pracującego w terenie i oddającego całe serce temu, co mu się wydaje szlachetną misją. Poczułam, że Marino patrzy na mnie, strząsając popiół przez okno.

– Wiesz co? – odezwał się. – Może powinnaś złożyć rezygnację? – Chodziło mu o piastowane od dawna stanowisko konsultanta FBI w sprawach medycyny sądowej. – Wiem, że zatrudniają już nowych patologów – ciągnął. – Zwracają się do nich, a nie do ciebie. Spójrzmy prawdzie w oczy, już od ponad roku nie byłeś w Akademii i to wcale nie jest przypadek. Nie chcą cię zatrudniać z uwagi na to, co zrobili Lucy.

– Nie mogę zrezygnować – powiedziałam – bo dla nich nie pracuję. Ja pracuję dla policji potrzebującej pomocy i to ona w niektórych sprawach zwraca się do FBI. Nie powinnam tego rzucać. Wszystko dzieje się cyklicznie. Dyrektorzy i prokuratorzy generalni przychodzą i odchodzą. I któregoś dnia może znów wszystko będzie lepiej wyglądało? Poza tym ty też nadal jesteś ich konsultantem i zdaje się, że ciebie też nie wzywają.

– Tak. Chyba jednak myślę tak samo jak ty. – Wyrzucił niedopałek, który pod wpływem pędu powietrza poszybował daleko za samochód. – To wciąga, co? Przychodzenie tam, praca z dobrymi ludźmi i popijanie piwa w sali posiedzeń. Jak chcesz wiedzieć, to ja czuję to samo. Ludzie nienawidzą glin i gliny zaczynają nienawidzić ich. Kiedy zaczynałem, starzy i młodzi,

wszyscy lubili się ze mną spotykać. Byłem dumny z munduru i codziennie pucowałem buty. Teraz, po dwudziestu latach, na budowach lecą na mnie cegły, a ludzie nie odpowiadają mi nawet dzień dobry. Dwadzieścia sześć lat narażam dupę, a oni awansują mnie na kapitana i przerzucają do Sekcji szkoleniowej.

– Pewnie tam możesz zdziałać wiele dobrego – przypomniałam mu.

– Tak, ale nie dlatego mnie tam przenieśli.

Wyglądał przez swoje okno, obserwując migające zielone drogowskazy.

– Wylali mnie na zieloną trawkę w nadziei, że odejdę szybciej na emeryturę albo wykorkuję. Powiem ci, że często o tym myślę. Kupić sobie łódkę, jeździć na ryby, ruszyć gdzieś w drogę, może na zachód, zobaczyć Wielki Kanion, Yosemite, jezioro Tahoe i wszystkie te miejsca, o których tyle się słyszy. Ale gdybym już je wszystkie zobaczył, nie wiedziałbym, co ze sobą począć. Wtedy myślę, że już lepiej zostać na swoim miejscu.

– Nigdy nie jest za wcześnie – powiedziałam.

– Możesz odejść na emeryturę, Marino, i robić to co Benton.

– Z całym szacunkiem, ale ja się nie nadaję na konsultanta – odparł. – Instytut Sprawiedliwości ani IBM nie zatrudniliby takiego abnegata jak ja. Niezależnie od moich umiejętności.

Nie sprzeciwiłam się i nie wysunęłam innej propozycji, ponieważ z małymi wyjątkami to, co mówił, było prawdą. Benton był przystojny, wymuskany i już sam jego wygląd wzbudzał szacunek, gdziekolwiek się pojawił. I to była naprawdę jedyna różnica pomiędzy nim a Pete'em. Obydwaj byli uczciwi, rozumni i profesjonalni w swych dziedzinach.

– Dobra, musimy wjechać na 395 i skierować się w stronę Constitution – myślałam na głos, obserwując tablice drogowe i nie reagując na nerwowych kierowców podjeżdżających pod mój tylny zderzak i wyprzedzających mnie. – Lepiej żebyśmy nie pojechali za daleko i nie skończyli na Maine

Avenue. Już mnie to kiedyś spotkało. – Włączyłam prawy kierunkowskaz. –
W piątek wieczorem, gdy jechałam do Lucy.

– Często tam bywają napady na samochody.

– Prawie mi się to zdarzyło.

– Nie mów – spojrzał na mnie. – Co zrobiłaś?

– Zaczęli okręzać mój samochód, więc wcisnęłam gaz do dechy i pojechałam.

– Potrąciłaś kogoś?

– O mało.

– I zostawiłabyś go tak? To znaczy, gdybyś go potrąciła.

– Razem z jego dziesięcioma koleżkami. Możesz na to postawić swoje buty.

– Wiesz co – spojrzał na swoje nogi – one nie są za wiele warte.

Piętnaście minut później byliśmy już na Constitution, minęliśmy Departament Spraw Wewnętrznych i pomnik Waszyngtona spoglądającego na Mail, gdzie ustawiono namioty z okazji festynu sztuki afroamerykańskiej. Handlarze oferowali ze swych furgonetek kraby i koszulki. Na trawnikach między budkami leżały sterty śmieci po wczorajszym dniu, prawie co minuta mijiała nas karetka pogotowia na sygnale. Kilka razy zrobiliśmy kółko, a Instytut Smithsonian umykał nam jak czerwony smok. Nie można było znaleźć miejsca do parkowania – ulice były przeważnie jednokierunkowe lub nagle kończyły się w połowie kwartału, a jeszcze inne były zabarykadowane. Natomiast śpieszący mieszkańcy nie krzyczeli, nawet gdy człowiek prawie wjechał w tył stojącego autobusu.

– Powiem ci, co zrobimy – odezwałam się, skręcając w Wirginia Avenue. – Damy samochód na przechowanie przy Watergate i weźmiemy taksówkę.

– Do diabła ciężkiego, kto wytrzymuje w takim mieście? – złościł się Marino.

– Niestety, bardzo wielu.

– Zwariowane miejsce. Witamy w Ameryce.

Lokaj w uniformie przy Watergate potraktował nas uprzejmie i wcale się nie zdziwił, gdy poprosiliśmy o odprowadzenie wozu i przywołanie taksówki. Swój cenny eksponat miałam na tylnym siedzeniu zapakowany w pudełko po orzeszkach. Nie było jeszcze południa, gdy dotarliśmy na róg Dwunastej i Konstytucji i po zatłoczonych schodach wspięliśmy się do Narodowego Muzeum Historii Naturalnej. Od czasu wybuchu w Oklahoma City ochrona została wzmocniona. Strażnicy powiedzieli nam, że doktor Vessey zejdzie na dół i zaprowadzi nas do siebie.

Podczas oczekiwania obejrzelśmy wystawę pod tytułem „Klejnoty morza”, podziwiając cierniste ostrygi atlantyckie i lwie pazury, a ze ściany spoglądała na nas czaszka dinozaura. W słoikach były wystawione węgorze, kraby i ryby, a także ślimaki i morskie jaszczury mosasaury znalezione w złożach kredy w Kansas. Marino już się zaczynał nudzić, gdy otworzyły się mosiężne drzwi windy i ukazał się doktor Alex Vessey. Niewiele się zmienił, odkąd go ostatnio widziałam, nadal był szczupły, miał siwe włosy i, jak wielu geniuszy, niesymetrycznie ułożone oczy sprawiające wrażenie, że koncentruje się na czymś odległym. Twarz miał śniadą, nieco usianą zmarszczkami, a do tego te same co zawsze okulary z grubymi, czarnymi oprawkami.

– Znakomicie wyglądasz – powiedziałam, ściskając mu rękę.

– Ledwie wróciłem z urlopu w Charleston. Pewnie tam kiedyś byłaś – powiedział, gdy we troje ruszyliśmy w stronę windy.

– Tak – odparłam. – Dobrze znam tamtejszego szefa. Pamiętasz kapitana Marino?

– Oczywiście.

Wjechaliśmy trzy poziomy ponad ośmiotonowego afrykańskiego słonia w rotundzie, dobiegające nas szepty dzieci przypominały szum dymu. Muzeum było w istocie czymś niewiele więcej niż ogromnym granitowym magazynem. W zielonych drewnianych szufladach od sufitu do podłogi znajdowało się ponad tysiąc ludzkich szkieletów. Tę rzadką kolekcję wykorzystywano do badań nad ludźmi przeszłości, szczególnie rdzennymi mieszkańcami Ameryk, którzy ostatnio podjęli starania o odzyskanie kości swych przodków. Uchwalono odpowiednie prawa, a Vessey rozpiął piekło na Kapitolu, bo dzieło jego życia miano zabrać i wywieźć na nie tak bardzo dziki już zachód.

– To personel zajmujący się zbieraniem danych na temat zwrotu szczątków tym lub tamtym szczepom – odezwał się, kiedy szliśmy zatłoczonym, pogrążonym w półmroku korytarzem. – Szczepy trzeba poinformować, co jest w naszym posiadaniu, żeby mogły same zdecydować, co należy z tym zrobić. Za kilka lat nasze obiekty badawcze trafią być może z powrotem do ziemi. Ale przypuszczam, że w następnym wieku archeologowie znów je odkopią – zagadywał nas po drodze. – Wszystkie strony w tym konflikcie są teraz ogarnięte taką złością, że nie zdają sobie sprawy, ile sobie wyrządzają krzywd. Jeśli nie możemy czerpać wiadomości od zmarłych, to skąd je mamy brać?

– Alex, to głos wołającego na puszczy.

– Cóż – odezwał się Marino – gdyby mój pradziadek leżał w którejś z tych szuflad, to nie wiem, czy byłoby to dla mnie zbyt przyjemne.

– Ale rzecz właśnie w tym, że nie wiemy, kto w tych szufladach leży, ani my, ani ludzie, którym tak na tych szkieletach zależy. Wiadomo tylko, że poszczególne egzemplarze mogą nam wiele powiedzieć na temat katastrof, jakie spotkały naród amerykańskich Indian, co przyniosłoby korzyści

wszystkim tym, którzy teraz czują się źle traktowani. Ech, nie zmuszajcie mnie do rozpoczynania argumentacji po raz kolejny.

Miejsce pracy Vessey składało się z kilku małych sal laboratoryjnych ze stołami, zlewami i tysiącami książek, pudełek ze slajdami oraz fachowych czasopism. To tu, to tam były wystawione przeważnie skurczone czaszki, a także kości różnych zwierząt pomyłone z ludzkimi. Na korkowej tablicy wisiały zdjęcia z Waco, gdzie Vessey spędził kilka tygodni na identyfikacji spalonych szczątków członków sekty dawidowej.

– Popatrzmy, co tam dla mnie macie – rzekł Vessey.

Postawiłam swój pakunek na stole i kieszonkowym nożykiem rozciąłam taśmę. Zaskrzypiał styropian, gdy wyjmowałam sklepienie czaszki, a potem dolną część wraz z kośćmi twarzowymi. Położyłam to wszystko na czystej, niebieskiej tkaninie, a Alex włączył lampę i wziął szkło powiększające.

– O, tutaj – pokazałam mu nacięcie kości. – Był obok tego wylew w okolicach skroni. Ale dokoła ciało było tak spalone, że nie dało się wywnioskować, co to za rana. Zupełnie nic o niej nie wiedziałam, póki nie znalazłam tego uszkodzenia.

– Bardzo proste cięcie – powiedział, oglądając czaszkę pod różnymi kątami. – Można mieć pewność, że nie powstało podczas sekcji zwłok? Na przykład przy zdejmowaniu skóry z czaszki?

– Tak, można mieć absolutną pewność – powiedziałam. – I jak widać po złożeniu – przyłożyłam sklepienie na miejsce – rozcięcie znajduje się jakieś cztery centymetry od miejsca, gdzie była otwierana czaszka podczas autopsji. Poza tym nie miałoby sensu nacinanie tutaj, gdy się chce odsłonić tylną część głowy. Widzisz? – Gdy patrzyłam przez szkło powiększające, mój palec stał się nagle ogromny. – Poza tym nacięcie jest pionowe, a nie poziome – ciągnęłam.

– Masz rację – powiedział. Na jego twarzy pojawiło się zainteresowanie.
– Bez sensu byłoby podczas sekcji ciąć w tę stronę. Chyba że twój asystent miał w czubie.

– Czy mogło dojść do tego uszkodzenia podczas obrony? – zapytał Marino. – No wiecie, ktoś zaatakował ją nożem, szamotała się i doszło do rozcięcia.

– Oczywiście, że to możliwe – rzekł Vessey, badając kość milimetr po milimetrze. – Dziwne tylko, że to nacięcie jest tak proste i precyzyjne. I zdaje się, że na całej długości ma tę samą głębokość, a to dość niezwykle jak na ugodzenie nożem. Generalnie nacięcie w kości jest głębsze tam, gdzie najpierw uderza ostrze, a potem staje się coraz płytsze.

Wykonał w powietrzu gest cięcia nożem.

– Musimy też pamiętać, jak wiele zależy od pozycji atakującego względem ofiary – dodałam. – Czy ofiara stała, czy leżała. Czy atakujący był przed nią, czy za nią, z boku czy nad nią.

– Racja – rzekł Vessey.

Podszedł do ciemnej dębowej szafki z przeszklonymi drzwiami i zdjął z półki starą, zbrązowiałą czaszkę.

– Pytałaś o skalpowanie – zwrócił się do mnie. – Oto czaszka ośmio- lub dziewięcioletniego osobnika, oskalpowanego, a potem spalonego. Nie mogę określić płci, ale wiem, że dzieciak miał zakażenie stóp, a więc nie mógł uciekać. Tego typu nacięcia są typowe przy skalpowaniu.

Wzięłam czaszkę i przez moment wyobrażałam sobie to, co przed chwilą powiedział Vessey – przestraszone, utykające dziecko, krew spływającą po ziemi, krzyki masakrowanych ludzi i obozowisko w płomieniach.

– Cholera – mruknął zdenerwowany Marino.

– Jak można coś takiego zrobić dziecku?

– Jak w ogóle można coś takiego zrobić? – powiedziałam. A potem dodałam, zwracając się do Vessey: – Nacięcie na tej – pokazałam trzymaną w dłoni czaszkę – nie wygląda na skalpowanie.

– Wiesz, Kay, to nigdy nie jest zbyt dokładne. Indianie skalpowali wrogów na różne sposoby. Zazwyczaj nacinali skórę dokoła czaszki, przecinając tkankę powierzchniową, a nawet okostną, aby łatwo odeszła od kości. Niektóre skalpy były proste, ale niekiedy obcinano też uszy, łącznie z całą twarzą, a nawet szyją. W niektórych przypadkach tej samej osobie zdejmowano skalp kilkakrotnie, czasem też odcinano tylko skórę z korony głowy. No i w końcu, tak jak to widać na starych westernach, napastnik łapał ofiarę za włosy i obcinał skórę nożem lub szablą.

– I była zdobycz – rzekł Marino.

– Tak. A poza tym najwspanialszy symbol męskości, umiejętności i odwagi – mówił Vessey. – Oczywiście istniały też czynniki kulturowe, religijne, a nawet medyczne. W tym przypadku – zwrócił się do mnie – wiemy, że nie została do końca oskalpowana, bo miała jeszcze włosy. Mogę też powiedzieć, że według mnie rana została zadana starannie i bardzo ostrym narzędziem. Jakimś ostrym nożem. Na przykład nożem introligatorskim lub brzytwą, a nawet skalpelem. Zadana została, kiedy ofiara jeszcze żyła, i nie stanowiła przyczyny śmierci.

– Tak, zabiło ją uszkodzenie szyi – przyznałam rację.

– Tutaj nie widzę już innych nacięć.

Przyłożył lupę bliżej, do lewego łuku jarzmowego czy kości policzkowej. – Coś niewyraźnego – mruknął. – Zbyt niewyraźne, żeby mieć jakąkolwiek pewność. Widzisz?

Pochyliłam się, żeby popatrzeć z bliska.

– Możliwe – powiedziałam. – Przypomina trochę pajęczynę.

– No właśnie. Taką niewyraźną. To może nic nie znaczyć, ale dość interesujące, że ustawione jest pod tym samym kątem co tamto rozcięcie. Pionowo, a nie poziomo czy po skosie.

– Robi się nieciekawie – rzekł ponuro Marino. – No bo co by z tego wynikało? Że ktoś podciął jej gardło, a potem pokancerował twarz? I na koniec podpalił dom?

– Chyba istnieje taka ewentualność – rzekł Vessey.

– Okaleczenie twarzy może oznaczać porachunki osobiste – mówił dalej Marino. – Zabójcy nie kierują się ofierze twarzy, jeżeli coś ich z nią nie łączy, chyba że są świrami.

– Zasadniczo to prawda – przyznałam. – Z doświadczenia jednak wiem, że napastnik staje się zdezorientowany i może popaść w stan psychotyczny, a wtedy ta zasada przestaje działać.

– Jakby mnie ktoś pytał, to o podpalaczu domu Sparkesa można powiedzieć wszystko, ale nie że był zdezorientowany – rzekł Marino.

– Sądzi pan więc, że to morderstwo mogło mieć charakter bardziej rodzinny? – zapytał Vessey, dokładnie oglądając czaszkę pod lupą.

– Wszystko trzeba brać pod uwagę – powiedziałam. – Ale jakoś nie mogę sobie wyobrazić, że Sparkes zabił wszystkie swoje konie. Po prostu nie mogę.

– Może musiał je zabić, żeby odwrócić uwagę od morderstwa – rzekł Marino. – Wiedział, co ludzie będą o tym myśleć.

– Alex, ktokolwiek to zrobił, postarał się, żebyśmy nie mieli żadnych śladów. I gdyby nieszkłane drzwi, które na nią upadły, nie zostałyoby z niej dosłownie nic i nie mielibyśmy żadnego pojęcia o tym, co zaszło. Gdybyśmy na przykład nie znaleźli ani kawałka ciała, nie wiedzielibyśmy, że była martwa już przed pożarem, bo nie moglibyśmy zbadać poziomu CO we krwi. A więc co by się stało? Uznano by ją za przypadkową ofiarę,

chyba że udowodnilibyśmy podpalenie, czego jak dotąd jeszcze nie potrafimy.

– Według mnie niewątpliwie jest to klasyczny przypadek zabójstwa, które chciano ukryć, wzniecając pożar – powiedział Vessey.

– To po kiego czorta sprawca bawił się w nakłuwanie? – rzekł Marino. – Dlaczego nie zabił jej, nie podpalił domu i nie odszedł? Poza tym gdy taki świr kogoś okalecza, to przeważnie stara się pokazać ludziom swoje dzieło. Wystawia zwłoki w parku, na zboczach koło drogi, na ścieżce do biegania albo na środku pokoju. Żeby wszyscy widzieli.

– Może tym razem nie chciał, żebyśmy my widzieli – powiedziałam. – Ważne jest to, że nie wiemy, czy pozostawił po sobie ślad. Wydaje mi się, że musimy przeprowadzić najszersze poszukiwania komputerowe, jakie się tylko da, żeby sprawdzić, czy ktoś miał już kiedyś do czynienia z czymś podobnym.

– Będziesz do tego potrzebować wielu ludzi – powiedział Marino. – Analityków, informatyków, ludzi administrujących komputerami w FBI i dużych departamentach policji, takich jak Houston, Los Angeles i Nowy Jork. I gwarantuję ci, że któryś z nich puści farbę i wkrótce o wszystkim dowie się prasa.

– Niekoniecznie – odparłam. – Wszystko zależy od tego, do kogo się zwrócę.



Na Constitution złapaliśmy taksówkę i powiedzieliśmy kierowcy, żeby jechał w stronę Białego Domu, a potem skręcił w Piętnastą. Chciałam zabrać Marina do restauracji Old Ebbitt Grill. O wpół do szóstej nie musieliśmy czekać w kolejce i od razu dostaliśmy wykładany zielonym aksamitem boks. Niezwykłą przyjemność sprawiało mi podziwianie w tym

lokalu zwierciadeł i lampek gazowych z migającymi płomieniami. Nad barem można było obejrzeć żółwie, dziki i antylopy, a barmani bez względu na porę dnia chyba nigdy nie zwalniali tempa pracy.

Dystyngowane z wyglądu małżeństwo za nami rozmawiało o biletach do Centrum Kennedy'ego i o jesiennym wyjeździe syna do Harvardu, natomiast po drugiej stronie dwaj młodzi ludzie dyskutowali nad tym, czy lunch można dołączyć do kosztów uzyskania przychodu. Swój pakunek położyłam koło siebie na krześle. Vessey posklejał go paskami taśmy.

– Chyba powinniśmy zamówić stół dla trojga – odezwał się Marino, spoglądając na pudełko. – Na pewno to nie śmierdzi? Bo co będzie, jak ktoś to wyczuje?

– Nie śmierdzi – powiedziałam, otwierając kartę dań. – Powinniśmy chyba zmienić temat na taki, przy którym da się jeść. Hamburgery są tu tak wyśmienite, że nawet ja się czasem przełamuję i je biorę.

– Myślałem, że ty zawsze zamawiasz tylko rybę – rzekł z przejęciem Marino.

– Do diabła z tobą, Marino.

– W porządku, doktoru, sama mnie na to namawiasz. Niech będzie hamburger. Szkoda, że nie jest już wieczór i nie mogę sobie strzelić piwka. To tortura przyjść do takiego miejsca i nie zamówić sobie Jacka Blacka albo jednego głębszego. Założę się, że robią tu bourbona z lodem i gałązką mięty. Nie piłem tego od czasu randki z tą dziewczyną z Kentucky. Z Sabriną. Pamiętasz ją?

– Może gdybyś mi przypomniał, jak wyglądała... – powiedziałam obojętnym głosem, rozglądając się dokoła. Próbowałam się odprężyć.

– Zabrałem ją kiedyś na paradę. Ty też tam byłeś z Bentonem i przedstawiłem was sobie. Miała takie jasnorude włosy, niebieskie oczy i piękną skórę. Świetnie jeździła na wrotkach.

Nie miałam pojęcia, o kim mówi.

– Cóż... – cały czas patrzył w menu – to nietrwało długo. Pewnie w ogóle nie chciałyby się ze mną spotkać, gdyby nie moja ciężarówka. Siadała w wysokiej kabinie i można było pomyśleć, że macha każdemu, kogo zobaczy.

Roześmiałam się, a jego nieruchomy wyraz twarzy wpłynął na mnie jeszcze gorzej. Śmiałam się do łez, aż kelner się zawahał i doszedł do wniosku, że podejdzie trochę później. Marino wyglądał na zaniepokojonego.

– Co ci się stało? – zapytał.

– Chyba jestem zmęczona – odpowiedziałam, z trudem łapiąc powietrze.
– A co do piwa, to proszę cię bardzo. Dzisiaj masz wolne, a prowadzę ja.

To stwierdzenie diametralnie zmieniło jego nastrój, a zaraz potem pił już pierwszą pintę Samuela Adamsa. Po chwili podano jego hamburgera i moją sałatkę z kurczaka. Przez pewien czas jedliśmy w milczeniu, a ludzie wokół nas trajkotali głośno i bez przerwy.

– Zapytałem ją, czy chce gdzieś wyjść z okazji swych urodzin – mówił jeden biznesmen do drugiego. – Mówię, możesz wybrać sobie miejsce.

– Moja żona to samo – odpowiedział drugi biznesmen z pełnymi ustami.
– Zachowuje się tak, jakbym nigdy nigdzie jej nie zabierał. A przecież prawie co tydzień wychodzimy gdzieś na kolację.

– W programie Oprah słyszałam, że jeden człowiek na dziesięciu pożycza więcej pieniędzy, niż może oddać – zwierzyła się starsza pani towarzyszce, której słomkowy kapelusz wisiał na haku obok ich boksu. – Czy to nie straszne?

– Właściwie wcale mnie to nie dziwi. Teraz tak jest ze wszystkim.

– Mają tu parking z obsługą – powiedział jeden z biznesmenów – ale raczej chodzę pieszo.

– W nocy też?

– Żartujesz? W Waszyngtonie? Jeszcze mi życie miłe.

Trochę się zmęczyłam tymi konwersacjami i zeszłam na dół do przestronnej toalety wykładanej szarym marmurem. Oprócz mnie nikogo tam nie było, mogłam więc swobodnie umyć ręce i twarz. Z komórkowego telefonu spróbowałam zadzwonić do Lucy, ale sygnał najwyraźniej nie mógł przebić się przez ściany. Wyszłam z łazienki, zadzwoniłam do siostrzenicy z automatu i ucieszyłam się, gdy odebrała.

– Pakujesz się? – zapytałam.

– A co? Słuchać? – powiedziała.

– No.

– Szkoda, że nie widzisz, co tu się dzieje.

– *À propos*, masz może ochotę na gości?

– A gdzie jesteś? – zapytała nieco podejrzliwym tonem.

– W restauracji Old Ebbitt Grill. A dokładnie przy automacie przed toaletą. Rano byliśmy, Marino i ja, w Smithsonian na spotkaniu z Vesseyem. Chciałabym do ciebie wpaść. Nie tylko po to, żeby coś zobaczyć, ale także żeby przedyskutować pewien fachowy problem.

– Oczywiście – powiedziała. – Nigdzie nie wychodzimy.

– Mam coś przynieść?

– Tak. Żarcie.

Nie było sensu odbierać mojego samochodu, ponieważ w północnej części miasta, tam gdzie mieszkała Lucy, sytuacja z parkowaniem nie wyglądała lepiej niż gdzie indziej. Marino gwizdnięciem zatrzymał taksówkę. Panowało spokojne popołudnie, na dachach i trawnikach powiewały flagi, gdzieś daleko zaciął się alarm samochodowy. Minęliśmy Uniwersytet George’a Waszyngtona, hotel Ritz, bar ze stekami Blackie’s i znaleźliśmy się niedaleko Lucy i Janet.

Była to dzielnica cyganerii i gejów, ponurych barów w rodzaju The Fireplace i Mr. P's, gdzie zawsze pełno było pierwszorzędnie zbudowanych facetów. Wiedziałam to, bo wiele razy odwiedzałam już siostrzenicę. Zauważyłam, że przeniesiono księgarnię lesbijską, a na jej miejsce powstał sklep ze zdrową żywnością, nieopodal Burger Kinga.

– Niech nas pan wysadzi gdzieś tutaj – powiedziałam do kierowcy.

Wcisnął hamulec i zjechał na krawężnik.

– Cholera – powiedział Marino po odjeździe niebieskiej taksówki. – Są w tym mieście jacyś Amerykanie?

– Gdyby miasto było tylko dla Amerykanów, to nie byłoby w nim miejsca ani dla mnie, ani dla ciebie – przypomniałam mu.

– Eee, Włosi to co innego.

– Czyżby? Innego niż co? – zapytałam, gdy wchodziliśmy do baru D.C.

– Niż oni – powiedział. – Po pierwsze, kiedy nasi ludzie wysiadali ze statku na wyspie Ellis, to uczyli się mówić po angielsku. I nie prowadzili taksówki, nie mając najmniejszej orientacji w mieście. O, całkiem przyzwoity lokal.

Bar był otwarty dwadzieścia cztery godziny na dobę, w powietrzu unosił się ciężki zapach smażonej cebuli i wołowiny. Na ścianach wisiały plakaty reklamujące gyros, zieloną herbatę, libańskie piwo, a także oprawiony w ramki gazetowy artykuł, w którym pisano, że jedli tu Rolling Stonesi. Jakaś kobieta piła coś powoli z takim namaszczaniem, jakby to była jej życiowa misja. Nie zwróciła na nas żadnej uwagi.

– Spokojnie – powiedziałam do Marina. – To nie powinno zabrać więcej niż minutę.

Znalazł sobie stolik dla palących, a ja podeszłam do podświetlanego cennika z listą dań.

– Słucham – odezwał się kucharz, krojąc wołowinę, rzucając ją na ruszt i posypując brązową cebulą.

– Jedną sałatkę grecką – powiedziałam. – Kurczaka i pite, i... chwileczkę. – Wybrałam z listy. – Jeszcze kefte kabob sandwich. Chyba tak się to czyta.

– Na wynos?

– Tak.

– Zawołam panią.

Usiadłam koło Marina. Oglądał w telewizji „Star Trek”, chociaż telewizor strasznie szumiał.

– Jak się przeprowadzi do Filadelfii, to wszystko się zmieni.

– O tak.

Pustym wzrokiem patrzyłam na niewyraźną sylwetkę kapitana Kirka pokazującego swym fazerem w kierunku Klingon czy gdzieś tam.

– Nie wiem – powiedział Marino, opierając brodę na ręce i wypuszczając dym. – Coś mi się tu nie zgadza. Ma wszystko, czego można chcieć, i zasłużyła sobie na to ostrą pracą. Nie interesuje mnie, co mówi o tych swoich przenosinach, ale wygląda na to, że ona wcale nie chce wyjeżdżać. Wydaje jej się tylko, że nie ma innego wyjścia.

– Nie wiem, czy ma, jeśli dalej chce zmierzać w tym kierunku co teraz.

– Diabła tam. Zawsze jest jakieś wyjście. Widzisz tu gdzieś popielniczkę?

Zauważyłam na ladzie i przyniosłam mu.

– Chyba teraz jestem współwinna twojej przedwczesnej śmierci – powiedziałam.

– Zawsze tylko mnie piętnujesz, bo wtedy masz przynajmniej co robić.

– Właściwie mógłbyś na jakiś czas przestać palić. Wydaje mi się, że połowę życia tracę, żeby nie dopuścić do twojej śmierci.

– To brzmi ironicznie, zważywszy na to, czemu poświęcasz drugą połowę życia.

– Pani potrawy! – zawołał kucharz.

– Może weźmiesz dla mnie trochę tej baklavy. Tej z pistacjami.

– Nie – odparłam.

Rozdział dziewiąty

Lucy i Janet mieszkały w dziesięciopiętrowym budynku o nazwie Westpark przy ulicy P, czyli kilka minut spacerkiem od restauracji, w której zrobiliśmy zakupy. Na dole znajdowała się pralnia, a obok stacja Embassy Mobile. Na małych balkonach stały rowery, a przed wejściem siedziała młodzież, rozkoszując się ciepłym wieczorem, paląc i pijąc, gdzieś ktoś ćwiczył gamy na flecie. Mężczyzna bez koszuli wychylił się, żeby zamknąć okno. Zadzwoiłam pod numer 503.

– Kto tam? – usłyszałam w domofonie głos Lucy.

– To my – powiedziałam.

– Jacy my?

– My z kolacją. Robi się zimno. Zaterkotał zamek i weszliśmy na korytarz, po czym wezwaliśmy windę.

– Za to, co tu płaci, w Richmond miałyby *penthouse* – zauważył Marino.

– Jakies tysiąc pięćset miesięcznie za dwa pokoje.

– O kurde. Skąd Janet ma tyle kasy? W Biurze nie dostaje chyba więcej niż cztery kawałki.

– Ma bogatą rodzinę – powiedziałam. – Nic więcej nie wiem.

– Powiem ci, że nie chciałbym teraz rozpoczynać kariery. – Pokręcił głową, gdy otworzyły się drzwi do windy. – Kiedyś, jak dopiero zaczynałem zapuszczać silniki w New Jersey, półtora kawałka pozwoliłoby mi żyć w luksusie przez cały rok. Nie było aż takich zbrodni, ludzie byli miłsi, nawet moi zasrani sąsiedzi. A teraz proszę, mamy sprawę biedaczki, która spłonęła w pożarze, a gdy z nią skończymy, przyjdzie następna. To jest jak robota tego tam, nie pamiętam jego imienia, co to wpychał kamień

pod górę, a jak był już prawie na szczycie, kamień leciał w dół. Słowo daję, że nie wiem, dlaczego się tym wszystkim przejmujemy.

– Bo gdybyśmy się nie przejmowali, byłoby jeszcze gorzej – powiedziałam, zatrzymując się przed znajomymi pomarańczowymi drzwiami.

Nacisnęłam na dzwonek.

Słyszałam otwieraną zasuwę, a potem ukazała się Janet. Była w przepoconych spodenkach sportowych FBI i podkoszulku z napisem „Grateful Dead”.

– Wejdźcie – powiedziała z uśmiechem, w tle słychać było głośny śpiew Annie Lennox. – Coś tu ładnie pachnie.

Mieszkanie miało dwa pokoje i dwie łazienki, z okien roztaczał się widok na ulicę P. Na każdym meblu piętrzyły się książki oraz ubrania, na podłodze stało kilkanaście pudeł. Lucy krzątała się w kuchni, wyciągała z szuflad i szafek talerze, sztuczce oraz papierowy ręcznik zamiast serwetek. Zrobiła miejsce na stoliku do kawy i zabrała ode mnie torby z jedzeniem.

– Ocaliłaś nam życie – powiedziała. – Zaczynałam dostawać hipoglikemii. A właśnie, Pete, miło cię widzieć.

– Gorąco tu u was jak diabli – rzekł.

– Nie jest tak źle – odparła Lucy. Ona też była spocona.

Nałożyły sobie z Janet jedzenie na talerze. Usiadły na podłodze, ja znalazłam sobie miejsce na oparciu sofy, a Marino przyniósł plastikowe krzesło z balkonu. Lucy była w butach sportowych Nike i w bezrękawniku, była brudna od stop aż do samej głowy. Obydwie wyglądały na zmęczone i nie potrafiłam wyobrazić sobie ich uczuć. Z całą pewnością przeżywały ciężkie chwile. Każde opróżnienie szuflady i zaklejenie taśmą pudła stanowiło kolejny cios w serce, umieranie, koniec kogoś, kim się było przez pewien okres życia.

– Ile czasu tu ze sobą mieszkaliście? Trzy lata? – zapytałam.
– Prawie – odparła Janet, nabierając na widelec greckiej sałatki.
– A ty zostajesz w tym samym mieszkaniu? – zwróciłam się do Janet.
– Na razie tak. Na razie nie mam powodów do przeprowadzki, a jak Lucy podpadnie i wyleci, to będę miała dla niej pokój.

– Nie przepadam za podejmowaniem nieprzyjemnych tematów – odezwał się Marino – ale czy Carrie może skądś wiedzieć, gdzie mieszkacie?

Na moment zapadło milczenie. Sięgnęłam do odtwarzacza CD, żeby trochę ściszyć muzykę.

– Skądś? – odezwała się w końcu Lucy. – Skąd by miała wiedzieć cokolwiek na temat mojego obecnego życia?

– Mam nadzieję, że nie ma takiej możliwości – rzekł Marino. – Ale musimy brać i to pod uwagę, czy wam to się podoba, czy nie. Ona dobrze pasowałaby do tej okolicy, toteż zadaję sobie pytanie, czy na miejscu Carrie, gdybym się znalazł na wolności, chciałbym odnaleźć Lucy. – Nikt nie wymówił ani słowa. – I myślę, że wszyscy wiemy, jak brzmi odpowiedź – ciągnął. – Znalezienie miejsca zamieszkania Kay nie stanowi problemu. Dostatecznie dużo jest na ten temat w gazetach. A jeśli znajdzie ją, ma też Bentona. Ale ty? – Wskazał na Lucy. – Ty stanowisz dla niej wyzwanie, bo od kilku lat była już pod kluczem, gdy się tu przeprowadziłaś. Teraz wyjeżdżasz do Filadelfii, a Janet zostaje sama. Szczerze mówiąc, cholernie mi się to nie podoba.

– Żadnej z was nie ma w książce telefonicznej? – zapytałam.

– A skąd – odparta Janet. Spokojnie nakładała sobie sałatki.

– A jak ktoś zadzwoni do tego budynku i zapyta o was?

– Administracja nie powinna udzielać informacji – powiedziała Janet.

– „Nie powinna udzielać” – rzekł drwiącym tonem Marino. – Tak, na pewno ta chałupa ma super zabezpieczenia. Z całą pewnością mieszkają tu różni ludzie, co?

– Nie możemy cały czas zamartwiać się z tego powodu – powiedziała Lucy; słysząc było, że zaczyna się złościć. – Nie możemy porozmawiać o czymś innym?

– O pożarze w Warrenton – odezwałam się.

– Proszę bardzo.

– Zajmę się pakowaniem w drugim pokoju – powiedziała Janet, ponieważ była z FBI i nie była wtajemniczona w sprawę.

Popatrzyłam, jak znika w sypialni, a potem oznajmiłam: – Sekcja zwłok wykazała kilka niezwykłych i niepokojących rzeczy. Ofiara została zamordowana. Już przed pożarem była martwa, co sugeruje niemal z całą pewnością, że nastąpiło podpalenie. Możemy coś więcej powiedzieć na temat sposobu zaprószenia ognia?

– Możemy zastosować wyliczenia – powiedziała Lucy. – Jedyna nadzieja to wnioskowanie na podstawie tego, jak formował się ogień, bo nie mamy żadnych fizycznych śladów rozniecenia, tylko ślady dokoła. Poświęciłam trochę czasu na zabawę Stymulatorem Pożaru w komputerze i przesłanki prowadzą stale do jednego.

– A co to, u diabła, jest ten Stymulator Pożaru? – zapytał Marino.

– Jedno z podstawowych naszych narzędzi, oprogramowanie do przewidywania rozwoju pożaru – cierpliwie wyjaśniła Lucy. – Na przykład zakładamy, że płomień osiągnęły sześćset stopni Celsjusza, czyli tysiąc sto dwadzieścia stopni Fahrenheita. Wpisujemy dalsze znane nam dane, takie jak otwory wentylacyjne, rodzaj powierzchni, energia, której mogły dostarczyć materiały palne, domniemany punkt zapalny, tkaniny na oknach i ścianach i tak dalej, i tak dalej. A na koniec powinniśmy otrzymać

wyraźne przesłanki co do podejrzanych i pożaru. I zgadnijcie, co wyszło! Bez względu na algorytmy, metody i wykorzystane programy komputerowe, które można zastosować, odpowiedź brzmi tak samo. Nie ma logicznego wyjaśnienia, w jaki sposób ogień tak szybko i o takiej temperaturze mógł zostać wzniecony w łazience.

– A tego możemy być absolutnie pewni – powiedziałam.

– O tak, jak najbardziej – odparła Lucy. – Jak już może wiecie, łazienka została zbudowana stosunkowo niedawno na miejscu wykrojonym z sypialni głównej. Marmurowe ściany i sklepienie przypominające katedrę tworzyły wąskie pomieszczenie w kształcie odwróconej litery V, której wierzchołek wypada prawie dokładnie nad środkiem podłogi. Czyli tam, gdzie najprawdopodobniej znajdował się dywanik, a ogień w tym miejscu musiałby być bardzo gorący i bardzo szybko musiałby się rozprzestrzeniać.

– Pomówmy o tym sławnym dywaniku – rzekł Marino. – Gdybyśmy go podpalili, to jaki dawałby ogień?

– Powolny – odparła Lucy. – Nie wyższy niż sześćdziesiąt centymetrów.

– A więc odpada – powiedziałam.

– Istotne jest również – mówiła dalej Lucy – zniszczenie dachu, dokładnie powyżej łazienki. W miejscu zaprószenia ognia płomienie musiały mieć ze dwa i pół metra i temperaturę sięgającą ośmiuset stopni, żeby szkło mogło się topić. W prawie osiemdziesięciu procentach podpalen ogień zaczyna się znad podłogi. Innymi słowy, strumień promieniowania cieplnego...

– Jaki znowu strumień promieniowania? – zapytał Marino.

– Promieniowanie cieplne to rodzaj fali elektromagnetycznej emitowanej przez ogień niemal jednakowo we wszystkich kierunkach. Rozumiecie na razie?

– Tak – powiedziałam.

– Ogień emituje również ciepło pod postacią gorących gazów, które mają ciężar niższy od powietrza, więc unoszą się do góry – tłumaczyła jak nauczyciel fizyki. – Innymi słowy, jest to konwekcyjny transfer ciepła. W początkowych etapach pożaru większość ciepła rozchodzi się w ten sposób. Unosi się nad punktem zapalnym. W tym przypadku nad podłogą. Lecz gdy ogień płonie już jakiś czas i uformowały się warstwy gazu i dymu, dominujący staje się radialny transfer ciepła. Przypuszczam, że właśnie na tym etapie drzwi do kabiny prysznicowej nie wytrzymały i upadły na ciało.

– No właśnie, a co z ciałem? – zapytałam. – Gdzie je w tym wszystkim umieścić?

Z przykrycia jednego pudła Lucy wzięła notatnik i pstryknęła długopisem. Narysowała szkic pomieszczenia z wanną i prysznicem, a na środku podłogi umieściła wąski i wysoki płomień sięgający sufitu.

– Jeżeli ogień ma dość energii, żeby płomienie sięgały aż sufitu, to wtedy mówimy o wysokim strumieniu promieniowania. Gdyby nie było żadnej bariery pomiędzy ogniem i ciałem, zostałyby ono całkowicie zniszczone. Coś, w naszym przypadku drzwi do kabiny absorbowало ciepło radialne i chroniło zwłoki. Myślę też, że ciało znajdowało się bardzo blisko punktu zapalnego. Kilkadziesiąt centymetrów, góra metr lub dwa.

– Nie widzę innej możliwości rozwoju wypadków – przyznałam. – Zwłoki musiały być czymś chronione.

– Właśnie.

– Ale jak można rozniecić taki ogień bez jakiegoś materiału łatwo palnego? – zapytał Marino.

– Możemy mieć tylko nadzieję, że badania laboratoryjne coś wykażą – powiedziała moja siostrzenica. – Skoro znajdujące się tam rzeczy nie mogły spowodować takiego ognia, to musiało być coś jeszcze. Coś, czego użyto do podpalenia.

– Zastanawialiście się w swojej agencji nad motywami finansowymi? – zapytał Marino.

– Oczywiście prawie wszystkie zapiski finansowe Sparkesa spłonęły. Ale jego księgowi i doradcy finansowi okazali nam wiele pomocy i poręczyli za niego. Nie ma więc żadnych przesłanek, że problemem mogły tu być pieniądze.

Na wieść o tym poczułam ulgę. Z tego, co wiedziałam na temat całej sprawy, wydawało mi się, że Kenneth Sparkes nie jest tylko ofiarą. Z całą pewnością nie wszyscy też podzielali moją opinię.

– Lucy – powiedziałam, gdy wróciła do jedzenia. – Chyba wszyscy się zgadzamy, że pożar wyraźnie miał na celu ukrycie zabójstwa.

– Na pewno.

– Załóżmy więc, tylko dla dobra dochodzenia, że już gdzieś kiedyś wydarzyło się coś podobnego. Że Warrenton to tylko jeden z wielu pożarów wzniesionych dla zatuszowania zbrodni popełnionej przez tego samego człowieka.

– Tak, to możliwe – powiedziała Lucy. – Wszystko jest możliwe.

– Możemy przeprowadzić poszukiwania? – zapytałam. – Istnieje jakaś baza danych, w której moglibyśmy znaleźć podobne przypadki?

Wstała i wyrzuciła plastikowe naczynia do dużego kosza na śmieci stojącego w kuchni.

– Jak chcesz, możemy spróbować – powiedziała. – W Systemie Podpaleń Celowych, zwanym AXIS.

Dobrze wiedziałam o istnieniu nowej znakomitej sieci komputerowej w ATF o nazwie ESA, (Enterprise System Architecture), która powstała, gdy Kongres udzielił pozwolenia na stworzenie ogólnokrajowego archiwum dotyczącego podpaleń i wybuchów. Do ESA podłączonych było dwieście dwadzieścia stanowisk i każdy agent – moja siostrzenica również –

niezależnie od miejsca swego pobytu mógł połączyć się centralną bazą danych i wejść do AXIS, wystarczyło mieć laptopa z modemem i bezpieczne połączenie komórkowe.

Zaprowadziła nas do mniejszej sypialni, która wyglądała teraz przygnębiająco pusto, jeśli nie liczyć pajęczyn w rogach i kulek kurzu walających się po drewnianej podłodze. Skrzynia łóżka była pusta, materac opięty jeszcze brzoskwiniową tkaniną stał oparty o ścianę, a w kącie leżał zwinięty w rulon kolorowy dywan, który sprezentowałam Lucy na zeszłe urodziny. Na podłodze poniewierały się puste szuflady z komody. Za biurko służył ustawiony na kartonowym pudle laptop Panasonic. Przenośny komputer miał szary kolor i obudowę z magnezu i spełniał wojskowe normy wytrzymałości, co oznaczało, że był odporny na wilgoć, kurz i na wszystko inne, przypuszczam też, że można nim rzucać i przejechać go wojskowym samochodem terenowym.

Lucy zasiadła przy nim na podłodze, po indiańsku, jakby chciała złożyć hołd bóstwu technologii. Nacisnęła klawisz enter, żeby wyłączyć wygaszacz ekranu, i zaczęły się po kolei pokazywać rzędy pikseli układające się w niebieski napis ESA, a potem pojawiła się także mapa Stanów Zjednoczonych. W odpowiednich rubrykach Lucy wpisała nazwisko użytkownika i hasło, pojawiły się nowe zabezpieczenia, z nimi też się uporała i tak pokonując kilka poziomów, przeszła przez pilnie strzeżone wejście do sieci. Kiedy już się zalogowała w bazie, skinęła, żebym usiadła koło niej.

– Jak chcesz, przyniosę ci krzesło – powiedziała.

– Nie, może być, jak jest.

Podłoga była twarda, a moje kręgi krzyżowe nie ucieszyły się z tej pozycji, ale byłam wysportowana. Z ekranu padła prośba o wpisanie słowa, słów lub zwrotów, które chcemy odnaleźć w bazie danych.

– Nie przejmuj się natłokiem informacji – powiedziała Lucy. – Wyszukiwarki tekstowe działają na zasadzie takich skojarzeń jak strumień świadomości. Możemy uzyskać wszystko: od rozmiaru węża strażackiego aż po materiały wykorzystane do budowy domu. Właściwie wszystko to, co trafia do dokumentów straży pożarnej. Można też szukać według własnych kryteriów.

– Spróbujmy *śmierć, morderstwo, podejrzenie podpalenia* – powiedziałam.

– *Kobieta* – dodał Marino. – *I bogaty.*

– *Rozcięcie, wylew krwi, szybki ogień, gorący ogień* – wymyślałam dalej.

– A może niezidentyfikowana? – powiedziała i wpisała Lucy.

– Dobrze – potwierdziłam. – I chyba jeszcze *łazienka.*

– Dodaj tam też *konie* – rzekł Marino.

– Dobrze, spróbujmy – zaproponowała Lucy. – W razie czego można zawsze dodać dalsze słowa.

Poleciała przeszukanie bazy, wyprostowała nogi i pokręciła głową. Z kuchni słyhać było Janet myjącą naczynia. Po niecałej minucie komputer wyświetlił 453 pozycje z wszystkich 11 873 zanotowanych.

– Od 1988 roku – oznajmiła Lucy. – Wchodzą w to także zagraniczne przypadki, kiedy ATF była wzywana do pomocy.

– Możemy wydrukować czterysta pięćdziesiąt trzy informacje? – zapytałam.

– Wiesz, ciociu Kay, drukarka jest już spakowana – powiedziała przepraszająco.

– No to może przeczucisz dane do mojej skrzynki? – zaproponowałam.

Spojrzała z niepewnością w oczach.

– Chyba da się zrobić – powiedziała. – Jeśli jesteś pewna, że nikt... A, nieważne.

– Nie przejmuj się. Przyzwyczaiałam się do poufnych informacji. Na pewno nikt się do nich nie dostanie.

Wiedziałam, że te słowa brzmią trochę niemądrze. Lucy spoglądała wyczekująco na ekran.

– Te SQL-e na UNIXie mogą doprowadzić człowieka do szaleństwa – odezwała się do siebie.

– Gdyby mieli trochę oleju w głowie – rzekł Marino – zatrzymaliby cię tutaj do prac z komputerem.

– Nie zgłaszałam się – odparła Lucy. – Chcę tylko spłacić swoje długi. Przegram ci te pliki, ciociu Kay.

Wyszła z pokoju. Ruszyliśmy za nią do kuchni, gdzie Janet zawijała szklanki w gazety i ostrożnie pakowała do pudełka.

– Możemy przed naszym odjazdem – zwróciłam się do siostrzenicy – pójść na spacer tu w okolicy? Tylko na chwilę.

Spojrzała na mnie podejrzliwie.

– Słucham?

– Przez jakiś czas może nie będziemy się widzieć – powiedziałam.

– Możemy usiąść sobie na tarasie.

– Świetnie.

Zabrałyśmy białe plastikowe krzesła i usiadłyśmy na powietrzu ponad ulicą. Zasunęłam zasłony i przez chwilę obserwowałam tłum ludzi w wieczornym pośpiechu. Taksówki jeździły bezustannie, błyski z kominków w lokalu The Flame migotały na szybach, a mężczyźni popijali w półmroku swoje trunki.

– Chcę się tylko dowiedzieć, jak się czujesz – powiedziałam. – Nie jesteś ostatnio zbyt rozmowna.

– I wzajemnie.

Patrzyła przed siebie z wyдутymi wargami. Przyglądałam się jej wyraźnemu profilowi.

– Ze mną wszystko w porządku – odezwałam się. – Chyba tak jak zawsze. Trochę mam za dużo pracy. Poza tym nic się nie zmieniło.

– Zawsze tak bardzo się o mnie troszczysz.

– Od twego urodzenia.

– Dlaczego?

– Ktoś musi.

– Mówiłam ci, że moja matka zrobiła sobie operację plastyczną?

Juz na samą myśl o jedynej siostrze poczułam niechęć.

– W zeszłym roku wymieniła sobie połowę zębów, a teraz to – mówiła dalej Lucy. – Jej obecny chłopak, Bo, nalegał na to przez ponad półtora roku. Ile razy człowiek może się przepoczwarzyć, zanim go szlag trafi?

– Lucy.

– O, ciociu Kay, nie okłamuj sama siebie. Czujesz dokładnie to samo co ja. Jak można mieć takie zero za matkę?

– W niczym ci to nie pomoże – powiedziałam spokojnie. – Nie możesz jej nienawidzić.

– Nie powiedziała zasranego słowa na moją przeprowadzkę do Filadelfii. Nigdy nie zapytała o Janet ani nawet o ciebie. Idę po piwo. Chcesz także?

– Nie, dziękuję.

Gdy na nią czekałam, powoli zapadał zmrok, obserwowałam sylwetki przechodzących ludzi, jednych obejmujących się, innych zmierzających przed siebie w samotności ku określonymu celowi. Chciałam zapytać Lucy o to, co mówiła mi Janet, ale bałam się poruszać ten temat. Lucy powinna zacząć mówić z własnej woli. Wiedziałam o tym, ale z drugiej strony natura lekarza podpowiadała mi, że lepiej mieć wszystko pod kontrolą. Lucy otworzyła butelkę piwa i wróciła na balkon.

– Porozmawiajmy więc o Carrie, bo dość długo zajmuje ci wyłożenie tego, co chcesz powiedzieć – odezwała się rzeczowym tonem i upiła piwa.
– Mam browninga High-Power oraz sigaz ATF. Także strzelbę dwunastkę na siedem naboii. Co jeszcze powinnam mieć twoim zdaniem? Ale wiesz co? Gdyby ośmieliła się podejść do mnie, udusiłabym ją gołymi rękami. One by mi wystarczyły. – Znów napiła się piwa. – W końcu decyzja zawsze należy do ciebie.

– Jaka decyzja?

Wzruszyła ramionami.

– To ty decydujesz o tym, że ktoś ma więcej siły niż ty. Można całe dni spędzać w strachu i nienawiści do kogoś – wyjaśniała swoje poglądy. – Trzeba dać sobie z tym spokój. Zająć się swoimi sprawami i mieć pewność, że jak ten potwór stanie naprzeciwko ciebie, to musi wiedzieć, iż czeka go walka na śmierć i życie.

– To bardzo słuszne podejście – powiedziałam. – Może nawet jedyne słuszne. Nie jestem tylko pewna, czy ty tak naprawdę czujesz. Mam nadzieję, że tak.

Patrzyła na niepełny księżyc. Nie miałam pewności, ale wydawało mi się, że powstrzymuje łzy.

– To prawda, ciociu. Z palcem w nosie obsłużyłabym cały ten ich sprzęt komputerowy.

– Wiem. Na pewno poradziłabyś sobie nawet z systemami Pentagonu. – Mówiłam łagodnym głosem, w sercu czułam coraz większy ból.

– Ale nie chcę dłużej tego ciągnąć.

Nie wiedziałam, co odpowiedzieć.

– Wykolegowałam wielu ludzi, bo umiem latać helikopterem i... No wiesz.

– Tak, wiem, ile rzeczy potrafisz. I ta lista z pewnością będzie się wydłużać. Jesteś bardzo samotna.

– Czulaś się kiedyś tak jak ja? – szepnęła.

– Całe życie – odpowiedziałam również szeptem. – I teraz już wiesz, dlaczego zawsze cię tak bardzo kochałam.

Odwróciła się do mnie. Lekko dotknęła mojej ręki.

– Lepiej już jedź. Nie chcę, żebyś zmęczona siedziała za kierownicą.

Rozdział dziesiąty

Zbliżała się już północ, gdy zwołam przed budką strażnika przy wjeździe do mojego osiedla. Ze środka wyszedł strażnik, żeby mnie zatrzymać. Jego zachowanie było dość niezwykle i bałam się, że zaraz mi powie o wyjąym przez pół nocy alarmie przeciwwłamaniowym w moim domu lub o jakimś wariacie chcącym sprawdzić, czy jestem u siebie. Gdy otworzyłam okno, obudził się drzemiący od półtorej godziny Marino.

– Dobry wieczór – odezwałam się do strażnika. – Co słychać, Tom?

– U mnie wszystko w porządku – powiedział, nachylając się do samochodu. – Ale przez ostatnią godzinę u pani zdarzyło się kilka niezwykle rzeczy. Wydało mi się, że coś jest nie w porządku, gdy zadzwoniłem, a pani nie było.

– Co się stało? – zapytałam, wyobrażając sobie masę strasznych rzeczy.

– Prawie w tym samym czasie przyjechało dwóch dostawców pizzy. Potem przyjechały trzy taksówki, żeby zabrać panią na lotnisko, jedna za drugą. A potem jeszcze ktoś próbował dostarczyć do pani sprzęt budowlany. Ponieważ nie zastałem pani w domu, wszystkich ich zawróciłem. Wszyscy mówili, że pani ich wzywała telefonicznie.

– Nie, oczywiście, że nie wzywałam – powiedziałam, czując coraz większe zdenerwowanie. – O której to się zaczęło?

– Ciężarówka ze sprzętem budowlanym pojawiła się gdzieś koło piątej. I od tego się zaczęło.

Tom był już starszym człowiekiem i prawdopodobnie nie miał pojęcia, w jaki sposób obronić osiedle przed rzeczywistym niebezpieczeństwem, ale

był uprzejmy i uważał się za prawdziwego stróża porządku, zapewne też kiedyś służył w wojsku.

– Spisał pan dane ludzi, którzy tu przyjeżdżali? – niemal krzyknął ze swojego miejsca Marino.

– Z Domino's i z Pizza Hut. – Na twarzy Toma ocienionej daszkiem bejsbolowej czapeczki pojawiło się ożywienie. – Taksówki były z Colonial, Metro i Yellow Cab. Firma budowlana nazywała się Frick. Każdy miał zamówienie z pani nazwiskiem i każdego zamawiano telefonicznie. Zapisałem nawet czas, kiedy niby pani dzwoniła.

Tom z nieukrywaną radością wyciągnął z tylnej kieszeni zwiniętą we czworo kartkę i podał mi ją. Tej nocy miał do spełnienia inną rolę niż zazwyczaj i niemal się tym upajał. Włączyłam światło w samochodzie i razem z Marinem przejrzelismy spis. Zamówienia na pizze i taksówki zostały złożone pomiędzy dziesiątą dziesięć a jedenastą, a na sprzęt budowlany wczesnym popołudniem z instrukcją, żeby dostarczyć towar później.

– Dowiedziałem się od samego dyspozytora, że przynajmniej w Domino's składała zamówienie kobieta. Jakaś młoda. Według niego zadzwoniła pani i poprosiła o przywiezienie dużej pizzy z owocami morza do mojej budki, skąd sama pani miała ją odebrać. – Zapisałem też nazwisko tego dyspozytora – mówił z dumą Tom. – A więc pani niczego nie zamawiała? – Chciał się upewnić.

– Niczego – odparłam. – Jeśli jeszcze dzisiaj coś takiego się wydarzy, od razu do mnie dzwoń.

– I do mnie też – powiedział Marino i podał swój domowy numer telefonu na wizytówce. – Nieważne, o której godzinie.

Przekazałam wizytówkę przez okno Tomowi, który obejrzał ją niezmiernie uważnie, chociaż Marino przekraczał tę bramkę już mnóstwo

razy.

– Tak jest, panie kapitanie – rzekł Tom z ukłonem. – Mogę zatrzymać każdego, kto tu się pokaże, i poczekać z nim na pański przyjazd.

– Tego proszę nie robić – powiedział Marino. – Nie interesują mnie jakieś dzieciaki z pizzą. I w razie jakichś kłopotów też lepiej, żebyś się z nikim nie szarpał.

Dobrze wiedziałam, że ma na myśli Carrie.

– Jeszcze mam swoją siłę, ale oczywiście będzie tak, jak pan sobie życzy, kapitanie.

– Znakomicie się spisałeś – pochwaliłam go. – Nie wiem, jak ci dziękować.

– Na tym polega moja praca.

Uniósł zdalnie sterowany szlaban, żeby nas przepuścić.

– I co ty na to? – zapytałam Marina.

– Jakiś debil cię nęka. – W świetle ulicznej latarni widziałam na jego twarzy wyraz niechęci. – Chce cię wkurzyć i wytrącić z równowagi.

– I całkiem nieźle mu idzie, trzeba przyznać.

– Nie myślisz chyba, że Carrie... – zaczęłam.

– Nie wiem – przerwał Marino. – Ale wcale nie byłbym tym zaskoczony. O tym osiedlu wiele razy mówiło się w telewizji.

– Chyba dobrze byłoby ustalić, czy zamówienia były składane skądś tutaj.

– Chryste – odezwał się, gdy wjeżdżaliśmy na podjazd. – Mam nadzieję, że nie. Chyba że ktoś inny chce cię trochę zdenerwować.

Wyłączyłam silnik.

– Jak chcesz, mogę się przespać u ciebie na sofie – rzekł Marino, gdy otwierałam drzwi.

– Nie, nic mi nie będzie – odpowiedziałam. – Póki nie przyjedzie ciężarówka z firmy budowlanej. Tego by moi sąsiedzi już nie wytrzymali.

– Sam nie wiem, dlaczego tu mieszkasz.

– Wiesz, wiesz.

Wyciągnął papierosa i najwyraźniej nie miał ochoty odchodzić.

– No tak. Ze względu na budkę strażniczą. Cholera, lepiej pomówmy o czymś przyjemniejszym.

– Będzie mi miło, jeśli zostaniesz u mnie na sofie, skoro boisz się jechać.

– Kto? Ja się boję? – Zapalił zapalniczkę i wydmuchnął dym przez otwarte okno samochodu. – Nie o siebie się martwię.

Wysiadłam z samochodu i czekałam na niego na podjeździe. Gdy ujrzałam na dworze jego potężną, zmęczoną sylwetkę, zrobiło mi się go żal. Marino był samotny i prawdopodobnie czuł się z tym strasznie. Nie miał w życiu najlepszych wspomnień – w pracy stale stykał się z przemocą, a w życiu prywatnym mu się nie ułożyło. Przypuszczam, że byłam dla niego jedynym stałym oparciem. I chociaż zazwyczaj byłam dla niego uprzejma, nie zawsze okazywałam mu ciepło, bo to po prostu było niemożliwe.

– No chodź – powiedziałam. – Zrobię ci drinka i tu się prześpisz. Masz rację. Nie chcę być sama, gdy zwali mi się kolejnych pięciu dostawców z pizzami i kilka taksówek.

– Tak właśnie myślałem – powiedział z chłodnym profesjonalizmem.

Otworzyłam frontowe drzwi, wyłączyłam alarm i parę chwil później Marino leżał już na sofie z bourbonem z lodem. Rozłożyłam mu dwa słodko pachnące prześcieradła i przykryłam je miękkim kocem. Przez chwilę rozmawialiśmy po ciemku.

– Myślisz czasem, że w końcu moglibyśmy przegrać? – zapytał zaspanym głosem.

– Przegrać?

– No tak, niby „dobro zawsze zwycięża”, ale czy to prawda? Dla tej dziewczyny, która spłonęła u Sparkesa, na pewno nie. Dobro nie zawsze wygrywa. Kurwa, nie zawsze. – Podniósł się do pozycji półleżącej, napił się bourbona i głębiej odetchnął. – Carrie też myśli, że wygra. Na pewno zdajesz sobie sprawę, że miała pięć pieprzonych lat do namysłu.

Gdy Marino był zmęczony i wstawiony, nadużywał wulgaryzmów. W taki sposób można wyrazić swe uczucia już tylko samym wymówieniem niektórych słów. Nieraz tłumaczyłam mu, że nie wszystkim się podoba to jego słownictwo, a niektórzy mogą je traktować zbyt dosłownie. Dla mnie „pieprzyć” wcale nie miało podtekstu seksualnego, służyło tylko do podkreślenia wagi wypowiedzianych słów.

– Nie podoba mi się myśl, że ludzie tacy jak ona mogą wygrać – powiedziała cicho i napiłam się czerwonego burgunda. – Nigdy tak nie myślę.

– Naiwność.

– Nie, Marino. Raczej wiara.

– Tak. – Napił się bourbona. – Cholerna wiara. Wiesz, ilu moich znajomych umarło nagłą śmiercią na atak serca albo zginęło na służbie? Jak myślisz, ilu z nich wierzyło? Pewnie każdy. Nikt nie myśli o tym, że może zginąć. Ani ty, ani ja, choćbyśmy znali nie wiem jakie tajemnice. Z moim zdrowiem jest kiepsko, tak? Myślisz, że nie wiem, że każdego dnia się podtruwam? Co ja mogę na to poradzić? Nic. Jestem starym grubasem, który musi sobie codziennie zjeść stek, napić się whiskey i piwa. I gówno mnie obchodzi, co na to mówią lekarze. Wkrótce kopnę w kalendarz i będzie po mnie. – Jego głos stawał się coraz bardziej ochrypły i płaczliwy. – Paru gliniarzy przyjdzie na mój pogrzeb, a ty powiesz następnemu detektywowi, że wcale tak źle się ze mną nie pracowało.

– Marino, idź spać – powiedziałam. – Sam dobrze wiesz, że ja tak nie myślę. Nie wiem nawet, co by ci się mogło stać złego, ty idioto.

– Naprawdę? – Trochę się ożywił.

– Dobrze wiesz, że tak. – Ja też już byłam zmęczona.

Dokończył bourbona i delikatnie zadzwonił lodem, ale nie zareagowałam, bo miał już dosyć alkoholu.

– Wiesz co? Lubię cię, chociaż jesteś jak ta drzazga w tyłku.

– Dziękuję. Do zobaczenia rano.

– Już jest rano.

Jeszcze raz zagrzechotał lodem.

– Śpij – powiedziałam.



Lampę przy swoim łóżku wyłączyłam dopiero o drugiej i dziękowałam Bogu, że sobotni dyżur w prosektorium pełni Fielding. Dopiero o dziewiątej znalazłam motywację, żeby zwlec się z łóżka. W ogrodzie ćwierkały ptaki, a słońce zalewało jaskrawym światłem cały świat. W kuchni od jasności było aż biało, a czyściutkie garnki ze stali lśniły jak zwierciadła. Zrobiłam kawę i powoli odzyskując trzeźwe myślenie, przypominałam sobie o plikach od Lucy. Otworzyłam okno, z radością wdychając wiosenne powietrze, ale oczami duszy zobaczyłam twarz Carrie.

Poszłam do pokoju zobaczyć, co u Marina. Spał tak, jak żył: zmagał się ze swoją fizyczną istotą, jakby była jego wrogiem. Koc skopał na podłogę, poduszkę zbił w twardy zwitek, a prześcieradła owinął sobie wokół nóg.

– Dzień dobry – odezwałam się.

– Jeszcze nie – wymamrotał.

Odwrócił się i przycisnął głowę do poduszki. Miał na sobie niebieskie bokserki i podkoszulek, który nie wystarczał na zakrycie trzydziestu

centymetrów nadętego brzucha. Zawsze się dziwiłam, że mężczyźni nie wstydzą się swojej tuszy tak jak kobiety. Ja na przykład bardzo dbam o linię i kiedy czuję, że ubrania zaczynają robić się za ciasne w talii, zarówno podświadomość, jak i świadomość nakazują mi zachowanie większej dyscypliny.

– Możesz sobie jeszcze trochę pospać – powiedziałam.

Podniosłam koc i okryłam go. Znow zaczął chrapać jak ranny niedźwiedź, a ja poszłam do kuchni zadzwonić do Bentona do hotelu w Nowym Jorku.

– Mam nadzieję, że cię nie obudziłam.

– Właściwie byłem już przy drzwiach. Mówił ciepłym głosem, ale wyraźnie myślał o czymś innym.

– Wolałabym, żebyś ty był ze mną, a ona za kratkami.

– Problem w tym, że ja znam jej zachowania i ona o tym wie. A więc może wcale ich nie znam. Rozumiesz, o co mi chodzi – mówił opanowanym głosem, co świadczyło o tym, że jest zły. – Wczoraj wieczorem paru z nas przebrało się za bezdomnych i chodziliśmy po tunelach Bowery. Wspaniały sposób na wieczór. Byliśmy w miejscu, gdzie został zabity Gault. – Benton zawsze pamiętał, żeby powiedzieć „gdzie Gault został zabity”, a nie „gdzie zabił Gaulta”. – Jestem pewien, że będzie tam wracać – mówił. – I to nie dlatego, żeby za nim tęskniła, ale żeby wspominać okrutne zbrodnie, które razem popełnili, bo to ją ekscytuje. Podnieca ją myśl o jego krwi. Dla niej to podniecenie seksualne, siła, od której jest uzależniona. I obydwójce wiemy, co to oznacza, Kay. Wkrótce będzie potrzebować nowej porcji, o ile już nie popełniła czegoś, o czym jeszcze nie wiemy. Przepraszam za psioczenie, ale mam przeczucie, że cokolwiek teraz zrobi, będzie gorsze od poprzednich zbrodni.

– Trudno sobie wyobrazić, że może być jeszcze coś gorszego – powiedziałam, chociaż wiedziałam, że jest inaczej.

Ilekczoć myślałam, że ludzka istota nie może popełnić czegoś gorszego, okazywało się, że jednak może. A może jest tak, że prymitywne zbrodnie wydają się bardziej szokujące w dobie szybkiego rozwoju cywilizacji, podróży na Marsa i komunikacji w cyberprzestrzeni?

– I jak dotąd nie ma po niej ani śladu – powiedziałam. – Nawet żadnego domysłu.

– Mieliśmy setki poszlak prowadzących donikąd. Nowojorska policja zorganizowała specjalną jednostkę, a w jej centrum komunikacyjnym przed dwadzieścia cztery godziny na dobę działa telefon.

– Jak długo jeszcze tam będziesz?

– Nie wiem.

– Na pewno jeśli Carrie przebywa jeszcze w tamtych okolicach, to doskonale zdaje sobie sprawę, gdzie cię znaleźć. W Nowojorskim Klubie Sportowym, tam gdzie zawsze się zatrzymujesz. Dwa domy od miejsca, gdzie miała z Gaultem pokój. – Znów byłam zdenerwowana. – FBI, zdaje się, obrało taką taktykę, że wrzucają cię do klatki z rekinem i czekają, aż przyplynie.

– Dobra analogia – powiedział. – Miejmy nadzieję, że to zadziała.

– A jeśli naprawdę zadziała? – Mówiąc to, czułam, jak burzy się we mnie krew i rośnie złość. – Wolałabym, żebyś wrócił do domu i pozwolił FBI robić swoje. Ja tego nie rozumiem. Jesteś na emeryturze, a nie dają ci ani chwili spokoju, i w dodatku robią z ciebie przynętę...

– Kay...

– Jak możesz dawać tak się wykorzystywać...

– To nie tak. Sam podjąłem decyzję, bo chcę dokończyć zaczęta robotę. Od początku ja pracowałem nad Grethen i nadal pracuję. Nie mogę sobie

siedzieć spokojnie na plaży, wiedząc, że ona znów zacznie zabijać. Jak mogę nic nie robić i patrzeć, kiedy tobie, Lucy czy Pete'owi grozi niebezpieczeństwo?

– Benton, nie zamieniaj się w kapitana Ahaba, dobrze? Nie pozwól, żeby to śledztwo stało się twoją obsesją.

Roześmiał się.

– Cholera jasna, ja mówię poważnie.

– Obiecuję, że będę trzymał się z dala od białych wielorybów.

Cały czas za jednym z nich płyniesz.

– Kocham cię, Kay.

Idąc korytarzem do swego gabinetu, zastanawiałam się, po co zawsze powtarzam mu te same słowa. Znam jego zasady niemal tak samo dobrze jak swoje i myśl, że nie będzie robił czegoś, co uważa za słuszne, była równie nieprawdopodobna jak pozwolenie innemu patologowi, żeby zajął się sprawą Warrenton, bo miałam prawo na tym etapie życia do odrobiny spokoju.

Włączyłam światło w moim wykładanym panelami gabinecie i odsłoniłam żaluzje. Moje miejsce pracy przylegało do sypialni i nawet gospoia nie wiedziała, że wszystkie okna w moim prywatnym zaciszu, tak samo jak w gabinecie w prosektorium, mają szyby z kuloodpornego szkła. I bałam się nie tylko różnych Grethen chodzących po tym świecie. Niestety istniało wielu zatwardziałych morderców oskarżających mnie o swe uwięzienie, a większość z nich nie będzie siedziała za kratkami wiecznie. Dostawałam wiele listów z pogrózkami od skazańców, którzy obiecywali, że rozprawią się ze mną po wyjściu. Wiedzieli, jak wyglądam, jak mówię, jak się ubieram, i mogli to wykorzystać.

Przygnębiająca prawda przedstawia się jednak tak, że nie trzeba być detektywem, prawnikiem czy głównym lekarzem sądowym, żeby stać się

potencjalnym celem napastników. Większość ofiar jest bezbronna. Jadą samochodami, niosą zakupy ze sklepu, idą po parkingu i znajdują się nagle w złym miejscu o złym czasie.

Zalogowałam się do America Online i znalazłam w swej skrzynce pliki od Lucy z danymi z ATF. Wydałam polecenie drukowania i wróciłam do kuchni po kolejną porcję kawy.

Gdy zastanawiałam się nad czymś do jedzenia, wszedł Marino. Był ubrany, miał rozsunięty krawat, brudną i zmęczoną twarz.

– Idę już – powiedział i ziewnął.

– Napijesz się kawy?

– Nie. Po drodze zatrzymam się w Liberty Valance – odparł, jakbyśmy nigdy nie dyskutowali o jego zwyczajach żywieniowych.

– Dzięki, że zostałeś.

– Nie ma sprawy.

Pomachał mi, wyszedł, a ja włączyłam alarm. Wróciłam do gabinetu, rosnący stos papieru nie napawał entuzjazmem. Po pięciuset stronach musiałam włożyć nowy papier, po czym drukarka pracowała jeszcze trzydzieści minut. Wśród informacji znajdowały się daty, nazwiska, nazwy i raporty inspektorów dochodzeniowych. A dodatkowo rysunki z miejsc dotkniętych pożarem, wyniki badań laboratoryjnych, w kilku przypadkach dołączono także zeskanowane zdjęcia. Wiedziałam, że przekopanie się przez tę stertę papieru zajmie mi resztę dnia. Miałam wrażenie, że trochę zbyt optymistycznie podchodzę do tych poszukiwań, bo mogą się one okazać stratą czasu.

Przejrzałam zaledwie kilkanaście przypadków, gdy rozległ się dzwonek przy drzwiach. Nie oczekiwałam nikogo, prawie nigdy też nie miewałam w domu niezapowiedzianych gości, zwłaszcza że musieli przejechać przez bramkę strażnika. Przypuszczałam, że to któreś z miejscowych dzieci

sprzedaje losy na loterię, prenumeratę jakiegoś czasopisma lub batoniki, ale kiedy spojrzałam na ekran monitora wyświetlającego obraz z kamery przy drzwiach, ze zdumieniem spostrzegłam Kennetha Sparkesa.

– Kenneth – powiedziała do głośniczka. Nie udało mi się ukryć zdziwienia w głosie.

– Przepraszam za najście – mówił do kamery – ale muszę z tobą porozmawiać.

– Zaraz schodzę.

Szybkim krokiem przeszłam przez dom i otworzyłam drzwi. Sparkes wyglądał na dość wymiętego, był w spodniach koloru khaki, zielonej koszulce polo z plamami od potu. Na pasku miał torebkę z krokodylej skóry na zamek, przenośny telefon i pager.

– Wejdz, proszę – powiedziałam.

– Znam większość twoich sąsiadów – rzekł – jeśli zastanawiasz się, jak udało mi się przejechać przez bramkę strażnika.

– Mam świeżą kawę.

Kiedy wchodziliśmy do kuchni, poczułam zapach jego wody kolońskiej.

– Jeszcze raz przepraszam, że tak cię nachodzę – mówił, a jego zakłopotanie wyglądało autentycznie. – Nie wiedziałem, do kogo mam się zwrócić, a bałem się, że gdy najpierw zadzwonię, odmówisz mi.

– Pewnie bym tak zrobiła.

Wyjęłam z kredensu dwa kubki.

– Jaką pijesz?

– Obojętne.

– Może zjesz tosta albo coś innego.

– Nie, bardzo dziękuję.

Usiedliśmy za stołem przy oknie, wcześniej otworzyłam drzwi, bo nagle zrobiło mi się duszno i gorąco. Po głowie kołatały mi się różne myśli, gdy

przypomniało mi się, że Sparkes jest podejrzany o morderstwo, a ja biorę udział w śledztwie, jest sobota rano, jestem w domu sama. Położył skórzaną torebkę na stole i rozsunął zamek.

– Mam nadzieję, że wiesz wszystko o śledztwie.

– Nigdy nie wiem wszystkiego. – Napiłam się kawy. – Kenneth, nie jestem naiwna. Wiem na przykład doskonale, że gdybyś nie miał pleców, nie udałoby ci się wjechać na osiedle i nie siedziałbyś teraz tutaj.

Wyciągnął brązową kopertę i położył ją na stole przede mną.

– Zdjęcia – powiedział cicho. – Claire.

Poczułam się niepewnie.

– Kilka ostatnich dni spędziłem w domu na plaży – zaczął wyjaśniać.

– W Wrightsville?

– Tak. Przypomniałem sobie, że leżą tam w szufladzie. Od czasu rozstania nie oglądałem ich, a nawet o nich zapomniałem. Były robione w jakimś zakładzie. Nie pamiętam szczegółów, ale dała mi kilka odbitek, gdy dopiero zaczynaliśmy się spotykać. Chyba ci wspominałem, że pracowała czasami jako modelka.

Wyciągnęłam z koperty plik około dwudziestu kolorowych fotografii. Już ta na samym wierzchu była znakomita. Na farmie Hootowl Sparkes mówił prawdę. Claire Rawley była niezwykle piękna. Idealnie proste włosy sięgały jej do połowy pleców. Wydawało się, że mają złoty kolor, gdy stała na plaży w klapkach i skąpej bluzeczce z ledwością opinającej jej piersi. Na prawym nadgarstku zauważyłam zegarek do nurkowania z czarnym paskiem i pomarańczową tarczą. Claire Rawley wyglądała jak nordycka bogini o wyraźnych, ostrych rysach twarzy i wysportowanym, zmysłowym ciele. Za nią na piasku leżała deska surfingowa, a w dali migotał ocean.

Kilka zdjęć przedstawiało ją w różnych teatralnych pozach, siedzącą na werandzie rozpadającego się, neogotyckiego pałacu, na kamiennej ławce na

zarośniętym chwastami cementarzu, w ogrodzie. Na innym odgrywała rolę zapracowanej kobiety otoczonej mężczyznami o ogorzałych twarzach, rybakami z jednego z kutrów z Wilmington. Niektóre fotografie były zbyt wymyślne i przesłodzone, ale niczego to nie zmieniało. Na wszystkich ciało Claire Rawley było jak dzieło sztuki, a jej oczy zdradzały bezdenne smutek.

– Nie wiem, czy na coś ci się przydadzą – odezwał się Sparkes po dłuższej chwili milczenia. – Właściwie nie wiem przecież, ile widziałas, to znaczy... Ech.

Nerwowo stukał w stół wskazującym palcem.

– W takich przypadkach jak ten – odpowiedziałam ze spokojem – identyfikacja wzrokowa jest po prostu niemożliwa. Nigdy jednak nie wiadomo, czy takie zdjęcia w czymś nie pomogą.

Jeszcze raz przejrzałam fotografie, tym razem w poszukiwaniu biżuterii.

– Ma interesujący zegarek – powiedziałam.

Sparkes uśmiechnął się, popatrzył, a potem westchnął.

– Prezent ode mnie. Taki modny zegarek, popularny wśród surferów. Miał jakąś znaną nazwę. Animal? Chyba tak.

– Moja siostrzenica ma podobny – przypomniało mi się. – Stosunkowo tani. Jakieś osiemdziesiąt, dziewięćdziesiąt dolarów, prawda?

– Nie pamiętam, ile zapłaciłem. Ale kupiłem go w sklepie dla surferów. Claire lubiła tam chodzić. Sweetwater SurfShop przy South Lumina, tam gdzie restauracja Vito's, Reddog's and Buddy's Crab. Mieszkała niedaleko z innymi kobietami. W takim starym niezbyt miłym domku przy ulicy Stone.

Zapisałam to.

– Ale był nad wodą i to się dla niej liczyło.

– A co z biżuterią? Pamiętasz, czy nosiła coś szczególnego?

Zastanowił się.

– Może bransoletkę? – zapytałam.

– Nie pamiętam.

– Albo łańcuszek na klucze ?

Pokręcił głową.

– A pierścionek?

– Czasami nosiła taki srebrny, niedrogi.

– A platynowa obrączka?

Wyraźnie wytrąciłam go tym pytaniem z równowagi.

– Platynowa? – powtórzył.

– Tak. Dużego rozmiaru.

Spojrzał na swe dłonie.

– Pasowałyby na ciebie – powiedziałam.

Rozparł się na krześle i spojrzał na sufit.

– Mój Boże – rzekł. – Musiała ją zabrać. Miałem prostą, platynową obrączkę, którą czasem nosiłem, gdy z nią byłem. Żartowała wtedy, że jestem ożeniony z samym sobą.

– Zabrała ją z sypialni?

– Pewnie tak, trzymałem ją tam w skórzanym etui.

– A czy wiesz o innych rzeczach, które zginęły z domu? – zapytałam.

– Nie doliczono się jednego pistoletu z mojej kolekcji. Resztę znalazła ATF, oczywiście wszystko zniszczone.

– Jaki to pistolet?

– Calico.

– Mam nadzieję, że nie trafił na ulicę – powiedziałam z przejęciem.

Calico to straszny pistolet maszynowy, przypominający nieco uzi z dużym cylindrem na wierzchu. Ma kaliber dziewięć milimetrów i może wystrzelić około stu ładunków.

– Musisz zgłosić to wszystko na policji i u ATF.

- Częściowo już to zrobiłem.
- Kenneth, musisz im powiedzieć o wszystkim.
- Rozumiem. Powiem. Chcę tylko wiedzieć, czy to była ona. Zrozum, że na niczym więcej tak bardzo mi teraz nie zależy. Muszę się przyznać, że dzwoniłem do niej. Żadna ze współlokatorek nie widziała jej od ponad tygodnia. Ostatni raz spędziła tam noc w piątek przed pożarem. Czyli dzień wcześniej. Młoda dama mówiła mi, że gdy spotkała się z Claire w kuchni, wyglądała na przygnębioną i zdezorientowaną. Ale nie wspominała, że zamierza wyjechać.
- Widzę, że umiesz poprowadzić dochodzenie.
- A co ty byś zrobiła na moim miejscu? – zapytał.
- Spojrzałam mu w oczy i dostrzegłam cierpienie. Kropelki potu perliły się na czole pod linią włosów. Mówił tak, jakby miał spierzchnięte wargi.
- Wróćmy do tych zdjęć – powiedziałam. – Po co dokładnie zostały zrobione? Dla kogo pozowała?
- Dla kogoś miejscowego, o ile sobie przypominam. – Wpatrywał się w okno. – Zdaje się, że wspominała coś o Izbie Handlowej, o popularyzowaniu plaży.
- A w jakim celu dała ci te zdjęcia? – Dalej wolno przeglądałam jedno po drugim. – Ot tak, po prostu dlatego, że cię lubiła? Może chciała ci zaimponować?
- Smutno się uśmiechnął.
- Chciałbym, żeby były tylko takie powody – odparł. – Ona wiedziała, że mam wpływy, że znam ludzi z branży filmowej i tak dalej. Chciałbym, żebyś uważnie się im przyjrzała.
- Miała nadzieję, że być może pomożesz jej w karierze – powiedziałam, patrząc na niego.
- Oczywiście.

– A pomogłeś jej?

– Słuchaj, nie będę ukrywał, że muszę w życiu postępować ostrożnie i uważać, kogo promuję – oświadczył. – Nie byłoby wskazane, żebym obnosił się zdjęciami mojej pięknej, białej kochanki, która ma nadzieję na zrobienie kariery. Staram się nigdy nie eksponować swego prywatnego życia. – Dostrzegłam błysk w jego oczach, gdy sięgał po kubek z kawą. – Nigdy nie nagłaśniam i nie nagłaśniałem niczego, co dotyczy tylko mnie. Dodam też, że nie powinno się wierzyć we wszystko, co można wyczytać w gazetach.

– Nigdy nie wierzyłam – odrzekłam. – Kenneth, wiem to chyba lepiej niż ktokolwiek inny. Szczerze mówiąc, nie interesuje mnie twoje życie osobiste, ale dlaczego dałeś te zdjęcia mnie, a nie śledczym z Fauquier albo ATF?

Popatrzył na mnie spokojnym wzrokiem.

– Jak już mówiłem, żeby ją zidentyfikować. A poza tym ufam ci, a to chyba jeszcze ważniejsze. Nieważne, że się różnimy, ale wiem, że nie chcesz nikogo pogrążyć ani nie będziesz rzucać fałszywych oskarżeń.

– Rozumiem.

Poczułam się w tym momencie trochę nieswojo i chciałam bardzo, żeby już sobie poszedł, żebym nie musiała go wypraszać.

– Widzisz, bardzo wygodnie byłoby zrzucić wszystko na mnie. Już od dawna czyha na mnie wielu ludzi, którzy z radością popatryliby na mój upadek, na uwięzienie mnie lub na moją śmierć.

– Żaden z inspektorów dochodzeniowych, z którymi współpracuję, tak nie myśli – powiedziałam.

– Nie chodzi mi o Marina czy ATF – odpowiedział natychmiast. – Raczej o kliki posiadające władzę polityczną. O różnych białych

szowinistów czy militarystów, którzy mają wpływy na powszechnie znane osobistości. Wierz mi, że to prawda.

Widziałam jego naciągnięte ścięgnię pod szczęką.

– Stos dla mnie już jest przygotowany – kontynuował. – Jeśli ktoś nie wyjaśni wszystkiego, co zaszło, moje dni są policzone. Ja to wiem. A ktoś, kto spalił niewinne, bezbronne konie, nie cofnie się przed niczym. – Jego wargi zadrżały, w oczach pojawiły się łzy. – Spalić je żywcem! Co za monstrum zdobyło się na taką rzecz.

– Ktoś straszny – powiedziałam. – Zdaje się, że ostatnio chodzi po świecie sporo takich monstrów. Możesz mi coś powiedzieć na temat tamtego źrebaka? Tego, którego widziałam po pożarze? Bo zdaje się, że jeden z koni się uratował.

– Śpiew Wichury – potwierdził to, czego się spodziewałam, i wytarł sobie serwetką oczy. – Piękny, mały konik. To już prawie roczniak, przyszedł na świat na mojej farmie, jego rodzice należeli do bardzo cennych koni wyścigowych. – Mówił ze ściśniętym gardłem. – Nie mam pojęcia, jak Śpiew Wichury się uratował. To dziwne.

– A może Claire, jeśli była to Claire, wyprowadziła go ze stajni i nie wprowadziła z powrotem? – zasugerowałam. – Może poznała konia podczas którejś wizyty u ciebie?

Sparkes odetchnął głęboko i rozmasował sobie oczy.

– Nie, jeszcze wtedy go nie było. Pamiętam nawet, że Wichura, jego matka, była źrebna podczas odwiedzin Claire.

– Zatem Claire mogła się domyślić, że Śpiew Wichury to jej źrebak.

– Tak, mogła.

– A gdzie on teraz jest? – zapytałam.

– Na szczęście udało się go złapać i przewieźć na farmę Hootowl. Tam jest bezpieczny i ma opiekę.

Temat koni przygnębił go zupełnie, nie wierzyłam, że tylko gra. Chociaż potrafił umiejętnie występować przed publicznością, nie mógł być aż tak dobrym aktorem. Powoli zaczął tracić panowanie nad sobą, miotał się pomiędzy siłą a słabością. Odsunął krzesło i wstał.

– Muszę ci powiedzieć jeszcze jedno – powiedział, gdy odprowadzałam go do drzwi wyjściowych. – Gdyby Claire żyła, to przypuszczam, że jakoś spróbowałaby się ze mną skontaktować. Choćby listownie. Zakładając oczywiście, że słyszała o pożarze, a nie wierzę, że nie słyszała. Była bardzo wrażliwa, pomimo tego, przez co przeszła.

– Kiedy widziałeś ją po raz ostatni?

Otworzyłam frontowe drzwi.

Sparkes spojrzał mi w oczy i jeszcze raz dostrzegłam w nich, że pomimo swej siły był naprawdę wstrząśnięty. Nie mogłabym powiedzieć, że nie wzbudza we mnie strachu.

– Jakiś rok temu.

Na podjeździe stał jego srebrny jeep cherokee. Czekałam na dworze, aż wsiądzie i zatrzaśnie drzwi. Nie mogłam się opędzić od wścibskiej ciekawości, co też sobie pomyśleli sąsiedzi, jeśli go rozpoznali. Kiedy indziej śmiałabym się z tego, ale w jego wizycie nie było nic zabawnego. Dlaczego przyjechał osobiście, zamiast dostarczyć zdjęcia na przykład pocztą kurierską? To pytanie najbardziej cisnęło mi się na usta.

Ale nie ma nic dziwnego w jego zainteresowaniu śledztwem. Nie użył swojej władzy ani swych wpływów, żeby spróbować mną manipulować. Nie próbował nawet wpłynąć na moje opinie i uczucia względem niego. A przynajmniej ja tego nie zauważyłam.

Rozdział jedenasty

Podgrzałam sobie kawę i wróciłam do gabinetu. Przez pewien czas siedziałam na swym ergonomicznym krześle i wciąż od nowa oglądałam fotografie Claire Rawley. Jeśli zamordowano ją z premedytacją, to dlaczego akurat w miejscu, gdzie nikt się jej nie spodziewał?

Nawet jeżeli zrzucić winę na wrogów Sparkesa, to czy nie jest zbyt jaskrawym zbiegiem okoliczności, że pojawiła się w tym domu właśnie wtedy i bez zaproszenia? Czy najgorszy rasista poważiłby się spalić żywcem konie tylko po to, żeby ukarać ich właściciela?

Odpowiedzi na te pytania nie istniały, więc zabrałam się do opisów pożarów z ATF. Przeglądałam je strona po stronie, a godziny mijały. W aktach znajdowały się pożary kościołów, domów mieszkalnych, budynków przeznaczonych na działalność gospodarczą, a także seria pożarów kręgielni z miejscem zapalnym zawsze na tym samym stanowisku. Obracały się wniwecz mieszkania, destylatornie, firmy chemiczne i rafinerie, a wszystkie te przypadki były podejrzane, chociaż nigdy nie udowodniono podpalenia.

Co do zabójstw to zdarzały się rzadziej i winę za nie ponosili słabo przygotowani złodzieje lub małżonkowie, którzy nie przyjmowali do wiadomości, że gdy znika cała rodzina, a na pogorzeliisku znajduje się kawałki kości, to z dużą dozą prawdopodobieństwa zostanie wezwana policja. Poza tym ludzie martwi przed pożarem nie wdychają przecież tlenu węgla i nie mają w ciele kul, które widać na prześwietleniu.

Około dziesiątej wieczorem zwróciłam jednak uwagę na dwa przypadki. Jeden zdarzył się w marcu, drugi sześć miesięcy wcześniej. Ten pierwszy

miał miejsce w Baltimore, w domu niedaleko miasteczka studenckiego, a ofiarą był dwudziestopięciolatek Austin Hart, student czwartego roku medycyny na Uniwersytecie Johnsa Hopkinsa. Był w domu sam, ponieważ trwały właśnie wiosenne ferie.

Według raportów policji pożar wybuchł w sobotę wieczorem i zanim dotarła straż, paliło się już na całego. Hart spłonął tak bardzo, że identyfikacji można było dokonać jedynie na podstawie podobieństwa zębów i rentgenogramów zrobionych przed i po śmierci. Pożar wybuchł w łazience, nie stwierdzono spięcia elektrycznego ani zastosowania materiałów szybko palnych.

ATF została wezwana do dochodzenia przez oddział straży pożarnej z Baltimore. Co ciekawe, do przeprowadzenia ekspertyzy zaproszono Teen McGovern, która przyjechała aż z Filadelfii. Po kilku ciężkich tygodniach przeszukiwania pogorzelniska, po przesłuchaniu świadków i otrzymaniu wyników badań z laboratorium ATF w Rockville, wszystko wskazywało na to, że pożar wybuchł przypadkowo, a student został zamordowany przed jego wybuchem. Niczego jednak nie dało się udowodnić, dochodzenie i rekonstrukcja nie pomogły w określeniu, w jaki sposób tak prędko ogień mógł zostać wzniecony w małej, wykładanej kafelkami łazience, gdzie nie było nic prócz porcelanowego zlewu, muszli klozetowej, zasłony okiennej i wanny zasłoniętej foliową zasłoną.

Poprzedni pożar zdarzył się w październiku na Venice Beach w Kalifornii. Wybuchł także wieczorem w domku nad oceanem, odległym zaledwie o dziesięć skrzyżowań od słynnego ośrodka sportowego Muscle Beach. Marlenę Farber była dwudziestotrzyletnią aktorką, która miała na koncie drobne role w operach mydlanych i serialach komediowych, a dochody czerpała głównie z udziału w reklamach telewizyjnych. Szczegóły

spłonienia jej cedrowego domu były tak samo niejasne jak w przypadku Austina Harta.

Kiedy przeczytałam, że pożar najprawdopodobniej wybuchł w łazience, poczułam nagły przypływ adrenaliny. Ofiara spłonęła tak doszczętnie, że zostały tylko białe, zwapnione fragmenty, a porównanie zdjęć rentgenowskich zrobionych przed i po śmierci było możliwe tylko dlatego, że dwa lata wcześniej przechodziła rutynowe prześwietlenie płuc. Została zidentyfikowana głównie na podstawie żeber. Nie wykryto materiałów szybko palnych, nie wyjaśniono też, co w łazience mogło być przyczyną tak wysokich płomieni, że wznieciły one ogień na wyższym piętrze. Muszla, wanna, zlew i półka z kosmetykami to oczywiście za mało. A według satelitarnego Krajowego Serwisu Pogodowego nigdzie w promieniu stu mil od domu w ciągu poprzednich czterdziestu ośmiu godzin nie uderzył piorun.

Zastanawiałam się nad tym przy kieliszku pinot noir, gdy zadzwonił do mnie Marino. Była prawie pierwsza.

– Obudziłem cię? – zapytał.

– A co za różnica?

Musiałam się uśmiechnąć, bo zawsze zadawał takie pytanie, gdy dzwonił o nieprzyzwoitej godzinie.

– Sparkes miał cztery maki dziesiątki z tłumikami, które najprawdopodobniej kupił po prawie sześćset dolarów za sztukę. Miał minę przeciwpiechotną kupioną za tysiąc sto i karabin MP40. A do tego dziewięćdziesiąt pustych granatów.

– Tak, tak. Słucham.

– Mówi, że interesuje się drugą wojną światową, a zbierał wszystko, jak leci. Tak jak beczki z bourbonem pochodzące z gorzelni, która pięć lat temu splajtowała. Ten bourbon już nic mu nie zaszkodzi, bo w świetle innych

spraw nikt nie zwraca na to uwagi. Co do broni, to wszystko było zarejestrowane, a podatki popłacone. Jest więc czysty, ale ten zezowaty śledczy z Warrenton wspomniał coś, że Sparkes potajemnie sprzedaje broń ugrupowaniom przeciwników Castro z południowej Florydy.

– Na czym opiera te twierdzenia?

– Cholera wie, ale śledczy z Warrenton gonią za tą sprawą jak pies za listonoszem. Mają teorię, że ta dziewczyna, co u niego spłonęła, coś wiedziała i Sparkes musiał ją załatwić. Nawet jeśli oznaczało to spalenie wszystkiego, co miał. Łącznie z końmi.

– Gdyby handlował bronią – powiedziałam zniecierpliwiona – to miałby trochę więcej niż kilka starych karabinów i pustych granatów.

– Teraz go dopiero rozpracowują. A biorąc pod uwagę jego pozycję, może to trochę potrwać.

– A co z zaginionym calico?

– A skąd ty o tym wiesz?

– Nie doliczono się jednego calico, zgadza się?

– Tak mówią, ale skąd ty...

– Dzisiaj był u mnie Sparkes.

Nastąpiła długa przerwa.

– O czym ty mówisz? – zapytał zdezorientowany. – Przyszedł do ciebie?

– Tak, do domu. Bez zaproszenia. Przyniósł zdjęcia Claire Rawley.

Tym razem Marino milczał bardzo długo; pomyślałam już, że się rozłączył.

– Bez obrazu – odezwał się w końcu. – Na pewno nie bronisz go tylko dlatego, że jest tym...

– Nie – przerwałam mu.

– No dobra. Można się dowiedzieć czegoś z tych zdjęć? – zapytał.

– Tylko tego, że jego była dziewczyna to naprawdę piękność. Włosy takie jak u ofiary, waga i wzrost też pewnie by się zgadzały. Miała zegarek podobny do tego, który znalazłam, a współlokatorki nie widziały jej od dnia pożaru. Tyle na początek, ale to jeszcze za mało.

– Jediną rzeczą, jaką policji z Wilmington udało się wyciągnąć od uniwersytetu, to że Claire Rawley figuruje na liście studentów. Studiowała od czasu do czasu do poprzedniej jesieni.

– Czyli mniej więcej wtedy, gdy Sparkes z nią zerwał.

– Jeśli on mówi prawdę – zauważył Marino.

– A rodzice Claire?

– Uniwersytet nie powiedział nam o niej nic więcej. To typowe. Mamy do nich pójść z nakazem sądowym, a sama wiesz, jak to się odbywa. Może ty byś pogadała z dziekanem albo kimś tam i zmiękczyła ich trochę? Ludzie chętniej rozmawiają z lekarzami niż z policją.

– A właściciel mercedesa? Pewnie jeszcze się nie pokazał?

– Jego dom stale obserwuje policja z Wilmington – odpowiedział Marino. – Zaglądali przez okna, wachali przez otwór na listy, ale nie znaleźli nic, co świadczyłoby o rozkładającym się ciele. Na razie nie mamy nic. Wygląda na to, że rozpułnął się w powietrzu, ale nie mamy prawa wyważyć drzwi do jego domu.

– Ile ma lat?

– Czterdzieści dwa. Brązowe włosy i oczy, waga osiemdziesiąt kilo, wzrost sto siedemdziesiąt osiem.

– Ktoś musi wiedzieć, gdzie on przebywa. A przynajmniej gdzie go ostatnio widziano. Nie można tak po prostu zniknąć, żeby nikt nic nie zauważył.

– Na razie wygląda na to, że można. Ludzie przyjeżdżają do niego do domu na umówione wizyty. Nikt do nich nie dzwonił, niczego nie

odwoływał. Facet po prostu wyparował. Sąsiedzi nie widzieli ani jego, ani samochodu od co najmniej zeszłego tygodnia. Nikt nie zauważył, żeby wyjeżdżał, czy to sam, czy w towarzystwie. Piątego czerwca, w czwartek, dzień przed pożarem, rozmawiała z nim mieszkająca obok pewna stara kobieta. Obydwoje wyszli jednocześnie wyjąć prasę ze skrzynki i pokiwali sobie na dzień dobry. Według niej gdzieś mu się spieszyło i nie był taki przyjacielski jak zwykle. Jak na razie mamy tylko tyle.

- Ciekawe. Może Claire Rawley była jego pacjentką.
- Mam nadzieję, że on jeszcze żyje – rzekł Marino.
- Ja też.



Lekarz sądowy nie jest reprezentantem instytucji dbającej o poszanowanie prawa, lecz ma za zadanie tylko obiektywnie przedstawiać zebrane dowody. Jest także detektywem, który za świadka ma zmarłą osobę. Czasami jednak nie przejmuję się ograniczeniami narzucanymi przez definicję.

Sprawiedliwość to coś o wiele więcej niż kodeksy, zwłaszcza że często zauważam, iż nikogo nie interesują fakty. W sobotę rano kierowałam się raczej intuicją, gdy postanowiłam odwiedzić Hugheya Dorra, kowala, który dwa dni przed pożarem podkuwał konie Sparkesa.

Kiedy myłam kubek po kawie, odezwały się dzwony w kościołach baptystów i prezbiterian. Odszukałam w notatniku numer telefonu, który dostałam od jednego z inspektorów ATF. Nie zastałam kowala w domu, ale była jego żona, więc przedstawiłam się.

– On pojechał do Crozier – powiedziała. – Cały dzień będzie w Red Feather Point. To kawałek od drogi na Lee, po północnej stronie rzeki. Łatwo znaleźć.

Wiedziałam jednak, że poszukiwania wcale nie muszą być takie proste. Mówiła o terenach Wirginii, gdzie znajdują się praktycznie same stadniny koni, a dla mnie, mówiąc szczerze, wszystkie wyglądają jednakowo. Poprosiłam więc żonę kowala o kilka bliższych wskazówek.

– To będzie zaraz po drugiej stronie rzeki, naprzeciwko więzienia stanowego. Tamtejsi więźniowie pracują na farmach – dodała. – Na pewno pani znajdzie.

Rzeczywiście, wiedziałam, gdzie jest to więzienie. Bywałam tam kiedyś od czasu do czasu, gdy więźniowie wieszali się w celach lub zabijali nawzajem. Wzięłam też telefon na farmę, żeby się upewnić, czy mogę przyjechać. Jak to bywa wśród koniarzy, wcale się nie zainteresowali, jaką mam sprawę, ale powiedzieli mi, że znajdę kowala w zielonej szopie. Poszłam do sypialni, przebrałam się w tenisową koszulkę, dżinsy i sznurowane buty, po czym zadzwoniłam do Marina.

– Możesz jechać ze mną, a jeśli nie chcesz, dam sobie radę sama – powiedziałam.

W tle słyszałam mecz bejsbolowy w telewizji. W telefonie pojawiły się piski, gdy Marino podszedł do odbiornika, żeby go ściszyć. Słyszałam jego oddech.

– Jestem skonany.

– Wiem. Ja też jestem zmęczona.

– Daj mi pół godziny.

– Przyjadę po ciebie, masz więc jeszcze trochę czasu.

– Dobra, może być.

Mieszkał w południowym James, zalesionym osiedlu obok drogi zwanej Midlothian, gdzie łatwo można było kupić hamburgery, pistolety czy motocykle, a także zamówić umycie samochodu z woskowaniem lub bez. Mały biały domek Marina znajdował się na ulicy Ruthers. Na podjeździe

stał maszt z amerykańską flagą, obok był garaż, w którym trzymał samochód kempingowy, a całą działkę otaczało ogrodzenie z siatki.

Promienie słońca załamywały się w licznych choinkowych lampkach zdobiących każdą linię prostą na domu. Różnokolorowe żarówki wisiały również na drzewach i krzewach. Były ich całe tysiące.

– Myślę, że nie powinieneś zostawiać tych światełek włączonych – powtórzyłam po raz kolejny, gdy otworzył drzwi.

– A co? Mam je zwijać, a na Święto Dziękczynienia rozwijać na nowo? – powiedział to co zawsze. – Wiesz, ile to by zabrało czasu? Zwłaszcza że co roku trochę dodaję.

Jego obsesja sięgnęła już tego punktu, że miał oddzielne bezpieczniki dla dekoracji bożonarodzeniowych, wśród których znajdował się podświetlany Święty Mikołaj ciągnięty przez osiem reniferów, radosna Śnieżynka, laski, zabawki, a także Elvis śpiewający przez głośniki kolędy. Wystawa Marina osiągała takie rozmiary, że poświęcić jego rezydencji widać było w promieniu kilku mil, a jego dom stał się obowiązkowym punktem dla wycieczek odwiedzających Richmond. Zawsze mnie denerwowało, że przed domem kogoś tak aspołecznie ustawiają się kolejki samochodów, a podpici ludzie robią różne kawały.

– Po co ci to wszystko? – zapytałam, gdy wsiadał do mojego samochodu. – Jeszcze dwa lata temu tego nie robiłeś. A teraz zamieniłeś prywatny dom w odpustową budę. Martwię się o ciebie. I nie chodzi mi tylko o możliwość pożaru wywołanego instalacją elektryczną. Wiem, że już wypowiadałam swoje zdanie na ten temat, ale nadal czuję się zobowiązana...

– Ja też się czuję zobowiązany.

Zapiął pas i wyrzucił papierosa.

– Jak byś zareagował, gdybym wystroiła swój dom w ten sposób i nie zdejmowała lampek przez okrągły rok?

– Tak samo, jakbyś kupiła sobie telewizor, zainstalowała basen w ogrodzie i codziennie opychała się herbatnikami. Pomyślałbym, że postradałaś zmysły.

– I miałbyś rację.

– Posłuchaj... – Bawił się niezapalonym papierosem. – Być może osiągnąłem w życiu taki punkt, że wkrótce mogę je stracić. Gównu mnie obchodzi, co ludzie pomyślą. Więcej niż raz żył nie będę, a kto, kurwa, wie, ile jeszcze pociągnę?

– Stajesz się trochę zbyt defetystyczny.

– Ja to nazywam realizmem.

– Rzeczywistość wygląda tak, że kiedy umrzesz, to trafisz do mnie na stół. A to powinno cię zmusić do trzymania się przy życiu najdłużej, jak to możliwe.

Zamilkł i wyglądał przez okno. Jechaliśmy drogą numer 6 przez zalesione Goochland, gdzie czasami przez kilka mil nie widać innego samochodu. Ranek był dość rzeński, ale w tych okolicach było gorąco i parno. Mijaliśmy niesamowite domy z miedzianymi dachami, wspaniałymi werandami i sadzawkami w ogrodach. Zielone jabłka przyginały do ziemi konary, a słoneczniki zwieszały głowy jak w modlitwie.

– Prawda wygląda tak – znów zaczął Marino – że mam przecucie czy coś w tym rodzaju. Wiem, że mój czas szybko upływa. Myślę o życiu i o tym wszystkim, co zrobiłem. Nawet gdybym już niczego więcej nie dokonał, to i tak mi wystarczy. Widzę przed sobą taką ścianę, za którą już nic nie ma. Moja droga dobiega końca. Znikam stąd. Kwestia tylko, jak i kiedy. A w takim razie mogę sobie robić, co mi się tylko podoba. Mam rację?

Nie wiedziałam za bardzo, co powiedzieć, a myśl o jego upstrzonym domu sprawiła, że łzy napłynęły mi do oczu. Dobrze, że miałam okulary słoneczne.

– Marino, żeby to nie była samospełniająca się przepowiednia – powiedziałam cicho. – Ludzie myślą o czymś za wiele i są tak zestresowani, że to naprawdę się staje.

– Jak w przypadku Sparkesa – rzekł.

– Zupełnie nie wiem, co ma do tego Sparkes.

– Może myślał o czymś za wiele i to się stało. Na przykład, że jest czarny, wielu ludzi go nienawidzi i tak bardzo się przejmował, co te łajdaki mogą zrobić z tym, co ma, że sam postanowił się spalić. A przy okazji zabił konie i białą dziewczynę. Skończył jako biedak. Forsa z ubezpieczenia nie zastąpi tego, co utracił. Nie mamowy. Prawda wygląda tak, że Sparkes już jest przegrany. Albo stracił wszystko, co w życiu kochał, albo trafi do ciupy.

– Gdyby była mowa tylko o podpaleniu, skłonna byłabym podejrzewać, że to on podłożył ogień – powiedziałam. – Ale w grę wchodzi jeszcze zamordowana młoda kobieta. I wszystkie te konie. Według mnie to trochę komplikuje sprawę.

– A jeśli o mnie chodzi, to sprawa znów przypomina O.J. Simpsona. Bogaty wpływowy czarnoskóry, jego biała była kochanka z podciętym gardłem. Nie widzisz tu czasem jakichś zbieżności? Słuchaj, muszę zapalić. Będę dmuchał przez okno.

– Gdyby Kenneth Sparkes chciał zamordować swoją byłą kochankę, to dlaczego nie uczynił tego w jakimś miejscu, którego nie można by z nim łączyć? – zauważyłam. – Dlaczego miałby przy okazji niszczyć wszystko, co ma, skoro i tak na niego wskazują wszystkie ślady?

– Nie wiem. Może sprawy wymknęły mu się spod kontroli i wszystko zaczęło się pieprzyć. Może wcale nie planował jej zabijać ani podpalać

domu.

– Coś mi się nie wydaje, żeby ten pożar został wzniecony spontanicznie. Według mnie ktoś dokładnie wiedział, co robi.

– Albo miał szczęście.

Na wąskiej drodze światło przeplatało się z cieniem, ptaki na przewodach telefonicznych przypominały mi nuty. Kiedy mijaliśmy restaurację Biegun Północny z niedźwiedziem polarnym na szyldzie, przypomniały mi się lunche po rozprawach sądowych w Goochland, detektywi i patolodzy, którzy odeszli już na emeryturę. Słabo pamiętałam tamte morderstwa, ponieważ stykałam się już z tak wieloma zabójstwami, ale myśl o kolegach, których utraciłam, zasmuciła mnie na chwilę. Farma Red Feather Point ze wspaniałym widokiem na rzekę James znajdowała się na końcu wysypanej żwirem drogi. Za samochodem wzniosły się kłęby kurzu, gdy jechałam wzdłuż białego płotu otaczającego zielone pastwiska z ustawionymi gdzieniegdzie stogami siana.

Dwupiętrowy dom farmerski wyglądał jak nie z tego wieku, również szambo pomiędzy pnącymi roślinami było już przestarzałe. W oddali po polu chodziło kilka koni, wybieg był pusty. Weszliśmy z Marinem do dużego zielonego budynku i podążaliśmy za odgłosami młotka uderzającego o stal. Wspaniałe koniki wychylały głowy z boksów i nie mogłam się powstrzymać przed pogłaskaniem aksamitnych pysków morganów i arabów. Zatrzymałam się, żeby powiedzieć miłe słowo do żrebaka i matki, które patrzyły na mnie swymi wielkimi brązowymi ślepiami. Marino trzymał się z daleka i odganiał ręką muchy.

– Można sobie na nie popatrzeć – odezwał się. – Ale przecież one mogą ugryźć.

Na gwoździach w drewnianych ścianach wisiały grabie i zwinięte w spirale węże. Tylne drzwi zostały zasłonięte kotarą, za którą zastałam tylko

kobietę w kasku i stroju jeździeckim, trzymającą angielskie siodło.

– Dzień dobry – powiedziałam, gdy umilkło odległe walenie. – Jestem doktor Scarpetta, szukam pana Dorra. Dzwoniłam wcześniej.

– Jest tam – odparła i odeszła.

– Aha, Czarnej Koronce już chyba spadła gorączka – dodała na odchodne, a ja zdałam sobie sprawę, że wzięła mnie za weterynarza.

Poszliśmy dalej i zastaliśmy kowala siedzącego na stołku z przednim prawym kopytem białej klaczy pomiędzy kolanami. Dorr był łyсы, miał szerokie, masywne ramiona, a w skórzanym fartuchu wyglądał na grubasa. Był spocony i brudny od kurzu. Wyciągał gwoździe z aluminiowej podkowy.

– Cześć – zawołał do nas, a koń nastroszył uszy.

– Dzień dobry, panie Dorr. Jestem doktor Scarpetta, a to kapitan Pete Marino – powiedziałam. – Pańska żona powiedziała mi, gdzie mogę pana znaleźć.

Podniósł na nas oczy.

– Mówcie mi Hughey. Tak mam na imię. Pani jest weterynarzem?

– Nie, nie, jestem lekarzem sądowym. Kapitan Marino i ja zajmujemy się sprawą Warrenton.

Oczy mu pociemniały, wyrzucił na bok starą podkowę. Wyciągnął z kieszeni fartucha zagięty nóż i zaczął czyścić koniowi kopyto, aż zeszkrobał całe błoto. Na ziemię upadł też kamyczek.

– Sprawca zasługuje na kulkę w łeb – powiedział, wyjmując z drugiej kieszeni szczypce, którymi wyrównał i zaokrąglił ścianki kopyta.

– Robimy, co możemy, żeby ustalić, co się stało – rzekł Marino.

– Moim zadaniem jest zidentyfikowanie kobiety, która zginęła w pożarze – wyjaśniłam. – I dokładniejsze określenie, co jej się stało.

– I dlaczego była w tym domu – dodał Marino.

– Tak, słyszałem o tej sprawie. Dziwna rzecz – powiedział Dorr. – Potarł pilnikiem kopyto klaczy, która z niechęcią wydeła wargi. – Nie wiem, dlaczego ktoś był w domu.

– Z tego, co wiemy, kilka dni wcześniej był pan na tej farmie – mówił Marino, wyjmując notatnik.

– Pożar wybuchł w sobotę wieczorem – rzekł Dorr. Czyścił spód kopyta drucianą szczotką. – Byłem tam we czwartek, prawie cały dzień. Wszystko odbywało się jak zwykle. Podkułem osiem koni i pomogłem jednemu cierpiącemu na gnicie strzałki, bo bakterie dostały się do kopyta. Posmarowałem formaldehydem, pewnie pani wie, co to za środek. – Podłożył prawą nogę klaczy i podniósł lewą. Poruszyła się i machnęła ogonem. Dorr uderzył ją po pysku. – To żeby miała o czym myśleć – wyjaśnił nam. – Miała zły dzień. One są jak małe dzieci. Zawsze tylko nas sprawdzają. Człowiek myśli, że koń go kocha, a jemu tylko zależy na jedzeniu.

Gdy odgiął nowy gwóźdź, klacz odwróciła oczy i pokazała białe zęby. Dorrowi prowadzenie rozmowy w najmniejszym stopniu nie przeszkadzało w pracy.

– Widział pan kiedyś u Sparkesa młodą kobietę? – zapytałam. – Taką wysoką, bardzo piękną blondynkę z długimi włosami.

– Nie. Zawsze gdy tam przychodziłem, zajmowaliśmy się końmi. Pomagał mi, jak mógł, chociaż zupełnie się na tym nie zna. – Znów wyjął nóż. – Ja osobiście nie mogę potwierdzić żadnej z tych historii o jego prowadzeniu się. On zawsze wydawał mi się typem samotnika. Początkowo mnie to nawet trochę zaskoczyło.

– Jak długo pracował pan dla niego? – zapytał Marino. Zmienił pozycję i zrozumiałam, że teraz on chce poprowadzić rozmowę.

– Szósty rok – odparł Dorr, biorąc pilnik. – Po parę razy w miesiącu.

– A gdy widział się pan z nim we czwartek, to wspominał coś o swoim wyjeździe?

– Oczywiście. Właśnie dlatego miałem do niego pojechać. Leciał następnego dnia do Londynu i nie było nikogo, kto mógłby mnie przyjąć podczas jego nieobecności.

– Wygląda na to, że ofiara przyjechała starym, granatowym mercedesem. Widział pan kiedyś taki samochód na ranczo?

Dorr przestawił nieco stołek i skrzynkę z narzędziami. Podniósł tylną nogę klaczy.

– Nie przypominam sobie. – Zdjął kolejną podkowę. – Nie, na pewno nie widziałem takiego wozu. Prrr.

Ustawił konia, poklepując go po zadzie.

– Miała chorą nogę – powiedział nam.

– Jak się nazywa?

– Molly Brown.

– Pan chyba nie jest z tych stron – zagadnęłam.

– Urodziłem się i wychowałem w południowej Florydzie.

– Ja też – powiedziałam. – W Miami.

– Teraz to już tak daleko jak Ameryka Południowa.

Rozdział dwunasty

Do szopy wbiegł pies myśliwski i zaczął węszyć po usypanej słomą podłodze w poszukiwaniu ścinków z kopyta. Molly Brown delikatnie zarżała, stawiając tylną nogę na skrzynce niczym dama kładąca dłoń przed manikiurzystką w salonie.

– Hughey – zwróciłam się do niego po imieniu, jak prosił. – Wiele spraw w tym pożarze budzi wątpliwości. Mamy ciało, a w domu Sparkesa nikogo być nie powinno. Zmarła kobieta to zakres mojej odpowiedzialności i chcę się dowiedzieć absolutnie wszystkiego na temat tego, dlaczego tam była i dlaczego nie wyszła, kiedy rozgorzał ogień. Ty byłeś być może ostatnią osobą na farmie przed pożarem. Proszę cię więc, żebyś postarał się przypomnieć sobie, czy jest taka rzecz, obojętnie jaka, która tego dnia wydała ci się niezwykła.

– No właśnie – rzekł Marino. – Może Sparkes prowadził jakąś prywatną, osobistą rozmowę przez telefon. Może domyśla się pan, że spodziewał się kogoś. Słyszał pan, żeby Sparkes wymienił kiedyś nazwisko Rawley, Claire Rawley?

Dorr wstał i znów poklepał klacz po zadzie, a ja instynktownie cofnęłam się poza zasięg jej silnych nóg. Pies zaszczekał na mnie jak na intruza.

– Spokojnie, malutki.

Pochyliłam się i wyciągnęłam rękę.

– Pani doktor, Molly Brown można ufać. A pan – zwrócił się do Marina – boi się ich, one to wyczuwają. I dają to panu do zrozumienia.

Dorr ruszył przed siebie, a ja poszłam za nim. Marino przylgnął do ściany, mijając konia, który miał co najmniej metr czterdzieści w kłębie.

Kowal podszedł do miejsca, gdzie stał zaparkowany jego samochód. Był to czerwony pikap z zamontowanym z tyłu palnikiem na gaz. Odkręcił kurek i buchnął niebieski ogień.

– Ponieważ nie ma zbyt mocnych kopyt, muszę dorobić zaczepy na podkowach, żeby dobrze się trzymały. To coś jak wkładki ortopedyczne u ludzi. – Chwycił w szczypcę aluminiową podkowę i przyłożył ją do ognia. – Muszę policzyć do pięćdziesięciu, żeby ta moja kuźnia rozgrzała podkowę. – W powietrzu unosił się zapach metalu. – Czasami wystarcza do trzydziestu. Aluminium nie zmienia koloru, więc podgrzewam je, aż robi się miękkie.

Położył podkowę na kowadle i wybił otwór. Uformował zaczepy i zbił je młotkiem na płasko. Za pomocą szlifierki hałasującej jak piła elektryczna wyrównał ostre krawędzie. Grał nieco na zwłokę albo zastanawiał się nad odpowiedzią. Nie miałam najmniejszej wątpliwości, że jest stuprocentowo lojalny wobec Kennetha Sparkesa.

– Poza wszystkim innym – powiedziałam – rodzina tej kobiety ma prawo do informacji. Muszę ich powiadomić o śmierci, a nie mogę tego uczynić dopóty, dopóki nie mam całkowitej pewności. Na pewno zapytają mnie, co jej się stało, a ja będę musiała to wiedzieć.

Nic nie odpowiedział, więc poszliśmy za nim do Molly Brown. Wypróżniła się właśnie i weszła w łajno, a Dorr wymiótł je miotłą. W pobliżu cały czas kręcił się pies.

– Wiecie, największą bronią konia jest ucieczka – przemówił w końcu, umieszczając sobie przednią nogę Molly pomiędzy kolanami. – On chce tylko uciekać. Choćby nie wiadomo jak kochał człowieka. – Wbił gwoździe przez otwory w podkowie i stąpił czubki, które wyszły przez boczną ściankę kopyta. – Ludzie zachowują się tak samo, jeśli przyprzeć ich do muru – dodał.

– Mam nadzieję, że pan nie czuje się przyparty do muru – powiedziałam, głaszcząc psa między uszami.

Dorr piłował na gładko wystające części gwoździ i znów zwlekał z odpowiedzią.

– Prrr – powiedział do Molly Brown. W powietrzu wisiał ciężki zapach metalu i końskiego łajna. – Rzecz w tym – zwrócił się do nas, podnosząc młotek – że przyszlście tu i myślicie, że tak po prostu wam zaufam. To tak, jakbyście myśleli, że umiecie podkuć konia.

– Rozumiem pana uczucia – powiedziałam.

– Ja na pewno nie podkuję konia – odezwał się Marino. – Nawet nie będę próbował.

– Koń może podnieść człowieka w zębach i rzucić nim. Może ugryźć, kopnąć, machnąć ogonem przez oczy. To jasne jak słońce, kto jest oskarżony. A wy przyszlście tylko po dalsze wiadomości, które mogą przynieść kłopoty.

Dorr wstał i rozmasował sobie plecy. Wrócił do palnika, aby rozgrzać następną podkowę.

– Posłuchaj, Hughey – Marino też przeszedł na „ty”. – Prosimy cię o pomoc, bo uważamy, że tego chcesz. Opiekowałeś się tamtymi końmi. Na pewno nie jest ci też obojętne, że ktoś zginął.

Kowal oparł się o samochód. Trzymał w szczypcach kolejną podkowę.

– Ja mam tylko swoją własną, prywatną teorię.

Przysunął podkowę do ognia.

– Zamieniamy się w słuch – rzekł Marino.

– Uważam, że to robota profesjonalistów i tamta kobieta brała w niej udział. Tylko że z jakichś powodów im nie wyszło.

– Uważasz więc, że to ona podłożyła ogień? – zapytałam.

– Może nie sama. Ale maczała w tym palce.

– Dlaczego tak uważasz?

Dorr umieścił podkowę w imadle.

– Sami wiecie, że styl życia pana Sparkesa kłuł w oczy wielu ludzi. Zwłaszcza tych faszyzujących – opowiedział.

– Nadal nie rozumiem, co mogła mieć z tym wspólnego ta kobieta – rzekł Marino.

Dorr wyprostował plecy. Przeciągnął się, poruszył głową, coś strzeliło mu w kościach.

– Może ktoś, kto to zrobił, nie wiedział o wyjeździe pana Sparkesa i potrzebował dziewczyny, żeby otworzyć drzwi. Może nawet pana Sparkesa coś z nią łączyło.

Ani ja, ani Marino nie przerywaliśmy mu.

– On należy do takich ludzi, którzy nigdy nikogo znajomego nie odeślą spod drzwi. Według mnie jest zbyt ufny i dobroduszny.

Wyładował swą złość podczas szlifowania i klepania podkowy. Gdy zanurzył ją w kubie z zimną wodą, zasyczała, jakby wysyłała mu ostrzeżenie. Bez słowa powrócił do Molly Brown i zasiadł na drewnianym stołku. Przymierzył podkowę, spiłował brzegi i chwycił za młotek. Klacz była nieco niespokojna, ale głównie znudzona.

– Powiem wam też, że do mojej teorii pasuje jeszcze jedna sprawa – mówił, nie przerywając pracy. – Jak w czwartek byłem na farmie, nad głowami latał nam ten cholerny helikopter. Nie było żadnych nawożeń pól, więc nie wiedzieliśmy z panem Sparkesem, czy śmigłowiec ma jakieś problemy, czy się zgubił i szuka miejsca do lądowania. Warczał z piętnaście minut, a potem odleciał na północ.

– Jaki miał kolor? – zapytałam, bo przypomniałam sobie maszynę, która pojawiła się nad pogorzelskim po pożarze.

– Biały. Przypominał ważkę.

– Jak mały chopper z silnikiem tłokowym? – zapytał Marino.

– Nie znam się na lotnictwie, ale rzeczywiście, śmigłowiec był mały. Chyba dwumiejscowy, bez żadnych numerów. To trochę dziwne, no nie? Jakby ktoś prowadził obserwację z powietrza.

Pies z półprzymkniętymi oczami leżał z głową na moim bucie.

– I nigdy wcześniej nie widziałeś tego helikoptera nad farmą? – Wiedziałam, że Marino również pamięta tamten śmigłowiec, ale nie wyglądał na specjalnie zainteresowanego tematem.

– W Warrenron nie ma zwolenników helikopterów, bo one płoszą konie.

– Jest tam lądowisko, a nawet kilka prywatnych pasów startowych – rzekł Marino.

Dorr wstał ze stołka.

– Powiedziałem wam wszystko najlepiej, jak umiem. – Wyjął bandanę z kieszeni i otarł sobie twarz. – Powiedziałem wszystko, co wiem. Cholera. To straszne.

– Jeszcze jedno – powiedział Marino. – Sparkes to człowiek bardzo ważny i zajęty. Na pewno od czasu do czasu używa śmigłowca. Na przykład, żeby dostać się na lotnisko. Przecież jego farma znajduje się niemal na pustkowiu.

– Jasne. Śmigłowce lądowały na farmie – rzekł Dorr.

Spojrzał na Marina podejrzliwym wzrokiem. – Widziałeś kiedyś jakąś podobną maszynę? – zapytał Marino.

– Już mówiłem, że nigdy jej nie widziałem. – Dorr mierzył nas wzrokiem, a Molly Brown poruszyła uzdą i odsłoniła białe zęby. – Powiem wam jeszcze jedno. Jeśli zamierzacie zrobić w to pana Sparkesa, to więcej nie fatygujcie się przychodzeniem do mnie.

– Nikogo nie chcemy wrabiać – powiedział Marino. On też zaczął mówić prowokującym tonem. – Chcemy dotrzeć do prawdy. Ona podobno

mówi sama za siebie.

– Dobrze by było.

W drodze powrotnej z trudem starałam się poukładać sobie wszystko to, co wiedzieliśmy i czego się właśnie dowiedzieliśmy. Marino rzucił kilka komentarzy, a im bardziej zbliżaliśmy się do Richmond, w tym gorszy popadał nastrój. Gdy wjeżdżaliśmy na podjazd, odezwał się jego pager.

– Helikopter do niczego tu nie pasuje – powiedział, gdy zaparkowałam przy jego wozie. – I być może nie ma z tym nic wspólnego.

Oczywiście istniała taka możliwość.

– Czego, do diabła?

Uniósł pager i spojrzał na wyświetlacz.

– Cholera. Chyba coś się stało. Może wejdiesz do środka.

Rzadko bywałam u Marina w domu, ostatnio odwiedziłam go chyba w czasie wakacji, gdy przywiozłam domowej roboty chleb i gulasz będący moją specjalnością. Oczywiście miał włączone wszystkie swe dziwaczne dekoracje i nawet w środku domu pełno było lampek i obwieszonych do przesady choinek. Pamiętam, że elektryczna kolejka jeździła w kółko po bożonarodzeniowym miasteczku przyprószonym śniegiem. Marino zrobił wtedy napój z jajek, mleka i brandy i prawdę powiedziawszy, nie powinnam była wracać do domu samochodem.

Teraz jego dom wydawał mi się mroczny i pusty, na postrzępionym dywanie w pokoju stały krzesła z materiałów przetwarzalnych. Nad kominkiem stały różne puchary, które zdobywał przez wiele lat, a najładniejszym elementem wyposażenia był szerokoekranowy telewizor. Poszłam za nim do kuchni i spostrzegłam niemiłosiernie zabrudzoną kuchenkę i stos brudnych naczyń piętrzący się w zlewie. Puściłam ciepłą wodę, zmoczyłam gąbkę i zaczęłam ścierać, co się dało, a Marino wykręcał numer.

– Nie musisz – szepnął do mnie.

– Ktoś musi.

– Halo – powiedział do telefonu. – Mówi Marino. Co się stało?

Słuchał dłuższą chwilę, jego napięcie rosło, zmarszczył brwi, robił się coraz bardziej czerwony na twarzy. Wzięłam się do naczyń, a było ich naprawdę dużo.

– A jak dokładnie sprawdzili? – zapytał Marino. – Nie, chodzi mi o to, czy jest tam ktoś na miejscu. Tak? Oczywiście nikt nic nie pamięta. Cały cholerny świat jest pełen zapominalskich. Ludzie nigdy nie widzą, gdy trzeba, nie?

Starannie wymyłam szklanki i odstawiłam je na ścierkę do obeschnięcia, – Zgadzam się, że sprawa bagaży budzi niepokój – mówił dalej Marino.

Zużyłam resztki płynu do naczyń i musiałam się posiłkować kawałkiem zeschniętego mydła znalezionego pod zlewem.

– A nie mogłabyś się przy okazji zorientować, czy nie wiadomo czegoś na temat białego śmigłowca latającego nad farmą Sparkesa? – Chwilę słuchał, a potem dodał: – Może przed, a na pewno po, bo widziałem go na własne oczy, gdy tam lecieliśmy.

Marino słuchał uważnie, a ja zajęłam się srebrami. W końcu ku memu zdumieniu powiedział: – Może chcesz zamienić dwa słowa z ciocią?

Znieruchomiałam wpatrzona w niego.

Podał mi słuchawkę.

– Ciocia? – Lucy najwyraźniej była nie mniej zaskoczona niż ja. – Co ty robisz w domu u Marina? – zapytała.

– Zmywam.

– Co?

– Wszystko z tobą w porządku? – zapytałam.

– Marino ci opowie. Sprawdzę tę białą maszynę. Musiała przecież gdzieś tankować. Może w Leesburgu. Ale jakoś mi się nie chce wierzyć. Muszę kończyć.

Odłożyła słuchawkę, a ja poczułam się nagle wkurzona i wcale nie wiedziałam dlaczego.

– Zdaje się, że Sparkes ma trochę kłopotów – rzekł Marino.

– A co się stało? – zapytałam.

– Wychodzi na to, że przybył w piątek przed pożarem na lotnisko Dulles na lot o wpół do dziesiątej wieczorem. Nadał bagaż, ale w Londynie go nie odebrał. A to znaczy, że istnieje możliwość, iż mógł tylko nadać bagaż, pokazać przy bramce bilet do sprawdzenia, zrobić w tył zwrot i odejść z lotniska.

– Przecież podczas lotów międzynarodowych liczą pasażerów – powiedziałam. – Jego nieobecność została by zauważona.

– Możliwe. Ale nie zaszedłby tak daleko, gdyby nie miał głowy na karku.

– Marino...

– Poczekaj. Daj mi najpierw dokończyć. Sparkes twierdzi, że gdy samolot lądował w sobotę o dziewiątej czterdzieści trzy na londyńskim Heathrow, czekała już na niego ochrona z wiadomością. A mówimy o czasie angielskim, czyli u nas była czwarta czterdzieści trzy rano. Gdy dowiedział się o pożarze, nie troszcząc się o bagaż, najbliższym lotem wrócił do Waszyngtonu.

– Myślę, że w chwili zdenerwowania człowiek może tak postąpić.

Marino patrzył na mnie twardym wzrokiem, gdy odkładałam mydło na zlew i wycierałam rękę.

– Przestań trzymać jego stronę – powiedział.

– Nie trzymam jego strony. Staram się tylko być bardziej obiektywna niż niektórzy. Ochrona z Heathrow na pewno pamięta, jak wysiadał z samolotu.

– Nie za bardzo. Nie wiemy też, w jaki sposób ochrona dowiedziała się o pożarze. Sparkes oczywiście na wszystko ma wyjaśnienie. Mówi, że ochrona zawsze po podróży przynosi mu informacje i czeka na niego przy bramce. Informacja o pożarze mogła już trafić do porannych wiadomości w Londynie, a biznesmen, z którym Sparkes miał się spotkać, zadzwonił do British Air z prośbą o dostarczenie wiadomości, gdy tylko znajdzie się na ziemi.

– Ktoś już rozmawiał z tym biznesmenem?

– Jeszcze nie. Pamiętaj, że to wersja Sparkesa. A muszę dodać, choć niechętnie, że niektórzy ludzie gotowi są skłamać, żeby go bronić. I jeżeli to on sobie wszystko zaplanował, to z całą pewnością nie zaniedbał najmniejszego szczegółu. Poza tym gdy dotarł do Dulles na lot do Londynu, pożar już trwał, a dziewczyna nie żyła. A kto powiedział, że to nie on ją zabił, i po opuszczeniu farmy nie spowodował wybuchu pożaru za pomocą jakiegoś zapalnika?

– Nikt – przyznałam mu rację. – Ale też nic nie przemawia za takim rozwojem wypadków. I nie dowiemy się tego dopóty, dopóki badania nie wykażą, że do wzniesienia ognia został użyty jakiś materiał łatwo palny.

– Teraz za zapalnik może posłużyć mnóstwo rzeczy w domu. Budziki, magnetowidy, komputery, zegarki cyfrowe.

– To prawda. Ale coś musi spowodować wybuch, jakaś słonka, iskra, lont, ogień – mówiłam. – Jeśli nie masz już nic więcej do zmywania – dodałam oschłym tonem – to idę.

– Nie wkurzaj się na mnie – powiedział Marino. – Przecież to wszystko to nie moja wina.

Zatrzymałam się przed wyjściowymi drzwiami i odwróciłam głowę. Szare kosmyki włosów opadły mu na spocone czoło. W łazience miał pewnie pełno brudnych ubrań, których nie miał kto wyprać, a on nie dałby sobie rady z nimi wszystkimi choćby za milion lat. Przypomniała mi się dbająca o niego Doris, która nagle zakochała się w kimś innym i odeszła. Wtedy odnosiłam wrażenie, że do żył Marino wpuszczono jakąś złą krew. Pomimo szczerých intencji i kryształowo uczciwej pracy pozostawał w stałym konflikcie z otoczeniem. I to go powoli zabijało.

– Wyświadczyć mi, proszę, jedną przysługę – powiedziałam z dłonią na klamce.

Wytarł twarz w rękaw koszuli i wyciągnął papierosa.

– Nie zachęcaj Lucy do wyciągania zbyt pośpiesznych wniosków. Wiesz równie dobrze jak ja, że problem dotyczy zarówno miejscowych instytucji broniących prawa, jak i miejscowych polityków. Marino, sądzę, że nawet nie musnęliśmy tych spraw, więc lepiej na razie na nikim nie wieszajmy psów.

– Dziwią mnie twoje słowa – rzekł – po tym wszystkim, co ten skurwiel zrobił, żeby cię wykopać ze stanowiska. Nagle stał się taki święty?

– Nie powiedziałam, że jest święty. Prawdę mówiąc, nie znam świętych ludzi.

– Sparkes-Casanova – mówił Marino. – Gdybym cię tak dobrze nie znał, pomyślałbym, że się w nim zabujałaś.

– Duma nie pozwala mi odpowiedzieć na taką insynuację.

Wyszłam na ganek i miałam ochotę trzasnąć mu drzwiami przed nosem.

– Taaa. Takie rzeczy mówią wszyscy winni. – Wyszedł za mną. – Nie myśl, że nie wiem, że jak nie byłaś jeszcze z Wesleyem...

Odwróciłam się i wymierzyłam w niego palcem jak z pistoletu.

– Ani słowa więcej – ostrzegłam. – Trzymaj się z daleka od moich spraw i nie wąż się wąpić w mój profesjonalizm. Sam to powinienes wiedzieć, do jasnej cholery.

Zeszłam po schodach do samochodu. Wyjechałam tyłem powoli i ostrożnie. Potem ruszyłam, nie odwracając do niego głowy.

Rozdział trzynasty

W poniedziałek rano nad miasto nadciągnęła burza, wiał ostry wiatr i ciął deszcz. Jechałam do pracy z wycieraczkami włączonymi na najszybsze tempo, do zaparowania szyb nie dopuszczała klimatyzacja. Gdy otworzyłam okno, żeby wsunąć kartę do automatu przed autostradą, doszczętnie zmókł mi rękaw żakietu, a potem – co zdarza się niezmiernie rzadko – przed wjazdem do instytutu parkowały dwa samochody zakładów pogrzebowych, więc musiałam zostawić samochód na zewnętrznym parkingu. Przez piętnaście sekund potrzebnych do przebiegnięcia przez parking i przekręcenia klucza w zamku zmoczyło mnie do suchej nitki. Z włosów ciekła mi woda, a gdy szłam korytarzem, chlupotały buty.

Sprawdziłam w recepcji, co działo się w nocy. Dziecko zmarłe w łóżku rodziców. Starsza kobieta, która prawdopodobnie popełniła samobójstwo przez przedawkowanie leków. No i oczywiście zastrzelenie związane z narkotykami na jednym z tych osiedli, które miały być bardziej cywilizowanymi i zdrowymi przedmieściami. W minionych kilku latach miasto Richmond osiągnęło jeden z największych wskaźników przestępczości w Stanach Zjednoczonych. Notuje się tu sto sześćdziesiąt zabójstw rocznie przy niespełna ćwierci miliona mieszkańców.

Winę zrzucano na policję. A czasem nawet na mnie, gdy statystyki osiągnane przez mój urząd nie pasowały politykom lub gdy zatrzymany długo nie trafiał pod sąd. Nigdy nie przejmowałam się tak irracjonalnymi zarzutami, ponieważ ludziom władzy nie przyszło do głowy, że istnieje coś takiego jak medycyna prewencyjna i że jest to właściwie jedyny sposób na powstrzymanie zarazy przemocy. Przecież lepiej szczepić na przykład

przeciwko polio niż radzić sobie z nim po fakcie. Idąc do swojego gabinetu, zostawiałam za sobą mokre ślady.

Skręciłam do szatni, bo zaczynałam już odczuwać dreszcze. Szybko zdjęłam mokry kostium i bluzkę. Przebrałam się w strój do pracy, który zawsze stawiał opór, gdy mi się spieszyło. Włożyłam laboratoryjny kitel, wytarłam ręcznikiem włosy i zaczesalam je ręką do tyłu. Z lustra patrzyła na mnie zmęczona i załamana twarz. Nie wysypiałam się ostatnio i nie odżywiałam prawidłowo, nie pilnowałam się z kawą i alkoholem. Wszystko to zaraz widać pod oczami. Przyczynił się do tego podświadomy lęk i gniew związany z Carrie. Nie mieliśmy pojęcia, gdzie ona jest, a ja widziałam ją wszędzie.

Weszłam do salki rekreacyjnej, gdzie unikający kofeiny Fielding przyrządzał sobie herbatę cyjankową. Jego obsesja na punkcie zdrowia wcale nie poprawiła mi humoru. Od tygodnia nie wykonywałam żadnych ćwiczeń fizycznych.

– Dzień dobry, pani doktor – powiedział na przywitanie.

– Miejmy nadzieję, że dobry – odpowiedziałam, sięgając po dzbanek do kawy. – Na razie mamy niewielu denatów. Dzisiaj ty poprowadzisz poranną odprawę. Ja mam mnóstwo roboty.

W czarnych spodniach, żółtej koszuli z wywinętymi mankietami i jaskrawym krawacie wyglądał na rześkiego i wypoczętego. Był gładko ogolony i ładnie pachniał. Nawet buty miał lśniące, ponieważ w przeciwieństwie do mnie nie pozwalał sobie na to, aby różne życiowe zdarzenia miały wpływ na dbałość o wygląd.

– Nie wiem, jak ci się to udaje – powiedziałam, mierząc go od stóp do głowy. – Nigdy nie cierpisz na takie zwyczajne rzeczy jak depresja, stres, łaknienie czekolady, papierosów albo szkockiej?

– Gdy mnie coś takiego łapie, staram się poćwiczyć – powiedział, spoglądając zza parującego kubka. – Zastanowił się chwilę. – Kiedy teraz o tym myślę, to chyba najgorszą rzeczą, jaka mi się zdarza, jest odgradzanie się od żony i dzieci. Znajduję sobie usprawiedliwienia, żeby wychodzić z domu. Czasami niezły ze mnie łajdak i chyba wtedy mnie nienawidzą. Tak, mnie też dotyka samodestrukcja. Ale mówię ci, jeżeli znajdziesz czas na szybki spacer, przejażdżkę na rowerze czy kilka pompek, to skutki będą niesamowite. – Na odchodne dodał: – Ciało wytwarza naturalne morfiny, rozumiesz, nie?

– Dzięki – zawołałam za nim. Żałowałam, że go o to zapytałam.

Ledwie usiadłam za biurkiem, pojawiła się Rose. Miała upięte włosy i granatowy kostium.

– Nie wiedziałam, że już jesteś – powiedziała, kładąc przede mną stos protokołów. – Właśnie dzwoniła McGovern z ATF.

– Tak? – zapytałam z zainteresowaniem. – Mówiła po co?

– Chce się z tobą zobaczyć, bo była przez weekend w Waszyngtonie.

– Kiedy i w jakiej sprawie? Zająłam się podpisywaniem listów.

– Zaraz tu będzie – powiedziała Rose.

Spojrzałam na nią ze zdziwieniem.

– Dzwoniła z samochodu i powiedziała, żebyś i przekazać, że jest już prawie przy Kings Dominion i będzie tu za jakieś dwadzieścia minut, góra pół godziny.

– Musi mieć ważną sprawę – mruknęłam, otwierając kartonowe pudełko ze szkiełkami laboratoryjnymi.

Odwróciłam się, zdjęłam folię z mikroskopu i nastawiłam oświetlenie.

– Nie uważasz, że powinnaś się sprzeciwić? – zapytała troskliwie Rose.

– Nie prosiła o spotkanie i nawet nie zapytała, czy masz czas.

Położyłam szkiełko laboratoryjne pod obiektyw i spojrzałam przez okular na wycinek tkanki trzustki, na różowe komórki, skurczone i jakby zeszkłone i ponacinane bliznami.

– Zatrucie rozwijało się jak z bata strzełił – powiedziałam do Rosę i założyłam drugie szkiełko. – Wyjątek stanowił aceton – dodałam – produkt uboczny nieprawidłowego metabolizmu glukozy. Nerki wykazują wywołaną nadciśnieniem osmotycznym wakuolizację dokładnie zwiniętych w rurki komórek wyściółki. A to oznacza, że nie są różowe i sześcienne, tylko przezroczyste, nabrzmięte i powiększone.

– Znów Sonny Quinn – powiedziała pośepnie Rosę.

– A do tego typowa sprawa oddechu o zapachu owocowym, utrata wagi, pragnienie i częste oddawanie moczu. Insulina wszystko by zaleczyła. Chociaż nie chcę powiedzieć, że nie wierzę w modlitwę, jak rodzice nagadali dziennikarzom.

Sonny Quinn miał jedenaście lat, jego rodzice należeli do Kościoła nauk chrześcijańskich. Umarł przed ośmioma tygodniami i chociaż nie było wątpliwości co do przyczyn zgonu – przynajmniej ja ich nie miałam – nie mogłam zakończyć badań przed przeprowadzeniem wszystkich testów. Mówiąc w skrócie, chłopiec umarł, ponieważ rodzice nie zapewnili mu odpowiedniej opieki medycznej. Ostro też oprotestowali sekcję zwłok. Poszli do telewizji i oskarżyli mnie o prześladowanie religijne i bezczeszczenie ciała dziecka.

Rosę doskonale zdawała sobie sprawę, co o tym wszystkim myślę.

– Chcesz do nich zadzwonić? – zapytała.

– Chcieć to może nie chcę, ale zadzwonię. Wzięła grubą teczkę z aktami sprawy Sonny’ego Quinna i odszukała numer telefonu.

– Powodzenia – powiedziała, idąc do drzwi.

Wykręcałam numer z ciężkim sercem.

– Pani Quinn? – zapytałam na dźwięk kobiecego głosu.

– Tak.

– Mówi doktor Kay Scarpetta. Mam wyniki badań Sonn...

– Jeszcze pani mało naszej krzywdy?

– Sądziłam, że chcą się państwo dowiedzieć, dlaczego umarł państwa syn...

– Pani mi nie potrzebuje niczego mówić o synu – odparła ostro.

Usłyszałam, że ktoś odbiera jej słuchawkę, i serce zabiło mi jak młotem.

– Mówi Quinn – powiedział mężczyzna zasłaniający się wolnością wyznania, w wyniku czego umarł mu syn.

– Przyczyną śmierci Sonny’ego było ostre zapalenie płuc spowodowane kwasicą na tle diabetycznym, wywołaną gwałtownym rozwojem cukrzycy. Przykro mi z powodu pańskiego cierpienia.

– To wszystko błąd. Pomyłka.

– Panie Quinn, tu nie ma żadnej pomyłki, żadnego błędu – powiedziałam tylko tyle, bo narastający gniew nie pozwolił mi na nic innego. – Radzę tylko, żeby gdy inne dzieci zaczną zdradzać takie same objawy jak Sonny, natychmiast poddać je medycznej terapii. Aby to wszystko się nie powtórzyło...

– Żaden łapiduch nie będzie mi mówił, jak mam wychowywać dzieci – odrzekł chłodnym tonem. – Zobaczymy się w sądzie, droga pani.

Bez wątpienia, pomyślałam, bo wiedziałam, że z urzędu zostanie oskarżony wraz z żoną o prześladowanie i zaniedbywanie dziecka.

– I proszę do nas więcej nie dzwonić – powiedział Quinn i rozłączył się.

Odłożyłam słuchawkę na widełki, podniosłam oczy i ujrzałam stojącą w drzwiach Teen McGovern. Po wyrazie twarzy wnioskowałam, że słyszała każde słowo mej rozmowy.



– O, Teen, wejdź.

– A ja myślałam, że to ja mam ciężką pracę. – Nie odrywając ode mnie wzroku, wzięła krzesło i usiadła dokładnie naprzeciwko. – Wiem, że cały czas masz takie sprawy, ale pierwszy raz słyszę o nich na własne uszy. Ja też muszę prowadzić rozmowy z rodzinami, ale dzięki Bogu nie należy do moich obowiązków informowanie, co dym uczynił z krtanią i płucami ich ukochanej osoby.

– To rzeczywiście najcięższe zadanie – odpowiedziałam spokojnie, ale nadal czułam ciężar na sercu.

– Pewnie uważają cię za posłańca, którego należałoby zabić.

– Nie zawsze – odparłam. Z doświadczenia wiedziałam, że aż do końca swych dni będę słyszeć ostre oskarżające słowa Quinna.

Nosiłam w sobie już wiele takich głosów, okrzyków i wybuchów cierpienia oraz gniewu, a także oskarżeń spowodowanych tym, że ośmieliłam się dotknąć cudzych ran. Nie chciałam rozmawiać o tym z McGovern. Nie chciałam się do niej zbliżyć.

– Muszę załatwić jeszcze jeden telefon – powiedziałam. – Może napijesz się kawy? Albo odpocznij sobie chwilkę. Na pewno zainteresuje cię to, czego się dowiem.

Zadzwoiłam na Uniwersytet Karoliny Północnej w Wilmington i chociaż nie było jeszcze dziewiątej, pracownik uniwersytetu odebrał telefon. Był niezmiernie uprzejmy, ale nie chciał mi okazać pomocy.

– Doskonale rozumiem, dlaczego pani dzwoni, i zapewniam, że bardzo chcemy pani pomóc – mówił. – Ale nakaz sądowy musi być. Nie możemy udzielać danych osobowych na temat studentów. A już na pewno nie przez telefon.

– Panie Shedd, ale tu chodzi o zabójstwo – zwróciłam mu uwagę, gdy zaczynałam się już niecierpliwić.

– Rozumiem.

Wiedziałam, że to mnie do niczego nie doprowadzi. W końcu zrezygnowałam i odłożyłam słuchawkę. Kierując swą uwagę z powrotem na McGovern, byłam nieco zdeprymowana.

– Chowają tyłki, żeby rodziny ich potem nie nękały – McGovern powiedziała to, co sama doskonale wiedziałam. – Musimy postawić ich w sytuacji bez wyjścia. I chyba tak postąpimy.

– To prawda – odparłam z pewnym znużeniem. – A więc co cię do mnie sprowadza? – zapytałam.

– Masz już pewnie wyniki laboratoryjne, przynajmniej niektóre. Dzwoniłam w piątek wieczorem – mówiła.

– Nic o tym nie wiem.

Byłam niemiłe zdziwiona. Jeśli laborantka wcześniej zadzwoniła do McGovern niż do mnie, zamierzałam narobić rabanu. Podniosłam słuchawkę i zadzwoniłam do Mary Chan, młodziutkiej laborantki od niedawna w pracy.

– Dzień dobry – powiedziałam. – Zdaje się, że masz dla mnie jakieś raporty.

– Właśnie miałam je znieść na dół.

– A wysłałaś je już do ATF?

– Tak, tak. Mogę je do pani przefaksować albo przynieść osobiście.

Podaliśmy jej numer faksu u mnie w gabinecie, ale nie dałam po sobie poznać zdenerwowania. Postanowiłam zwrócić jej uwagę dyskretnie.

– Mary, na przyszłość, chciałabym, abyś wyniki w moich sprawach najpierw przesyłała do mnie, a dopiero potem gdzie indziej – powiedziałam spokojnie.

– Przepraszam. – Słyszałam, że bardzo żałuje tego, co zrobiła. – Inspektorka zadzwoniła o piątej. Już prawie wychodziłam.

Dwie minuty później raporty znalazły się w moich rękach, a McGovern wyjęła z aktówki swoje egzemplarze. Obserwowała, jak czytam. Na początku była analiza opiłków metalu znalezionych w ranie na lewej skroni. Według mikroskopu elektronowego skaningowego i dyspersji energii promieni X, w skrócie SEM/EDX, najważniejszym składnikiem badanego materiału był magnez.

Natomiast co do stopionych resztek znalezionych na włosach ofiary wyniki nie były tak precyzyjne. Transformacja spektrofotometra podczerwieni Fouriera (FTIR) skłoniła włókna do selektywnej absorpcji światła podczerwonego. Z otrzymanego modelu płynął wniosek, że badanym materiałem jest polimer siloksanowy, czyli inaczej silikon.

– Nie sądzisz, że to trochę dziwne? – zapytała McGovern.

– Zacznijmy od magnezu – powiedziałam. – Przychodzi mi na myśl morska woda. W niej jest mnóstwo magnezu. Albo w kopalni. A może zabójcą był pracownik zakładu chemicznego lub laboratorium badawczego? Może to mieć coś wspólnego z materiałem wybuchowym?

– Jeśli to byłby chlorek potasu – tak. Wtedy mogłaby to być mieszanka błyskowa – odpowiedziała. – Albo cyklonit, styfanit ołowiowy, azydek ołowiawy pirunianu rtęciowego, jeśli mowa o materiałach wybuchowych. Albo kwas azotowy, kwas siarkowy, gliceryna, saletra amonowa, azotan sodu. Nitrogliceryna, dynamit i tak dalej. I dodam, że Pepper na pewno wykryłby każdy z tych środków.

– A magnez?

– Sztuczne ognie – powiedziała. – Można go stosować do wytwarzania białego światła. Albo race. – Wzruszyła ramionami. – Chociaż i tak lepszy jest proszek aluminiowy, bo lepiej się trzyma. Natomiast fragmenty magnezu pokrywają się czymś przypominającym olej lniany.

– Race – myślałam na głos. – Race zapala się w miejscu strategicznym i ucieka się, tak? Można zaoszczędzić kilka minut.

– Jeżeli jest odpowiedni materiał łatwo palny.

– Ale to i tak nie wyjaśnia, dlaczego opiłki magnezu znalazły się w jej ranie. Choć mogły być na ostrym narzędziu, którym została ugodzona.

– Do obróbki magnezu nie używa się noży – zauważyła McGovern.

– Nie, nie o to mi chodzi. Jest za miękki. A może stosuje się go w przemyśle kosmicznym ze względu na lekkość?

– Na pewno. Ale robi się z niego różne stopy, żeby przeszły odpowiednie próby.

– No dobrze. Przejdźmy do silikonu. Nie widzę w tym żadnego sensu. Chyba że miałyby silikonowe implanty w piersiach, wszyte, zanim zostało to zakazane. Ale nie miała.

– Kauczuk silikonowy stosowany jest do wytwarzania izolacji elektrycznej, płynów hydraulicznych i materiałów hydrofobowych. Nic tu nie pasuje, chyba że coś takiego było w łazience, na przykład w wannie. Coś różowego. Ale nie wiem co.

– Może Sparkes miał jakąś wykładzinę albo jeszcze coś innego różowego i gumowego? – zapytałam.

– Ledwie zaczęliśmy oględziny domu przy jego współpracy – powiedziała. – Ale utrzymuje, że w wystroju łazienki dominowała czerń i biel. Podłoga i ściany były czarne. Zlew, szafki i wanna – białe. Drzwi do kabiny prysznicowej pochodziły z Europy i nie były z hartowanego szkła, toteż gdy temperatura przekroczyła dwieście stopni Celsjusza, nie rozpadły się na milion drobnych kulek.

– Co wyjaśnia, dlaczego mogły upaść na ciało.

– Tak, prawie się na nim stopiły.

– Niezupełnie.

– Drzwi miały mosiężne zawiasy i były bez ramy. Nasze znaleziska to potwierdzają, więc przynajmniej w tym punkcie nasz magnat prasowy nie minął się z prawdą.

– A w innych?

– Kay, to wie tylko Bóg.

Odpięła guzik żakietu, jak gdyby pozwoliła sobie właśnie na chwilę rozluźnienia, choć jednocześnie spojrzała na zegarek.

– Wszyscy wiemy, że mamy do czynienia z człowiekiem sprytnym.

– A co myślisz o śmigłowcu, Teen? Zakładam, że słyszałaś o małym Schweitzerze, robinsonie czy innej małej maszynie, którą kowal widział dzień przed pożarem? Być może ten sam widziałyśmy dwa dni później.

– To tylko teoria – powiedziała. – Opracowana po omacku, no nie? – Patrzyła wnikliwym wzrokiem. – Może podłożył ogień i chciał się szybko dostać na lotnisko. Dzień wcześniej pilot wykonał lot zwiadowczy, bo wiedział, że będzie musiał lądować tam i startować po ciemku. Rozumiesz, o co mi chodzi?

Skinęłam głowę.

– Nadchodzi piątek. Sparkes morduje dziewczynę i podkłada ogień. Biegnie na pastwisko i wsiada do helikoptera, który wiezie go gdzieś w pobliżu Dulles, gdzie czeka na niego samochód. Jedzie na lotnisko i robi, co trzeba, z biletami i bagażem. Potem znika i w odpowiednim czasie pokazuje się na farmie Hootowl.

– A po co śmigłowiec pojawił się w poniedziałek nad zgliszczami? – zapytałam. – Jak to pasuje do twojej teorii?

– Podpalacze lubią sobie popatrzeć na swe dzieło – odparła. – Pewnie siedział tam sam Sparkes i patrzył, jak sobie urabiamy ręce po łokcie. Założył, że uznamy, że w śmigłowcu są dziennikarze. I miał rację.

– Same spekulacje – powiedziałam, gdy znudziło mnie wysłuchiwanie tego.

Zajęłam się przekładaniem zalewających mnie dokumentów. McGovern znów mi się przyglądała. Wstała i zamknęła drzwi.

– No dobrze, chyba musimy trochę porozmawiać – oznajmiła. – Widzę, że mnie nie lubisz. Może jeśli wyjaśnimy sobie parę rzeczy, to w ten czy inny sposób uda nam się załatwić ten problem.

– Jeśli już mam się zadeklarować, to nie mam względem ciebie jakichś szczególnych uczuć. – Patrzyłam na nią. – Obie musimy wykonywać swoją pracę, żeby nie stracić odpowiedniej perspektywy. Zwłaszcza że mamy do czynienia z zamordowaną osobą.

– Robisz mnie w jajo.

– Zapewniam cię, że nie z rozmysłem.

– Sugerujesz, że mnie nie obchodzi morderstwo? Myślisz, że zaszłam tu, gdzie jestem, nie przykładając wagi do tego, kto i dlaczego podkłada ogień?

Podciągnęła rękawy, jakby przygotowując się do walki.

– Teen – powiedziałam. – Nie mam czasu na takie rozmowy. Nie ma w nich nic konstruktywnego.

– Tu chodzi o Lucy. Myślisz, że zajmuję twoje miejsce, albo coś w tym rodzaju. O to chodzi, co Kay? – Naprawdę zaczynała mnie denerwować. – Pracowałyśmy już razem nie raz, prawda? Jak do tej pory nie było między nami żadnych problemów. Rodzi się więc pytanie, co się zmieniło. Według mnie odpowiedź jest prosta. Zmiana polega na tym, że twoja siostrzenica właśnie przeprowadza się do nowego mieszkania w Filadelfii, że będzie w moim okręgu i pod moim zwierzchnictwem. I to ci się nie podoba. I wiesz co? Na twoim miejscu też by mi to się nie podobało.

– Nie miejsce ani nie czas na tego typu dyskusje – rzekłam stanowczo.

– Zgoda. – Wstała i przewiesiła sobie żakiet przez ramię. – Porozmawiamy kiedy indziej. Zamierzam wyjaśnić tę sprawę przed powrotem na północ.

Przez chwilę poczułam się za biurkiem jak król uwięziony w swoim królestwie przez teczki dowódców, strażników żądających ciężkiej pracy nad artykułami z gazet i przez całe legiony wiadomości i korespondencji, które nie pozwalają na ani odrobinę wolności. Zdjęłam okulary i rozmasowałam twarz. Gdy zatarły się kontury McGovern, poczułam ulgę.

– Zapraszam cię na lunch – powiedziałam. – Jeśli poczekaś jeszcze trzy godziny. – Wstałam z krzesła. – A na razie mam w garnku kości, które trzeba przejrzeć. Jeśli masz silny żołądek, to możesz iść ze mną.

– Nie przestraszysz mnie tym. – Teen była wyraźnie zadowolona z przebiegu rozmowy.



McGovern nie należała do ludzi umiejących przyglądać się, jak inni pracują. Ledwie włączyłam elektryczny palnik i zaczęła się unosić para, pojechała do terenowego biura ATF w Richmond. Ale za godzinę niespodziewanie wróciła. Gdy wchodziła do sali, była spięta i zdyszana. Ja ostrożnie poruszałam gotującymi się powoli kośćmi.

– Mamy drugi – powiedziała.

– Drugi co? – zapytałam. Odłożyłam długą, plastikową łyżkę.

– Drugi pożar. Tym razem w Lehigh County, jakąś godzinę drogi z Filadelfii. Jedziesz ze mną?

Szybko zaczęłam się zastanawiać, co by było, gdybym zostawiła wszystko i pojechała. Przede wszystkim przerażała mnie myśl, że miałybyśmy spędzić pięć godzin sam na sam w samochodzie.

– To dom na osiedlu – mówiła. – Zaczął się palić wczoraj wcześnie rano. Znalaziono ciało kobiety. W łazience.

– O nie.

– Wyraźnie pożar został wzniecony po to, żeby ukryć morderstwo. – Zaraz potem zaczęła wyjaśniać, dlaczego ten pożar może mieć związek z Warrenton.

Kiedy odnaleziono ciało, stanowa policja z Pensylwanii natychmiast zwróciła się o pomoc do ATF. A kiedy inspektorzy ATF wprowadzili dane do laptopów, system ESA niemal natychmiast skojarzył te dwie sprawy. Do wczorajszego wieczoru wydarzenie w Lehigh nabrało ogromnego znaczenia, FBI zaproponowało swoich agentów, a policja stanowa zgodziła się na udział między innymi Bentona.

– Dom został zbudowany bez fundamentów – opowiadała McGovern, gdy dotarliśmy do drogi I-95. – Dzięki Bogu nie będzie problemów z piwnicami. Nasi ludzie są tam od trzeciej nad ranem i, co ciekawe, pożar w najmniejszym stopniu nie spełnił swego zadania. Sypialnia główna i pokój gościnny na górze oraz salon na dole spłonęły w bardzo poważnym stopniu. Do tego sufit w łazience został solidnie zniszczony, a w garażu poodpryskiwała betonowa podłoga.

Odpryski podłogi następują wówczas, gdy raptowne gorąco powoduje zagotowanie wilgoci zawartej w betonie i powierzchnia pęka.

– A gdzie znajdował się garaż? – zapytałam, starając się wszystko sobie dokładnie wyobrazić.

– Po tej samej stronie co sypialnia główna. Znów mamy do czynienia z szybkim, gorącym ogniem. Ale nie wszystko spłonęło, jest tylko sporo okopceń i popękań. A reszcie domu zaszkoziły głównie dym i woda. I to jest pewna różnica w stosunku do tego, co zaszło na farmie u Sparkesa. Istnieje jednak też ważne podobieństwo. Jak na razie nie odnaleziono

śladów żadnego materiału łatwo palnego, a więc w łazience nie było na tyle paliwa, żeby powstał odpowiednio wysoki ogień.

– Ciało znajdowało się w wannie? – zapytałam.

– Tak. Aż mi włosy dęba stają

– Nic dziwnego. W jakim stanie są zwłoki? – zadałam najważniejsze dla mnie pytanie. McGovern tylko o dziesięć mil na godzinę przekraczała dozwoloną prędkość, pędząc rządowym fordem explorerem.

– W na tyle dobrym, że lekarz sądowy stwierdził podcięcie gardła.

– Więc została już przeprowadzona sekcja?

– Szczerze mówiąc, nie wiem, ile zostało zrobione. To twoja działka. Ja muszę określić, co jeszcze się da znaleźć na zgliszczach.

– Więc nie wykorzystasz mnie do machania łopata? – zapytałam.

McGovern roześmiała się i włączyła odtwarzacz CD. Nie spodziewałam się usłyszeć muzyki z „Amadeusza”.

– Jak chcesz, możesz sobie pokopać – powiedziała i napięcie w sporej mierze zmalowało. – Całkiem nieźle ci szło, jak na kogoś, kto prawdopodobnie biega tylko wtedy, gdy go pogonią, i pracuje tylko nad problemami intelektualnymi.

– Wystarczy kilka sekcji, przeniesienie paru zwłok z miejsca na miejsce i nie trzeba chodzić na siłownię. – To była całkowita prawda.

– Pokaż ręce. – Spojrzała, zmieniając jednocześnie pas ruchu. – Cholera. Jakoś mi się nie wydaje, żeby piły, skalpele i sekatory mogły wyrobić człowiekowi mięśnie.

– Jakie sekatory?

– No te, którymi otwieracie klatkę piersiową.

– A, nożyce do żeber.

– Cóż, w kilku prosektorjach widziałam sekatory. I druty do robótek, którymi badano drogę pocisku w ciele.

– Nie u mnie. W każdym razie nie teraz. Chociaż przyznaję, że dawniej trzeba było improwizować. – Konkurowałam z Mozartem.

– To jeden z tajników zawodu ukrywanych przed sądem – powiedziała McGovern. – Takich jak schowanie w szufladzie biurka słoiczka ze skonfiskowaną, nielegalną whiskey. Albo jak zabieranie przez policjanta pamiątek z miejsc zbrodni, na przykład fajki do marihuany czy nielegalnych pistoletów. Albo kolekcjonowanie przez lekarza sądowego żeber lub kawałków czaszki, które należało spalić.

– Nie będę zaprzeczać, że moi koledzy nie zawsze postępują zgodnie z przepisami. Ale zatrzymanie kawałka zwłok bez pozwolenia to według mnie zupełnie coś innego niż podebranie słoiczka bimbru.

– Jesteś bardzo zasadnicza, nie Kay? W przeciwieństwie do nas wszystkich ty nigdy nie rzucasz pochopnych ocen i nie robisz niczego złego. Pewnie nigdy się nie przejadasz i nie upijasz. I szczerze mówiąc, my wszyscy ułomni boimy się przebywać w twoim towarzystwie, żebyś nie patrzyła na nas z dezaprobatą.

– O Boże, co za wyobrażenia. Mam nadzieję, że wcale nie jestem tak odbierana.

McGovern milczała.

– Ależ ja wcale nie mam się za taką – powiedziałam. – Wprost przeciwnie. Teen, zachowuję pewną rezerwę, bo muszę. Może jestem trochę zamknięta w sobie, ale tak było zawsze. Nie mam skłonności do publicznego spowiadania się z grzechów. A już na pewno nie rozglądam się dokoła, żeby wszystkim wystawiać oceny. Słowo daję, że bardziej krytycznie patrzę na siebie niż na innych.

– Ja odniosłam inne wrażenie. Że raczej badasz mnie od stóp do głowy, żeby określić, czy nadaję się do opieki nad Lucy i czy mój wpływ jej nie zaszkodzi.

Nie potrafiłam odrzucić tego zarzutu, bo był prawdziwy.

– Nawet nie wiem, gdzie ona teraz jest – powiedziałam.

– Ja ci powiem. Jest w Filadelfii. Przemierza drogę w tę i z powrotem pomiędzy terenowym biurem a nowym mieszkaniem.

Jechałyśmy obwodnicą wokół Baltimore, słyhać było tylko muzykę. Nie mogłam się powstrzymać przed rozmyślaniami na temat studenta, który zginął w podejrzanym pożarze.

– Teen, ile masz dzieci? – zapytałam.

– Jedno. Syna.

Zauważyłam, że nie jest to dla niej najszcześniejszy temat.

– Ile ma lat?

– Dwadzieścia sześć.

– Mieszka niedaleko ciebie?

Wyglądałam przez okno na drogowskazy pokazujące zjazdy na ulice Baltimore, które znałam doskonale, gdy studiowałam na Uniwersytecie Johnsa Hopkinsa.

– Prawdę mówiąc, nie wiem, gdzie Joe mieszka – powiedziała. – Nigdy nie byliśmy sobie bliscy. Nie wiem, czy ktokolwiek się do niego zbliżył. Chyba nikt się do tego nie kwapił.

Nie chciałam nalegać, ale ona miała ochotę się wygadać.

– Zrozumiałam, że coś jest z nim nie tak, gdy w wieku dziesięciu lat zaczął podkradać alkohol z barku. Wypijał dżin i wódkę, a dolewał wody. Myślał, że damy się nabrać. Mając szesnaście lat, był już alkoholikiem, był na leczeniu. Kradł, chodził niechlujnie ubrany, pojawiał się problem za problemem. Jak miał dziewiętnaście lat, opuścił dom, włóczył się po okolicach i czasami wpadał, aż w końcu urwał się wszelki kontakt. Teraz pewnie mieszka gdzieś na ulicy.

– Wiele przeszłaś – powiedziałam.

Rozdział czternasty

Około siódmej wieczorem McGovern wysadziła mnie przy hotelu Sheraton, gdzie zatrzymała się drużyna Odważniaków z Atlanty. Korytarze i bary okupowały odziane w kurtki i czapeczki bejsbolowe fanki – stare i młode – ze zdjęciami, na których idole mieli złożyć swój autograf. Wzmocniono ochronę i gdy przechodziłam przez obrotowe drzwi, pewien zdesperowany mężczyzna zapytał mnie: – Widziałas ich? – Rozbieganym wzrokiem lustrował otoczenie.

– Kogo? – zapytałam.

– Odważniaków!

– A jak wyglądają?

Czekałam w kolejce na zarejestrowanie i nie interesowało mnie nic oprócz długiego poleżenia w wannie. Na południe od Filadelfii utkwiliśmy na dwie godziny, bo pięć samochodów i furgonetka wpadły na siebie, a szkło i metal posypały się na wszystkie sześć pasów autostrady. Było już za późno, żeby kolejną godzinę pchać się do prosektorium w Lehigh. Sprawa musiała poczekać do następnego ranka. Wjechałam windą na czwarte piętro i przesunęłam plastikową kartę przez elektroniczny zamek. Rozsunęłam zasłony i spojrzałam na rzekę Delavare i maszty statku „Moshulu” cumującego przy przystani Penn. Nagle znalazłam się w Filadelfii ze swoją torbą, portmonetką i aluminiową skrzynką.

Zamigotało światełko mojej poczty głosowej, po czym wysłuchałam Bentona informującego, że mieszka w tym samym hotelu co ja i wpadnie, gdy tylko uda mu się wyrwać z Nowego Jorku i tamtejszego hałasu. Spodziewałam się go kolo dziewiątej. Lucy także zostawiła mi swój nowy

numer telefonu, ale nie wiedziałam, czy chce się ze mną spotkać, czy nie. Marino dzwonił, aby potwierdzić, że przekazał wiadomość ode mnie dalej, a Fielding informował, że wieczorem Quinnowie wystąpili w telewizji z oskarżeniami wobec zakładu medycyny sądowej i wobec mnie o pogwałcenie rozdzielnosci państwa od Kościoła i spowodowanie nieodwracalnych szkód emocjonalnych.

Usiadłam na brzegu łóżka i zdjęłam buty. Zrobiła mi się dziura w rajstopach, więc zdjęłam je i wyrzuciłam do kosza. Ubrania mnie uwierały, bo nosiłam je za długo. Miałam wrażenie, że włosy przesiąkły mi odorem gotowanych kości.

– Cholera! – powiedziałam z westchnieniem.

– Co za przekłete życie.

Zdjęłam żakiet, bluzkę i halkę. Położyłam wszystko na łóżku, sprawdziłam, czy drzwi są dokładnie zamknięte, i puściłam do wanny wodę – najgorętszą, jaką potrafiłam wytrzymać. Już sam dźwięk wody lecącej z kranu miał na mnie kojący wpływ. Dodałam pieniącego żelu do kąpieli o zapachu dojrzewających na słońcu malin. Zastanawiałam się nad spotkaniem z Bentonem. Jak wypadnie? Byliśmy kochankami, kolegami z pracy czy przyjaciółmi? Wszystko to połączyło się w jedną mieszaninę przypominającą rysunek na piasku. Nasz związek miał delikatne kolory, był zawilży, suchy i łatwo można go było zniszczyć. Benton zadzwonił, gdy się wycierałam.

– Przepraszam, że tak późno – powiedział.

– Co u ciebie? – zapytałam.

– Masz ochotę zejść do baru?

– Nie, jeśli są tam Odważniacy. Nie lubię zamieszek.

– Odważniacy?

– Może wejdiesz do mnie do pokoju? Mam minibarek.

– Będę za dwie minuty – powiedział.

Przyszedł w typowym ciemnym garniturze i białej koszuli. Widać było, że nie miał łatwego dnia i przydałoby mu się golenie. Wziął mnie w ramiona i bez słowa trwaliśmy w takiej pozycji dłuższy czas.

– Pachniesz owocami – odezwał się wtulony w moje włosy.

– Mieliśmy być teraz na Hilton Head – mruknęłam. – Jak to się stało, że skończyliśmy w Filadelfii?

– Pomieszanie z poplątaniem – odparł. – Delikatnie mnie odsunął i zdjął marynarkę. Rzucił ją na łóżko i otworzył barek. – To co zwykle? – zapytał.

– Nie. Mineralną.

– Ja potrzebuję czegoś mocniejszego. – Odkręcił kapsel na butelce johny walkera. – Właściwie to nawet podwójną porcję. I to bez lodu.

Podał mi butelkę wody Evian; przyglądałam mu się, jak wysuwa krzesło przy biurku i siada. Poprawiłam poduszki na łóżku i zasiadłam wygodnie.

– Co się stało? – zapytałam. – Oprócz tego, co już wiem.

– To co zwykle, gdy FBI i ATF pracują nad jedną sprawą – odparł i napił się drinka. – Cieszę się, że już jestem na emeryturze.

– Nie wyglądasz za bardzo na emeryta – powiedziałam z grymasem na twarzy.

– Prawda. Jak gdyby nie wystarczyło mi zmartwień z Carrie. A teraz wezwano mnie do tego zabójstwa, chociaż prawdę mówiąc, ATF ma swoich agentów i według mnie Biuro niepotrzebnie w to wszystko wścibia nos.

– A bo to ja tego nie wiem, Benton? Tylko nie mam pojęcia, jak usprawiedliwiają swój udział, o ile nie uznali zgonu tej damy za akt terroryzmu.

– Nie. Ale potencjalnie istnieje podejrzenie związku ze sprawą Warrenton – powiedział. – Szef jednostki zadzwonił do śledczych policji stanowej, że Biuro chętnie służy pomocą. No a FBI poprosiło mnie i

dlatego tu jestem. Dzisiaj było na miejscu dwóch innych agentów i wszyscy już się poprzytkali.

– A podobno jesteśmy po tej samej stronie – powiedziałam, zdenerwowana jak zwykle tą samą kwestią.

– Zdaje się, że agent FBI z terenowego oddziału w Filadelfii ukrył w zgliszczach magazynek z dziewięciomilimetrowymi nabojami, żeby sprawdzić, czy Pepper go znajdzie.

Wolnym ruchem Benton uniósł kieliszek i napił się szkockiej.

– Oczywiście Pepper nie znalazł, bo nawet nie kazano mu jeszcze zabierać się do roboty. – Agent uznał to za śmieszne i stwierdził, że trzeba by psi nos oddać do warsztatu.

– Co za dureń mógł coś takiego wymyślić? – powiedziałam poirytowana. – Ma szczęście, że treser psa nie dał mu po twarzy.

– Ano właśnie – westchnął. – Ciągłe to samo. Dawniej chłopcy z FBI mieli więcej rozumu. Nie błyskali odznakami przed kamerami i nie brali się do śledztwa leżącego poza zasięgiem ich jurysdykcji. Czuję się zakłopotany. A raczej wkurzony, że ci nowi idioci rujną nie tylko swoją, ale i moją reputację, na którą pracowałem dwadzieścia pięć lat... Sam nie wiem, co robić, Kay.

Spojrzał mi w oczy i napił się.

– Benton, trzeba robić swoje – powiedziałam cicho. – Może to brzmi banalnie, ale tylko tyle możemy. Nie bronić ani Biura, ani ATF, ani policji stanowej, tylko stać po stronie ofiar i potencjalnych ofiar. Zawsze.

Dokończył drinka i odstawił szklaneczkę na biurko. Światła przystani rozjaśniały okna pokoju, po drugiej stronie rzeki migotało New Jersey.

– Carrie już chyba nie ma w Nowym Jorku – rzekł wpatrzony w okno.

– Pociuszające.

– Nie mam na to żadnych dowodów. Ale nie dała znaku życia, że jest jeszcze w mieście. Ciekawe, skąd bierze pieniądze. Często właśnie w taki sposób wpadamy na trop. Jakiś rozbój, kradzież kart kredytowych. A nie zdarzyło się nic, z czym moglibyśmy ją skojarzyć. Oczywiście to nie znaczy jeszcze, że czegoś takiego nie zrobiła. Ale czuję, że ona ma plan i konsekwentnie go realizuje.

Wpatrywałam się w jego ostry profil, gdy mówił do rzeki. Był przygnębiony. Czuł się zmęczony i pokonany. Wstałam i podeszłam do niego.

– Powinniśmy pójść do łóżka – powiedziałam, masując mu kark. – Obydwoje jesteśmy zmęczeni, a w takim stanie wszystko wygląda gorzej niż w rzeczywistości. No nie?

Uśmiechnął się lekko i zamknął oczy, gdy masowałam mu skronie, a potem pocałowałam go w szyję.

– Ile bierzesz za godzinę? – mruknął.

– Nie stać cię na mnie – odparłam.

Nie spaliśmy ze sobą, bo pokój był za mały, abyśmy obydwójce zdołali w nim wypocząć. Ja lubiałam rano wziąć prysznic i on także. Na tym właśnie polegała różnica pomiędzy wygodą a cieszeniem się nowym związkiem. Dawniej nie mogliśmy się nacieszyć sobą przez całą noc, bo oboje pracowaliśmy, on był żonaty i nie potrafiliśmy oprzeć się własnym żądzom. Tęskniłam trochę za tamtym uczuciem. Teraz, kiedy bywamy ze sobą już często, czuję w sercu pewne znużenie, a także delikatny ból z powodu tego, że zaczynam u siebie dostrzegać oznaki starzenia się.

Niebo było szare, a ulice mokre od polewaczek, gdy następnego ranka po siódmej jechaliśmy z Bentonem ulicą Walnut. Było chłodno i wilgotno, z płyt chodnika unosiła się para. Bezdumni spali na ulicach lub w parkach pod brudnymi kocami. Pod znakiem „Zakaz koczowania” naprzeciwko

posterunku policji leżał człowiek wyglądający na martwego. Ja prowadziłam, a Benton przetrząsał swoją aktówkę. Wyjął zapiski w notatniku z żółtymi kartkami i przeglądał je, nie zwracając na mnie uwagi. Skręciłam na trasę 76 West, i w mrowie czerwonych tylnych świateł odblaskowych, bo mieliśmy słońce za sobą.

– Jak myślisz, dlaczego ktoś wybiera sobie na punkt zapalny akurat łazienkę, a nie inne pomieszczenie? – zapytałam.

– Na pewno dla tego kogoś to ma znaczenie, o ile mamy do czynienia z seryjnym zabójcą – powiedział Benton, przerzucając kartkę. – Może jakieś symboliczne. A może pasuje mu łazienka z jakichś innych powodów? Moim zdaniem jeśli sprawca jest ten sam i wszystkie podpalenia rozpoczynają się w łazience, to chodzi o symbol. Dla niego to coś znaczy, może jest to jego własny punkt rozpoczynania zbrodni. Na przykład gdy był dzieckiem, coś mu się przydarzyło w łazience. Napastowanie seksualne, inna przemoc wobec dzieci, a może był świadkiem jakiejś traumatycznej sceny.

– Szkoda, że nie możemy przeszukać archiwów więziennych.

– Problem w tym, że podejrzana byłaby połowa więźniów. Większość z nich zaznała przemocy na własnej skórze. A potem stosowali ją wobec innych.

– Byli jeszcze gorsi – powiedziałam. – Ich nikt nie zamordował.

– W pewnym sensie zostali zamordowani. Człowiek bity i gwałcony w dzieciństwie zachowuje żywe ciało, ale życie w nim zostaje zamordowane. Oczywiście nie zawsze tak można tłumaczyć motyw psychopatów. Z tego, co wiem, nie ma jednego wyjaśnienia, chyba że ktoś wierzy w zło i w to, że ludzie mogą wybierać.

– Ja w to wierzę. Spojrzał na mnie.

– Wiem.

– A jakie dzieciństwo miała Carrie? Co wiemy o motywach jej decyzji?
– zapytałam.

– Ona nigdy nie pozwoliła się przesłuchać – przypomniał. – Niewiele da się powiedzieć o jej psychicznych uwarunkowaniach. Tyle tylko, ile da się wywnioskować z nagłych zmian nastroju. Dzisiaj jest szalona, jutro już nie. Dysocjacja. Albo krnąbrna i niepokorna, albo wzorowa pacjentka. Te łebki mają teraz więcej praw obywatelskich niż my. Więzienia i więzienne szpitale psychiatryczne tak dbają o ich tyłki, że to my wychodzimy na złoczyńców.



Poranek robił się coraz jaśniejszy, na niebie widać było idealnie poziomą linię oddzielającą barwę fioletową od bieli. Jechaliśmy między farmami, a czasami pomiędzy skałami różowego granitu z otworami po dynamicie, którym rozbijano je przy budowie drogi. Mgiełka unosząca się nad stawami przypominała mi o garnkach z podgrzewaną wodą, a gdy mijaliśmy wysokie kominy wypuszczające dym, myślałam już tylko o pożarze. W oddali widać było zarysy drzew, a wieże ciśnień przypominały błyszczące balony.

Po godzinie dojechaliśmy do szpitala w Lehigh, niedokończonego betonowego gmazyska, cały czas w budowie, z hangarem helikopterowym i ośrodkiem urazów pierwszego stopnia. Wjechałam na parking dla gości. W jasnym, nowym holu wyszedł nam na spotkanie doktor Abraham Gerde.

– Kay – odezwał się miłym głosem, ściskając mi rękę. – Kto by pomyślał, że mnie kiedyś odwiedzisz? A to pewnie pan Benton? Mamy na dole bardzo dobry bufet. Może najpierw coś zjecie albo napijecie się kawy?

Grzecznie odmówiliśmy. Gerde, młody lekarz sądowy, miał czarne włosy i błyszczące, błękitne oczy. Trzy lata temu pracował u mnie w biurze

i był jeszcze na tyle nowicjuszem w naszej profesji, że rzadko powoływano go do sądu w charakterze eksperta. Był jednak skromny, działał metodycznie, a dla mnie te cechy bardziej się liczyły niż doświadczenie, zwłaszcza w tym przypadku. Chociaż bardzo się zmienił, było mało prawdopodobne, że ruszał ciało przed moim przybyciem.

– Powiedz, co zostało zrobione – poprosiłam, gdy szliśmy szerokim, szarym holem.

– Zważyłem ją, zmierzyłem i wykonałem pobieżne oględziny, a potem zadzwonił koroner. Gdy powiedział, że w sprawę zaangażowana jest ATF, a ty już jesteś w drodze, wstrzymałem dalsze prace.

W Lehigh istniało stanowisko wybieralnego koronera, który decydował, czy w danym przypadku należy przeprowadzić sekcję zwłok, czy też nie. Na szczęście dla Gerde'a koronerem był tu były oficer policji, który nie wtrącał się w kompetencje lekarzy sądowych i zwykle szanował ich decyzje. Niestety taka sytuacja nie zawsze istniała w innych stanach czy też w innych okręgach Pensylwanii, gdzie autopsje przeprowadzano czasem w zakładach pogrzebowych na stołach do balsamowania zwłok, a funkcje koronerów pełnili politycy niepotrafiący odróżnić wlotu od wylotu kuli, czym zresztą wcale się nie przejmowali.

Odgłosy naszych kroków odbijały się echem na klatce schodowej, na samym dole Gerde pchnął podwójne drzwi i znaleźliśmy się w magazynie pełnym kartonowych pudeł i ludzi w hełmach. Przeszliśmy do drugiego skrzydła budynku i następnym korytarzem dotarliśmy do prosektorium. Było małe, miało dwa stalowe stoły i podłogę wykładaną różowymi płytkami. Gerde otworzył szafkę i wręczył nam sterylne, jednorazowe kitle, foliowe fartuchy i pokrowce na buty. Włożyliśmy to wszystko na zwyczajne ubrania i buty, po czym osłoniliśmy twarze maskami, a dłonie lateksowymi rękawiczkami.

Zmarła została zidentyfikowana jako Kellie Shephard, lat trzydzieści dwa, czarnoskóra, pracująca w charakterze pielęgniarki w tym samym szpitalu, w którym teraz spoczywały jej zwłoki. Leżała w ciemnej wnęce, na najwyższej półce niewielkiej chłodni, w której nikogo więcej nie było, tylko na jednej z półek umieszczono jasnopomarańczowe pakunki z okazami chirurgicznymi i poronione płody czekające na kremację. Wyciągnęliśmy kobietę do sali sekcji zwłok i rozsunęliśmy zamek.

– Prześwietlaliście ją? – zapytałam.

– Tak, mamy też odciski palców. Wczoraj dentysta sprawdził jej zęby i porównał je z kartą sprzed zgonu.

Rozwinęliśmy plastikowy worek, odsłoniliśmy zakrwawione prześcieradła i pochyliliśmy zmasakrowane ciało w stronę lampy. Była drobna, zimna, oczy na pokiereszowanej twarzy zostały do połowy otwarte. Gerde jeszcze jej nie umył, więc skórę pokrywała czarno-czerwona krew, włosy miała sztywne jak po lakierze. Ran było tyle i tak dotkliwych, że wokół zwłok roztaczała się aura okrucieństwa. Łatwo mogłam sobie wyobrazić furię i nienawiść zabójcy. Niemal na własne oczy widziałam, jak czarnoskóra dziewczyna próbuje się przed nim bronić.

Palce i wnętrza dłoni obydwu rąk zostały rozcięte do kości, gdy próbowała osłonić się przed ciosami noża. Rozcięcia na tylnych częściach przedramion również świadczyły o jej obronie, a ciosy w nogi otrzymała zapewne wtedy, gdy już leżała na podłodze i próbowała kopać napastnika. Na piersiach, brzuchu i ramionach, a także na plecach i pośladkach miała liczne rany kłute.

Wiele z nich było dużych i nieregularnych, spowodowanych ruchami noża, gdy ofiara próbowała się poruszyć lub gdy napastnik celowo przesuwiał nóż. Układ poszczególnych ran sugerował, że był to nóż o jednym ostrzu z oddzielającą je od rękojeści płytką, po której zostały

otarcia. Nieco odmiennie przecięcie biegło od prawej części szczęki aż do policzka. Rana gardła zaczynała się pod prawym uchem i biegła mniej więcej w połowie wysokości szyi.

– Gardło miała poderżnięte od tyłu – powiedziałam, a Benton w milczeniu robił notatki. – Odciągnięta do tyłu głowa i odsłonięte gardło.

– Przypuszczam, że to cięcie było ostatnie – odezwał się Gerde.

– Gdyby na początku otrzymała taką ranę, zbyt szybko by się wykrwawiła, żeby podjąć tak zaciętą walkę. Tak, najprawdopodobniej gardło podciął jej na koniec. Może leżała nawet twarzą do podłogi. A co z ubraniami?

– Mam je – rzekł Gerde. – Mówię ci, trafiają tu do mnie same dziwne przypadki. Większość wypadków samochodowych okazuje się wynikiem zawału serca u kierowcy, który przy okazji zabiera ze sobą jeszcze trzy czy cztery ofiary. Nie tak dawno mieliśmy morderstwo internetowe. A mężowie nie strzelają tu do żon. Oni tłuką je pałkami i ścinają im głowy.

Podczas jego opowieści przeszliśmy do odległego zakątka sali, gdzie na wieszakach nad płytką rynienką schły ubrania. Poszczególne części garderoby oddzielały płachty folii, żeby płyny ustrojowe lub inne ślady nie przedostawały się z jednej na drugą. Kładłam właśnie czyste prześcieradło na drugim stole, gdy pojawiła się Teen McGovern w towarzystwie asystenta prosektorium.

– Pomyślałam, że wpadnę tu, zanim pojedę na miejsce pożaru – powiedziała.

Ubrana była w kombinezon strażacki i odpowiednie buty, a w dłoni trzymała szarą kopertę. Nie przejmując się brakiem rękawic i kitla, wolno podeszła do zmasakrowanego ciała.

– O Boże.

Pomogłam Gerde'owi rozłożyć na przygotowanym stole piżamę. Zarówno górna, jak i dolna część była okopcona, a całość tak bardzo nasiąknęła krwią, że nie potrafiłam określić koloru. Tkanina była poprzecinana i na przodzie, i z tyłu.

– Przywieziono ją w tej piżamie? – zapytałam.

– Tak – odpowiedział Gerde. – Wszystko pozapinane. Możliwe, że gdzieś tu znajduje się krew napastnika. Nie zdziwiłbym się, gdyby się skaleczył przy takiej walce.

Uśmiechnęłam się.

– Widać miałeś dobrych nauczycieli – powiedziałam.

– Pewną damę z Richmond – odpowiedział.

– Wszystko wydaje się jako tako jasne – rzekł Benton. – Była w domu, w piżamie, pewnie zrobiło się już późno w nocy. Typowy przypadek użycia zbyt wielkiej siły do popełnienia zabójstwa. Często tak się zdarza, gdy napastnik zna ofiarę. Co jednak niezwykle – podszedł bliżej stołu – to jej twarz. Oprócz tego zacięcia nie ma żadnych innych ran. Na ogół jeśli ofiara i napastnik się znają, typowe są raczej rany na twarzy, ponieważ twarz to osoba.

– Cięcie na twarzy jest płytsze niż inne – zauważyłam, rozsuwając ranę palcami w rękawiczce. – Przy szczęcie głębsze, a bliżej policzka coraz płytsze.

Cofnęłam się o krok i znów spojrzałam na piżamę.

– Ciekawe, że żadna dziurka nie jest przerwana ani żadnego guzika nie brakuje – powiedziałam. – No i nie ma łez, jakich można by się spodziewać po ofierze, nad którą próbuje zapanować bezwzględny napastnik.

– Myślę, że słowo „zapanować” jest tu bardzo ważne – rzekł Benton.

– Albo niemożność zapanowania – dodała McGovern.

– No właśnie – zgodził się Benton. – To był szybki atak. Coś jednak facetowi nie wyszło i musiał się wykazać okrucieństwem. Szczerze wątpię, że chciał doprowadzić do tego, co zrobił. Pożar również to potwierdza. Wygląda na to, że stracił nad wszystkim kontrolę.

– Według mnie po jej zamordowaniu chciał się jak najszybciej zmyć – mówiła McGovern. – Podpalił dom na odchodne z myślą, że w ten sposób zamaże ślady swojej brudnej roboty. Absolutnie się zgadzam z tym, że wszystko spartaczył. A w dodatku po wezwaniu straży o pierwszej pięćdziesiąt trzy wozy przyjechały w niecałe pięć minut. Tak więc szkody są minimalne.

Na plecach i stopach Kellie Shephard miała poparzenia drugiego stopnia i nic poza tym.

– A co z alarmem przeciwwłamaniowym? – zapytałam.

– Nie był uaktywniony – odparła McGovern.

Otworzyła szarą kopertę i rozłożyła na biurku fotografie. Benton, Gerde i ja zajęliśmy się ich uważnym oglądaniem. Ofiara w piżamie leżała twarzą w dół przy drzwiach łazienki, jedną rękę miała pod ciałem, a drugą przed sobą, jakby po coś sięgała. Nogi wyprostowane i złączone, stopy niemal sięgały sedesu. Woda na podłodze uniemożliwiała przesledzenie śladów krwi, jeżeli istniały. Za to zbliżenia framugi drzwi i ściany przedstawiały wyraźne zadrapania, i do tego całkiem świeże.

– Punkt zapalny znajdował się mniej więcej tutaj – powiedziała McGovern.

Pokazała fotografię wnętrza okopconej łazienki.

– W tym kącie koło wanny było otwarte okno z zasłoną – mówiła. – Widać tam resztki drewnianych mebli i poduszki z sofy. – Puknęła w zdjęcie. – Mamy otwarte drzwi i okno lub inaczej można powiedzieć, przewód kominowy i komin. Jak w przypadku kominków pokojowych.

Ogień powstał na podłodze wykładanej płytkami i przeniósł się na zasłony. Ale płomieniom brakowało energii, żeby zająć sufit.

– No to dlaczego do tego doszło? – zapytałam.

– Może być tylko jedno wytłumaczenie – odparła. – Ten dom został źle zbudowany. Oczywiście zabójca ułożył w stos meble, to jasne jak słońce. Dodał poduszki z sofy i wszystko, co było w łazience, wrzucił do ognia. Ale to powinno być niemożliwe. Ogień nie powinien zająć stosu ze względu na otwarte okno i płomienie kierujące się w tamtą stronę. Podpalacz nie czekał na rozwój sytuacji, boby się zorientował, że sknocił sprawę. Jego ogień mógł tylko liznąć ciało jak smok językiem.

Benton milczał i wyglądał jak posąg wpatrzony w zdjęcia. Wiedziałam, że w głowie kołacze mu się mnóstwo myśli, ale jak zwykle był oszczędny w słowach. Nigdy przedtem nie pracował z McGovern i nie znał doktora Abrahama Gerde'a.

– Zajmie nam to sporo czasu – powiedziałam do niego.

– Jadę na miejsce pożaru – odparł.

Zachowywał kamienną twarz, chociaż czuł zimny powiew zła. Spojrzeliśmy sobie w oczy.

– Może pan jechać za mną – zaproponowała McGovern.

– Dziękuję.

– Jeszcze jedno – powiedziała McGovern. – Tylne drzwi domu nie były zamknięte na klucz, a przy schodach na trawie leży pusta kuweta na koci piasek.

– Sądzicie, że ofiara wyszła wysypać piasek? – zapytał Gerde. – A napastnik tam na nią czekał?

– To tylko teoria – odparła McGovern.

– Sam nie wiem, co o tym sądzić – rzekł Wesley.

– Zabójca musiałby wiedzieć, że ma kota – powiedziałam z powątpiewaniem. – I że akurat wieczorem wypróżnia kuwetę.

– Nie wiadomo, czy nie wyrzuciła piasku wcześniej. Mogła zostawić kuwetę, żeby wywietrzała – zauważył Wesley, zdejmując kitel. – Mogła wyłączyć alarm i otworzyć drzwi z zupełnie innych powodów.

– A co z kotem? Znaleziono go? – zapytałam.

– Jeszcze nie – odparła McGovern i wyszli z Bentonem.

– Zaczynamy – odezwałam się do Gerde'a.

Sięgnął po aparat i zaczął robić zdjęcia, a ja poprawiłam oświetlenie. Najpierw zbadałam rozcięcie na twarzy, zebrałam stamtąd kilka włókien i kręcony brązowy włos o długości jedenastu centymetrów, a więc najprawdopodobniej należący do ofiary. Ale były tam również rude i krótkie włosy, najprawdopodobniej niedawno wyrwane, bo półtora milimetra korzenia było pociemniałe. Oczywiście wszędzie też było pełno kocich włosów, które dostały się do rany, na pewno wtedy, gdy kobieta leżała na podłodze.

– Chyba pers – rzekł Gerde. – Długa, mocna sierść.

– Ja też tak myślę.

Rozdział piętnasty

Zadanie polegające na odnajdywaniu wszelkich śladów zewnętrznych było dość żmudne, ale należało je wykonać przed wszystkimi innymi czynnościami. Zasadniczo ludzie nie zdają sobie sprawy, jakie mikroskopijne ohydztwa noszą ze sobą, dopóki ktoś tak jak ja nie zacznie badać ich ubrań i ciał w poszukiwaniu ledwie widocznych śmieci. Znalazłam kawałki drewna, najprawdopodobniej pochodzące ze ścian i podłogi, kocie nieczystości, kurz, kawałki roślin i owadów, no i oczywiście popiół z pożaru. Najbardziej frapującego odkrycia dokonałam na szyi. Przez szkło powiększające ujrzałam dwie błyszczące, metaliczne plamki. Zebrałam je koniuszkiem małego palca i ostrożnie przeniosłam na przygotowaną czystą tkaninę.

Na biurku stał mikroskop, więc nastawiłam powiększenie na dwadzieścia i wyregulowałam oświetlenie. Z trudem uwierzyłam, że w jasnym kręgu światła widzę dwa maleńkie i poskręcane srebrne opiłki.

– To bardzo ważne – powiedziałam z przejęciem. – Muszę je zabrać do pojemnika na ślady. Trzeba też się upewnić, że w innych ranach niema tego typu rzeczy. Gołym okiem to wygląda jak kawałek sreberka.

– Pozostałość po użytej broni?

Gerde także był podekscytowany i natychmiast przyszedł popatrzeć.

– Znalazłam to głęboko w ranie na jej szyi – powiedziałam.

– Wiadomo już, co to jest?

– Magnez – oparłam. – Lepiej nikomu o tym nie mówić. Nie chcemy przecieków do prasy. Poinformuję tylko Bentona i McGovern.

– Oczywiście – powiedział z przejęciem.

Na ciele było dwadzieścia siedem ran, lecz mimo dokładnych i nieprzyjemnych badań każdej z nich nie znaleźliśmy już ani jednej drobinki metalu. Wydawało mi się to trochę dziwne, bo zakładałam, że na końcu zostało podcięte gardło. A skoro tak, to dlaczego opiłki nie przeniosły się na wcześniej zadane rany? Wydawało mi się, że tak właśnie powinno się stać, zwłaszcza że nóż wbijano po samą rękojęść, a tkanki mięśniowe i tkanki sprężyste wycierały ostrze na całej długości.

– Możliwe, ale mało prawdopodobne – powiedziałam do Gerde’a, biorąc się do pomiarów rozcięcia na gardle. – Sto sześćdziesiąt osiem milimetrów długości – oznajmiłam, robiąc notatkę. – Przy prawym uchu płytsza, potem głębsza w poprzek mięśni i tchawicy, a po drugiej stronie szyi znów płytsza. To by się zgadzało z teorią, że gardło zostało poderżnięte od tyłu przez leworęcznego sprawcę.

Zbliżała się już druga po południu, gdy w końcu zabraliśmy się do mycia ciała i przez kilka minut woda ciekąca po stole miała kolor czerwony. Dużą, miękką szpachelką zeskrobałam zeschniętą krew, przez co rany kontrastujące z ciemną skórą wydały mi się jeszcze wyraźniejsze i okropniejsze. Kellie Shephard była piękną kobietą o wydatnych kościach policzkowych, idealnie gładkiej skórze błyszczącej jak polerowane drewno. Miała metr siedemdziesiąt wzrostu i smukłą sportową sylwetkę. Nie miała pomalowanych paznokci i w chwili odnalezienia nie miała też żadnej biżuterii.

Po otwarciu klatki piersiowej okazało się, że w środku jest około litra krwi, która wyciekła z naczyń krwionośnych łączących serce z płucami. Po otrzymaniu takich ran musiała się wykrwawić na śmierć po najwyżej kilku minutach, doszłam więc do wniosku, że zostały zadane na sam koniec, już po szamotaninie, gdy była osłabiona. Kąt zadania ciosów świadczył według mnie o tym, że zapewne leżała na wznak. Potem udało jej się przewrócić na

brzuch – być może w ostatnim odruchu ratowania życia – i właśnie wtedy podcięto jej gardło.

– Ktoś musiał być mocno pokrwawiony – powiedziałam, mierząc rany na dłoniach.

– Jeszcze jak.

– Pewnie gdzieś się umył. Nie można w takim stanie iść do motelu.

– Albo może mieszka w pobliżu.

– Lub przyjechał swoim samochodem i miał nadzieję, że po drodze nie będzie musiał wysiadać.

– Ona ma w żołądku brązowawy płyn.

– A więc nic ostatnio nie jadła. Pewnie od samego obiadu – powiedziałam. – Trzeba się dowiedzieć, czy miała pościelone łóżko.

Nasunął mi się na myśl obraz kobiety śpiącej w sobotę późnym wieczorem lub w niedzielę nad ranem, którą nagłe spotyka coś takiego. Z jakichś powodów wstała, wyłączyła alarm i otworzyła drzwi na tyłach domu.

Gdy za pomocą klamer chirurgicznych spięliśmy z Gerde'em rozcięcie w kształcie litery Y, było kilka minut po czwartej. Umyłam się w małej szatni za prosektorium, gdzie w nieładzie leżały części manekinów wykorzystywanych do odtwarzania okrutnych sposobów zadawania śmierci.

Jeżeli nie liczyć nastolatków palących stare szopy, w Lehigh podpalenia należały do rzadkości. Przemoc nie stanowiła również zagrożenia w niewielkim osiedlu zamieszkałym przez klasę średnią, Wescoville, gdzie Shephard miała dom. Nie zdarzały się tam poważniejsze przestępstwa niż włamania i kradzieże, kiedy złodziej zauważał w widocznym miejscu w domu torebkę lub portfel, włamywał się i zabierał to. Ponieważ w Lehigh

nie działał posterunek policji, zanim stanowi stróże prawa zdążyli zareagować, po złodzieju nie pozostawał nawet ślad.

Korzystając z tej samej przebieralni z manekinami ubrałam się w wyjęte z bagażnika kombinezon i wzmacniane metalem buty. Gerde okazał mi uprzejmość i podwiózł mnie na miejsce pożaru. Po drodze zachwyciłam się ogromnymi jodłami, wspaniale wypielęgnowanymi ogródkami przydomowymi oraz gdzieś tam znakomicie utrzymanymi kościołami. Zjechaliśmy na drogę Hanover, przy której stały nowoczesne, piętrowe domy z cegły, a kosze do basketu, rowery i inne oznaki świadczyły o obecności dzieci.

– Ciekawe, ile kosztuje wynajęcie czegoś takiego – powiedziałam, oglądając mijane rezydencje.

– Dwa do trzech tysięcy – odparł Gerde. – Dużo tu inżynierów, pielęgniarek, maklerów i menedżerów. W pobliżu przebiega główna arteria przez dolinę Lehigh, I-78, prowadząca prosto do Nowego Jorku, gdzie można się dostać w ciągu zaledwie półtorej godziny. Są tacy, co codziennie dojeżdżają do pracy.

– Jest tu jeszcze coś innego?

– Wiele stref przemysłowych w promieniu około piętnastu minut. Hurtownie Coca-Coli, Air Products, Nestle, Perriera i wiele innych. No a poza tym farmy.

– A ona pracowała w szpitalu.

– Tak. Miała do pracy jakieś dziesięć minut drogi.

– Widziałeś ją kiedyś wcześniej?

Gerde zastanawiał się, a po chwili ujrzelśmy za drzewami na końcu ulicy smużki unoszącego się dymu.

– Jestem prawie pewien, że widziałem ją w bufecie. Trudno nie zauważyć kogoś o jej urodzie. Za bardzo nie pamiętam, ale chyba siedziała

przy stoliku z koleżankami. Natomiast raczej nigdy ze sobą nie rozmawialiśmy.

Dom Shephard miał spadzisty dach i białe ozdoby na froncie. Chociaż pożar nie był trudny do opanowania, to i tak znac było zniszczenia spowodowane wodą oraz strażackimi toporami do wybijania w dachu otworów, wentylacyjnych. Pozostała ponura, okopcona elewacja z roztrzaskanymi oknami przypominającymi pozbawione życia oczy. Klomby ze słonecznikami zostały zdeptane, schludne trawniki zamieniły się w błoto, na stojącym przy podjeździe najnowszym modelu toyoty camry osiadła warstwa popiołu.

W środku pracowali strażacy i inspektorzy ATP, natomiast agenci FBI w strojach ochronnych kręcili się na dworze.

Na tyłach domu zastałam McGovern rozmawiającą z przejętą młodą kobietą w sandałach, podkoszulku i džinsach z obciętymi nogawkami.

– A która wtedy była? Koło szóstej? – pytała McGovern.

– No właśnie. Przygotowywałam akurat kolację i zauważyłam, że przyjechała i postawiła samochód dokładnie w tym samym miejscu, gdzie stoi – opowiadała z ożywieniem kobieta. – Weszła do środka, a potem wyszła po jakichś trzydziestu minutach i zajęła się pieleniem grządek. Lubiała prace w ogródku. Sama kosiła trawę i sama wszystko robiła.

McGovern zauważyła, że podchodzę.

– To pani Harvey – zwróciła się do mnie. – Sąsiadka zza płotu.

– Dzień dobry – powiedziałam, patrząc jej w oczy pełne podekscytowania graniczącego ze strachem.

– A to doktor Scarpetta – przedstawiła mnie McGovern.

– O – powiedziała pani Harvey.

– A potem widziała pani jeszcze Kellie? – zapytała McGovern.

Kobieta pokręciła głową.

– Weszła do środka i chyba to tyle. Wiem, że ciężko pracowała i nigdy nie siedziała po nocach.

– A co z jej towarzystwem? Widywała się z kimś?

– To się zmieniało – odparła pani Harvey. – Czasami z jakimś lekarzem lub z kimś innym ze szpitala. Pamiętam, że w zeszłym roku chodziła z facetem, który był jej pacjentem. Ale żaden z takich związków nie trwał długo. Była bardzo piękna i to stanowiło jej problem. Mężczyźni chcieli od niej tylko jednego. A ona akurat coś innego miała na myśli. Wiem o tym, bo czasem mi co nieco napomknęła.

– A ostatnio z nikim? – zapytała McGovern.

Harvey się zamyśliła.

– Widziałam tylko jej koleżanki – odparła w końcu. – Miała kilka znajomych ze szpitala, czasami do niej wpadały lub razem gdzieś wychodziły. Ale nie przypominam sobie, żeby tamtej nocy ktoś u niej był. Oczywiście nie muszę wiedzieć o wszystkim. Ktoś mógł przejść, a ja go mogłam nie zauważyć lub nie usłyszeć.

– Znalaziono już kota?

McGovern nie odpowiedziała.

– Miły kociak – powiedziała Harvey. – Nazywa się Dynia. – Uśmiechnęła się przez łzy. – Traktowała go jak dziecko.

– To kot domowy?

– O, jak najbardziej. Kellie nie pozwalała mu wychodzić na dwór. Obchodziła się z nim jak z jajkiem.

– Za domem znalaziono kuwetę – powiedziała McGovern. – Czy Kellie zostawiała ją na noc na dworze? A może miała zwyczaj wypróżniania jej w nocy? Powiedzmy, otwierała po zmroku drzwi, wyłączała alarm i wychodziła z kuwetą.

Domyślałam się, że nie ma pojęcia, iż jej sąsiadka została zamordowana.

– Hm, tego nie wiem – odparła Harvey. – Widziałam, jak wypróżnia kuwetę, ale zawsze do foliowej torebki, którą wyrzucała do pojemnika ze śmieciami. Nie byłoby więc dziwne, gdyby robiła to w nocy. Przypuszczam, że mogła ją opróżnić i zostawić na noc na zewnątrz, żeby wywietrzała. A może nie miała czasu na opłukanie i zostawiła to sobie na rano? Tak czy inaczej kot umiał się załatwiać w toalecie, więc nic by się nie stało, gdyby został na noc bez kuwety.

Spojrzała na nadjeżdżający wóz policji stanowej.

– Nikt mi nie powiedział, jak został zaproszony ogień – rzekła Harvey. – Wiadomo już?

– Pracujemy nad tym – odparła McGovern.

– Czy ona... Czy to się stało szybko? – Przygryzła dolną wargę i pod wpływem promieni zachodzącego słońca przymrużyła oczy. – Mam nadzieję, że nie cierpiała.

– Większość ludzi ginących w pożarach raczej nie cierpi – odpowiedziałam, starając się delikatnie obejść jej pytanie. – Zazwyczaj tlenek węgla pozbawia ich przytomności.

– Och, dzięki Bogu.

– Idę do środka – zwróciła się do mnie McGovern.

– Pani Harvey – powiedziałam. – czy dobrze pani znała Kellie?

– Cóż, byłyśmy sąsiadkami od pięciu lat. Nie byśmy sobie bardzo bliskie, ale znałyśmy się dość dobrze.

– Pomyślałam sobie, że ma pani może jakieś jej zdjęcia. Albo zna pani kogoś, kto mógłby mieć.

– Powinnam coś mieć.

– To mi potrzebne do identyfikacji – powiedziałam, chociaż tak naprawdę chodziło mi o coś innego.

Chciałam na własne oczy zobaczyć, jak Shephard wyglądała za życia.

– A czy jest jeszcze ktoś, z kim mogłabym porozmawiać na temat Kellie? Na przykład jej rodzina?

– Nie za bardzo – odpowiedziała Harvey, spoglądając na zrujnowany dom swej sąsiadki. – Nie była związana z jakimś konkretnym miejscem. Jej ojciec jest wojskowym i teraz mieszka zdaje się gdzieś w Karolinie Północnej. Wiadomo, jak to jest, przeprowadzali się bardzo często i to chyba zahartowało Kellie. Często jej mówiłam, że chciałabym być taka silna i mądra jak ona. I powiem pani, że nie dawała sobie w kaszę dmuchać. Kiedyś u mnie na werandzie pojawił się wąż. Panicznie przerażona zawołałam ją, a ona przyszła ze szpadlem do mnie na podwórko i po prostu go zabiła. Przypuszczam, że musiała być twarda, bo inaczej mężczyźni nie daliby jej spokoju. Zawsze jej powtarzałam, że mogłaby być gwiazdą filmową, a ona na to: „Sandra, przecież ja nie umiem grać”. A ja zawsze odpowiadałam: „Żadna z nich nie umie!”.

– Posługiwała się więc zdrowym rozsądkiem – powiedziałam.

– Z całą pewnością. Dlatego zainstalowała sobie alarm przeciwwłamaniowy. Rozsądna i mądra, oto cała Kellie. Może pani wejdzie do mnie, zobaczę, co z tymi zdjęciami.

– To bardzo miło z pani strony.

Obeszłyśmy żywopłot i po przemierzeniu schodków znalazłyśmy się w dużej, jasnej kuchni. Pani Harvey wyraźnie lubiła gotować, ponieważ była znakomicie zaopatrzona we wszelkie produkty i naczynia. Rondle i patelnie wisiały na wieszakach już od samego sufitu. Na kuchence na wolnym ogniu gotowało się coś, co pachniało jak wieprzowina z cebulą – stroganow albo gulasz.

– Proszę tutaj usiąść przy oknie. Zaraz przyniosę wszystko, co mam.

Zasiadłam przy kuchennym stole i spoglądałam przez okno na dom Kellie Shephard. Widziałam ludzi poruszających się za wybitymi oknami.

Ponieważ zachodziło już słońce i robiło się ciemno, ktoś zapalił światło. Zastanawiałam się, jak często sąsiadka obserwowała Kellie z tej pozycji.

To oczywiste, że Harvey ciekawiło życie egzotycznej dla niej kobiety, która mogłaby być gwiazdą filmową. Interesowało mnie, czy ktoś mógłby obserwować Shephard w taki sposób, żeby sąsiadka nie zauważyła jakiegoś dziwnego samochodu lub obcego człowieka. Musiałam jednak ostrożnie zadawać pytania, ponieważ okrutny sposób, w jaki zginęła Shephard, nie został podany do wiadomości publicznej.

– Aż mi się wierzyć nie chce – powiedziała Harvey, wracając do kuchni.
– Mam coś lepszego niż zdjęcia. W zeszłym tygodniu w szpitalu była ekipa telewizyjna. Nagrywała program na temat ośrodka urazowego. Pokazywali to w wieczornych wiadomościach. Była tam też Kellie, więc nagrałam ten program. Zupełnie nie wiem, dlaczego o tym zapomniałam, ale mój umysł chyba nie pracuje najlepiej. Sama pani rozumie.

Trzymała w dłoni kasetę wideo. Poszłam za nią do pokoju; włożyła kasetę do magnetowidu. Usiadłam na błękitnym fotelu pośród morza niebieskich dywanów, a Harvey przewinęła taśmę, po czym nacisnęła klawisz „play”. Pierwszych kilka kadrów przedstawiało szpital w Lehigh z perspektywy śmigłowca lecącego do poważnego przypadku. Zdałam sobie wtedy sprawę, że Kellie nie była zwykłą pielęgniarką, ale sanitariuszką mogącą w nagłej potrzebie zastąpić lekarza.

Na ekranie widziałam ją w jednoczęściowym kombinezonie, podążającą długim korytarzem wraz z innymi wezwanymi do pomocy członkami załogi śmigłowca ratunkowego.

– Przepraszam, przepraszam – mówiła z taśmy, gdy omijali ludzi zawadzających im na drodze.

Stanowiła pokazowy przykład człowieka działającego dokładnie tak, jak należy. Odślaniała zęby w uśmiechu, a kamera z lubością pod każdym

kątem prezentowała wspaniałe rysy jej twarzy. Nietrudno było sobie wyobrazić, że pacjenci chętnie oddawali się pod jej opiekę. Następna część filmiku przedstawiała ją w bufecie po zakończeniu kolejnej trudnej misji.

– Za każdym razem ścigamy się z czasem – mówiła dziennikarzowi. – Czasami nawet minuta zwłoki może kogoś kosztować życie. Ta świadomość wyzwala dodatkowe ilości adrenaliny.

Podczas tej dość banalnej rozmowy kamera pokazywała ją z coraz to innej perspektywy.

– Zupełnie nie wiem, po co to nagrałam – mówiła Harvey. – Ale rzadko widzę w telewizji kogoś znajomego.

Początkowo tego nie zauważyłam.

– Proszę zatrzymać! – powiedziałam. – Niech pani cofnie taśmę. O tak, tutaj.

W kadrze pojawiła się pewna osoba jedząca lunch.

– Nie – odezwałam się po cichu – to niemożliwe.

Garrie Gretchen była ubrana w dżinsy i farbowany podkoszulek. Jadła kanapkę, siedząc przy stole z pracownikami szpitala. Początkowo jej nie poznałam, bo miała włosy opuszczone na uszy i ufarbowane henną na rudo, a kiedy ją po raz ostatni widziałam, była krótko ostrzyżona i utleniona. Moją uwagę przyciągnęły jej oczy przypominające czarne dziury. Żując kanapkę, patrzyła prosto w kamerę, a z jej oczu ziało zimno i zło, dokładnie takie, jak zapamiętałam.

Wstałam z fotela, podeszłam do magnetowidu i wyjęłam taśmę.

– Muszę to wziąć – powiedziałam głosem pełnym paniki. – Obiecuję, że zwrócę kasetę.

– Dobrze, tylko proszę nie zapomnieć, to moja jedyna kopia. – Harvey także wstała. – Nic pani nie jest? Wygląda pani tak, jakby zobaczyła ducha.

– Muszę już iść. Jeszcze raz bardzo dziękuję.

Pobiegłam do sąsiedniego domu, wskoczyłam po schodach, znalazłam się na tyłach, gdzie stały ponad dwa centymetry wody spadającej powoli z dachu. Wszędzie kręcili się rozmawiający między sobą inspektorzy robiący zdjęcia.

– Teen! – zawołałam.

Ostrożnie brnęłam do środka, starałam się niczego nie zniszczyć ani nie zrobić sobie krzywdy. Wcale nie zwróciłam uwagi na agenta niosącego w foliowym worku spalone zwłoki kota.

– Teen! – zawołałam raz jeszcze.

Usłyszałam kroki osoby stępującej pewnie po rumowisku. Nagle stanęła tuż obok mnie i złapała mnie na ramię.

– Ostrożnie – powiedziała.

– Musimy natychmiast znaleźć Lucy.

– Co się stało?

Zacząła mi pomagać w wydostaniu się ze zgliszczy.

– Gdzie ona jest? – zapytałam.

– Były dwa wezwania do pożarów na południu miasta. W sklepie spożywczym, prawdopodobnie podpalenie. Kay, co się do diabła...

Gdy wyszłyśmy na trawnik, trzymałam w dłoni kasetę tak mocno, jak gdyby to była moja jedyna nadzieja w życiu.

– Teen, proszę cię – spojrzałam jej w oczy. – Zawieź mnie do Filadelfii.

– No to chodź.

Rozdział szesnasty

McGovern jechała tak szybko, że dotarliśmy do Filadelfii w czterdzieści pięć minut. Połączyła się drogą radiową ze swym terenowym biurem i rozmawiała na zabezpieczonych częstotliwościach. Chociaż była dość oględna w słowach, wyraźnie dała do zrozumienia, że każdy dostępny agent ma się zająć poszukiwaniem Carrie. W tym samym czasie ja połączyłam się telefonem komórkowym z Marinem i kazałam mu natychmiast wsiadać do samolotu.

- Ona tu jest – powiedziałam.
- O kurwa. A Benton i Lucy wiedzą?
- Jeszcze się z nimi nie skontaktowałam.
- Już wychodzę.

Ani ja, ani McGovern nie wierzyłyśmy, że Carrie jest jeszcze w Lehigh. Przeniosła się zapewne tam, gdzie może narobić najwięcej szkód. A z jakichś niesprecyzowanych powodów byłam przekonana, że wie o przeprowadzce Lucy do Filadelfii. Właściwie mogła śledzić ją nawet teraz. Wydawało mi się jednak, choć nie było rozsądnych podstaw, by tak twierdzić, że morderstwo w Warrenton i morderstwo popełnione tutaj miały zaabsorbować uwagę tych wszystkich spośród nas, którzy ścigali Carrie w przeszłości.

– Przecież w Warrenton pożar wybuchł przed jej ucieczką z Kirby – przypomniała McGovern, skręcając w ulicę Chestnut.

– Wiem – powiedziałam, czując że ze strachu zamiera mi serce. – Nie rozumiem, jak to się stało. Chyba musiał być w to zaangażowany jeszcze ktoś inny. Teen, ona nie pojawiła się w wiadomościach czystym zbiegiem

okoliczności. Wiedziała, że po zamordowaniu Kellie Shephard przetrząśniemy wszystko, co się da. Musiała cholernie dobrze zdawać sobie sprawę, że trafimy na tę taśmę.

Pożar wybuchł w słabo widocznym miejscu za zachodnim skrzydłem Uniwersytetu Pensylwanii. Zapadł już zmrok i migające światła na dachach wozów ratunkowych widoczne były na milę. Samochody policyjne zajmowały ulice aż dwóch kwartałów. W pobliżu stało co najmniej osiem pomp strażackich i cztery wozy z drabinami. Z wysokości ponad dwudziestu metrów strażacy w hełmach polewali z armatek dymiący dach. Nocną ciszę zakłócały silniki pomp, syk wody pod ciśnieniem, krople rozbijające się na drewnie i trzask pękających szyb. Na jezdni wiły się węże strażackie, a miejscami woda sięgała kołpaków kół zaparkowanych samochodów, które w najbliższym czasie nigdzie nie pojedą.

Dziennikarze i ekipy telewizyjne wałęsające się po chodnikach ożywiły się na nasz przyjazd.

– Czy w sprawę zaangażowana jest ATF? – zapytała reporterka telewizyjna.

– Przyjechałyśmy tylko popatrzeć – powiedziała McGovern. Przeszłyśmy, nie zatrzymując się przy nich.

– A więc istnieje podejrzenie podpalenia w sklepie spożywczym?

Nasze buty chlupotały na grząskim gruncie, za nami podążały mikrofony.

– Śledztwo jest w toku – odparła McGovern. – A pani lepiej niech się trzyma od tego z daleka.

Dziennikarka zatrzymała się przy jednej z pomp, a my podeszłyśmy bliżej sklepu. Płomienie przenosiły się na pobliski zakład fryzjerski, gdzie strażacy z siekierami i bosakami wybijali otwory w dachu. Inspektorzy w ogniotrwałych strojach ATF przesłuchiwali potencjalnych świadków,

odziani w kombinezony ludzie z sekcji dochodzeniowej co chwila wchodzili do piwnicy lub z niej wychodzili. Podśluchałam jakieś słowa o odprowadzaniu wody i łączeniu węży. Wszędzie pełno było dymu, okopconych płaszczyzn i płomieni ognia.

– Może jest w środku – powiedziała McGovern prosto do mego ucha.

Razem z nią podeszłam jeszcze bliżej. Duża szyba wystawowa była rozbita, a część przedmiotów z wystawy wraz z rzeką wody wypłynęła na ulicę. Puszki z tuńczykiem, poczerńiałe banany, serwetki, torebki z chipsami ziemniaczanymi, buteleczki z dressingami do sałatek. Jeden ze strażaków uratował puszkę kawy, wzruszył ramionami i wrzucił ją do swego wozu. Mocne światło reflektorów penetrowało czarne zadymione wnętrza, oświetlając pozrywane przewody elektryczne oraz belki poskręcane jak roztopione cukierki.

– Czy jest tu Lucy Farinelli? – zawołała do środka McGovern.

– Ostatnio widziałem ją, jak na tyłach rozmawiała z właścicielem – powiedział ze środka męski głos.

– Ostrożnie tam – krzyknęła McGovern.

– Taak, mamy poważny problem z odcięciem prądu. Chyba jest zasilanie spod ziemi. Może pani by nam pomogła?

– Robi się.

– A więc takimi rzeczami zajmuje się moja siostrzenica – powiedziałam, gdy pomiędzy pływającymi produktami spożywczymi wycofywałyśmy się na jezdnię.

– Jak ma szczęście. Zdaje się, że ma numer jednostki 718. Może uda mi się z nią skontaktować.

Podniosła do ust radiotelefon i zaczęła szukać Lucy w eterze.

– O co chodzi? – rozległ się głos mojej siostrzenicy.

– Zajęta jesteś?

- Właśnie kończę.
- Możemy się spotkać na ulicy przed sklepem?
- Już idę.

Widać było, że poczułam ulgę, bo McGovern się do mnie uśmiechnęła. Strażacy byli czarni od sadzy i potu. Obserwowałam, jak poruszają się ze swymi ciężkimi wężami na ramionach i piją z kubków zielony płyn mieszany w plastikowych pojemnikach. W świetle reflektorów błyski i kontrasty tworzyły surrealistyczną scenę. Z ciemności wyłonili się fotoreporterzy z aparatami gotowymi do robienia zdjęć, a także przedsiębiorczy sprzedawcy kadzidełek i zabawkowych zegarków.

Zanim Lucy do nas dotarła, dym się już przerzedził i pojaśniał, co oznaczało dużą zawartość pary. Woda musiała się dostać do centrum ognia.

- To dobrze – skomentowała McGovern. – Chyba już jest opanowany.
- Właściciel twierdzi – odezwała się nadchodząca Lucy – że szczury przegryzły przewody.

Spojrzała na mnie zdziwionym wzrokiem.

- Co cię tu sprowadza? – zapytała.
- Wygląda na to, że z pożarem i zabójstwem w Lehigh jest powiązana Carrie – odpowiedziała za mnie McGovern. – Możliwe, że jeszcze kręci się tu w okolicach, może nawet jest w Filadelfii.
- Co? – Lucy nie kryła zdumienia. – Jakim cudem? A co z Warrenton?
- Wiem, wiem – odparłam. – Tego wyjaśnić nie potrafimy, ale sprawy wyraźnie łączą się ze sobą.

– Może to tylko naśladownictwo – stwierdziła moja siostrzenica. – Przeczytała o tym w gazecie i teraz próbuje nas robić w konia.

Jeszcze raz pomyślałam o opiłkach metalu i miejscu wybuchu pożaru. Takich szczegółów jak te nie podawały wiadomości. Nie ujawniono nawet, że Claire Rawley została zamordowana ostrym narzędziem, na przykład

nożem. Poza tym widziałam jeszcze jedno podobieństwo łączące obydwie sprawy – zarówno Rawley, jak i Shephard były niesłychanie piękne.

– Pełno tu ludzi na ulicy – odezwała się McGovern. – Lucy, musisz mieć się na baczności. A dla ciebie, Kay – spojrzała na mnie – to też nie Jest najbezpieczniejsze miejsce.

Nie odpowiedziałam jej, zwróciłam się natomiast do Lucy: – Masz jakieś wieści od Bentona?

– Nie.

– Nie rozumiem, gdzie on się może podziewać.

– Kiedy po raz ostatni się z nim kontaktowałeś?

– W prosektorium. Odjechał, mówiąc, że jedzie na miejsce pożaru. A tymczasem co? Byłyśmy tam chyba z godzinę, no nie? – powiedziałam do McGovern.

– Może wrócił do Nowego Jorku albo do Richmond?

– Na pewno by mi o tym powiedział. Zadzwońię do niego na pager. Może Marino będzie coś wiedział, jak tu przyjedzie – dodałam i w tej samej chwili prysnęła na nas struga wody z węża strażackiego.

Dopiero około północy w moim pokoju hotelowym zjawił się Marino. Ale nic nie wiedział.

– Ciebie chyba też tu nie powinno być – powiedział na dzień dobry. Był spięty i zdekoncentrowany.

– To może mi powiesz, gdzie będę bezpieczniejsza? Nie wiem, co się dzieje. Benton nie zostawił żadnej wiadomości. Nawet nie odpowiada na wezwanie pagerem.

– Nie pokłóciliście się albo coś z tych rzeczy?

– Nie, na Boga – odpowiedziałam podniesionym głosem.

– Nie denerwuj się, chcę ci tylko pomóc.

– Wiem.

Wzięłam głęboki oddech i spróbowałam się uspokoić.

– A co z Lucy?

Usiadł na brzegu mojego łóżka.

– Koło uniwersytetu strasznie się paliło, pewnie jeszcze tam jest.

– Podpalenie?

– Chyba jeszcze nie wiadomo.

Przez chwilę milczeliśmy, czułam narastające napięcie.

– Słuchaj – odezwałam się – możemy tu tak siedzieć i czekać Bóg wie ile. Albo możemy iść.

I tak nie mogę spać. – Zaczęłam się przechadzać po pokoju. – Nie mogę tak siedzieć całą noc i bać się, że gdzieś tu czyha Carrie.

W oczach miałam łzy.

– A do tego Benton jeszcze gdzieś przepadł.

– Może jest z Lucy przy pożarze.

Odwróciłam się plecami do Marina i patrzyłam na przystań. Miałam urywany oddech i zimne, aż niebieskie opuszki palców.

Marino wstał. Wiedziałam, że na mnie patrzy.

– Chodź, pojedziemy sprawdzić – powiedział.



Gdy dotarliśmy do miejsca pożaru przy ulicy Walnut, było tam już znacznie spokojniej. Odjechała większość wozów strażackich, a po strażakach, którzy zostali, by zwinąć węże, znać było zmęczenie. Nad sklepem unosiły się już tylko niewielkie smużki dymu, nie było widać płomieni, ze środka słyszałam głosy i kroki, silny strumień światła przecinał ciemność i odbijał się od rozbitych szkielek. Brodząc w wodzie i resztkach towarów wypłukanych ze sklepu, dotarłam do wejścia i usłyszałam głos McGovern. Mówiła coś o lekarzu sądowym.

– Natychmiast go wezwijcie! – krzyczała. – I ostrożnie, okej? Nie wiadomo, jak bardzo to wszystko jest porzrzućane, a nie chciałabym, żebyśmy to pozadeptywali.

– Ma ktoś aparat?

– Tutaj widzę zegarek z nierdzewnej stali, męski. Potłuczone szkiełko. No i mamy też kajdanki.

– Co takiego?

– No mówię, że kajdanki, Smith & Wesson, oryginalne. Zamknięte, wygląda, jakby ktoś miał je na ręce. Właściwie nawet zamknięte na dwa razy.

– Chyba sobie robisz jaja.

Gdy wchodziłam do środka, zimne krople wody spadały mi na hełm i spływały na kark. Rozpoznałam z daleka głos Lucy, ale nie rozumiałam poszczególnych słów. Docierał do mnie jednak rozpaczliwy ton. Nagle usłyszałam, że robi się zamieszanie.

– Spokojnie, spokojnie! – komenderowała McGovern. – Lucy! Niech ją ktoś stąd zabierze!

– Nie! – krzyczała Lucy.

– No już, spokojnie, ja ci pomogę – mówiła McGovern.

– Nie, nie, nie! – krzyczała Lucy.

Nagle rozległ się trzask i krzyk zaskoczenia.

– O mój Boże, nic ci nie jest? – zapytała McGovern.

Byłam już prawie w tym samym pomieszczeniu, gdy ujrzałam McGovern pomagającą Lucy wstać. Moja siostrzenica była w hysterii, z ręki leciała jej krew, ale wcale się tym nie przejmowała. Szłam ze ściśniętym sercem, a krew miałam równie zimną jak woda, po której stapałam.

– Pokaż mi – powiedziałam i delikatnie biorąc Lucy za rękę, poświeciłam latarką.

Lucy była cała roztrzęsiona.

– Kiedy miałaś ostatnio szczepionkę przeciwężcowi? – zapytałam.

– Ciociu Kay – zaszlochała. – Ciociu...

Objęła mnie ramionami za szyję tak mocno, że prawie upadłyśmy. Płakała tak rozpaczliwie, że nie mogła wykrztusić ani słowa. Silny jak imadło uścisk miażdżył mi żebra.

– Co się stało? – zapytałam McGovern.

– Lepiej obydwie stąd wyjdźcie – powiedziała.

– Powiedz, co się stało!

Nie miałam zamiaru nigdzie odchodzić, dopóki się nie dowiem. Wahała się.

– Znaleźliśmy zwłoki. Ofiara pożaru. No Kay, proszę cię.

Wzięła mnie pod ramię, ale się wyrwałam.

– Musimy wyjść – powiedziała.

Odsunęłam się od niej i spojrzałam w ciemny zakątek, gdzie inspektorzy rozmawiali między sobą i pokazywali palcami w kierunku świateł latarek.

– Kolejne kości – zawołał ktoś. – A nie, odwołuję. To wypalone drewno.

– Rzeczywiście.

– Cholera, gdzie jest ten lekarz sądowy?

– Zajmę się tym – powiedziałam do McGovern, jak gdybym działała na własnym terenie. – Zabierz Lucy i owiń jej rękę ręcznikiem. Lucy – zwróciłam się do siostrzenicy – nic ci nie będzie.

Zdjęłam jej rękę ze swej szyi i w tym samym momencie zaczęłam się trząść. Jakimś cudem już wiedziałam.

– Kay, nie chodź tam – McGovern podniosła głos. – Nie!

Lecz wtedy już wiedziałam, że muszę. Zostawiłam je i na nogach jak z waty ruszyłam do kąta pomieszczenia, nie zważając na wodę pryskającą mi spod stóp. Zobaczywszy mnie, inspektorzy zamilkli. Nie wiedziałam

właściwie, czego szukam, w świetle ich latarek ujrzałam tylko coś, co przypominało rozmiękły papier, i części odzieży leżące na kawałku odłupanej ściany i okopconych drewnianych belkach.

I wtedy zauważyłam kształt paska i sprzączki, a także sterczącą kość udową przypominającą spalony, gruby patyk. Serce omal mi się nie wyrwało z piersi, gdy przesuwałam wzrok po zwęglonych ludzkich szczątkach, z pociemniałą głową bez twarzy, jedynie z kosmykami siwych włosów.

– Pokażcie mi zegarek – powiedziałam, spoglądając wściekłym wzrokiem na inspektorów dochodzeniowych.

Jeden z nich wyciągnął rękę i podał mi męskiego breitlinga aerospace z nierdzewnej stali.

– Nie – szepnęłam i padłam na kolana. – Błagam. Nie.

Zakryłam dłońmi twarz. Mój umysł nie był w stanie normalnie działać, pociemniało mi przed oczami i zatoczyłam się. Przytrzymała mnie czyjaś ręka. Miałam ściśnięte gardło.

– Proszę wstać – powiedział łagodny męski głos i ktoś pomógł mi stanąć prosto.

– To nie może być on! – krzyczałam. – Boże, proszę cię, nie pozwól na to. Błagam cię, błagam, błagam!

Nie mogłam utrzymać równowagi i dwóch agentów musiało wyprowadzić mnie na dwór, chociaż w miarę sił starałam się pomagać im w tym zadaniu. Po wyjściu na ulicę nie rozmawiałam z nikim, tylko sztywnym, niezgrabnym krokiem doszłam do forda McGovern. Siedziały tam z Lucy, która miała przyłożony do dłoni ręcznik nasiąknięty krwią.

– Potrzebuję apteczki – usłyszałam własny głos skierowany do McGovern.

– Lepiej zabrać ją do szpitala – odpowiedziała, patrząc na mnie stanowczym wzrokiem. W jej oczach dostrzegłam lęk i współczucie.

– Słusznie.

McGovern sięgnęła do tyłu i wyciągnęła coś zza fotela. Postawiła na siedzeniu pomarańczową apteczkę Pelikan i odpięła zaciski. Lucy wyglądała na wstrząśniętą, miała drgawki i bladą twarz.

– Przydałby się koc – powiedziałam.

Zdjęłam ręcznik i przemyłam jej dłoń wodą z butelki. Na kciuku miała prawie całkowicie oderwany kawał skóry. Przyłożyłam tam mocno nasączony tampon, do moich nozdrzy dotarł ostry zapach jodyny i wszystko, co obserwowałam dokoła, wydało mi się nagle tylko złym snem. Nieprawdą.

– Trzeba to zaszyć – powiedziała McGovern. Czymś nierzeczywistym. Po prostu snem.

– Trzeba jechać do szpitala, żeby jej to zaszyli. Ale ja już założyłam jej wysterylizowany opatrunek z klejem żywicznym, ponieważ wiedziałam, że w tym przypadku szycie nie jest konieczne. Z oczu ciekły mi łzy, gdy obkładałam kciuk Lucy gazą. Kiedy podniosłam głowę i wyjrzałam przez okno samochodu, zauważyłam stojącego przy drzwiach Marina. Na jego twarzy malował się gniew i ból. Wyglądał tak, jakby zaraz miał wymiotować. Wsiadłam z samochodu.

– Lucy, chodź ze mną – powiedziałam, biorąc ją za rękę. Zawsze lepiej się czułam, gdy mogłam się kimś opiekować. – No chodź.

Światła ostrzegawcze raziły nas w oczy, zarówno ludzie, jak i cała sytuacja wyglądali dziwnie i niedorzecznie. Gdy Marino nas zabierał, nadjechała furgonetka lekarza sądowego. Będzie prześwietlenie, badanie zębów, a może nawet DNA dla potwierdzenia identyfikacji. Cały proces z

pewnością potrwa jakiś czas, ale dla mnie to nie miało znaczenia. Ja już wiedziałam. Benton nie żył.

Rozdział siedemnasty

Z pierwotnych ustaleń dotyczących rekonstrukcji wydarzeń wynikało, że Benton został jakoś zwabiony i w okrutny sposób pozbawiony życia. Nie mieliśmy pojęcia, co go mogło przyciągnąć do tego małego sklepiku spożywczego na ulicy Walnut, nie wiedzieliśmy też, czy czasem nie został zabity gdzie indziej i po prostu przeniesiony do tego małego budynku w lichej dzielnicy. Przypuszczaliśmy, że w pewnym momencie był skuty kajdankami, a dalsze poszukiwania zaowocowały odnalezieniem drutu ukształtowanego w ósemkę, więc najprawdopodobniej miał w chwili pożaru także skrępowane nogi.

Znalazły się również jego kluczyki do samochodu i portfel, ale nie było nawet śladu po pistolecie kalibru dziewięć milimetrów Sig Sauer ani po złotym sygnecie. W hotelowym pokoju pozostawił kilka zmian bielizny i walizeczkę, którą mi po przeszukaniu zwrócono. Na noc zostałam u Teen McGovern. Wokół domu wystawiła agentów, bo Carrie nadal znajdowała się w pobliżu i jej następny atak był tylko kwestią czasu.

Będzie chciała skończyć to, co zaczęła, i najważniejsze pytanie brzmiało teraz: kto następny? O ile jej się powiedzie. Marino przeniósł się do małego mieszkania Lucy i tam na sofie pełnił wartę. Nasza trójka wcale ze sobą nie rozmawiała, bo właściwie nie było nic do powiedzenia. Co się stało, to się nie odstanie.

McGovern próbowała nawiązać ze mną kontakt. Kilka razy przychodziła z herbatą i jedzeniem do mojego pokoju z niebieskimi zasłonami w oknach i widokiem na stare wieżyczki domów Society Hill. Wiedziała jednak, że nie może działać na siłę. Ja byłam tak zdruzgotana, że nie nadawałam się do

niczego z wyjątkiem snu. Co jakiś czas budziłam się z nieprzyjemnym uczuciem i zaraz sobie przypomiinałam, skąd się ono wzięło.

Nie pamiętałam swoich słów. Płakałam tak długo, że aż mi zapuchły oczy. W czwartek wieczorem długo stałam pod prysznicem, a potem wkroczyłam do kuchni. McGovern ubrana w granatowy żakiet piła kawę i czytała gazetę.

– Dzień dobry – powiedziała zaskoczona i zadowolona, że wreszcie wyszłam z za drzwi swego pokoju. – Jak się czujesz?

– Lepiej mi powiedz, co się działo.

Usiadłam naprzeciwko niej. Odstawiła filiżankę z kawą na stół i odsunęła krzesło.

– Zrobię ci kawy.

– Powiedz najpierw, co się działo – powtórzyłam. – Teen, chcę to wiedzieć. Czy znaleziono coś.

– To znaczy czy znaleziono coś w prosektorium.

Wyłączyła się na chwilę, patrzyła przez okno na stare drzewo magnolii uginające się pod zwiędłymi, brązowiejącymi kwiatami.

– Jeszcze przy nim pracują – odezwała się w końcu. – Wstępne ustalenia wykazują jednak, że być może podcięto mu gardło. Na twarzy miał rozcięcia aż do kości. Tutaj i tutaj. – Pokazała lewą stronę szczęki i przestrzeń pomiędzy oczami. – W tchawicy nie znaleziono śladów sadzy ani oparzeń, nie wykryto też CO. Był więc już martwy przed podłożeniem ognia. Przykro mi, Kay... Hm, sama nie wiem, co powiedzieć.

– Jak to możliwe, że nikt nie widział, jak wchodzi do budynku? – zapytałam rzeczowo, jakbym nie czuła przerażenia pod wpływem tego wszystkiego, co od niej usłyszałam. – Ktoś pewnie musiał trzymać go na muszce i nikt niczego nie zauważył?

– Sklep zamykają o piątej – odpowiedziała. – Nie ma śladów włamania, a z jakichś powodów alarm był wyłączony, więc nie zadziałał. Z takimi miejscami mamy problem, bo często bywają podpalane dla pieniędzy z ubezpieczenia. W ten czy inny sposób zawsze jest w to zamieszana pakistańska rodzina. – Napiła się kawy. – Zawsze jest to jakaś mała firma, pożar rozpoczyna się zaraz po zamknięciu i nikt z sąsiedztwa niczego nie widzi.

– Ubezpieczenie nie ma tu nic do rzeczy! – powiedziałam w nagłym wybuchu gniewu.

– Oczywiście, że nie – odparła spokojnie. – A w każdym razie nie bezpośrednio. Ale jeśli chcesz wysłuchać mojej teorii, chętnie ci ją przedstawię.

– Słucham.

– Może to Carrie podłożyła ogień...

– Oczywiście, że ona!

– Chodzi mi o to, że może zmówiła się z właścicielem na temat podpalenia. A on mógł jej nawet za to zapłacić, nie mając pojęcia, jakie są jej prawdziwe zamiary. A to by wymagało planowego działania.

Znów poczułam ucisk w gardle, łzy napłynęły mi do oczu, zamknęłam powieki.

– Jadę do domu – powiedziałam. – Nie mogę tu tak siedzieć i nic nie robić.

– Chyba lepiej by było... – zaczęła protestować.

– Muszę się zastanowić, jakie będą jej następne kroki – powiedziałam, jak gdyby to było możliwe. – Muszę się dowiedzieć, co robi i w jaki sposób. Jest w tym jakiś główny plan, jakaś powtarzalność, coś więcej, niż widzimy. Znalaziono opłuki metalu?

– Niewiele zostało ze zwłok. Znajdował się w centrum pożaru, w miejscu wybuchu ognia. Były tam spore ilości materiału łatwo palnego, ale jeszcze nie wiemy jakiego, tyle tylko, że było dużo styropianu. Żadnych specjalnych środków nie wykryto, przynajmniej na razie.

– Teen, pozwól mi zabrać opiłki znalezione u Shephard do Richmond, żeby je porównać z tymi od Rawley. Twój ludzie mogliby przekazać je Marino.

Spojrzała na mnie smutnymi, zmęczonymi oczami z odrobiną sceptycyzmu.

– Kay, ty musisz poradzić sobie sama ze sobą – powiedziała. – Resztę zostaw nam.

– Ja sobie już z tym radzę. – Wstałam z krzesła i spojrzałam na nią. – Teen, to dla mnie jedyny sposób. Proszę cię.

– Naprawdę nie powinnaś dłużej zajmować się tą sprawą. Lucy też na co najmniej tydzień skieruję do prac administracyjnych.

– Nie możesz mnie odsunąć. Chyba że po moim trupie.

– W twojej sytuacji nie sposób zachować obiektywizmu.

– Ciekawe, jak ty byś postąpiła na moim miejscu. Siedziałabyś w domu i nic nie robiła?

– Nie jestem na twoim miejscu.

– Odpowiedz mi!

– Nikt by mnie nie powstrzymał. Popadłabym w obsesję i zachowywała się dokładnie tak jak ty teraz – powiedziała, także wstając. – Zrobię, co się da, żeby ci pomóc.

– Dziękuję. Dziękuję ci, Teen.

Z rękami w kieszeniach, oparta o bufet przyglądała mi się chwilę.

– Kay, nie wolno ci się o to obwiniać.

– Nie, ja obwiniam Carrie – odpowiedziałam ze łzami, w nagłym przypiływie goryczy. – Tylko ją.

Rozdział osiemnasty

Kilka godzin później Marino odwiózł mnie i Lucy do Richmond. Była to najgorsza podróż samochodowa, jaką pamiętam. Wszyscy troje patrzyliśmy przed siebie i nic nie mówiliśmy. W powietrzu wisiało dręczące przygnębienie. Prawda zdawała się do nas nie docierać, a kiedy już docierała, to ja odbierałam ją jak potężny cios pięścią w piersi. Przed oczami miałam Bentona. Nie wiedziałam, czy to, że ostatniej nocy nie spędziliśmy razem w łóżku, było zrzędzeniem losu, czy też tragedią.

Pod pewnym względem nie byłam pewna, czy potrafiłabym znieść tak świeże wspomnienie jego dotyku, oddechu, uścisku ramion. Wtedy jeszcze bardziej chciałabym mieć go przy sobie i kochać się z nim. Nie wiedziałam, jak sobie poradzę z widokiem jego rzeczy pozostawionych w domu, a zwłaszcza ubrań.

Jego zwłoki miały być przewiezione do Richmond. Żadne z nas nie przejmowało się za bardzo śmiercią, nie rozmawialiśmy o tym, jak ma wyglądać nasza ostatnia posługa ani gdzie chcemy być pochowani. Nie chcieliśmy o tym myśleć i nie myśleliśmy.

Biegnąca w nieskończoność autostrada I-95 zaczęła mi się zamazywać przed oczami. Znow łzy napłynęły mi do oczu, odwróciłam się więc do okna i ukryłam twarz w dłoniach. Lucy siedziała w milczeniu na tylnym fotelu.

– Zamierzam to rzucić – odezwała się w końcu, gdy przejeżdżaliśmy przez Fredericksburg. – To nie dla mnie. Znajdę sobie inną pracę. Może coś z komputerami.

– Nie pieprz – powiedział Marino, spoglądając w lusterko wsteczne. – Tamta zdzira właśnie tego by pragnęła. Żebyś przestała bronić prawa. Żeby cię udupić i pokonać.

– Już jestem udupiona i pokonana.

– Cholerna bzdura – odpowiedział.

– Zabiła go z mojego powodu – ciągnęła z tą samą bezduszną monotonią.

– Zamordowała go, bo tego chciała. A my nie możemy siedzieć i rozpaczać. Nie możemy snuć wyobrażeń i czekać, aż ona znów zaatakuje.

Moja siostrzenica nie dała się jednak pocieszyć. Już dawno temu w jakiś sposób wystawiła nas wszystkich na niebezpieczne działania Carrie.

– Ona chce właśnie, żebyś obwiniła siebie – odezwałam się.

Lucy nie odpowiedziała, a ja odwróciłam się, żeby na nią spojrzeć. Ubrana była w brudny kombinezon i ciężkie buty, miała potargane włosy. Czuć było od niej ogniem, ponieważ się nie wykąpała. Z tego, co wiedziałam, nie jadła też i nie spała. Patrzyła stanowczym, bezbarwnym wzrokiem. Oczy chłodno informowały o podjętej decyzji. Widziałam już taki ich wyraz, gdy wroga i beznadziejna sytuacja budziła w niej ciągoty autodestrukcyjne. Pewna jej część pragnęła umrzeć, a być może już nie żyła.

Dotarliśmy do mego domu o wpół do szóstej, ostro grzały jasne promienie słoneczne, niebo było błękitne i bezchmurne. Zabrałam gazety ze schodów i jeszcze raz skrzywiłam się na widok pierwszej strony z artykułem na temat śmierci Bentona. Chociaż identyfikacja nie została jeszcze potwierdzona, podawano, że zmarł w bardzo podejrzanych okolicznościach, uczestnicząc wraz z FBI w ogólnokrajowej obławie na zbiegłą morderczynię Carrie Grethen. Inspektorzy dochodzeniowi nie

wiedzą, dlaczego Benton przebywał w małym sklepiku spożywczym dotkniętym pożarem ani czy został tam w jakiś sposób zwabiony.

– Co zamierzasz z tym zrobić? – zapytał Marino.

Stał przy otwartym bagażniku, gdzie leżały trzy brązowe papierowe torby zawierające osobiste rzeczy zabrane z hotelowego pokoju Bentona. Nie wiedziałam.

– Może zawieźć je do ciebie do pracy? Albo, jeśli chcesz, ja je przejrzę.

– Nie, nie, po prostu zostaw je tutaj – powiedziałam.

Brązowy papier szeleścił, gdy Marino zabierał torby z bagażnika i stawiał je w holu. Chodził powoli, nieco ociężale, a kiedy skończył, ja stałam jeszcze przy otwartych drzwiach.

– Porozmawiamy później – powiedział. – I nie zostawiaj tych drzwi otwartych. Słyszysz mnie? Alarm niech zostanie włączony i ani ty, ani Lucy nie powinnyście nigdzie wychodzić.

– Możesz się nie martwić.

Lucy wrzuciła bagaż do swego pokoju przy kuchni i przez okno obserwowała odjazd Marina. Stałam za nią i delikatnie położyłam jej dłonie na ramionach.

– Nie rezygnuj z pracy – powiedziałam, przykładając głowę do jej pleców.

Nie odwróciła się, ale wyczułam, że lekko wzruszyła ramionami.

– To nasza sprawa – powiedziałam po cichu. – Już tylko my zostałyśmy.

– Ty i ja. Benton na pewno chciałby, żebyśmy działały razem. On nie zalecałby poddawania się. A co ja wtedy miałabym zrobić? Jeśli poddasz siebie, poddasz także mnie.

Zaczęła szlochać.

– Potrzebuję cię – mówiłam już z wielkim trudem. – Bardziej niż kiedykolwiek.

Odwróciła się do mnie i objęła mnie w taki sposób, jak obejmuje się przestraszone dziecko pragnące kogoś, kto by się o nie troszczył. Jej łzy kapały mi na kark. Stałyśmy tak przez jakiś czas na środku pokoju zastawionego jeszcze sprzętem komputerowym i podręcznikami szkolnymi, ze ścianami obwieszonymi plakatami jej idoli.

– Ciociu Kay, to moja wina. Ja go zabiłam! – mówiła zapłakana.

– Nie – powiedziałam, ściskając ją z całej siły. Mnie także do oczu napłynęły łzy.

– Czy ty mi kiedykolwiek wybaczysz? Ja ci go zabrałam.

– Lucy, to nie tak. Tu nie ma żadnej twojej winy.

– Nie mogę żyć z taką świadomością.

– Oczywiście, że możesz, i na pewno dasz sobie radę. Będziemy musiały sobie nawzajem pomagać, żeby jakoś przez to przejść.

– Ja też go kochałam. Tak wiele dla mnie zrobił. Pomagał mi, gdy zaczynałam w Biurze. Dał mi szansę. Zawsze mnie wspierał.

– Wszystko będzie dobrze – powiedziałam.

Odeszła ode mnie i usiadła na skraju łóżka.

Wytarła zapłakaną twarz w brudną niebieską koszulę. Oparła łokcie na kolanach, zwiesiła głowę i obserwowała własne łzy kapiące jak deszcz na drewnianą podłogę.

– Ciociu, posłuchaj, co mówię – powiedziała niskim, stanowczym głosem. – Ja wcale nie jestem taka pewna, że wszystko się ułoży. Każdy ma swoje granice wytrzymałości. Dla każdego istnieje pewien kres. – Słyszałam lekkie drżenie jej oddechu. – Za który przejść już nie można. Żałuję, że to nie mnie zabiła. Może wyświadczyłaby mi tym przysługę.

Obserwowałam, jak Lucy nabiera przekonania, że chce umrzeć.

– Jeżeli odejdę, ciociu Kay, powinnaś to zrozumieć i nie obwiniać siebie o nic – mówiła, wycierając twarz w rękaw.

Podeszłam do niej i chwyciłam ją za podbródek. Była rozpalona, brudna, nieprzyjemnie pachniało jej z ust, całe jej ciało wydawało przykrą woń.

– Posłuchaj mnie – powiedziałam ostrym tonem, którego w przeszłości się bała. – Natychmiast wybij sobie takie cholerne myśli z głowy. Ciesz się, że żyjesz, i zapomnij o popełnianiu samobójstwa, jeśli to miałaś na myśli, a czuję, że właśnie tak było. Wiesz, co to znaczy samobójstwo? To wyraz gniewu, to cios dla wszystkich przyjaciół. Zrobiłabyś coś takiego Bentonowi? Zrobiłabyś coś takiego Marinowi? Zrobiłabyś to mnie?

Trzymałam jej twarz w dłoniach tak długo, aż na mnie spojrzała.

– Chcesz pozwolić, żeby taki śmieć jak Carrie zrobił ci coś takiego? – zapytałam. – Gdzie twoja zawziętość, którą tak lubiłam?

– Nie wiem – szepnęła z westchnieniem.

– Owszem, wiesz. Lucy, nie ośmielisz się zrujnować mego życia. Wycierpiałam już dostatecznie dużo. Nie waż się doprowadzić do tego, żeby moje życie zamieniło się w niemilknące echo wciąż powtarzających się strzałów. Nie sądzę, żebyś była zwykłym tchórzem.

– Nie jestem.

Spojrzała mi w oczy.

– Jutro się odegramy – powiedziałam.

Skinęła głową i z trudem przełknęła ślinę.

– Idź się wykąp.

Poczekalam na odgłos wody w jej łazience, a potem przeszłam do kuchni. Powinnyśmy coś zjeść, chociaż żadna z nas nie miała na to ochoty. Wyjęłam z lodówki pierś kurczaka i ugotowałam ją ze wszystkimi warzywami, jakie tylko udało mi się znaleźć. Dosypałam trochę rozmarynu, dodałam liść laurowy oraz sherry, ale nic ostrzejszego, nawet pieprzu, ponieważ obydwie powinnyśmy się trochę uspokoić. Podczas posiłku dwa razy dzwonił Marino, aby się upewnić, że nic nam nie jest.

– Możesz wpaść – powiedziałam. – Ugotowałam zupę, chociaż jak dla ciebie może być trochę za cienka.

– Nie, dziękuję – odparł, chociaż czułam, że mówi to nieszczerze.

– U nas jest mnóstwo miejsca, jak chcesz, możesz zostać na noc. Powinnam ci to już wcześniej zaproponować.

– Nie, mam do zrobienia parę rzeczy.

– Jutro rano jadę prosto do pracy – powiedziałam.

– Nie rozumiem, jak tak możesz – rzekł to takim tonem, jakby troska o pracę nie była akurat tą rzeczą, która powinna zaprzątać mi teraz głowę.

– Mam pewien plan i choćby się waliło i paliło, zamierzam go zrealizować.

– Nienawidzę, jak zaczynasz coś kombinować.

Odłożyłam słuchawkę i zebrałam z kuchennego stołu puste talerze po zupie. Im więcej myślałam na temat tego, co zamierzałam zrobić, tym bardziej się do tego zapalałam.

– Trudno byłoby ci zdobyć helikopter? – zapytałam siostrzenicy.

– Co? – Spojrzała na mnie ze zdumieniem.

– Dobrze słyszałaś.

– A jakie miałabym podać uzasadnienie? Śmigłowiec to nie taksówka.

– Zadzwoń do Teen, powiedz jej, że zamierzam zająć się tą sprawą i potrzebuję współpracy z jej strony. Powiedz jej też, że jeśli wszystko pójdzie po mojej myśli, to chciałabym się spotkać z nią i z jej ludźmi w Wilmington w Karolinie Północnej. Ale jeszcze nie wiem dokładnie kiedy. Muszę mieć wolną rękę. Oczekuję zaufania.

Lucy wstała i podeszła do kranu dolać sobie wody do szklanki.

– To wariactwo.

– Możesz zdobyć śmigłowiec czy nie?

– Jak dostanę pozwolenie, to oczywiście, że mogę. Służby graniczne mają maszynę, z której często korzystamy. Mogłabym też dostać z Waszyngtonu.

– Dobrze. Zdobądź go najszybciej, jak się da. Rano pojedę do laboratorium potwierdzić to, co już właściwie wiem. A potem się udamy do Nowego Jorku.

– Po co?

Podchodziła do moich słów sceptycznie, ale z zainteresowaniem.

– Wylądujemy w Kirby, bo chcę wyjaśnić do końca parę rzeczy – odpowiedziałam.

Po raz kolejny Marino zadzwonił o dziesiątej i jeszcze raz zapewniłam go, że obie czujemy się najlepiej, jak to możliwe, i że jesteśmy w domu bezpieczne, mamy alarm przeciwwłamaniowy, włączone światła i przygotowane pistolety. Mówił trochę niewyraźnie, więc domyśliłam się, że znów pije, zwłaszcza że słyszałam głośno nastawiony telewizor.

– Chciałabym, żebyśmy spotkali się u mnie w laboratorium o ósmej – powiedziałam.

– Wiem, wiem.

– Marino, to ważne.

– Nie musisz mi mówić, doktorku.

– Prześpij się trochę.

– Ma się rozumieć.

Ja jednak nie mogłam zasnąć. Siedziałam przy biurku w swoim gabinecie i przeglądałam akta podejrzanych pożarów z ESA. Jeszcze raz dokładnie przestudiowałam informacje na temat śmierci w Venice Beach, potem te dotyczące pożaru w Baltimore, szukając jakichś szczegółów – oprócz miejsca rozpoczęcia pożaru i braku wyraźnych dowodów podpalenia – które byłyby wspólne dla tych spraw i ofiar. Najpierw

zadzwoiłam do Departamentu Policji w Baltimore i znalazłam kogoś w oddziale dochodzeniowym, z kim można było rozsądnie porozmawiać.

– Pracował nad tym Johny Montgomery – powiedział detektyw. Słyszałam, że pali papierosa.

– A pan wie coś na ten temat? – zapytałam.

– Najlepiej byłoby porozmawiać z nim. Będzie pewnie chciał jakoś potwierdzić, że jest pani tym, za kogo się podaje.

– Może jutro rano zadzwonić do mnie do urzędu. – Podałam mu numer.

– Ale będę tylko do ósmej. A może e-mail? Czy śledczy Montgomery ma jakiś adres, żeby mu wysłać wiadomość?

– Tak, mogę pani podać.

Słyszałam, jak otwiera szufladę, po czym podał mi potrzebne dane.

– Zdaje się, że już kiedyś o pani słyszałem – powiedział w zamyśleniu detektyw. – Jeśli jest pani tym lekarzem sądowym, o którym myślę. Kojarzę taką przystojną damę, bo widziałem panią w telewizji. Hm, mieszkała pani może kiedyś w Baltimore?

– Chodziłam w pańskim ślicznym mieście do szkoły medycznej.

– No to musi być pani zdolna.

– Austin Hart, ten chłopak, który zginął w pożarze, też studiował w Johns Hopkins.

– Był homoseksualistą. Osobiście uważam, że to zbrodnia popełniona z nienawiści.

– Potrzebna mi jest jego fotografia, a także wszystko, co macie, na temat jego życia, zainteresowań, zwyczajów. – Staralam się wykorzystać chwilowy przyływ ufności policjanta.

– A tak – zaciągnął się dymem. – Taki śliczny chłopaczek. Słyszałem, że pracował jako prezenter mody, żeby opłacić studia medyczne. Zdaje się, że reklamował męską bieliznę Calvina Kleina czy coś w tym rodzaju. Załatwił

go pewnie jakiś zazdrosny kochanek. Powinna pani przyjechać teraz do Baltimore i pójść na Camden Yards. Słyszała pani o tym nowym stadionie?

– Oczywiście – odpowiedziałam, trawiąc w podekscytowaniu zdobyte wiadomości.

– Mogę pani załatwić bilety.

– O, bardzo miło z pana strony. Skontaktuję się jeszcze ze śledczym Montgomerym i bardzo panu dziękuję za pomoc.

Rozłączyłam się, zanim zdążył mnie zaprosić na mecz swej ulubionej drużyny bejsbolowej, po czym natychmiast wysłałam do Montgomery'ego e-maila, podając w zarysie swoje potrzeby, chociaż wydawało mi się, że mam już wszystko, czego chciałam się dowiedzieć. Potem zadzwoniłam do Departamentu Policji w Los Angeles, który zajmował się sprawą pożaru w Venice Beach, i dopisało mi szczęście. Śmiercią Marlene Faber zajmował się śledczy pełniący nocny dyżur. Właśnie pojawił się na posterunku. Nazywał się Stuckey i nie potrzebował specjalnej weryfikacji tego, czy jestem tym, za kogo się podaję.

– Wolałbym, żeby ktoś inny zajmował się tą sprawą – powiedział prosto z mostu. – Minęło sześć miesięcy i nie ma żadnego postępu. Nie znaleźliśmy najmniejszego szczegółu, który okazałby się coś wart.

– A co pan może powiedzieć o samej Marlene Faber? – zapytałam.

– Grywała od czasu do czasu w „General Hospital” i „Northern Exposure”. Pewnie pani oglądała.

– Raczej rzadko oglądam telewizję. A i wtedy raczej PBS.

– Gdzie jeszcze? Gdzie jeszcze? O tak, w „Elle”. Niewielkie rólki, ale kto wie, może mogłaby zająć wysoko. Była najpiękniejszą dziewczyną, jaką kiedykolwiek widziałem. Chodziła z pewnym producentem filmowym, ale ustaliliśmy ponad wszelką wątpliwość, że nie miało to nic wspólnego z tym wydarzeniem. Tamtego faceta interesowała w życiu tylko koka i

przelatywał wszystkie aktorki, dla których miał rolę. Jak dostałem jej sprawę, przejrzałem wiele kaset z jej występami. I powiem pani, że była niezła.

– Czy na miejscu zdarzenia znaleziono coś niezwykłego?

– W tej sprawie wszystko było niezwykłe. Nie wiadomo, w jaki sposób pożar mógł powstać w łazience na pierwszym piętrze, nawet ATF tego nie ustaliła. Tam nie było niczego do spalenia z wyjątkiem ręczników i papieru toaletowego. Nie znaleziono śladów włamania, nie zadziałał alarm przeciwwłamaniowy.

– Panie Stuckey, a czy jej zwłok nie znaleziono czasem w wannie?

– Tak, to kolejna niejasność. Chyba że popełniła samobójstwo. Wielu ludzi podcina sobie w wannie żyły.

– A może był jakiś ślad, o którym warto wspomnieć?

– Proszę pani, ona cała się spaliła. Wyglądała jak z krematorium. Został tylko kawałek tułowia, który posłużył do identyfikacji przez prześwietlenie. Ale oprócz tego zostało tylko kilka zębów, kostek i włosów.

– A czy nie była może modelką? – zapytałam.

– Tak, występowała w reklamach telewizyjnych i gazetowych. Całkiem nieźle jej się powodziło. Jeździła czarnym viperem i mieszkała w świetnym domu nad samym oceanem.

– Może mógłby mi pan przesłać e–mailem jej zdjęcia i wyniki badań?

– Proszę podać adres. Zobaczę, co się da zrobić.

– Tylko, panie Stuckey, potrzebuję ich bardzo pilnie.



Po odłożeniu słuchawki miałam w głowie mętlik. Każda z ofiar była piękna i związana jakoś z fotografią lub telewizją. Takiego wspólnego elementu nie można było ignorować. Wydawało mi się, że Marlene Faber,

Austin Hart, Claire Rawley i Kellie Shephard zostali wybrani z jakiegoś ważnego dla zabójcy powodu. Wszystko sprowadzało się do poznania go. Na przykład seryjny morderca Bundy zabijał kobiety z długimi prostymi włosami, takimi samymi, jakie miała dziewczyna, która go porzuciła. Nie pasowała mi jednak do tego Carrie Grethen. Po pierwsze, gdy popełniono pierwsze trzy morderstwa, ona siedziała w Kirby, a po drugie, ona nie kierowałyby się takimi motywami.

Czułam się zdezorientowana. Zdrzemnąłam się trochę w fotelu i obudziłam się o szóstej rano. Bolała mnie szyja od niewygodnej pozycji, miałam sztywne plecy. Wstałam powoli i przeciągnęłam się. Wiedziałam, co mam robić, ale nie byłam pewna, czy podołam. Już sama myśl o tym napawała mnie przerażeniem i przyprawiała o mocniejsze bicie serca. Pulsowanie krwi przypominało walenie pięścią w drzwi. Spojrzałam na brązowe torby z rzeczami Bentona leżące przed biblioteczką z prawniczymi periodykami. Były zapieczętowane i podpisane. Podniosłam je i poszłam do pokoju Bentona.

Chociaż przeważnie spaliśmy razem w moim łóżku, drugie skrzydło domu należało do niego. Tutaj pracował, tutaj gromadził codzienne drobiazgi, ponieważ im starsi się stawaliśmy, tym bardziej wierzyliśmy, że własne miejsce jest naszym najwierniejszym przyjacielem. Ponieważ każde z nas miało swój azyl, nasze kłótnie przebiegały łagodniej, a dzięki temu, że nie widzieliśmy się w dzień, z większym napięciem czekaliśmy nocy. Drzwi do jego pokoju były otwarte na oścież, tak jak je zostawił. Światło wyłączone, zasunięte zasłony. Gdy stanęłam przed progiem, w środku zrobiło się jeszcze ciemniej. Na chwilę znieruchomiałam. Żeby włączyć górne światło, musiałam zebrać całą odwagę, na jaką mnie było w życiu stać.

Łóżko z grubą, błękitną narzutą było starannie zaścielone, ponieważ Benton zawsze był dokładny, choćby nie wiadomo jak mu się spieszyło. Nigdy nie czekał, aż zmienię mu pościel i zaniosę do pralni, co wynikało z jego silnego poczucia niezależności i niechęci do zdawania się z czymś na kogoś innego, nawet na mnie. Musiał zawsze wszystko robić sam. Pod tym względem byliśmy do siebie bardzo podobni i za cud uważałam to, że udaje nam się prowadzić wspólne życie. Zabrałam z półki jego szczotkę do włosów, bo mogła się przydać do porównań DNA, jeśli nie będzie innej drogi przeprowadzenia przekonującej identyfikacji. Podeszłam do nocnego stolika, żeby przejrzeć zebrane tam książki i teczki z aktami.

Czytał „Zimną górę” i mniej więcej w połowie książki miał wsuniętą zakładkę z kawałka koperty. Był tam też oczywiście maszynopis najnowszego wydania podręcznika klasyfikacji przestępstw, który redagował, a liczba poprawek naniesionych piórem niemal powaliła mnie na ziemię. Podniosłam maszynopis i przeglądając jego ledwie czytelne dopiski, poczułam napływające do oczu łzy. Postawiłam torby na łóżku i zajęłam się ich rozpakowywaniem.

Policja pośpiesznie przeszukała jego szufladę i szafę w hotelu, a wszystkie rzeczy w torbach były niechlujnie pozwijane i zmięte. Wyciągałam po kolei białe bawełniane koszule, szerokie krawaty i dwie pary przytrzymywaczy do skarpet. Miał ze sobą dwa lekkie garnitury, które były teraz tak pogniecione, że wyglądały jak z pomiętego papieru. Oprócz tego były jeszcze sportowe buty, strój do biegania, skarpety i spodenki. Ręka zadrżała mi jednak dopiero przy przyborniku do golenia.

Z powodu niedokręconej zakrętki z buteleczki wyciekło sporo wody kolońskiej Givenchy III. Znajomy, ostry, męski zapach wywołał we mnie wzruszenie. Poczułam dotyk jego gładko ogolonych policzków. Nagle ujrzałam go za biurkiem w jego dawnym biurze w Akademii FBI.

Pamiętam jego robiącą wrażenie twarz, elegancki strój i ten zapach; już wtedy się w nim zakochałam, chociaż jeszcze tego nie wiedziałam. Starannie złożyłam w stosik ubrania i zajęłam się rozpakowywaniem drugiej torby. Wyjęłam na łóżko czarną, skórzaną aktówkę i odpięłam zamki.

W środku wyraźnie brakowało colta mustanga 380, pistoletu, który Benton umieszczał czasem nad kostką. Zwróciłam uwagę na to, że w noc swej śmierci wziął dodatkową broń. W kaburze na boku nosił pistolet kalibru dziewięć milimetrów, a colta zabierał jako zabezpieczenie, gdy sytuacja mogła stać się groźna. Takie spostrzeżenie pozwalało wyciągnąć wniosek, że po opuszczeniu miejsca pożaru w Lehigh Benton udał się gdzieś z misją. Podejrzewałam, że poszedł się z kimś spotkać, tylko nie rozumiałam, dlaczego nikomu o tym nie powiedział. A szczerze wątpiałam, że przyczyną mogłaby być lekkomyślność.

Podniosłam oprawiony w brązową skórę kalendarzyk i przekartkowałam go w nadziei na znalezienie jakiejś godnej uwagi notatki o spotkaniu. Był fryzjer, dentysta i zbliżające się podróże, ale na stronie z datą jego śmierci nie było zaznaczone nic, z wyjątkiem urodzin jego córki Michelle przypadających w połowie następnego tygodnia. Domyślałam się, że zarówno ona, jak i jej siostry były teraz z Connie, były żoną Bentona. Przeraziła mnie myśl, że wspólnie przeżywamy smutek, choć zupełnie nie wiedziałam, jaki jest ich stosunek do mnie.

Zapisywał uwagi i pytania dotyczące śledztwa w sprawie tego potwora Carrie, która wkrótce miała spowodować jego śmierć. Uparcie nasuwała się ironia tej sytuacji. Wyobrażałam sobie, jak Benton stara się przeniknąć postępowanie Carrie, żeby przewidzieć jej dalsze kroki. Jego nigdy nie rozbawi już myśl, że gdy on koncentrował się na niej, ona prawdopodobnie

też myślała o nim. Zaplanowała sobie Lehigh i nagranie na taśmie, najprawdopodobniej weszła do szpitala jako członek ekipy telewizyjnej.

Zatrzymywałam z zainteresowaniem wzrok na zwrotach typu „związek/obsesja w relacjach sprawca-ofiara”, „połączenie tożsamości/erotomania” i „ofiara postrzegana jako osoba o wyższym statusie”. Po drugiej stronie kartki napisałam: „Jak to się ma do ofiar wybieranych przez Carrie? Kirby. Jaki mogła mieć dostęp do Claire Rawley? Najprawdopodobniej żaden. Nielogiczne. Czyżby istniał inny sprawca? Wspólnik? Gault. Bonnie i Clyde. Jej pierwotne nadrzędne motywacje? Ona może przebywać gdzieś tu w pobliżu. Carrie nie jest sama. W/M 38-45? Biały śmigłowiec?”.

Dreszcze przebiegły mi po całym ciele, gdy zdałam sobie sprawę, o czym myślał stojący w prosektorium Benton, gdy obserwował mnie i Gerde'a przy pracy. Zastanawiał się mianowicie nad czymś, co wkrótce stało się oczywistością. Carrie nie działała sama. Miała jakiegoś wspólnika, i to najprawdopodobniej już wtedy, gdy znajdowała się w odosobnieniu w Kirby. Właściwie byłam pewna, że ów wspólnik pomógł jej w ucieczce. Zastanawiałam się, czy czasem podczas pięcioletniego pobytu w szpitalu nie poznała jakiegoś innego psychopaty, którego wcześniej wypuszczono na wolność. Mogła się z nim kontaktować równie łatwo, jak skontaktowała się ze mną.

Istotny wydawał się również fakt, że aktówkę Bentona znaleziono w pokoju, chociaż widziałam, że miał ją ze sobą w prosektorium. Widocznie wrócił do hotelu zaraz po opuszczeniu miejsca pożaru. Dokąd udał się potem, pozostawało zagadką. Przeczytałam jeszcze kilka notatek na temat morderstwa Kellie Shephard. Benton zwrócił szczególną uwagę na „zbędne podcięcie gardła”, „opętańcze ciosy” i „niezorganizowanie”. Zapisał też

„utrata kontroli”, „niezgodna z planem reakcja ofiary”, „rytualne maltretowania”. „To nie tak miało być. Gniew. Wkrótce znów zabije”.

Z bólem serca zamknęłam aktówkę i zostawiłam ją na łóżku. Wyszłam z pokoju, zgasiłam światło i zamknęłam drzwi. Wiedziałam, że następnym razem wejść tutaj, żeby opróżnić szafy i szuflady Bentona i pogodzić się jakoś z życiem bez niego. Po cichu zajrzałam do Lucy – spała z pistoletem na nocnym stoliku. Beztrąsko wyszłam do holu, wyłączyłam alarm, ale tylko na krótką chwilę potrzebną na zabranie z werandy gazet. Wróciłam do kuchni zrobić sobie kawę. Około wpół do ósmej byłam już gotowa do wyjścia do pracy, a Lucy nawet się nie obudziła. Jeszcze raz cichutko weszłam do jej pokoju. Słońce z trudem przebijało się przez żaluzje i łagodnie rozjaśniało jej twarz.

– Lucy? – Delikatnie dotknęłam jej ramienia. Poruszyła się i mruknęła. – Ja już jadę – powiedziałam.

– Ja też powinnam już wstać.

Poprawiła sobie przykrycie.

– Napijesz się ze mną kawy?

– Jasne.

Postawiła nogi na podłodze.

– Powinnaś coś zjeść.

Miała na sobie spodenki treningowe i podkoszulek. Poszła za mną cichutko jak kot.

– Może zrobić ci płatki? – zapytałam, stawiając przed nią kubek na kawę.

Nie odpowiedziała nic, tylko obserwowała, jak otwieram puszkę z płatkami, które Benton jadał na śniadanie, przeważnie ze świeżymi bananami i jagodami. Ich zapach znów mnie wzruszył, poczułam, że gardło mam zapchane, a żołądek skurczony. Dłuższą chwilę bezradnie stałam w

miejscu, nie mogłam podnieść łyżki, sięgnąć po talerz ani wykonać najmniejszego ruchu.

– Nie, ciociu Kay – powiedziała Lucy, wiedząc dokładnie, co się dzieje.
– Nie jestem głodna.

Gdy odkładałam puszkę, trzęsły mi się ręce.

– Na pewno dalej chcesz tu mieszkać? – zapytała, nalewając sobie kawy.

– Lucy, przecież to jest mój dom.

Otworzyłam lodówkę i wyjęłam kartonik z mlekiem.

– Gdzie jest jego samochód? – zapytała, zabielając kawę.

– Chyba na lotnisku w Hilton Head. Poleciał stamtąd prosto do Nowego Jorku.

– Co masz zamiar z nim zrobić?

– Nie wiem. – Robiłam się coraz bardziej strapiona. – Na razie jego wóz nie należy do spraw najważniejszych. Mam jeszcze jego rzeczy w domu. – Odetchnęłam głęboko. – Nie mogę podejmować wszystkich decyzji naraz.

– Jeszcze dzisiaj powinnaś się wszystkiego pozbyć. – Pochyliła się nad stołem, wzięła kubek z kawą i patrzyła na mnie tym swoim beznamiętnym wzrokiem. – Naprawdę tak myślę – mówiła dalej tonem, który nie zdradzał ani cienia emocji.

– Nie zamierzam niczego wyrzucać, dopóki jego ciało nie zostanie przywiezione do domu.

– Jak chcesz, to ci pomogę.

Napiła się kawy. Trochę mnie denerwowała.

– Lucy, ja to przeprowadzę po swojemu – zaczęłam, czując, że ból promieniuje do każdej komórki mojego ciała. – Po pierwsze, nie zamierzam zatrząskiwać za sobą drzwi i uciekać. Tak postępowałam przez całe swe życie, począwszy od śmierci ojca. Potem odszedł Tony, a później Mark został zamordowany. A ja zostawiałam za sobą każdy związek, jakby to był

stary dom. Odchodziłam tak, jakbym nigdy tam nie mieszkała. I wiesz co? To nie działa.

Patrzyła na swoje bose stopy.

– Rozmawiałaś z Janet? – zapytałam.

– Ona już wie. Jest teraz trochę rozbita, bo nie chciałam się z nią spotkać. Z nikim się nie chcę spotykać.

– Im bardziej uciekasz, tym mocniej stoisz w miejscu – powiedziałam. – Jeżeli już niczego innego nie nauczyłaś się ode mnie, to naucz się chociaż tego. Nie czekaj, aż upłynie ci połowa życia.

– Nauczyłam się od ciebie wielu rzeczy – powiedziała, a przez okno wpadły promienie porannego słońca i rozjaśniły kuchnię. – Więcej, niż ci się wydaje.

Dłużą chwilę patrzyła w puste przejście prowadzące do pokoju.

– Cały czas mam wrażenie, że on zaraz zejdzie na dół.

– Tak, ja także.

– Zadzwoń do Teen. I jak tylko będę coś wiedziała, dam ci znać przez pager.

Na wschodzie coraz mocniej świeciło słońce, jadący do pracy ludzie mrużyli oczy przed jasnym blaskiem dnia, który zapowiadał się pogodnie i słonecznie. Utknęłam w korku na Dziewiątej, tuż za otoczonym żelaznym płotem placem Capitol Square, gdzie stał stary, biały dom z czasów Jeffersona oraz pomniki „Stonewalla” Jacksona i George’a Washingtona. Myślałam o Sparkesie i jego politycznych wpływach. Pamiętam swój strach, gdy zadzwonił do mnie z pretensjami i żądaniem. Teraz było mi go żal.

Żadne z ostatnich wydarzeń nie oczyściło go z podejrzeń z tej prostej przyczyny, że ci z nas, którzy wiedzieli o seryjnych morderstwach, nie podawali tej wiadomości do prasy. Byłam pewna, że nawet sam Sparkes o

tym nie wie. Bardzo chciałam z nim porozmawiać, jakoś go uspokoić, jak gdybym w ten sposób sama mogła zyskać pocieszenie. Wjeżdżając z ulicy Jacksona do zatoczki przed budynkiem prosektorium, czułam na sobie potężny, zimny uścisk stalowych dłoni depresji, a widok karawanu przed wjazdem zdenerwował mnie bardziej niż zwykle.

Starłam się nie wyobrazić sobie zwłok Bentona w takim samym czarnym worku jak ten wkładany do karawanu ani ciemności panujących w chłodni za zatrzaśniętymi, metalowymi drzwiami. Moja szczegółowa wiedza na temat zwłok i ich losów trochę mi przeszkadzała. Śmierć nie była dla mnie abstrakcją, potrafiłam sobie wyobrazić każdą procedurę, której podlegają zwłoki, każdy towarzyszący temu dźwięk i zapach w miejscach, gdzie nie ma miłosnych gestów, tylko kliniczny obiektywizm i konieczność rozwiązania zagadki zabójstwa. Wysiadałam właśnie z samochodu, gdy nadjechał Marino.

– Masz coś przeciwko temu, żebym wprowadził samochód do środka? – zapytał, choć doskonale wiedział, że wewnętrzny parking nie jest przeznaczony dla policji.

Ale on zawsze łamał zasady.

– A wprowadź – powiedziałam. – Jedna z furgonetek chyba wyjechała, przynajmniej tak mi się wydaje. Poza tym nie będziesz tu długo.

– A skąd ty to możesz wiedzieć, do cholery?

Zamknął drzwi samochodu i strząsnął popiół.

Marino znów stał się opryskliwy jak zawsze, co niewiarygodnie dodało mi otuchy.

– Idziesz najpierw do swojego gabinetu? – zapytał, gdy szliśmy po platformie prowadzącej do wnętrza prosektorium.

– Nie, prosto na górę.

– No to ja ci powiem, co wedle wszelkiego prawdopodobieństwa znajduje się na twoim biurku – powiedział. – Mamy już potwierdzenie identyfikacji Claire Rawley. Po włosach ze szczotki.

Nie byłam tym zaskoczona, chociaż to potwierdzenie znów wpędziło mnie w ponury nastrój.

– Dzięki – powiedziałam. – Teraz przynajmniej mamy pewność.

Rozdział dziewiętnasty

Laboratorium badań śladowych znajduje się na trzecim piętrze. Poszłam prosto do mikroskopu elektronowego skaningowego, który badał próbki – na przykład opiłki metalu znalezione przy Shephard – wiązką elektronów. Związki pierwiastków tworzących próbkę emitują elektrony, a ich obrazy widoczne są na ekranie.

Mówiąc w skrócie, mikroskop elektronowy skaningowy rozpoznaje prawie wszystkie ze stu trzech pierwiastków, takich jak węgiel, miedź czy cynk, a dzięki dużej głębi ostrości i wysokiej rozdzielczości oraz ogromnym powiększeniom takie ślady jak osad po wystrzale pistoletowym czy włoski z liści marihuany można obejrzeć w zadziwiających – by nie rzec okrutnych – szczegółach.

Mikroskop Zeissa umieszczono w sali bez okien – za to z mnóstwem beżowych i zielononiebieskich szafek oraz półek – wyposażonej także w zlewy i stół. Ponieważ ten niezwykle kosztowny sprzęt jest bardzo wrażliwy na mechaniczne wibracje, pola magnetyczne oraz zakłócenia elektryczne lub ciepłne, środowisko w sali znajdowało się pod stałą i niezwykle dokładną kontrolą.

Tutejszy system wentylacyjny był niezależny od reszty budynku, sala przypominała szczelnością ciemnię fotograficzną, a zainstalowane tu reflektory nie powodowały elektrycznych zakłóceń i skierowane były ku górze, toteż do przyrządów docierało światło odbite od sufitu. Podłoga i ściany zostały wykonane ze zbrojonego stałą betonu odpornego na poruszających się na zewnątrz ludzi i wstrząsy z pobliskiej drogi szybkiego ruchu. Drobną Mary Chan, znakomita operatorka mikroskopu, rozmawiała

przez telefon. Jej szczupła sylwetka ginęła wśród ogromu aparatury: paneli sterowniczych, zasilaczy, tubusów optycznych, wyrzutni elektronowych, analizatora promieni Roentgena i komory próżniowej podłączonej do cylindra z azotem. Cały osprzęt mikroskopu elektronowego skaningowego przypominał wyposażenie statku kosmicznego. Chan, w stroju laboratoryjnym zapiętym aż po samą szyję, łagodnym gestem dłoni dała do zrozumienia, żebym chwilkę poczekała.

– Jeszcze raz sprawdź jej temperaturę i spróbuj dać jej tapiokę. Jeżeli nie pomoże, zadzwoń do mnie jeszcze raz, dobrze? – mówiła do kogoś. – Muszę kończyć.

– Chodzi o moją córkę – powiedziała na przeproszenie. – Ma rozstrój żołądka, najprawdopodobniej z powodu nadmiaru lodów wczoraj wieczorem. Jak tylko jej nie dopilnuję, najada się w Chunky Monkey.

Uśmiechała się dzielnie, ale było po niej znać zmęczenie. Podejrzywałam, że w nocy prawie wcale nie spała.

– Rany, ja także tam lubię wpadać – rzekł Marino, podając jej torebkę z dowodami.

– To też są opiłki metalu – wyjaśniłam. – Mary, głupio mi tak nalegać, ale to pilna sprawa.

Gdybyś mogła spojrzeć na to od razu.

– To inna sprawa czy ta sama?

– Chodzi o pożar w Lehigh, w Pensylwanii – odparłam.

– Żartujesz? – Spojrzała na mnie ze zdziwieniem i rozcięła skalpelem brązową kopertę. – Boże, biorąc pod uwagę to, co słyszałam w telewizji, tam było strasznie. A potem jeszcze ten facet z FBI. Dziwne to wszystko, oj dziwne. – Mary nie miała pojęcia o moim związku z Bentonem. – Po tych dwóch sprawach i po Warrenton można by sądzić, że na wolność wydostał się jakiś zwariowany piroman.

– Staramy się właśnie to wyjaśnić – powiedziałam.

Chan zdjęła wieczko z małej metalowej, płaskiej puszkii i wyciągnęła pęsetą skrawek białej tkaniny, na której leżały dwie błyszczące łupinki. Przesunęła krzesło na kółkach do stołu za swymi plecami i przyłożyła dwustronną, lepłą czarną taśmę do aluminiowej płytki. Na to nałożyła metalowe opiłki, które zajmowały chyba większą część przygotowanej powierzchni. A miały one może połowę wielkości przeciętnej rzęsy. Mary włączyła mikroskop stereooptyczny, ustawiła próbkę w odpowiednim miejscu i poprawiła oświetlenie. Przed włączeniem mikroskopu elektronowego chciała obejrzeć opiłki w mniejszym powiększeniu.

– Widzę dwie różne powierzchnie – powiedziała, poprawiając ostrość. – Jedna błyszcząca, a druga raczej poszarzała.

– To inaczej niż przy próbce z Warrenton, prawda? – zapytałam. – Tam obydwie powierzchnie były błyszczące.

– Zgadza się. Przypuszczam, że jedna z nich podlegała utlenianiu w atmosferze. Obojętnie z jakiego powodu.

– Mogę? – zapytałam.

Zrobiła mi miejsce i przyłożyłam oczy do wizjera. W czterokrotnym powiększeniu metalowe opiłki wyglądały jak pomięte wstążki aluminiowe. Z ledwością udało mi się zauważyć prążki, które najprawdopodobniej pozostawiło narzędzie użyte do odkrojenia tego metalu. Mary zrobiła kilka zdjęć polaroidem, po czym przesunęła się z krzesłem do konsoli mikroskopu. Przycisnęła guzik, żeby przewietrzyć komorę lub raczej uzyskać w niej próżnię.

– To zajmie kilka minut – powiedziała do nas.

– Możecie tu poczekać albo przyjść za chwilę.

– Ja idę na kawę – powiedział Marino, który nigdy nie należał do zwolenników skomplikowanej technologii i najprawdopodobniej miał

ochotę na papierosa.

Chan zwolniła zawór, żeby napełnić komorę azotem i pozbyć się zanieczyszczeń takich jak na przykład wilgoć. Następnie włączyła przycisk na konsoli i umieściła próbkę na, płycie układu elektronooptycznego.

– Teraz musimy zejść do od dziesięciu do minus sześciu milimetrów słupka rtęci. Właśnie taki poziom próżni jest potrzebny do włączenia wiązki elektronów. Zazwyczaj trwa to dwie, trzy minuty, ale ja lubię zejść trochę niżej, żeby ta próżnia naprawdę była porządna. – Sięgnęła po kawę. – Najnowsze relacje są bardzo niepokojące, dużo w nich insynuacji.

– A czy wiadomości są czymś więcej niż insynuacjami? – zapytałam niechętnie.

– Szkoda słów. Kiedy czytam relację z mojego wystąpienia w sądzie, mam wrażenie, że ktoś wystąpił pod moim nazwiskiem. Najpierw cały czas podejrzewali Sparkesa i szczerze mówiąc, nawet sama pomyślałam, że to on spalił własny dom i tę dziewczynę. Dom dla pieniędzy, a dziewczynę dlatego, że coś wiedziała. A tu nagle pojawiły się te dwa podpalenia w Pensylwanii, dwoje ludzi zabitych i prawdopodobieństwo, że wszystkie trzy sprawy mają ze sobą coś wspólnego. I gdzie tu do tego pasuje Sparkes? – Sięgnęła po kawę. – Przepraszam, nawet nie zapytałam. – Napije się pani kawy?

– Nie, dziękuję.

Obserwowałam zielone światelko na urządzeniu pomiarowym, poziom ciśnienia spadał.

– Poza tym trochę dziwna mi się wydała – mówiła dalej Chan – ta ucieczka psychopatki z domu wariatów w Nowym Jorku. Jak ona się nazywa? Carrie jakoś tam? I facet z FBI prowadzący śledztwo w jej sprawie nagle umiera. No, chyba możemy zacząć.

Włączyła monitor i puściła wiązkę elektronową. Powiększenie ustawione było na pięćsetkrotne, a Chan je zmniejszyła i na ekranie zaczął się pojawiać prążek świadczący o nagrzewaniu monitora. Na początku był pofalowany, a potem zaczął się prostować. Mary wcisnęła kilka innych klawiszy, jeszcze bardziej zmniejszyła powiększenie, tym razem do dwudziestokrotnego, i zaczęłyśmy dostrzegać sygnały dolatujące od naszej próbki.

– Zmienię aperturę plamki, żeby dostarczyć więcej energii. – Poruszyła gałką na konsoli. – Wyglądają na opiłki metalu, prawie jak zmięta wstążka – oznajmiła.

Faktura powierzchni wyraźnie świadczyła o tym, że mamy do czynienia z powiększoną wersją tych samych kształtów, które oglądałyśmy na mikroskopie optycznym. A ponieważ obraz nie był zbyt jasny, świadczyło to o niższej liczbie atomowej pierwiastka. Mary poprawiła prędkość skanowania, rozległ się jakiś dźwięk, obraz stał się bardziej dynamiczny i pojawiły się na nim plamki przypominające śnieżną burzę.

– Tutaj wyraźnie widać różnicę pomiędzy powierzchnią błyszczącą a poszarzałą – powiedziała.

– I myślisz, że to wynik utlenienia? – zapytałam, przysuwając krzesło.

– Cóż, mamy dwie powierzchnie tego samego materiału. Zaryzykowałabym twierdzenie, że jedna z nich została niedawno oczyszczona, a druga nie.

– To brzmi rozsądnie.

Powyginany kawałek metalu wyglądał jak wiszący w powietrzu odłamek pocisku.

– W zeszłym roku mieliśmy taki przypadek – mówiła Chan, zatrzymując klatkę, żeby zrobić z niej dla mnie zdjęcie – że facet został uderzony rurką z zakładu mechanicznego. Tkanka na jego głowie zawierała metal z tokarki.

Przeniósł się bezpośrednio na ranę. No dobrze, zmieńmy obraz i zobaczymy, co nam powiedzą promienie Roentgena.

Monitor zrobił się szary, potem pojawił się cyfrowy licznik odliczający sekundy. Mary wcisnęła kilka guzików na konsoli sterującej i nagle na ekranie pojawiło się pomarańczowe spektrum na jaskrawoniebieskim tle. Poruszyła kursorem i rozwinęła coś, co przypominało psychodeliczny stalagmit.

– Zobaczymy, czy są jakieś inne metale. – Wykonała jeszcze jedną poprawkę. – Nie ma – powiedziała. – Widać wyraźnie. Zdaje się, że mamy znów tego samego podejrzanego. Wczytamy magnez i zobaczymy, czy się pokryją.

Przyłożyła spektrum magnezu do tego z naszej próbki i rzeczywiście były takie same. Wczytała na ekran układ okresowy pierwiastków, w którym magnez świecił na czerwono. Potwierdziłyśmy pierwiastek i chociaż spodziewałam się takiego wyniku, byłam nieco zdumiona.

– Masz może jakiś pomysł na to, w jaki sposób czysty magnez mógł się znaleźć w ranie? – zapytałam Chan akurat wtedy, gdy wszedł Marino.

– Hm, opowiadałam ci o rurce – odpowiedziała.

– Jakiej znowu rurce? – zapytał Marino.

– Jedyne, co mi się nasuwa na myśl, to jakiś warsztat ślusarski – mówiła Chan. – Ale magnez chyba rzadko poddaje się jakiejś obróbce. To znaczy, nie wiem, do czego można by go używać.

– Dziękuję ci, Mary. Musimy jeszcze załatwić pewną rzecz, ale chciałabym, żebyś znalazła dla mnie te opiłki z Warrenton, powinnam je zanieść do laboratorium pocisków.

Spojrzała na zegarek, gdy zadzwonił telefon. Wyobrażałam sobie, że czeka ją mnóstwo pracy.

– Dobrze – powiedziała posłusznie.

Laboratorium broni palnej i laboratorium śladów po narzędziach znajdują się na tym samym piętrze i właściwie zajmują się tym samym, ponieważ ślady zostawione przez kule są w gruncie rzeczy śladami po narzędziach. W porównaniu ze starym budynkiem nowa siedziba była wielka jak stadion, co w smutny sposób świadczyło o pogorszeniu się stanu naszego społeczeństwa.

Pistolety w uczniowskich szafkach wcale nie należą do rzadkości, dzieci zabierają je do autobusu, pokazują sobie w toaletach i zdarza się niejednokrotnie, że stosujący okrutną przemoc sprawcy mają po jedenaście, dwanaście lat. Pistolety najczęściej służą również do zabicia męża lub żony albo sąsiada, którego pies bez przerwy ujada. A jeszcze bardziej przerażający są maniacy i szaleńcy strzelający na oślep w publicznych miejscach, co wyjaśnia powody zainstalowania w moim gabinecie i na korytarzu kuloodpornych szyb.

W miejscu pracy Richa Sinclaira leżał dywan, paliły się jasne światła, a okna wychodziły na gmach stadionu, który zawsze przypominał mi odrywający się od ziemi metalowy grzyb. Rich za pomocą siłomierza badał siłę potrzebną do pociągnięcia za spust pistoletu Taurus, a gdy Marino i ja weszliśmy do sali, rozległo się akurat uderzenie kurka. Nie byłam w nastroju do pogawędek, ale starałam się nie być wobec Richa opryskliwa, gdy mówiłam mu, czego od niego potrzebuję.

– To są kawałki metalu z Warrenton – powiedziałam, otwierając płaską puszkę. – A te znaleziono w ciele ofiary w Lehigh. – Otworzyłam drugą puszkę. – Obydwa mają żłobienia wyraźnie widoczne pod mikroskopem elektronowym – wyjaśniłam.

Chodziło o sprawdzenie, czy owe wyżłobienia pasują do badanego już kiedyś narzędzia wytwarzającego w jakiś sposób opiłki magnezu. Skrawki metalu były bardzo maleńkie i delikatne, Sinclair podnosił je za pomocą

wąskiej plastikowej łopatki. Nie była to czynność łatwa, ponieważ opiłki spadały mu i odskakiwały, gdy bawełniana tkanina sprężynowała. W końcu ułożył opiłki z Warrenton na jednym czarnym kartoniku, a z Lehigh na drugim. Tak przygotowane próbki wsunął pod mikroskop porównawczy.

– No tak – odezwał się po jakimś czasie. – Da się z tym coś zdziałać. – Poruszył opiłkami za pomocą łopatki, spłaszczył je i wzmocnił powiększenie do czterdziestokrotnego. – Mogły powstać pod wpływem działania jakiegoś ostrza – mówił. – Bruzdy powstały zapewne podczas zeskrobywania, a te fragmenty były zawadzającymi wypukłościami, które trzeba było usunąć, żeby uzyskać gładką powierzchnię. Proszę, tutaj to wygląda chyba jeszcze lepiej.

Odsunął się na bok, żebyśmy mogli popatrzeć. Marino spojrział pierwszy.

– Jak ślady nart na śniegu – skomentował. – A to od ostrza, tak? Lub czegoś podobnego?

– Tak, nierówności albo ślady pozostałe po czymś, co ścinało metal. Widzi pan te postrzępienia na brzegach wgłębień?

Marino nie widział.

– Proszę, ty zobacz. – Sinclair zrobił mi miejsce.

To, co zobaczyłam pod mikroskopem, doskonale nadawało się do sądu. Wyżłobienia na skrawkach z Warrenton idealnie pokrywały się z tymi z Lehigh. Na pewno w obydwu przypadkach powstały pod wpływem tego samego narzędzia ocieranego o magnez. Pytanie brzmiało: co to za narzędzie, ponieważ skrawki były bardzo małe, więc ostrze musiało być bardzo ostre. Sinclair zrobił dla mnie kilka zdjęć polaroidem i wsunął je do koperty.

– I co teraz? – zapytał Marino, gdy szliśmy przez laboratorium pełne zapracowanych ludzi w pokrzwawionych strojach i maskach. Kilka osób przy stole w kształcie litery U oglądało śrubokręt Phillipsa i maczetę.

– Teraz idę po zakupy – powiedziałam.

Mówiąc to, nie zwolniłam nawet na chwilę, bo czułam się coraz bardziej podekscytowana i wiedziałam, że jestem coraz bliżej zrozumienia, co Carrie i jej wspólnik – czy jeszcze ktoś inny – robili.

– Jak to po zakupy?

Zza ściany słyhać było stłumione odgłosy testów na strzelnicy.

– Może sprawdzisz, co u Lucy – zaproponowałam. – Ja później do was dołączę.

– Nienawidzę tego twojego cholernego „później” – powiedział Marino, gdy otworzyły się drzwi do windy. – Bo to zawsze oznacza, że pakujesz się tam, gdzie nie trzeba. Zwłaszcza teraz nie powinnaś sama chodzić po mieście. Przecież nie mamy pojęcia, gdzie jest Carrie.

– Zgadza się, nie mamy pojęcia – powiedziałam. – Ale mam nadzieję, że to się zmieni.

Zjechaliśmy na pierwsze piętro, poszliśmy na parking. Otworzyłam drzwi do samochodu. Marino wyglądał na sfrustrowanego i bałam się, że za chwilę może wpaść w furję.

– Może powiesz mi w końcu, do diabła, dokąd się wybierasz? – zapytał podniesionym głosem.

– Do sklepu sportowego – odparłam, włączając silnik. – Do największego, jaki znajdę.

Okazało się, że na południe od James jest sklep sportowy Jumbo Sports, a wiedziałam o nim tylko dlatego, że znajdował się całkiem niedaleko od domu Marina, bo rękawicami bejsbolowymi, latającymi krążkami, hantlami i kijami do golfa interesowałam się raczej rzadko.

Wjechałam w aleję Powhite, po minięciu dwóch bramek pobierających opłaty znalazłam się na autostradzie Midlothian i ruszyłam ku południowej części miasta. Sklep sportowy był duży, zbudowany z czerwonej cegły, a na

zewnątrznych ścianach znajdowały się malunki przedstawiające sportowców. Nie spodziewałam się, że o tej porze dnia na parkingu może panować taki tłok, doszłam do wniosku, że wielu ludzi uważa pójście podczas lunchu do takiego sklepu za postępek w dobrym tonie.

Nie miałam pojęcia, gdzie czego szukać, a kilka minut zajęło mi samo czytanie tabliczek opisujących ciągnące się całymi kilometrami rzędy półek i stojaków. Były do sprzedania rękawice bokserskie, rozmaite nieznanne mi urządzenia do torturowania ciała. Niekończące się wieszaki z kolorowymi strojami do uprawiania każdego sportu skłoniły mnie do zastanowienia, gdzie się podziała ta cywilizowana biel, którą na siebie wkładam, gdy zdarza mi się upragniona okazja do zagrania w tenisa. Domyśliłam się, że noże znajdę w dziale sprzętu kempingowego i myśliwskiego, czyli na samym końcu sklepu. Były tam łuki, strzały, tarcze, namioty, kanoe, naczynia biwakowe i siatki kamuflujące. Najwyraźniej chwilowo byłam jedyną kobietą, która interesowała się tego typu akcesoriami. Nikt do mnie nie podchodził, więc początkowo cierpliwie spacerowałam między gablotami z nożami.

Jakiś opalony na brązowo mężczyzna szukał pistoletu straszaka dla swego syna na dziesiąte urodziny, natomiast starszy człowiek w białym garniturze dopytywał się o środek przeciwko moskitom i zestaw potrzebny przy ukąszeniach węży. Kiedy wyczerpały się zasoby mojej cierpliwości, wtrąciłam się.

– Przepraszam bardzo – powiedziałam.

Początkowo sprzedawca w wieku studenckim sprawiał wrażenie, że mnie nie usłyszał.

– Rzecz w tym, proszę pana, że przed użyciem zestawu powinien pan się skontaktować z lekarzem – mówił do starszego mężczyzny w białym stroju.

– Jak, do diabła, mam się skontaktować z lekarzem, gdy jakaś miedzianka ukąsi mnie w środku lasu?

– Chodzi mi o skontaktowanie się z lekarzem przed wyjazdem do lasu. – Już dłużej nie mogłam ścierpieć przysłuchiwania się ich głupawej rozmowie. – Te zestawy są nie tylko bezużyteczne, ale wręcz szkodliwe – powiedziałam. – Opaski uciskowe, nacięcia i wysysanie jadu tylko pogarszają sprawę. Jeżeli zostanie pan ukąszony – zwróciłam się do mężczyzny w bieli – musi pan przede wszystkim unieruchomić tę część ciała, unikać wszelkiej szkodliwej tak zwanej pierwszej pomocy i jak najszybciej dostać się do szpitala.

Obydwaj patrzyli na mnie ze zdziwionymi minami.

– A więc nie ma potrzeby zabierania niczego ze sobą? – zapytał starszy mężczyzna. – Mówi pani, żeby niczego nie kupować?

– Niczego z wyjątkiem pary dobrych butów i laski, którą będzie pan sprawdzał przed sobą drogę – odparłam. – I niech się pan trzyma z daleka od wysokich traw i nie wtyka ręki do nieznanych otworów. Ponieważ w organizmie jad jest transportowany przez układ limfatyczny, przydadzą się szerokie bandaże elastyczne, no i jakieś deseczki do unieruchamiania kończyny.

– Pani jest lekarzem? – zapytał sprzedawca.

– W każdym razie miałam do czynienia z ukąszeniami węży.

Nie dodałam, że we wszystkich tych przypadkach ofiary były martwe.

– Czy macie w sklepie ostrzałki kuchenne albo kempingowe?

– Tak, tam są kempingowe.

Pokazał ścianę, na której na wieszakach wyeksponowane były zarówno kamienne, jak i wszelkie inne ostrzałki. Niektóre były metalowe, inne ceramiczne. Wszystkie opakowania zostały na tyle sprytnie zaprojektowane, że niecała zawartość była widoczna. Przejrzałam kilka z

nich, aż w końcu zatrzymałam wzrok na egzemplarzu w dolnym rzędzie. Pod przezroczystym plastikiem znajdował się prosty, prostokątny kawałek szarosrebrnego metalu. Zwany był „podpałką” i został wykonany z magnezu. Moje podekscytowanie wzrosło, gdy przeczytałam instrukcję. Do rozpalenia ognia wystarczyło zeszkrobać nożem z powierzchni magnezu stosik opiłków o średnicy ćwierćdolarówki. Nawet zapałki nie były potrzebne, ponieważ podpałka miała dołączony własny iskrownik.

W pośpiechu ruszyłam przez sklep z sześcioma „podpałkami” w garści, nerwowo miotając się od jednego działu do drugiego. Minęłam kule do kręgli, buty, rękawice bejsbolowe i trafiłam wreszcie do działu pływackiego, gdzie mój wzrok szybko przyciągnęła wystawa czepków w jarzeniowych kolorach. Jeden z nich był różowy. Natychmiast pomyślałam o resztkach znalezionych we włosach Claire Rawley. Od samego początku wierzyłam, że w chwili morderstwa – a przynajmniej w chwili, gdy dosięgnął jej ogień – miała coś na głowie.

Braliśmy pod uwagę czepek pod prysznic, ale słaby, plastikowy materiał mógłby wytrzymać w gorączy najwyżej pięć sekund. Nigdy nie przyszedł mi do głowy czepek pływacki. Przejrzałam je i szybko się zorientowałam, że są wykonane z lycry, lateksu i silikonu.

Różowy czepek powstał z silikonu, o którym wiedziałam, że lepiej wytrzymuje ekstremalne temperatury niż pozostałe materiały. Kupiłam kilka sztuk. Wróciłam do pracy szczęśliwa, że nie dostałam mandatu, ponieważ wyprzedzałam chyba wszystkich, i to z prawej i z lewej strony. W głowie majaczyły mi rozmaite obrazy – zbyt okrutne, żeby być z nich zadowolona. Wtedy miałam nadzieję, że moja teoria była błędna. Pędziłam do laboratorium, bo chciałam się przekonać, jak wygląda prawda.

– O, Benton – powiedziała po cichu tak, jakby siedział koło mnie. – Błagam cię, żeby to nie było to.

Rozdział dwudziesty

O wpół do drugiej znów zaparkowałam przy prosektorium i wysiadłam z samochodu. Szybko poszłam do windy i wcisnęłam guzik trzeciego piętra. Szukałam Jerri Garmon, która przedtem badała różowe resztki i stwierdziła, że był to silikon.

Minęłam wejście i zastałam ją w pomieszczeniu wypełnionym najnowszymi urządzeniami do analizy substancji organicznych od heroiny po pigmenty do farb. Za pomocą strzykawki wprowadzała próbki do komory chromatografii gazowej i nie zwróciła na mnie uwagi, dopóki się nie odezwałam.

– Jerri – byłam trochę zdyszana – przepraszam, że ci przeszkadzam, ale mam coś i chciałabym, żebyś rzuciła na to okiem. – Pokazałam jej różowy czepek. Zareagowała całkowitą obojętnością. – Silikon – powiedziałam.

W jej oczach pojawił się błysk.

– No, no, no! Czepek pływacki? Interesujące. Kto by pomyślał? Teraz można się wszystkiego spodziewać.

– Możemy go spalić? – zapytałam.

– Trzeba będzie chwilę poczekać, ale powiem, że mnie zaciekałaś.

Przez laboratorium badania śladów przechodziły materiały dowodowe, zanim trafiały pod takie skomplikowane urządzenia, jak mikroskop elektronowy czy spektrometr. Pomieszczenie to było dość obszerne, ale już zaczynało brakować miejsca. Na półkach piętrzyły się hermetycznie zamknięte aluminiowe pojemniki z resztkami pochodzącymi z pożarów i spalonych próbek, duże słoje z niebieskimi granulkami, rynienki, zlewki, pojemniki z węglem drzewnym i zwyczajne szare koperty z wszelkimi

rodzajami dowodów. Test, który ja chciałam przeprowadzić, był łatwy i niezbyt czasochłonny.

W kącie pomieszczenia znajdował się piecyk wyglądający raczej na małe krematorium – wielkości barku, jeśli mam być dokładna – mogący osiągać temperaturę około tysiąca czterystu stopni Celsjusza. Jerri włączyła go i po chwili miernik zaczął pokazywać szybki wzrost temperatury. Jerri położyła czepek w białej, porcelanowej miseczce, takiej, w jakiej jada się owsiankę, z szuflady wyjęła grubą azbestową rękawicę sięgającą aż po łokieć. Stała nieruchomo ze szczypcami, gdy temperatura sięgała sześćdziesięciu stopni. Przy stu dwudziestu sprawdziła nasz czepek. Gorąco w żaden sposób mu nie zaszkodziło.

– Powiem ci, że w tej temperaturze lateks i lycra już by dymiły i ulegały spaleni – powiedziała Jerri. – A to nic, nawet nie zmieniło koloru.

Silikonowy czepek zaczął się tlić dopiero w temperaturze dwustu sześćdziesięciu stopni, przy trzystu siedemdziesięciu zaczął się topić i ciemnieć. Przy niespełna pięciuset pięćdziesięciu zapłonął, a Jerri musiała poszukać grubszej rękawicy.

– Zadziwiające – powiedziała.

– Teraz widać, dlaczego silikonu używa się do instalacji elektrycznych – dodałam z nie mniejszym podziwem.

– Lepiej się cofnij.

– Nie ma obaw.

Odsunęłam się na odległość zapewniającą mi bezpieczeństwo, a Jerri wyciągnęła miseczkę szczypcami i wzięła ją do ręki chronionej rękawicą azbestową. Świeże powietrze roznieciło ogień i gdy Jerri niosła miseczkę do gabloty i włączyła odsysanie powietrza, płomienie zewnętrznej części czepka wymknęły się spod kontroli i trzeba było je zadusić przykrywką.

W końcu Jerri opanowała ogień, zdjęła wieko i wreszcie mogliśmy popatrzeć na to, co zostało. Serce zabiło mi mocniej na widok białego jak papier popiołu, gdzie miejscowo zachował się kolor wyraźnie różowy. Czepek pływacki nie zrobił się ani kleisty, ani płynny. Rozkładał się, a wystarczyło obniżenie temperatury, brak tlenu czy, powiedzmy, pojawienie się wody, żeby proces udaremnić. Końcowy wynik testu całkowicie pokrywał się z tym, co odkryłam w długich, jasnych włosach Claire Rawley.

Obraz jej ciała w wannie, w różowym czepku na głowie, był makabryczny, a oznaczał dla mnie więcej, niż byłam w stanie przyjąć. Kiedy łazienka stanęła w ogniu, zawaliły się drzwi kabiny prysznicowej. Fragmenty szkła i ścianki wanny chroniły ciało przed płomieniami unoszącymi się nad miejscem zaprószenia i sięgającymi sufitu. Temperatura w wannie nie przekroczyła pięciuset czterdziestu stopni, o czym świadczyły maleńkie fragmenty czepka, które przetrwały z tak błahego powodu, jak przestarzałe, zrobione z niehartowanego szkła drzwi do kabiny prysznicowej.

W drodze do domu natrafiłam na korki, które zawsze stawały się tym bardziej uciążliwe, im bardziej się spieszyłam. Kilka razy już prawie złapałam za telefon, żeby zadzwonić do Bentona i opowiedzieć mu o swych odkryciach. Potem zaraz stawał mi przed oczami obraz zgliszcz i kącik w spalonym sklepiku spożywczym w Filadelfii. I resztki po nierdzewnym zegarku, który podarowałam Bentonowi na gwiazdkę. Widziałam, co pozostało po nim samym. Wyobrażałam go sobie ze spętanymi drutem nogami i kajdankami zamkniętymi na nadgarstkach. Teraz wiedziałam już, co i dlaczego się stało. Został zabity tak jak wszyscy pozostali, lecz tym razem istniał powód – zemsta, zaspokojenie diabolicznej żądzы Carrie, uczynienie z Bentona trofeum.

Łzy oślepiły mnie, gdy wjeżdżałam na podjazd swojego domu. Wbiegłam do środka i zatrzasnęłam za sobą drzwi. Z kuchni wyłoniła się Lucy ubrana w spodnie koloru khaki i czarny podkoszulek. Trzymała w dłoni buteleczkę z dressingiem.

– Ciociu Kay! – zawołała, biegnąc do mnie. – Co się stało? Gdzie Marino? Mój Boże, coś mu się stało?

– Nie chodzi o Marina – odpowiedziałam ze ściśniętym gardłem.

Objęła mnie ręką i zaprowadziła na sofę w pokoju.

– Benton – powiedziałam. – Tak samo jak inni. Jak Claire Rawley. Czepek miał jej przytrzymać włosy. Wanna. Jak operacja.

– Co ty mówisz? – zapytała zmieszana Lucy.

– Oni chcieli jej twarzy!

Zerwałam się z sofy.

– Nie rozumiesz tego? – krzyknęłam na nią. – Znaki na kości przy skroni aż do szczęki. Jak skalpowanie, tylko coś gorszego. On nie wzniecał pożaru, żeby zamaskować morderstwo. Palił wszystko, bo nie chciał, żebyśmy się dowiedzieli, co im robił! Kradł ich urodę, wszystko, co w nich najpiękniejsze. Zdejmował im twarze!

Wstrząśnięta Lucy otworzyła usta.

– Carrie? – zapytała zdumiona. – Ona zrobiłaby coś takiego?

– Nie – odparłam. – Niezupełnie.

Chodziłam w tę i z powrotem, kręcąc głową.

– To tak jak było z Gaultem – mówiłam. – Ona lubi patrzeć. Może co nieco pomagała. Może to przez nią spieprzyli sprawę z Kellie, a może po prostu Shephard stawiała opór Carrie, bo była kobietą. Wywiązała się szarpanina, przebijała Kellie nożem, aż jej współlnik interweniował i w końcu poderznął Kellie gardło, dlatego znaleźliśmy opiłki magnezu. Z jego

noża, nie Carrie. I nie zabrał twarzy Kellie, bo była pocięta i zniszczona podczas szarpaniny.

– Chyba nie myślisz, że to samo... – zaczęła Lucy, zaciskając dłonie na kolanach.

– Zrobili z Bentonem? – jeszcze bardziej podniosłam głos. – Czy myślę, że jemu też zdjęli twarz?

Najpierw kopnęłam ścianę, a potem się o nią oparłam. W głębi czułam się zastygła na kamień, miałam duszę pograżoną w mroku i śmierci.

Carrie wiedziała, że Benton potrafi sobie wyobrazić, co mu może zrobić – mówiłam powoli, spokojnym głosem. – Rozkoszowała się każdą chwilą, gdy on siedział tam skrępowany i bezbronny. Czy potraktowała go nożem? Tak, myślę, że z nim zrobili to samo. A właściwie nawet to wiem. – Niemal niemożliwe było przyznanie się do tej ostatniej myśli. – Mam tylko nadzieję, że już nie żył.

– Na pewno już nie żył, ciociu Kay. – Lucy też się rozplakała, podeszła do mnie i objęła mnie za szyję. – Baliby się, że ktoś mógłby usłyszeć jego krzyk.

W ciągu godziny przekazałam swoje najnowsze odkrycie Teen McGovern, a ona zgodziła się ze mną, że teraz najważniejszym zadaniem jest dowiedzieć się, kto jest partnerem Carrie i w jaki sposób go poznała. McGovern kryła złość, gdy mówiłam jej o swoich podejrzeniach i odkryciach. Jediną naszą nadzieją był szpital Kirby, a McGovern doszła do wniosku, że ze względu na zawodową pozycję mnie będzie najłatwiej złożyć tam wizytę. Miałam szansę dowiedzieć się czegoś więcej niż ona. Bo McGovern pracowała w agencji broniącej prawa. A ja byłam lekarzem.

Służby graniczne przysłały śmigłowiec Bell JetRanger na Helo Air, lądowisko mieszczące się nieopodal Międzynarodowego Lotniska Richmond, i Lucy chciała natychmiast lecieć. Kategorycznie się temu

sprzeciwiłam, chociażby dlatego, że nie miałyśmy się gdzie zatrzymać w Nowym Jorku, a już z całą pewnością nie mogłyśmy zanoćować na wyspie Ward. Chciałam rano zaskoczyć Kirby swoim przybyciem. Nie było to konieczne, ale mogło się przydać. Marino uważał, że powinien nam towarzyszyć, ale nie chciałam o tym słyszeć.

– Żadnych gliniarzy – powiedziała mu, gdy wpadł do mnie prawie o dziewiątej wieczorem.

– Po kolei w głowie to ty nie masz – odparł.

– Chyba się nie dziwisz?

Opuszczając głowę, spojrział na swe sportowe buty, które nigdy nie miały szansy pełnić swojej podstawowej funkcji.

– Lucy też pracuje w agencji strzegącej prawa.

– Dla nich jest tylko moim pilotem.

– Ach tak...

– Marino, muszę to zrobić po swojemu.

– Jezu, Kay, sam nie wiem, co mam jeszcze powiedzieć. Nie wiem, jak ty sobie z tym wszystkim poradzisz.

Był zarumieniony, a gdy na mnie spojrział, w jego przekrwionych oczach dostrzegłam ból.

Chcę z wami lecieć, bo chcę dorwać tych skurwysynów – powiedział. – Oni go załatwili. Ty to wiesz, prawda? We wtorek o drugiej trzynastcie FBI dostało telefon od jakiegoś faceta. Mówił, że ma informację na temat sprawy Shephard, ale będzie rozmawiał wyłącznie z Bentonem Wesleyem. A oni załatwili to tak jak zwykle: „Oczywiście, wszyscy tak mówią”. I sprowadzili faceta, którego tamten zażądał. Informator miał naprawdę coś do powiedzenia, bo powiedział, cytuję: „Powiedzcie mu, że chodzi o taką jedną świrniętą, którą widziałem w szpitalu Lehigh. Siedziała jeden stolik od Kellie Shephard”.

– Cholera! – powiedziałam. Z gniewu czułam pulsowanie w skroniach.

– Z tego, co wiemy, Benton zadzwonił pod numer, który zostawił ten łajdak. Okazało się, że był to numer publicznego automatu obok spalonego sklepu – mówił dalej. – Przypuszczam, że gdy Benton spotkał się z tym współnikiem Carrie, nie miał pojęcia, z kim rozmawia, aż tu nagle BUM!

Podskoczyłam.

– Benton miał pistolet, więc może przyłożyli mu nóż do gardła, skuli go kajdankami, a potem jeszcze przekręcili kluczyk. Po co? Bo on pracował w agencji rządowej i wiedział, że przeciętny człowiek nie ma pojęcia o potrzebie zamykania kajdanek kluczem. Wszyscy policjanci przy zatrzymywaniu kogoś przeważnie tylko zatraskują kajdanki. Zatrzymany się wyrywa i kajdanki się zaciskają. A jeśli uda mu się dostać spinkę do włosów albo coś w tym rodzaju, to może podważyć zapadkę. Ale przy zamknięciu dodatkowo na kluczyk taki numer nie przejdzie. Nie da rady oswobodzić się bez kluczyka albo czegoś dokładnie takiego samego jak kluczyk. Benton na pewno zaraz się zorientował i to był dla niego ważny sygnał, że ma do czynienia z kimś, kto zna się na rzeczy.

– Wystarczy już, Marino – powiedziałam. – Jedź już do domu.

Czułam, że zaczyna się migrena. Zawsze z wyprzedzeniem wiedziałam, kiedy to się stanie, bo bolał mnie kark, głowa i zaczynałam odczuwać mdłości. Odprowadziłam Marina do drzwi. Wiedziałam, że czuje się urażony. Bardzo cierpiał, nie mógł lecieć z nami, nie umiał też okazać tego, co czuje. Nie byłam nawet pewna, czy wie, co czuje.

– On by nie poszedł – powiedział, gdy otworzyłam drzwi. – Ja w to nie wierzę. Nie wyobrażam sobie i nie wierzę.

– Niedługo odeślą go do domu – odezwałam się. W tle śpiewały cykady, ćma krążyła wokół lampki na werandzie. – Benton nie żyje – powiedziałam

ze stanowczością, która mnie samą zaskoczyła. – Nie odwracaj się od niego, zaprzeczając tej śmierci.

– Za kilka dni się pokaże – Marino mówił lekko łamiącym się głosem. – Tylko poczekaj. Znam tego skurczybyka. On tak łatwo nie da się wykolegować z tego świata.

Benton jednak dał się łatwo wykolegować z tego świata. Zawsze tak bywa: Versace, który wracał do domu z kawą i gazetami, czy księżna Diana niezapinająca pasa bezpieczeństwa. Zamknęłam drzwi, gdy Marino odjechał. Włączyłam alarm, co było dla mnie odruchem warunkowym, bo podświadomie czułam, że jeśli nie spuszczę rolet i nie włączę alarmu, czekają mnie kłopoty. Lucy leżała na sofie, oglądała w telewizji program o sztuce. Światło było wyłączone. Usiadłam obok niej i położyłam jej dłoń na ramieniu.

My nie rozmawialiśmy tu o gangsterach, którzy w dawnych czasach bawili się w Las Vegas. Poprawiłam jej włosy i poczułam, że ma rozpalone czoło. Zastanawiałam się, co się dzieje w jej w duszy. Bardzo się też o to martwiłam. Lucy myślała w trochę inny sposób. Jej myśli należały wyłącznie do niej i nie był w stanie ich odszyfrować żaden kamień z Rosetty przydatny w psychoterapii czy intuicja. Ja zrozumiałam to już dawno, jeszcze we wczesnych latach jej życia. Bardziej liczyło się to, czego Lucy nie mówi. A ostatnio nie mówiła nic o Janet.

– No, madame pilot, czas do łóżka, żebyśmy rano wstały – powiedziałam.

– Ja chyba tutaj będę dzisiaj spała. Wyciągnęła rękę z pilotem i ściszyła telewizor.

– W ubraniu?

Wzruszyła ramionami.

– Jak dotrzemy do Helo Air około dziewiątej, stamtąd zadzwonię do Kirby.

– A jeśli odpowiedzą, żebyśmy nie przyjeżdżały? – zapytała siostrzenica.

– Powiem, że jestem już w drodze. W Nowym Jorku rządzą teraz republikanie. Jak będzie trzeba, zwrócę się do mego przyjaciela senatora Lorda, a on potraktuje ostro komisarza do spraw zdrowia i burmistrza, a tego szpital Kirby chyba by sobie nie życzył. Lepiej już będzie pozwolić nam na lądowanie, co?

– Nie mają tam pocisków ziemia – powietrze?

– Owszem, mają. Nazywają je pacjentami – powiedziałam i roześmiałyśmy się po raz pierwszy od kilku dni.

Nie potrafię wyjaśnić, jakim cudem udało mi się przespać noc jak zwykle, ale gdy o szóstej zadzwonił budzik, tylko przewróciłam się na drugi bok. Zdałam sobie sprawę, że spałam twardo od północy, a to stanowiło pierwszą oznakę powrotu do normalności, której tak bardzo potrzebowałam. Zastłona depresji robiła się przezroczysta, zaczęłam poprzez nią widzieć co nieco, rodziła się we mnie nadzieja. Robiłam to, czego oczekiwалby po mnie Benton, nie rozpamiętywałam jego zamordowania, bo naprawdę nie życzyłyby sobie tego.

On na pewno by pragnął, żebym zapewniła bezpieczeństwo Pete'owi, Lucy i sobie. Oczekiwалby ode mnie ochrony innych ludzi, których nie znałam, innych niewinnych ludzi, którzy pracują w szpitalu lub są modelkami i w ułamku sekundy zostali skazani na okrutną śmierć przez potwora, który dostrzegł ich swymi złymi, pałającymi zawiścią oczami.

Gdy weszło słońce, Lucy poszła pobiegać i chociaż denerwowałam się trochę, że jest sama, to wiedziałam, że w tylnej kieszeni ma pistolet, bo żadna z nas nie chciała kończyć życia z powodu Carrie. Wydawało się, że

miała przewagę. Gdybyśmy postępowały normalnie, mogłybyśmy umrzeć. A gdybyśmy ze strachu narzucały życiu jakieś ograniczenia, umarłybyśmy także, tylko w o wiele okrutniejszy sposób.

– Mam nadzieję, że na dworze wszystko w porządku? – zapytałam, gdy Lucy wróciła do domu i przyszła do mnie do kuchni.

Postawiłam przed nią na stole kawę. Na twarzy i na rękach była spocona, więc podałam jej ścierkę do naczyń. Zdjęła buty, skarpety i nagle przypomniał mi się Benton siedzący na tym samym miejscu i wykonujący tę samą czynność. Zawsze po bieganiu przychodził do kuchni. Lubił trochę ochłonać, wejść do mnie, a dopiero potem iść pod prysznic i ubrać się w grube ubrania i głębokie myśli.

– Kilku ludzi z psami spaceruje po farmie Windsor – powiedziała. – A w okolicach nikogo ani śladu. Pytałam tego strażnika, czy nie było do ciebie jakichś kolejnych taksówek i dostawczych pizzy. Albo może jakichś dziwnych telefonów lub niezapowiedzianych gości, chcących wejść na teren osiedla. Powiedział, że nie.

– Miło mi to słyszeć.

– Diabła tam. Ja sądzę, że to nie jej sprawka.

– Więc czyja? – zapytałam zaskoczona.

– Nie mówię tego z przyjemnością, ale istnieje jeszcze paru innych ludzi, którzy nie przepadają za tobą.

– Tak, całkiem pokaźny odsetek pensjonariuszy więzień.

– Ale także tych, co są na wolności, przynajmniej jak na razie. Na przykład ci od nauk chrześcijańskich, którym dzieciak umarł. Nie sądzisz, że oni mogliby mieć ochotę cię nękać? Na przykład wysyłając do ciebie taksówki i sprzęt remontowy albo dzwoniąc wcześniej rano do prosektorium i przerażając biednego Chucka? A tylko tego ci trzeba, czyli zalęknionego asystenta bojącego się samotnie przebywać w budynku. Lub co gorsza jego

rezygnacji z pracy. Diabła tam – powtórzyła. – Cholerne, tchórzowskie gówniarstwo jakiegoś postrzelonego durnia.

Nikt pasujący do takiego opisu nie przychodził mi do głowy.

– Czy te głuche telefony jeszcze się powtarzają? – zapytała.

Patrzyła na mnie, popijając kawę. Wznoszące się na błękitnym nieboskłonie mandarynkowe słońce rzucało promienie wpadające przez kuchenne okno na zlew.

– Dowiem się.

Podniosłam słuchawkę i wybrałam numer prosektorium. Natychmiast odebrał Chuck.

– Prosektorium – odezwał się zdenerwowanym głosem.

Nie było jeszcze siódmej i podejrzewałam, że jest sam.

– Mówi doktor Scarpetta.

– O! – powiedział z ulgą. – Dzień dobry.

– Chuck? Co z tymi głuchymi telefonami? Nadał się powtarzają?

– Tak.

– I nikt nic nie mówi? I nie ma nawet dźwięku czyjegoś oddychania?

– Czasami mi się wydaje, że słyszę w tle ruch uliczny, jakby ta osoba dzwoniła z automatu.

– Chyba już się domyślam.

– Tak?

– Następnym razem, powiedz, proszę: „Dzień dobry panie Quinn, dzień dobry pani Quinn”.

– Słucham? – zapytał zaskoczony.

– Tylko tyle. Tylko to powiedz. I coś mi się wydaje, że na tym się skończą te telefony.

Lucy się śmiała, gdy odkładałam słuchawkę.

– Jeden zero – powiedziała.

Rozdział

dwudziesty pierwszy

Po śniadaniu chodziłam od łazienki do gabinetu i z powrotem, zastanawiając się, co mam ze sobą zabrać w podróż. Wzięłam aluminiową skrzyneczkę, ponieważ wtedy z nawyku brałam ją prawie wszędzie. Spakowałam dodatkową parę spodni, koszulę, przybory toaletowe, a do torebki schowałam colta 38. Chociaż przywykłam do noszenia broni, to nigdy wcześniej nawet nie pomyślałam, żeby zabierać ją do Nowego Jorku, gdzie za posiadanie broni bez dalszych pytań ląduje się w więzieniu. Kiedy jechałyśmy już samochodem, powiedziałam o tym Lucy.

– To się nazywa wybór moralny – powiedziała. – Lepiej wylądować w więzieniu niż umrzeć.

– Ja też tak uważam – odparłam ja, niegdyś przestrzegająca prawa obywatelka.

Firma czarterująca śmigłowce i lądowisko Helo Air. znajdowały się na zachodnim skraju lotniska Richmond, gdzie sporą część zajmowały terminale należące do firm z listy najbogatszych Fortune 500 i obsługujące ich kong airy, lear jety i sikorsky. Przeznaczony dla nas śmigłowiec Bell JetRanger znajdował się w hangarze i gdy Lucy się zajęła maszyną, ja znalazłam w gabinecie uprzejmego pilota, który pozwolił mi skorzystać z telefonu. Znalazłam w portfelu kartę telefoniczną AT&T i wybrałam numer działu administracyjnego Więziennego Ośrodka Psychiatrycznego Kirby.

Dyrektorką okazała się doktor psychiatrii Lydia Ensor. Wykazała się w rozmowie niemałą przebiegłością. Gdy zaczęłam szczegółowo jej wyjaśniać, kim jestem, przerwała mi.

– Doskonale wiem, kim pani jest – powiedziała ze środkowowschodnim akcentem. – Świetnie sobie zdaję sprawę z panującą sytuacją i pomogę pani, jak tylko będę mogła. Tylko nie wiem, co panią interesuje, pani doktor Scarpetta. Pani jest głównym lekarzem sądowym w Wirginii, prawda?

– Tak, to prawda. Jestem też konsultantką w sprawach medycyny sądowej w FBI i ATF.

– Oni oczywiście też się ze mną skontaktowali. – Była wyraźnie zakłopotana. – Szuka więc pani informacji, które mogą się przydać do jednej z prowadzonych spraw? Czy ktoś nie żyje?

– Pani Ensor, staram się połączyć ze sobą kilka zabójstw i mam powody do podejrzeń, że Carrie Grethen w sposób bezpośredni lub pośredni brała w nich udział. Mogła być w niezaangażowana nawet podczas pobytu w Kirby.

– To niemożliwe.

– Najwidoczniej nie zna pani tej kobiety – powiedziałam stanowczo. – Natomiast ja połowę życia poświęciłam na rozpracowywanie jej okrutnych zabójstw, począwszy od bibki, jaką sobie urządzili z Temple’em Gaultem w Wirginii, a kończąc na tym, co stało się w Nowym Jorku, gdzie Gault został zabity. A teraz mamy sprawę, z którą łączy się co najmniej pięć morderstw.

– Bardzo dobrze znam dzieje pani Grethen – odpowiedziała Ensor. Nie mówiła wrogim tonem, ale czułam w nim nutki obronne. – Zapewniam panią, że traktowaliśmy ją tak jak wszystkich pacjentów wymagających maksymalnych zabezpieczeń...

– Za to w jej karcie chorobowej nie ma prawie nic pożytecznego – przerwałam jej.

– A skąd pani może mieć dostęp do informacji na temat jej karty chorobowej?

– Bo należę do krajowego oddziału reagowania ATF i prowadzimy śledztwo w sprawie powiązanych z pożarami morderstw – starałam się mówić spokojnie. – Jak już wspomniałam, współpracuję też z FBI. A wszystkie przypadki, o których rozmawiamy, podlegają mojej jurysdykcji, ponieważ jestem konsultantką agencji strzegących prawa, i to na szczeblu ogólnokrajowym. Ale do moich obowiązków nie należy aresztowanie nikogo ani oskarżanie takich instytucji jak pani ośrodek. Moja praca polega na oddawaniu sprawiedliwości zmarłym i zapewnieniu jak największego spokoju wszystkim tym, których po sobie zostawili. Żeby to uczynić, muszę poznać odpowiedzi na pewne pytania. A co najważniejsze, moja działalność ma na celu uchronienie innych osób przed śmiercią. Carrie znów zabije. Może nawet już zabiła.

Przez moment dyrektorka milczała. Wyjrzałam przez okno i zobaczyłam granatowy helikopter na platformie ciągniętej na płycie.

– Czego pani od nas oczekuje, pani doktor Scarpetta? – zapytała w końcu spiętym i zdenerwowanym głosem Ensor.

– Czy Carrie miała pracownika socjalnego? Kogoś do pomocy. Kogoś, z kim naprawdę rozmawiała.

– Oczywiście, wiele czasu spędzała z psychologiem więziennym, ale on nie należy do personelu naszego szpitala. Przychodził tu głównie po to, żeby ocenić jej stan i zdać sprawę w sądzie.

– Więc najprawdopodobniej ona nim manipulowała – powiedziałam, obserwując, jak Lucy wchodzi do kabiny śmigłowca i rozpoczyna inspekcję przed lotem. – I kto jeszcze? Może z kimś się związała bliżej?

– Jej adwokat. Tak, to pracowniczka społeczna. Jeśli chce pani z nią porozmawiać, to oczywiście da się załatwić.

- Właśnie startuję z lotniska – powiedziałam.
 - Powinniśmy wylądować u państwa za mniej więcej trzy godziny. Macie tam lądowisko?
 - Nie pamiętam, żeby ktoś tu kiedyś lądował, ale jest tu kilka lądowisk w pobliżu. Chętnie tam po panią podjadę.
 - To nie będzie konieczne. Na pewno uda nam się wylądować dostatecznie blisko.
 - A zatem oczekuję pani i sprowadzę tę prawniczkę. Chciałaby pani jeszcze z kimś się zobaczyć?
 - Chciałabym zobaczyć wszystkie miejsca i pomieszczenia, w których przebywała Carrie Grethen.
 - Jak sobie pani życzy.
 - To bardzo uprzejme z pani strony.
- Lucy otworzyła maskę, sprawdziła poziom płynów, przewody elektryczne i wszystko inne, co może się popsuć w powietrzu. Była pewna swoich ruchów i poczynań, a gdy wchodziła na górę kadłuba, żeby sprawdzić główny wirnik, zaczęłam się zastanawiać, ile wypadków helikopterowych zdarza się na ziemi. W każdym razie nie doszło do niego do czasu, gdy wspięłam się na fotel dla drugiego pilota i zauważyłam na wieszaku za głową Lucy działko AR-15. W tym samym momencie zdałam sobie sprawę, że układ sterowania po mojej stronie nie został usunięty. Normalnie pasażerowie nie mają możliwości dostępu do sterów, a pedał śmigła ogonowego jest tak cofnięty, żeby niewtajemniczony nie mógł go przypadkowo wcisnąć stopą.
- Co to jest? – zapytałam Lucy, gdy zapinałam uprząż składającą się z czterech pasów.
 - Przed nami długi lot.
 - Kilka razy sprawdziła, czy nie zacina się przepustnica.

– Wiem o tym.
– Podczas lotu po pustych przestrzeniach można sobie potrenować rękę. Chwyła stery i sterem azymutalnym zrobiła kilka razy znak X.
– Kto miałby sobie niby trenować rękę? – zapytałam z rosnącym niepokojem.

– Ty. W utrzymywaniu wysokości, prędkości i poziomu.

– Nie ma mowy.

Wcisnęła rozrusznik i silnik zaczął buczeć.

– Jest mowa.

Łopaty zaczęły się poruszać, warkot stawał się coraz głośniejszy.

– Jeśli masz ze mną lecieć – powiedziała moja siostrzenica posiadająca licencję pilota i instruktora – to muszę wiedzieć, jakiej pomocy mogę się po tobie spodziewać w razie kłopotów.

Nic nie mówiłam, gdy wciskała przepustnicę i zwiększała obroty. Nacisnęła kilka przełączników, sprawdziła światła ostrzegawcze, a potem włączyła radio i nałożyłyśmy na głowy słuchawki. Lucy poderwała nas z płyty z taką łatwością, jakby nie istniała grawitacja. Skręciłyśmy pod wiatr, śmigłowiec nabierał prędkości, aż w końcu zdawało się, że wznosi się samoczynnie. Ze wschodu świeciło na nas słońce. Gdy znalazłyśmy się już ponad drzewami, a zabudowania miejskie pozostały za nami, Lucy rozpoczęła lekcję numer jeden.

Wiedziałam, do czego służy większość przyrządów, ale nie miałam pojęcia o ich działaniu w praktyce. Nie wiedziałam na przykład, że gdy uniosę ster i dodam mocy, śmigłowiec zacznie zbaczać w prawo, co oznacza konieczność wciśnięcia lewego pedału śmigła ogonowego w celu zrównoważenia momentu obrotowego głównego wirnika i utrzymania maszyny na kursie. Ani że nabieranie wysokości łączy się z utratą prędkości, a więc należy zwiększyć obroty. I tak dalej. Panowanie nad

śmigłowcem przypominało grę na perkusji, tylko że tutaj musiałam uważać na ptaki, wieże, anteny i inne statki powietrzne.

Lucy wykazywała się cierpliwością, czas upływał nam szybko, poruszałyśmy się z prędkością stu dziesięciu węzłów. Kiedy znalazłyśmy się na północ od Waszyngtonu, właściwie umiałam już stosunkowo stabilnie prowadzić śmigłowiec i utrzymywać kurs według kompasu. Kierowałyśmy się na 050 stopni i chociaż słabo się na tym znałam, na przykład niewiele wiedziałam o GPS, czyli Globalnym Systemie Pozycjonowania, Lucy twierdziła, że znakomicie mi idzie trzymanie się kursu – Mały samolot na trzeciej godzinie – powiedziała do mikrofonu. – Widzisz?

– Widzę.

– Jest ponad horyzontem. Widzisz to, prawda?

– Tak jest.

Lucy uśmiechnęła się.

– A jeżeli coś znajduje się ponad linią horyzontu, to znaczy, że leci wyżej od nas. To ważne, bo jeżeli widzimy obiekt równo z horyzontem, to odnosimy wrażenie, że się nie porusza. A patrzący z niego myślą to samo o nas. Oznacza to, że albo tamci kierują się w tę samą stronę co my, albo lecą prosto na nas. Trzeba sprytnie określić, z którą ewentualnością mamy do czynienia.

Przekazywała mi instrukcje aż do chwili, gdy na horyzoncie pojawił się Nowy Jork, i wtedy przejęła ode mnie sterowanie. Przeleciała nisko nad Statuą Wolności i wyspą Ellis, gdzie gromadzili się moi włoscy przodkowie zaczynający od zera w świecie szans i możliwości. Budowle dzielnicy finansowej wznosiły się na sto pięćdziesiąt metrów, czyli mniej więcej do pułapu, na którym leciałyśmy. Cień śmigłowca ciągnął się za nami po powierzchni wody. Był jasny, gorący dzień, nad miastem latały helikoptery

turystyczne, a oprócz nich także maszyny wożące biznesmenów mających wszystko z wyjątkiem czasu.

Lucy rozmawiała przez radio z kontrolą naziemną, która jednak wcale nie chciała o nas słyszeć, bo w powietrzu panował tłok i obowiązywała zasada: obserwować i omijać. Lecąc z prędkością dziewięćdziesięciu węzłów wzdłuż rzeki East, zostawiłyśmy za sobą most brooklyński, manhattański i williamsburgski, barki ze śmieciami, tankowce z paliwem i białe łodzie turystyczne. Kiedy minęłyśmy zniszczone budynki i stary szpital na Wyspie Roosevelta, Lucy poinformowała o naszych zamiarach lotnisko La Guardia. Teraz już wyspa Ward znajdowała się prosto przed nami. Uznałyśmy, że część rzeki przy południowo-zachodnim cyplu słusznie nazywa się Wrotami Piekieł.

Cała moja wiedza na temat wyspy Ward wynikała z zainteresowań historią medycyny. To prawda, że w dawnych czasach, podobnie jak na wiele wysp Nowego Jorku, zsyłano tutaj więźniów, kaleki i chorych psychicznie. Wyspa Ward znajdowała się w szczególnie trudnej sytuacji, ponieważ w połowie dziewiętnastego wieku nie posiadała jeszcze bieżącej wody ani ogrzewania, tutaj przechodzili kwarantannę ludzie z tyfusem i pomieszkiwali też uchodźcy pochodzenia żydowskiego z Rosji. Na przełomie wieków na wyspę przeniósł się miejski dom wariatów. Oczywiście teraz panowały tu o wiele lepsze warunki, chociaż mieszkańcy byli większymi maniakami. Pacjenci mieli klimatyzację, prawników i mogli uprawiać hobby. Przysługiwała im opieka medyczna i stomatologiczna, mogli brać udział w psychoterapii, grupach wsparcia, a także zorganizowanych dla nich zawodach sportowych.

W przestrzeń powietrzną klasy B ponad wyspą Ward weszłyśmy w mało cywilizowany sposób. Przeleciałyśmy nad zielonymi parkami pełnymi rzucających cienie drzew, a za brzydkimi ceglanyymi gmachami Dziecięcego

Ośrodka Psychiatrycznego i Szpitala Psychiatrycznego Manhattanu miałyśmy przed sobą już tylko Kirby. Środkiem wyspy biegła aleja do mostu Triborough, a obok niej znajdował się niewielki cyrk z jaskrawymi namiotami, kucykami i ekwilibrystami na jednokołowych rowerach. Niewiele było tam ludzi, ale widziałam dzieci zjadające wate cukrową i zastanawiałam się, dlaczego nie są w szkole. Trochę bardziej na północ mieściła się oczyszczalnia ścieków i centrum treningowe nowojorskiej straży pożarnej, gdzie wóz z długą drabiną trenował zakręty na parkingu.

Gmach Więziennego Ośrodka Psychiatrycznego miał dwanaście pięter z oknami zasłoniętymi stalową siatką, z przyciemnianymi szybami i otworami wentylacyjnymi. Spacerniaki i tereny rekreacyjne otaczało niestarannie zbudowane ogrodzenie z drutem kolczastym, które miało zapobiec ucieczce, a które Carrie z taką łatwością sforsowała. Rzeka była tu szeroka na półtora kilometra, nurt zmienny, silny i nieprzewidywalny, więc raczej nieprawdopodobne, aby Carrie mogła przepłynąć wpływ. Tak jak mi mówiono, był tam także most dla ruchu pieszego. Pomalowany był na zielonkawy kolor zaśnieżonej miedzi i znajdował się może milę na południe od Kirby. Poprosiłam, żeby Lucy przeleciała nad mostem, i z góry obserwowałam ludzi idących w obydwu kierunkach, zarówno do, jak i z osiedla Harlem nad rzeką East.

– Nie wyobrażam sobie, żeby w świetle dnia mogła tędy uciec – powiedziałam do Lucy. – A w każdym razie ktoś musiałby ją zauważyć. Ale nawet gdyby jej się udało, to co dalej? Wszędzie jest mnóstwo policji, zwłaszcza po drugiej stronie mostu. No i jak dostała się do Lehigh?

Z głośnym warkotem skrzydeł Lucy powoli zataczała kręgi nad mostem. Zauważyłam resztki przystani promowej, która dawniej zapewniała połączenie z ulicą Sto Szóstą. Za rzeką dostrzegłam też ruiny molo przypominającego teraz stos gnijącego, pomalowanego pokostem drewna

zwalonego do wody tuż przy niewielkim polu w pobliżu zachodniej części Kirby. Pole wydawało się odpowiednie do lądowania, zwłaszcza że usiadłybyśmy bliżej rzeki niż ogrodzonych spacerniaków i ławek szpitala.

Gdy Lucy robiła z góry rekonesans, ja obserwowałam ludzi na dole. Wszyscy mieli na sobie cywilne stroje, niektórzy leżeli lub siedzieli na trawie, inni zajmowali ławki lub spacerowali pomiędzy zardzewiałymi pojemnikami na śmieci.

Nawet z wysokości stu pięćdziesięciu metrów dostrzegałam niechlujne, nieładnie pocerowane ubrania i niezgrabne ruchy niektórych osób. Wszyscy zadzierali głowy, nieruchomieli, a my omijałyśmy wszelkie przeszkody, takie jak linie wysokiego napięcia, linie telefoniczne i miękki, nierówny teren. Rekonesans na niskim pułapie potwierdził, że lądowanie będzie bezpieczne. Do tej pory z budynków wyszło jeszcze więcej ludzi, niektórzy wyglądali przez okna lub stali w drzwiach i z zaciekawieniem obserwowali, co się dzieje.

– Może lepiej wylądujemy gdzie indziej – powiedziałam. – Boję się, żeby tu nie wybuchły zamieszki.

Lucy zawiesiła śmigłowiec na wysokości półtora metra, wysoką trawę i chwasty rozwiewało na boki. Pewna samica bażanta przestraszyła się i z całym stadkiem umknęła wzdłuż brzegu, i zniknęła nam z oczu pomiędzy krzakami. Trudno było sobie wyobrazić, że tak niewinne i słabe stworzenia mogą żyć w tak bliskim sąsiedztwie zdeprawowanych ludzi. Nagle przypomniałam sobie o liście Carrie i dziwnym adresie Kirby: Miejsce Jednego Bażanta. Co mi chciała przez to powiedzieć? Że ona też widziała bażanty? Jeżeli tak, to jakim sposobem?

Helikopter łagodnie osiadł na ziemi, Lucy zmniejszyła dopływ paliwa, ale do całkowitego wyłączenia silnika trzeba było odczekać jeszcze długie dwie minuty. Łopaty wirnika obracały się coraz wolniej, ze szpitala

obserwowali nas zarówno pacjenci, jak i personel. Jedni stali w absolutnym bezruchu z oczami utkwionymi w nas, a inni okazali nam całkowitą obojętność – chodzili ciężkim krokiem i wpatrywali się w ziemię lub stali oparci o ogrodzenie. Pewien stary mężczyzna zwijający papierosa pomachał nam ręką, kobieta z kręconymi włosami mamrotała pod nosem, a młodzieniec ze słuchawkami na uszach zaczął tańczyć na trotuarze i zdawało się, że robi to na naszą cześć.

W końcu Lucy odcięła paliwo i główny wirnik zaczął milknąć. Kiedy łopaty zatrzymały się już całkowicie i wyszliśmy z kabiny, spośród tłumu psychicznie chorych i ich opiekunów wyłoniła się pewna kobieta. Pomimo upału była ubrana w kostium w jodełkę. Miała też elegancko ułożone krótkie, czarne włosy. Od razu się domyśliłam, że to doktor Lydia Ensor, a i ona chyba mnie rozpoznała, ponieważ wyciągnęła rękę najpierw do mnie, a potem do Lucy.

– Trzeba przyznać, że wywołałyście panie sporo zamieszania – powiedziała z lekkim uśmiechem.

– Bardzo przepraszamy.

– Nie ma za co.

– Zostanę w śmigłowcu – odezwała się Lucy.

– Na pewno?

– Tak, tak – odparła rozglądając się po podekscytowanym tłumie.

– Większość tych pacjentów na dworze jest ze szpitala psychiatrycznego. Z Oddyssey House.

Doktor Ensor wskazała dużo mniejszy ceglany budynek za Kir by, gdzie znajdował się ogród i zniszczony asfaltowy kort z postrzępioną siatką.

– Narkotyki, narkotyki i jeszcze raz narkotyki – dodała. – Przychodzą tu na leczenie, a my przyłapujemy ich, jak palą jointy na spacerach.

– Będę w kabinie – powiedziała Lucy. – Albo lepiej skoczę po paliwo, a potem tutaj wrócę.

– Wolałabym, żebyś na mnie czekała – poprosiłam.

Do Kirby szłam w towarzystwie doktor Ensor pod ostrzałem rozpalonych oczu przepełnionych niewymownym cierpieniem i nienawiścią. Mężczyzna z rozczochraną głową krzyczał, żeby go przewieźć helikopterem, pokazywał palcem w stronę nieba, machał rękami jak ptak i podskakiwał na jednej nodze. Zdawało się, że wykrzywione twarze pochodzą z innej rzeczywistości, emanowały pustką lub przepełnione były pogardą, jaką dostrzec można jedynie, kiedy patrzy na ludzi takich jak my – niebędących niewolnikami narkotyków ani obłądu. My jesteśmy uprzywilejowani. My żyjemy. My jesteśmy bogami dla tych, którzy w swej bezradności zdolni są jedynie do niszczenia innych i samych siebie. Ściany w Więziennym Ośrodku Psychiatrycznym Kirby pomalowane były na taki sam zielonkawy kolor jak kładka przez rzekę i wyglądały tak samo jak w każdej innej instytucji państwowej. Doktor Ensor zaprowadziła mnie za zakręt korytarza i nacisnęła przycisk.

– Proszę podejść do interkomu – odezwał się nagle głos przypominający Czarnoksiężnika z krainy Oz.

Doktor Ensor przysunęła się do interkomu.

– Tu Ensor – powiedziała.

– Ach tak, proszę pani – odezwał się już bardziej ludzki głos. – Proszę do środka.

Do Kirby wchodziło się jak do każdego zakładu penitencjarnego, wstępu broniły hermetycznie zamykane drzwi i nie dawało się otworzyć dwóch skrzydeł naraz. Wszędzie wisiały tabliczki ostrzegające przed wnoszeniem broni palnej, materiałów wybuchowych, amunicji, alkoholu i przedmiotów ze szkła. Choć pracowali tu lekarze i sanitariusze, nie był to szpital.

Spółeczność pacjentów tworzyli ludzie, którzy dopuścili się okrutnych czynów, i strzeżono ich z maksymalnym wysiłkiem, ponieważ stanowili zagrożenie. Mieli na kontach wystrzelanie całych swych rodzin, spalenie własnych matek, patroszenie sąsiadów, ćwiartowanie kochanków. Byli potworami, które niekiedy zyskiwały sławę, jak na przykład Robert Chambers, yuppie morderca, lub Rakowi tz, który zamordował i ugotował swoją dziewczynę, a potem dobrodusznie rozdawał kawałki jej ciała bezdomnym na ulicy, albo Carrie Grethen – gorsza niż wszyscy inni.

Elektroniczne kliknięcie otworzyło pomalowane na zielono okratowane drzwi. Strażnicy w granatowych uniformach odnosili się bardzo uprzejmie do doktor Ensor, a także do mnie, bo byłam jej gościem. Niemniej musiałyśmy przejść przez detektor metalu i starannie przeszukano nasze torebki. Pewien kłopot stanowiły leki, ponieważ można było wnieść tylko tyle, ile potrzeba na jedną dawkę, a ja miałam Motrinu, Immodium, Tumsu i aspiryny tyle, że wystarczyłoby na leczenie całego oddziału.

– U pani chyba nie najlepiej ze zdrowiem – odezwał się dobrodusznie jeden ze strażników.

– Tak mi się nazbierało – powiedziałam szczęśliwa, że pistolet zostawiłam w aluminiowej skrzynce zamkniętej w bagażniku śmigłowca.

– Hm, muszę to wszystko zatrzymać aż do pani wyjścia. Leki będą tutaj na panią czekały, zgoda? Tylko proszę o nich nie zapomnieć.

– Dobrze, dziękuję – powiedziałam takim tonem, jakby wyświadczył mi łaskę.

Przepuszczono nas przez kolejne drzwi, tym razem z tabliczką „Nie dotykać krat”. Znalazłyśmy się w zupełnie pozbawionych kolorów korytarzach, wiele razy skręcałyśmy i mijałyśmy drzwi, za którymi odbywały się przesłuchania.

– Proszę pamiętać – mówiła Ensor – że adwokaci udzielający pomocy prawnej są zatrudniani przez Stowarzyszenie Pomocy Prawnej, nienastawionej na zysk prywatnej organizacji, która ma podpisany kontrakt z zarządem Nowego Jorku. Nie jest tajemnicą, że ich ludzie są z wydziału kryminalnego. W każdym razie nie należą do personelu Kirby. – Chciała się upewnić, że to rozumiem. – Chociaż oczywiście po tylu latach pobytu tutaj zaprzyjaźnili się z personelem. – Na korytarzu słychać było echo naszych kroków. – Ta prawniczka prowadząca Grethen pracuje tu od samego początku i najprawdopodobniej przy każdym pani pytaniu będzie ją osłaniać. – Spojrzała na mnie. – Ja nie mam na to żadnego wpływu.

– Rozumiem – odparłam. – Gdyby jakiś obrońca z urzędu czy doradca prawny nie bronił swojego klienta na mój widok, uznałabym, że świat przewrócił się do góry nogami.

– Nie potrafię powiedzieć, gdzie dokładnie w tym labiryncie korytarzy znajdowały się pomieszczenia Stowarzyszenia Pomocy Prawnej, mogę jedynie przysiąc, że gdzieś na parterze. Dyrektorka otworzyła przede mną drewniane drzwi i zobaczyłam mały gabinet zavalony papierami i teczkami piętrzącymi się na podłodze. Prawniczka za biurkiem ubrana była brzydko i staromodnie, miała czarne, kręcone i roztrzepane włosy. Była otyła, a stanik nie był, w stanie utrzymać wydatnych piersi.

– Susan, to jest doktor Scarpetta, główny lekarz sądowy z Wirginii – powiedziała doktor Ensor. – Jak wiesz, przyszła w sprawie Carrie Grethen. Pani doktor, to jest Susan Blaustein.

– Dobrze – powiedziała Blaustein, ale nie pofatygowała się, żeby wstać i podać mi rękę. Nie oderwała nawet wzroku od grubego skoroszytu z aktami.

– Zostawiam was same, Susan. Mam nadzieję, że pokażesz doktor Scarpetcie wszystko, a jeśli nie, poproszę o to kogoś z personelu.

Ze spojrzenia doktor Ensor wywnioskowałam, że szykuje mi się podróż do piekieł.

– Nie ma sprawy.

Brooklyński akcent anioła stróża przestępców był tak szmatławy i rozdęty, jak worek ze śmieciami.

– Proszę siadać – powiedziała, gdy dyrektorka odeszła.

– Kiedy przywieziono tutaj Carrie? – zapytałam.

– Pięć lat temu.

Cały czas nie podnosiła wzroku znad dokumentów.

– Zna pani historię jej przestępstw i sprawy o morderstwa, które jeszcze trafią przed sąd w Wirginii?

– Owszem, znam.

– Carrie uciekła stąd dziesięć dni temu, dziesiątego czerwca – mówiłam.

– Czy ktoś domyśla się, jak do tego doszło?

Blaustein przerzuciła kartę i sięgnęła po filiżankę z kawą.

– Nie pokazała się na kolacji i tyle – odpowiedziała. – Gdy zniknęła, byłam równie wstrząśnięta jak inni.

– Nie wątpię.

Przerzuciła kolejną kartkę, ale nadal nie podnosiła na mnie oczu. Miałam już dosyć.

– Pani Blaustein – powiedziałam ostrym głosem i pochyliłam się nad biurkiem. – Szanuję pani klientów, ale może chciałaby pani posłuchać o moich? O kobietach, mężczyznach i dzieciach zaszlachtowanych przez Carrie Grethen? O chłopczyku porwanym ze sklepu, gdzie poszedł kupić mamie puszkę grzybowej zupy? Został zastrzelony kulą w głowę, stwierdzono u niego odgryzienie dużych fragmentów ciała. Jego zwłoki w samej bieliźnie zostały przymocowane do betoniarki i wystawione na marznący deszcz.

– Już pani mówiłam, że znam te sprawy. – Kontynuowała pracę.

– Radzę pani odłożyć tę teczkę i poświęcić mi chwilę uwagi – ostrzegłam. – Może i jestem patologiem sądowym, ale jestem też prawnikiem i pani uniki mnie nie zwiódą. Tak się złożyło, że reprezentuje pani psychopatkę, która teraz, w tej chwili, jest na wolności i zabija ludzi. Lepiej, żeby pod koniec dnia się nie okazało, że zataiła pani informację, która mogła ocalić komuś życie.

Spojrzała na mnie chłodnym, aroganckim wzrokiem, ponieważ obrona wszelkiego rodzaju wyrzutków przed ludźmi takimi jak ja stanowiła sens jej życia.

– Odświeżę pani pamięć – kontynuowałam. – Odkąd pani klientka uciekła z Kirby, uznawana jest za podejrzaną o morderstwo lub współudział w morderstwie w dwóch przypadkach oddalonych od siebie zaledwie o kilka dni. Chodzi o okrutne zabójstwa, które próbowano zamaskować wzniesieniem pożaru. Poprzedziły je dwa inne zabójstwa związane z pożarem, które także się łączyły z tymi późniejszymi. A te wcześniejsze zostały popełnione wtedy, gdy pani klientka znajdowała się tutaj.

Susan Blaustein spoglądała na mnie w milczeniu.

– Może mi pani pomóc w tej sprawie?

– Wszystkie moje rozmowy z Carrie są zastrzeżone klauzulą tajności. Z całą pewnością pani o tym wie – zauważyła. Wyraźnie jednak widziałam, że zdziwiły ją moje słowa.

– Najprawdopodobniej kontaktowała się z kimś z zewnątrz – mówiłam dalej. – A jeśli tak, to jak i z kim?

– Może pani mi powie?

– Czy Carrie opowiadała pani kiedykolwiek o Temple’u Gaultcie?

– Zastrzeżone.

– A więc mówiła – powiedziałam. – Oczywiście, że tak. Jakżeby inaczej. Czy wiedziała pani, że ona napisała do mnie list z prośbą o przyniesienie jej zdjęć z sekcji zwłok Gaulta?

Nie odezwała się, ale zauważyłam ożywienie w jej oczach.

– Został potrącony przez pociąg w Bowery, gdy przebiegał przez tory.

– To pani robiła sekcję?

– Nie.

– Więc dlaczego Carrie prosiła o zdjęcia akurat panią?

– Bo wiedziała, że mogę je zdobyć. A chciała je obejrzeć, bo fascynowała ją krew, rany i tego typu rzeczy. Zastanawiam się, czy pani wie o takich listach. Są one jawną wskazówką, przynajmniej dla mnie, że zaplanowała sobie wszystko to, co się działo później.

– Nie. – Wymierzyła palcem w moją stronę. – Ona uważała, że wrabia ją FBI, które ma problemy z wyjaśnianiem niektórych przestępstw i potrzebuje kogoś, na kogo można to wszystko zrzucić.

– Widzę, że czyta pani gazety.

Na jej twarzy pojawił się gniew.

– Rozmawiałam z Carrie przez pięć lat – powiedziała. – To nie ona sypiała z ludźmi z Biura, co?

– Właściwie to sypiała. – Pomyślałam o Lucy.

– Ale mówiąc szczerze, nie przyleciałam tutaj, żeby zmieniać pani opinię o klientce. Moim celem jest zebranie wiadomości na temat licznych zabójstw i ustalenie, w jaki sposób mogę zapobiec następnym.

Konsultantka Carrie do spraw prawnych znów zagłębiła się w swoje dokumenty.

– Wydaje mi się, że za każdym razem, gdy wynikała sprawa oceny jej stanu psychicznego, pani zapewniała wszystkich, że ona jeszcze nie odzyskała władz umysłowych – mówiłam. – A to oznaczało oczywiście, że

nie mogła stanąć przed sądem, prawda? Że jest tak bardzo chora psychicznie, że nie zdaje sobie nawet sprawy, jakie ciężą na niej zarzuty. A jednak musiała być świadoma swojej sytuacji, bo jak w innym razie zdołałaby roztrąbić tę sprawę o wrabianiu jej przez FBI? A może to pani rozgłosiła tę sprawę?

– Spotkanie zakończone – oznajmiła Blaustein. A gdyby była sędzią, puknęłaby teraz młotkiem.

– Carrie to symulantka – powiedziałam. – Manipulowała ludźmi i zdarzeniami. Niech zgadnę. Była bardzo przygnębiona i nie mogła przypomnieć sobie istotnych rzeczy, kiedy akurat było to ważne. Prawdopodobnie dostawała Ativan, który na nią nie działał. Bo przecież miała energię, żeby pisać listy. A jakie jeszcze miała przywileje? Fotokopiarkę? Telefon?

– Pacjenci mają swoje prawa cywilne – odezwała się w końcu. – Była bardzo spokojna. Dużo grywała w szachy i w karty. Lubiła czytać. Istniało wiele okoliczności łagodzących. Ona była bardzo skruszona. A za swoje działania nie może ponosić odpowiedzialności.

– Carrie zawsze miała żyłkę handlową – powiedziałam. – W mistrzowski sposób potrafiła zawsze dostać to, co chciała. A chciała tu być na tyle długo, żeby móc przygotować swój następny ruch. I teraz go wykonała.

Otworzyłam torebkę i wyjęłam kopię listu, który napisała do mnie. Rzuciłam go przed Blaustein.

– Proszę zwrócić szczególną uwagę na adres zwrotny na górze. Miejsce Jednego Bażanta. Oddział Kobiety Kirby – mówiłam. – Domyśla się pani, o co jej mogło chodzić? Czy woli pani, żebym ja sama zgadywała?

– Nie mam pojęcia. – Przeczytała list z zakłopotaną miną.

– Może jej chodziło o „miejsce Hogana”, co oznaczałoby prokuratora okręgowego, który w końcu by ją oskarżył.

– Nie mam pojęcia, co ona miała na myśli.

– No to pomówmy o bażantach – powiedziałam. – Nad brzegiem rzeki, zaraz za szpitalem, mieszkają bażanty.

– Nie zauważyłam.

– A ja tak, bo wylądowałyśmy tam na polu. I racja, nie można ich zauważyć, jeśli się nie przejdzie z pół akra przez wysoką trawę i chwasty nad brzeg rzeki w pobliże starego moła.

Nic nie odpowiedziała, ale wiedziałam, że traci pewność siebie.

– A więc pytam: skąd Carrie albo inny pacjent mógł wiedzieć o bażantach?

Znów milczenie.

– Dobrze pani wie, prawda? – naciskałam. – Pacjentka pod maksymalnym nadzorem nigdy nie powinna znaleźć się na tym polu ani nawet w jego pobliżu, prawda, pani Blaustein? Jeżeli nie chce pani rozmawiać ze mną na ten temat, to zaraz poproszę policję, żeby się tym zajęła, ponieważ ostatnimi dniami dla instytucji strzegących prawa ucieczka Carrie jest sprawą priorytetową. Z całą pewnością wasz znakomity burmistrz nie cieszy się, że Carrie przysparza złej opinii jego miastu, które słynie z pokonania przestępczości.

– Nie wiem, skąd Carrie się dowiedziała – powiedziała wreszcie pani Blaustein. – Pierwszy raz słyszę o tym cholernym bażancie. Może powiedział jej o tym ktoś z personelu? Może dostawca ze sklepu, ktoś z zewnątrz, tak jak pani.

– Jaki dostawca?

– Program przywilejów dla pacjentów umożliwia im zarabianie pieniędzy, które można wydać w sklepie. Kupują głównie różne przekąski.

Jest jedna dostawa w tygodniu i wtedy mogą wydawać własne pieniądze.

– Skąd Carrie brała pieniądze?

Blaustein nie odpowiedziała.

– W jaki dzień były te dostawy?

– Zależy. Przeważnie na początku tygodnia. W poniedziałki, wtorki. Zazwyczaj późnym popołudniem.

– Uciekła we wtorek późnym popołudniem – powiedziałam.

– Zgadza się. – Jej wzrok stęzał.

– A co z tym dostawcą? – zapytałam. – Czy ktoś się zatroszczył, żeby sprawdzić, czy on, albo ona, ma z tym coś wspólnego?

– Dostawca jest mężczyzną – powiedziała bez emocji Blaustein. – Nikt nie mógł go znaleźć. Jeździł w zastępstwie za chorego kolegę.

– W zastępstwie? No tak, Carrie interesowało coś więcej niż ziemniaczane chipsy! – Zaczęłam mówić podniesionym głosem. – Pozgadujmy. Dostawcy jeżdżą furgonetkami i noszą uniformy. Carrie włożyła na siebie taki uniform i wyjechała razem ze swoim dostawcą. Wsiadła do furgonetki i szukaj wiatru w polu.

– To spekulacje. Nie wiadomo, w jaki sposób się wydostała.

–O, a ja myślę, że pani wie, pani Blaustein. Ciekawe, czy nie wspierała jej pani też finansowo, skoro ona była dla pani taka ważna.

Zerwała się na równe nogi i wymierzyła we mnie palec.

– Jeżeli to ma być oskarżenie o pomoc w ucieczce...

– Tak czy inaczej pani jej pomagała – przerwałam.

Musiałam powstrzymać łzy, gdy myślałam o Bentonie i o Carrie spacerującej sobie spokojnie po ulicach.

– Jesteś potworem – powiedziałam, świdrując ją wzrokiem. – Chciałabym, żebyś choć jeden dzień spędziła z ofiarami. Tylko jeden przeklęty dzień. Żebyś dotknęła ich ran i unurzała ręce w ich krwi. Tych

niewinnych ludzi, których Carrie dla sportu zarzyna. Pewnie niektórym ludziom nie spodobałyby się informacje o przywilejach Carrie i nieokreślonym źródle jej dochodów. Na przykład mnie.

Przerwało nam pukanie do drzwi i do środka weszła doktor Ensor.

– Chyba mogłabym oprowadzić panią po szpitalu – zwróciła się do mnie. – Susan jest, zdaje się, zajęta. Już panie skończyły? – zapytała konsultantkę do spraw pomocy prawnej.

– Jak najbardziej.

– To dobrze – powiedziała z chłodnym uśmiechem.

Zrozumiałam, że dyrektorka doskonale zdaje sobie sprawę, że Susan Blaustein narusza hierarchię władzy, wszelkie dobre obyczaje i zawodzi pokładane w niej zaufanie. Konsultantka prawna manipulowała szpitalem w taki sam sposób jak Carrie.

– Dziękuję – powiedziałam do dyrektorki.

Odwrociłam się plecami do obrończyni Carrie i wyszłam.

A niech cię piekło pochłonie, pomyślałam.

Znów ruszyłam za doktor Ensor, tym razem do dużej windy z nierdzewnej stali. Wsiadliśmy na pustym, beżowym korytarzu kończącym się ciężkimi, czerwonymi drzwiami wymagającymi od wchodzącego znajomości kodu. Wszystkie nasze ruchy monitorował system kamer. Carrie uczestniczyła w programie opieki nad zwierzętami domowymi, dzięki czemu codziennie składała wizyty na jedenastym piętrze, gdzie w małym pomieszczeniu z widokiem na drut kolczasty trzymane są zwierzęta w klatkach.

Menzaeria była słabo oświetlona, w powietrzu wisiał wilgotny, piżmowy zapach zwierząt i trocin. Były tam papugi, świnki morskie i chomiki. Na stole stała donica z ziemią, na której zieleniało kilka kielków.

– Hodujemy tu swoją karmę – wyjaśniła Ensor. – Zachęcamy pacjentów, żeby się nią opiekowali, a potem sprzedawali. Oczywiście nie ma mowy o jakiejś masowej produkcji. Dla naszych ptaków wystarcza, a jak widać w klatkach i na podłodze, pacjenci wolą karmić swe zwierzątka kulkami z sera i chipsami ziemniaczanymi.

Carrie przychodziła tu codziennie? – zapytałam.

– Teraz dopiero się o tym dowiedziałam, przy okazji wypytywania o jej zajęcia podczas pobytu w szpitalu. – Przerwała i rozejrzała się po klatkach z małymi popiskującymi zwierzakami o różowych noskach. – Naturalnie przedtem wszystkiego o niej nie wiedziałam. Na przykład tego, że przez sześć miesięcy jej opieki nad zwierzakami mieliśmy zaskakująco dużą liczbę nieprzyjemnych zdarzeń i niewyjaśnionych uciezek. Tu papuga, tam chomik. Pacjenci przychodzili odwiedzić swoich podopiecznych i zastawali trupy zwierzaków albo otwarte klatki, a ptaków nigdzie nie można było znaleźć. – Szła korytarzem z zaciśniętymi ustami. – Szkoda, że pani tu wtedy nie było. Pewnie powiedziałaaby pani, z jakiego powodu zdychały. A może z czyjzego powodu.

Kolejne drzwi korytarza otwierały się na małe, mroczne pomieszczenie, gdzie na zwykłym drewnianym stole stał jeden stosunkowo nowoczesny komputer i drukarka. Na ścianie zauważyłam gniazdko telefoniczne. Zanim doktor Ensor się odezwała, ogarnęło mnie złe przeczucie.

– Tutaj Carrie spędzała najwięcej wolnego czasu – powiedziała. – Zapewne wie pani, że całkiem dobrze znała się na komputerach. Umiała zachęcić innych pacjentów do nauki, a samo kupienie peceta też było jej pomysłem. Zaproponowała, żeby znaleźć kogoś, kto podaruje nam używany sprzęt, no i mamy na każdym piętrze komputer oraz drukarkę.

Podeszłam do stołu i usiadłam przy komputerze. Wcisnęłam klawisz, wyłączyłam wygaszacz ekranu i oglądając ikonki, zorientowałam się w

zainstalowanych programach.

– Czy pracujący tu pacjenci byli nadzorowani? – zapytałam.

– Nie. Są wprowadzani do środka i zamyka się za nimi drzwi. Godzinę później zabiera się ich z powrotem na oddział. – Zamyśliła się. – Muszę przyznać, że liczba pacjentów, którzy zaczęli się uczyć korzystania z edytorów tekstu, a w kilku przypadkach także z arkuszy kalkulacyjnych, zrobiła na mnie wrażenie.

Spróbowałam się połączyć z America Online i zostałam poproszona o wpisanie nazwy użytkownika i hasła. Dyrektorka mi się przyglądała.

– Z całą pewnością nie mieli dostępu do Internetu – powiedziała.

– Skąd to wiadomo?

Komputery nie są podłączone.

– Ale mają modemy – powiedziałam. – W każdym razie ten ma. A nie jest podłączony tylko dlatego, że nie ma przewodu prowadzącego do gniazdka. – Pokazałam mały kwadracik na ścianie i spojrzałam na jej twarz.

– Istnieje możliwość, że gdzieś zniknął przewód telefoniczny?

– Na przykład z jakiegoś gabinetu? Na przykładu Susan Blaustein.

Ze zmartwioną i rozgniewaną miną odwróciła głowę w stronę gniazdka.

– Boże.

– Oczywiście mogła też zdobyć przewód z zewnątrz. Na przykład za pośrednictwem tego dostawcy przywożącego jej przekąski ze sklepu.

– Nie wiem.

– Rzecz w tym, pani Ensor, że nie wiemy wielu rzeczy. Nie wiemy choćby tego, co Carrie robiła, gdy tu była. Mogła łączyć się z kanałem dyskusyjnym, chwycić swoimi mackami czyjąś duszę, znaleźć sobie przyjaciela korespondencyjnego. Na pewno słyszała pani w wiadomościach o przestępstwach popełnianych przez Internet. Pedofilia, porwania, zabójstwa, pornografia dziecięca.

– Dlatego komputery były ściśle nadzorowane. A przynajmniej powinny być.

– Carrie mogła w ten sposób zaplanować swą ucieczkę. Mówiła pani, że jak dawno rozpoczęła pracę z komputerem?

– Jakiś rok temu, po bardzo długim okresie idealnego sprawowania.

– „Idealnego sprawowania” – powtórzyłam.

Pomyślałam o zabójstwach w Baltimore, Venice Beach i ostatnio w Warrenton. Zastanawiałam się, czy to możliwe, żeby Carrie poznała swego współnika za pośrednictwem poczty elektronicznej, serwera WWW lub grupy dyskusyjnej. Czy podczas obserwacji mogła popełniać przestępstwa za pośrednictwem komputera? Czy mogła działać zakulisowo i podjudzać psychopatę kradnącego ludzkie twarze? A potem uciekła i zaczęła popełniać zbrodnie osobiście.

– Czy w ostatnim roku był zwolniony z Kirby ktoś oskarżony o podkładanie ognia, zwłaszcza połączonego z zabójstwem? Ktoś, kogo Carrie poznała. Może ktoś, kto się od niej uczył obsługi komputera? – zapytałam.

Doktor Ensor wyłączyła światło i wyszliśmy na korytarz.

– Nikt taki mi nie przychodzi na myśl – powiedziała. – I dodam jeszcze, że przy lekcjach zawsze był obecny strażnik.

– A czy kobiety i mężczyźni mogą spędzać razem czas wolny?

– Nie, nigdy. Kobiety są całkowicie odizolowane od mężczyzn.

Nie miałam pewności, że współnikiem Carrie był mężczyzna, ale domyślałam się tego na podstawie ostatnich notatek sporządzonych przez Bentona o białym mężczyźnie w wieku pomiędzy dwadzieścia osiem a czterdzieści pięć lat. Tutejsi strażnicy nie nosili broni i owszem, mogli zapewnić porządek podczas lekcji, wątpiłam jednak, czy zdawali sobie

sprawę, że Carrie łączyła się przez Internet. Wsiadłyśmy do windy i zjechałyśmy na trzecie piętro.

– Na oddziale kobiecym – zaczęła wyjaśniać – mamy teraz dwadzieścia sześć pacjentek. A na męskim stu siedemdziesięciu. A tutaj jest sala odwiedzin.

Pokazała przestronne pomieszczenie za szybą z wygodnymi fotelami i telewizorem. W środku nie było nikogo.

– Przychodzili do niej kiedyś goście? – zapytałam.

– Nie, z zewnątrz ani razu. Przypuszczam, że może chciała wzbudzić więcej współczucia. – Uśmiechnęła się z goryczą. – U pozostających kobiet, oczywiście.

Pokazała mi kolejną salę.

– O, tutaj spała. Tam przy oknie.

Wyciągnęłam z torebki list od Carrie i jeszcze raz go przeczytałam. Zatrzymałam wzrok na przedostatnim akapicie.



Lucy-Boo w TV. Leci przez okno. Idzie z nami pod kołdrę. Aż do świtu. Śmiech, i śpiew. Jakaś ładna piosenka. LUCY. LUCY. LUCY i my!

Nagle przypomniałam sobie kasetę wideo z Kellie Shephard, a potem aktorkę z Venice Beach grającą drobne rôle w filmach telewizyjnych. Pomyślałam też o zdjęciach i ekipach produkcyjnych i nabierałam coraz większego przekonania, że to się wszystko ze sobą łączy. Ale co Lucy ma z tym wspólnego? Dlaczego Carrie miałyby widzieć Lucy w telewizji? A może po prostu dowiedziała się, że Lucy umie latać helikopterami?

Za zakrętem korytarza zrobił się ruch, strażniczka prowadziła kobiety wracające z zajęć rekreacyjnych. Były głośne, spocone, miały zmęczone miny. Jedną z nich prowadzono w urzędzeniu zapobiegającemu agresji

(UZA), co stanowi eufemistyczne określenie przyrządu ograniczającego ruchy rąk i nóg za pomocą łańcuchów okalających kostki oraz nadgarstki i połączonych ze skórzanym pasem zapiętym w talii. Kobieta była młoda, miała białą skórę i rozbiegane oczy, które jednak zatrzymały się na mnie i w tym samym momencie jej usta wygięły się w sztucznym uśmiechu. Rozjaśnione włosy i obojnacze, blade ciało przypominało mi przez chwilę Carrie. Poczułam dreszcze na plecach, gdy zaczęło mi się wydawać, że jej oczy chcą mnie wessać. Inne pacjentki, mijając nas, specjalnie mnie potrącały.

– A ty co, prawniczka? – zapytała czarnoskóra otyła kobieta, której oczy niemal wyrywały się do mnie.

– Tak – odpowiedziałam, nie odwracając wzroku, bo już od dawna umiałam nie dawać się zastraszyć ludziom pałającym nienawiścią.

– Chodźmy – pociągnęła mnie za sobą dyrektorka. – Zapomniałam, że one wracają o tej porze. Przepraszam.

Ale ja byłam zadowolona, że do tego doszło. W pewnym sensie zajrzałam Carrie w oczy i udało mi się wytrzymać ten wzrok.

– Proszę mi powiedzieć, co się działo tej nocy, gdy uciekła – powiedziałam.

Doktor Ensor wprowadziła kod na klawiaturze i popchnęła kolejne jasnoczerwone drzwi.

– O ile udało się ustalić – odpowiedziała – Carrie wraz z innymi kobietami wyszła na zajęcia rekreacyjne. Dostarczono jej przekąskę, a na kolacji już jej nie było.

Zjechaliśmy windą na sam dół. Ensor spojrzała na zegarek.

– Natychmiast zaczęły się poszukiwania, skontaktowaliśmy się z policją. Nie było po niej ani śladu. I to mnie gryzie. Jak udało jej się wydostać z

wyspy w świetle dnia i nikt jej nie zauważył? Była policja, były psy, były śmigłowce...

Zatrzymałam się na środku korytarza.

– Śmigłowce? – zapytałam. – Więcej niż jeden?

– Tak.

– I pani je widziała?

– Trudno było nie widzieć – odparła. – Krążyły tu całymi godzinami. W całym szpitalu panował hałas.

– Proszę je opisać – powiedziałam, a serce waliło mi jak młotem.

– O rany. Najpierw policyjny, a potem jakiś z mediów. Latały jak szerszenie.

– A czy jeden był może mały i biały? Taki przypominający trochę ważkę? , Wyglądała na zaskoczoną.

– Tak, pamiętam taki – odpowiedziała. – Pomyślałam sobie, że jakiś ciekawski pilot przyleciał zobaczyć, co tu się dzieje.

Rozdział

dwudziesty drugi

Z wyspy Ward wyleciałyśmy z Lucy przy gorącym wietrze i niskim ciśnieniu atmosferycznym, toteż nasz Bell JetRanger poruszał się nieco opieszale. Poleciałyśmy wzdłuż rzeki East, a potem przestrzenią powietrzną klasy B lotniska La Guardia, gdzie wylądowałyśmy tylko po to, żeby zatankować i kupić w automacie serowe krakersy oraz napoje gazowane. Ja jeszcze zadzwoniłam do Uniwersytetu Karoliny Północnej w Wilmington. Tym razem połączono mnie z dyrektorem do spraw konsultacji dla studentów. Wzięłam to za dobry omen.

– Rozumiem, że musicie o siebie dbać – powiedziałam, zamknąwszy drzwi budki telefonicznej w terminalu Signatures. – Proszę jednak ponowne rozpatrzenie mojej prośby. Od czasu zamordowania Claire Rawley zostały zabite jeszcze dwie osoby.

Nastąpiła dłuższa chwila ciszy.

– Czy przybędzie pani osobiście? – zapytała w końcu doktor Chris Booth.

– Taki miałam zamiar – powiedziałam.

– Zatem w porządku.

Zadzwoniłam potem do Teen McGovern, aby poinformować ją o tym, co się dzieje.

– Zdaje się, że Carrie uciekła z Kirby tym samym białym Schweitzerem, który widziałyśmy nad farmą Kennetha Sparkesa – powiedziałam.

- Ona umie pilotować? – W głosie McGovern pojawiło się zmieszanie.
- Nie, jakoś nie mogę sobie tego wyobrazić.
- Och...
- Ten, z kim działa, na pewno jest pilotem. On też pomógł jej w ucieczce i w tym wszystkim. Pierwsze dwa morderstwa stanowiły rozgrzewkę. Nigdy byśmy się o nich nie dowiedziały. Sądzę, że Carrie chciała w to wciągnąć nas. Czekala na Warrenton.
- Myślisz, że Sparkes stanowił zamierzony cel? – zapytała w zamyśleniu.
- Tak, żeby zwrócić naszą uwagę. Żeby mieć pewność, że my przybędziemy – odpowiedziałam.
- A co ma z tym wspólnego Claire Rawley?
- Zamierzam to wyjaśnić w Wilmington. Wydaje mi się, że ona stanowi klucz do tego wszystkiego. Ma jakiś związek z tym kimś. Kimkolwiek on jest. Sądzę też, że Carrie wie, że ja będę tak rozumowała. I spodziewa się mnie.
- Myślisz, że tam jest?
- Tak. Mogę się założyć. Liczyła, że Benton przyjedzie do Filadelfii, i przyjechał. Teraz się spodziewa, że ja i Lucy pojedziemy do Wilmington. Zna nasz sposób myślenia, nasze metody działania i wie o nas przynajmniej tyle samo, ile my o niej.
- Zatem sądzisz, że ty jesteś następna na liście? Na tę myśl poczułam skurcz w żołądku.
- Na to wygląda.



Kay, nie możemy ryzykować. Będziemy tam na ciebie czekać. Uniwersytet musi mieć jakieś boisko, gdzie można wylądować. Tylko

trzeba to będzie zaaranżować dyskretnie. Jak tylko będziecie gdzieś lądować, czy to po paliwo, czy w jakimkolwiek innym celu, natychmiast daj znać na mój pager. Będziemy w stałym kontakcie.

– Nie możesz się przed nią ujawnić – powiedziałam. – To by wszystko zniszczyło.

– Zaufaj mi – odparła McGovern.

Odlatując z La Guardia, miałyśmy siedemdziesiąt pięć galonów paliwa i niewiarygodnie długi lot przed sobą. Trzy godziny w śmigłowcu to jak dla mnie i tak było za dużo. Ciężyły mi słuchawki, hałas i wibracje powodowały ból głowy, wydawało mi się, że kości rozstępują się w stawach i zaczynają grzechotać. A gdy taki stan rzeczy trwał ponad cztery godziny, kończyło się to zazwyczaj poważną migreną. Na szczęście sprzyjał nam wiatr i chociaż prędkościomierz wskazywał sto dziesięć węzłów, to według GPS poruszałyśmy się o dziesięć węzłów szybciej.

Lucy znów mnie nakłoniła do przejęcia sterów, tym razem szło mi dość gładko, uczyłam się nie stosować nadmiernej kontroli nad przyrządami i po prostu lecieć. Gdy prądy powietrzne i wiatry trzęsły nami jak rozzłoszczona matka, postanowiłam im się poddać. Próby przeciwstawiania się pogarszały tylko lot i utrudniały mi zadanie. Lubiłam stawać się w czymś coraz lepsza. Nauczyłam się uważać na ptaki i po jakimś czasie umiałam tak samo sprawnie dostrzegać samoloty jak Lucy.

Upływające godziny stawały się coraz bardziej monotonne, trzymałyśmy się linii brzegowej, minęłyśmy rzekę Delavare i dalej leciałyśmy nad Wschodnim Wybrzeżem. Po raz kolejny zatankowałyśmy w Salisbury w stanie Maryland, gdzie skorzystałam z łazienki i napiłam się coli, po czym ruszyłyśmy dalej do Karoliny Północnej, gdzie dominowały farmy hodowlane z długimi aluminiowymi budami i niewykorzystywanymi do niczego lagunami w kolorze krwi. W przestrzeń powietrzną Wilmington

weszliśmy prawie o drugiej. Ledwie udawało mi się zapanować nad nerwami, gdy pomyślałam, co nas może czekać.

– Zejdźmy do dwustu metrów – powiedziała Lucy. – I zmniejsz prędkość.

– Jesteś pewna, że ja mam to zrobić?

– Ty prowadzisz.

Nie byłam zachwycona, ale leciałam dalej.

– Domyślam się, że uniwersytet nie znajduje się nad wodą i zapewne musi się składać z ceglanych budynków.

– Dziękuję, Sherlocku.

Gdziekolwiek spojrzałam, widziałam wodę, budynki wypoczynkowe, zakłady uzdatniania wody i inne fabryki. Pomarszczona i błyszcząca powierzchnia oceanu znajdowała się na wschód od nas. Wyraźnie zaczynało się ściemniać, na horyzoncie zgromadziły się postrzępione chmury. Zbliżał się sztorm i choć nie musiało do niego dojść szybko, mógł być bardzo silny.

– Boże, wolałabym tu wcale nie lądować – powiedziałam na widok georgiańskich gmachów z cegły.

– Nie chcę wiedzieć, że ona gdzieś tu jest – stwierdziła Lucy, rozglądając się dokoła. – Może tu być?

– Może być wszędzie tam, gdzie się nas spodziewa – powiedziałam pewnym głosem.

– Ja przejmę ster – rzekła Lucy. – Sama nie wiem, czy mam nadzieję, że się mylisz, czy że się nie mylisz.

– Masz nadzieję, że się nie mylę – odpowiedziałam. – I to do tego stopnia, Lucy, że czuję się przerażona.

– Nie przybyliśmy tu na moją prośbę.

To Carrie próbowała zrujnować Lucy. I to Carrie zamordowała Bentona.

– Ja wiem, kto nas tutaj przywiódł. To ona.

Uniwersytet znajdował się już pod nami i odszukałyśmy boisko sportowe, gdzie czekała na nas McGovern. Mężczyźni i kobiety grali w piłkę nożną, ale Lucy udało się wypatrzeć wolne miejsce obok kortów tenisowych i tam właśnie postanowiła wylądować. Okrążyła teren dwa razy, najpierw na większej wysokości, potem na mniejszej. Nie zauważyła żadnych przeszkód z wyjątkiem kilku drzew. Gdy siadałyśmy na trawie, dostrzegłam wśród stojących nieopodal samochodów granatowego forda explorera z kierowcą w środku. Nagle zobaczyłam, że meczowi piłki nożnej sędziuje Teen McGovern w szortach i koszulce ze strażackim logo. Na szyi miała gwizdek i oceniała grę koedukacyjnych drużyn.

Rozejrzałam się dokoła, żeby zobaczyć, czy meczu nie obserwuje czasem Carrie, ale niebo było puste i nie widziałam niczego podejrzanego. W chwili gdy znalazłyśmy się na ziemi i Lucy zaczęła wyłączać silnik, granatowy explorer wjechał na trawę i zatrzymał się w bezpiecznej odległości od łopat. Za kierownicą siedziała nieznana mi kobieta i ze zdziwieniem na miejscu pasażera rozpoznałam Marina.

– Nie do wiary – odezwałam się do Lucy.

– A skąd on się tutaj wziął? – Też była zdziwiona.

Marino przyglądał się nam przez przednią szybę, a my czekałyśmy dwie minuty na możliwość opuszczenia kabiny. Kiedy w końcu wsiadłam do jego samochodu, a Lucy wykonywała jeszcze ostatnie czynności przy śmigłowcu, nie uśmiechnął się ani w żaden sposób nie okazał serdeczności. McGovern i jej drużyny grały dalej, nie zwracając na nas uwagi. Zauważyłam między ławkami sportowe torby i nie miałam wątpliwości, co w sobie kryją. Wydawało się, że spodziewamy się ataku całej armii wrogich żołnierzy. Nie mogłam się oprzeć obawie, że być może Carrie znów nas w jakiś sposób wykiwa.

– Nie spodziewałam się ciebie tutaj – odezwałam się do Marina.

– A co? Myślisz, że możesz wozić tyłek po Ameryce i nikt o tym nie będzie wiedział? Przyjechanie tu zajęło mi tyle samo czasu co tobie – dodał zrzędlwym tonem.

– Jestem Ginny Correll. – Kobieta za kierownicą odwróciła głowę i uścisnęła mi rękę.

Miała co najmniej czterdzieści lat, była atrakcyjną blondynką ubraną w jasnozielony strój. Nie znałam jej, ale łatwo było sobie wyobrazić, że mogła być pracowniczką naukową na uniwersytecie. W samochodzie jednak znajdował się radar i radionadajnik, natomiast pod połą jej marynarki zauważyłam błysk pistoletu. Oczekała, aż Lucy wsiądzie, po czym zjechała z trawy. Mecz piłki nożnej trwał nadal.

– Nie wiemy, czy podejrzana albo podejrzani – zaczęła wyjaśnienia Correll – czekają tu na was, czy też będą was śledzić. Dlatego jesteśmy przygotowani na wszelkie ewentualności.

– Zauważyłam – powiedziałam.

– Zejście z boiska nie powinno im zabrać więcej niż dwie minuty, ale co najważniejsze, wszędzie tu mamy swoich ludzi. Kilkoro ubranych jak studenci agentów chodzi po mieście, sprawdza hotele, bary i inne miejsca. Teraz jedziemy do studenckiego ośrodka konsultacyjnego, gdzie ma się z nami spotkać asystentka dyrektora. Zajmowała się Claire Rawley i ma wszystkie jej papiery.

– Dobrze – powiedziałam.

– Musisz też wiedzieć – odezwał się Marino – że oficerowi policji kampusu wydaje się, że widział Carrie wczoraj w studenckim klubie.

– A ściśle rzecz biorąc w Gnieździe Sokoła – dodała Correll. – To właściwie stołówka.

– W dziwnych, ufarbowanych na czerwono włosach. Kupowała kanapkę. Zwrócił na nią uwagę, ponieważ wpatrywała się w niego intensywnie, przechodząc obok stolika. Gdy zaczęliśmy pokazywać naokoło jej zdjęcia, stwierdził, że to może być ona. Chociaż nie mógłby przysiąc.

– Zaczepianie ludzi, na przykład wzrokiem, to jej ulubiony sport – powiedziała Lucy.

– Ale trzeba dodać, że ludzie z college'ów często wyglądają jak bezdomni – wtrąciłam.

– Obeszliśmy okoliczne sklepy z bronią, żeby sprawdzić, czy nie kupowała pistoletu. Zainteresowaliśmy się też samochodami skradzionymi na tym terenie – mówił Marino. – Zakładamy, że nie chcieli się tutaj pokazywać z rejestracją z Filadelfii czy Nowego Jorku.

Miasteczko studenckie składało się z pięknych georgiańskich budynków rozmieszczonych między palmami, magnoliami, krzewami mirtu i drzewami iglastymi. W ogrodach kwitły kwiaty, a gdy wysiedliśmy z samochodu, od zapachów krążących w gorącym i wilgotnym powietrzu aż zakręciło mi się w głowie.

Kocham zapach południa i w tamtej chwili wydało mi się niemożliwe, aby mogło tam dojść do czegoś nieprzyjemnego. Trwała właśnie letnia sesja egzaminacyjna i w miasteczku było dość pustawo. Samochody zapełniały tylko połowę powierzchni parkingów, wiele stojaków na rowery było pustych. Niektóre samochody jeżdżące po College Road miały na dachach przymocowane deski surfingowe.

Ośrodek konsultacyjny znajdował się na pierwszym piętrze gmachu Westside, jasna poczekalnia dla studentów z problemami zdrowotnymi była pomalowana na blad różowy kolor. Nad niskimi stolikami i fotelami wisały wielotysięczne puzzle ze scenkami wiejskimi, które pozwalały się

odprężyć ludziom przybywającym tu na wizyty. Recepcjonistka wiedziała o naszym przybyciu, skierowała nas przez korytarz za sale obserwacyjne i gabinety badań. Doktor Chris Booth dobiegała sześćdziesiątki, była kobietą energiczną i miała pełne uprzejmości i mądrości oczy. Domyśliłam się też, że lubi przebywać na słońcu. Miała opaloną skórę, co nadawało charakteru jej wyglądowi, krótkie, siwe włosy, smukłą i dziarską sylwetkę.

Jako psycholog zajmowała narożny gabinet z widokiem na gmach Wydziału Sztuk Pięknych oraz kępę dębowych drzew. Od zawsze uważałam, że po wyglądzie gabinetu można określić osobowość człowieka. Jej miejsce pracy było skromne, bezpretensjonalne, a ustawienie mebli mogło pasować do ludzi o rozmaitych charakterach. Dla pacjentów chcących się otworzyć na pomoc miała wygodną sofę, obok stał fotel bujany, inni mogli skorzystać z miękkich foteli. Kolorystyka umeblowania oscylowała w gamie delikatnych zieleni, na ścianach wisiały morskie widoczki i kwiaty w doniczkach z terakoty.

– Dzień dobry – powiedziała do nas z powitalnym uśmiechem doktor Booth. – Miło mi państwa poznać.

– Nam również.

Usiadłam w bujanym fotelu, a Ginny zajęła miejsce na sofie. Marino rozejrzał się i opadł na miękki fotel, starając się w nim nie utopić. Doktor Booth usiadła na biurowym krześle tyłem do swojego lśniącego czystością biurka, na którym stała tylko puszka dietetycznej coli. Lucy stała przy drzwiach.

– Miałam nadzieję, że w końcu ktoś przyjedzie na spotkanie ze mną – powiedziała tak, jakby to ona dopominała się o tę rozmowę. – Zupełnie nie wiedziałam jednak, z kim się skontaktować. Ani nawet czy powinnam to robić. – Krótką chwilę przyglądała się każdemu z nas. – Claire była studentką szczególną... Tak, wiem, że tak się mówi o wszystkich zmarłych.

– Nie o wszystkich – cynicznie wtrącił Marino.

Doktor Booth smutno się uśmiechnęła.

– Chciałam tylko powiedzieć, że przez całe lata pracy zajmowałam się wieloma studentami, ale Claire utkwiała mi głęboko w sercu i wiązałam z nią wiele nadziei. Wstrząsnęła mną wiadomość o jej śmierci. – Przerwała, wyglądając przez okno. – Ostatni raz widziałam ją dwa tygodnie przed śmiercią. Starłam się dociec, czy nie zdarzyło się wtedy coś, co mogłoby rzucić światło na to, co się stało.

– Spotkała się pani z nią tutaj? Na seansie? – zapytałam.

– Tak. – Skinęła głową. – Spotkanie trwało godzinę.

Lucy robiła się coraz bardziej niespokojna.

– A czy zanim pani do tego dojdzie, mogłaby pani podać nam jak najwięcej informacji na jej temat?

– Oczywiście. Mam nawet daty i godziny jej wizyt. Spotykałyśmy się z przerwami od trzech lat.

– Z przerwami? – zapytał Marino. Poprawił swą pozycję na fotelu, ale zaraz zaczął się w nim znowu zapadać.

– Claire sama płaciła za naukę. Pracowała jako kelnerka w Taranie w Wrightsville. Cały czas tylko pracowała i oszczędzała, płaciła w terminie, a potem znów opuszczała zajęcia, żeby zarobić. Kiedy nie przebywała na uczelni, nie widywałam jej. A przypuszczam, że właśnie wtedy pojawiły się jej kłopoty.

– Zostawiam was samych – powiedziała niespodziewanie Lucy. – Zobaczę, czy nikt się nie kręci przy śmigłowcu.

Lucy wyszła, zamknęła za sobą drzwi, a ja poczułam nagły przypływ strachu. Domyślałam się, że mogła pójść sama na ulicę i szukać Carrie. Marino na sekundę spojrział mi w oczy i wiedziałam, że myśli o tym

samym. Ginny, nasza eskorta, siedziała sztywno na sofie, była dyskretna, nie wtrącała się do rozmowy, za to bacznie na wszystko zwracała uwagę.

– Jakiś rok temu – mówiła doktor Booth – Claire poznała Kennetha Sparkesa. Wiem, wiem, że dla państwa to nic nowego. Ona brała udział w zawodach surfingowych, a on miał dom przy plaży w Wrightsville. Tak czy inaczej nawiązał się między nimi krótki, intensywny romans, który on w końcu zerwał.

– Czy wtedy chodziła na zajęcia?

– Tak. Była na drugim semestrze. Zerwali latem, a ona wróciła na uniwersytet dopiero w zimie. U mnie pojawiła się w lutym, gdy profesor od angielskiego zauważył, że zasypia na zajęciach i czuć od niej alkohol. Zatraskany poszedł do pani dziekan, Claire została wezwana na dywanik i skończyło się na zobowiązaniu jej do złożenia mi wizyty. Obawiam się, że wszystko to miało związek ze Sparkesem. Sytuacja Clairenie wyglądała za różowo. Była dzieckiem adoptowanym, opuściła dom w wieku szesnastu lat, przyjechała do Wrightsville, pracowała i potrafiła się utrzymać.

– A gdzie są teraz jej rodzice? – zapytał Marino.

– Rodzeni? Nie wiem, nie mamy na ich temat żadnych wiadomości.

– Nie. Ci, co ją adoptowali.

– W Chicago. Nie kontaktowali się z nią, odkąd opuściła dom. Ale wiedzą, że nie żyje. Osobiście się z nimi porozumiałam.

– Pani doktor, czy domyśla się pani, dlaczego Claire pojechała do Sparkesa do Warrenton?

– Hm, zupełnie nie potrafiła sobie poradzić z tym, że ją rzucił. Mogę się tylko domyślać, że chciała się z nim spotkać w nadziei, że coś jej się uda wyjaśnić. Wiem, że na wiosnę przestała do niego dzwonić, bo zmienił i zastrzegł numer. Przypuszczam, że jedyny sposób, jaki jej pozostał, aby się z nim zobaczyć, to pojechać do niego.

– Starym mercedesem należącym do psychoterapeuty o nazwisku Newton Joyce? – zapytał Marino, po raz kolejny poprawiając swą pozycję w fotelu.

Doktor Booth okazała zdziwienie.

– Nie wiedziałam o tym – powiedziała. – Pojechała samochodem Newtona?

– Pani go zna?

– Osobiście nie. Ale oczywiście o nim słyszałam. Claire zaczęła u niego bywać, bo czuła, że musi spojrzeć na tę sprawę z męskiej perspektywy. A działo się to dwa miesiące temu. W każdym razie ja bym jej go nie poleciła.

– Dlaczego? – zapytał Marino.

Doktor Booth zebrała myśli, na jej twarzy malował się gniew.

– Wszystko to jest bardzo zagmatwane – powiedziała w końcu. – Chyba dlatego ociążałam się z rozmową na temat Claire, gdy na początku do mnie zadzwoniliście. Newton to bogaty, zepsuty chłopiec, który na nic nie musiał zapracować, po prosu postanowił, że zostanie psychoterapeutą. Traktował to pewnie jako przygodę.

– Wygląda na to, że rozpułnął się w powietrzu – rzekł Marino.

– I nic w tym dziwnego – odpowiedziała szybko. – Pojawia się i znika, kiedy mu się podoba. Czasami nie ma go całymi miesiącami albo i latami. Już trzydzieści trzy lata pracuję tu na uniwersytecie i pamiętam go, gdy jeszcze był chłopcem.

– Wszystko potrafił ludziom wmówić, umiał nawet zahipnotyzować ptaka na gałęzi, wyłącznie dla własnej przyjemności. Zaniepokoiłam się, gdy Claire zaczęła do niego chodzić. Powiedzmy sobie szczerze, nikt nigdy nie zarzuciłby Newtonowi, że postępuje zbyt moralnie. On stosował własne reguły. Ale też nigdy go nie przyłapano.

– Na czym? – zapytałam. – Na czym go nie przyłapano?

- Że jego kontakty z pacjentkami nie były zbyt przyzwoite.
- To znaczy, że wykorzystywał je seksualnie?
- Nigdy nie słyszałam, żeby ktoś to udowodnił. Chodziło raczej o sprawy natury duchowej.

O jego dominację, a dla mnie było jasne, że w pełni zapanował nad Claire. Całkowicie się od niego uzależniła, i to w mgnieniu oka. – Pstryknęła palcami. – Już po pierwszej sesji. Przychodziła do mnie i cały czas obsesyjnie o nim opowiadała. Dlatego wydało mi się trochę dziwne, że pojechała do Sparkesa. Sądziłam, że zapomniała już o nim i ogłupiała na punkcie Newtona. Z całym przekonaniem mogę powiedzieć, że zrobiłaby wszystko, co Newton by jej kazał.

- Więc może on jej zasugerował, żeby pojechała do Sparkesa? Na przykład z przyczyn terapeutycznych, choćby po to, żeby z nim ostatecznie zerwać.

Doktor Booth uśmiechnęła się ironicznie.

- Mógł jej zasugerować, żeby do niego pojechała, ale na pewno nie po to, żeby jej pomóc – odpowiedziała. – Z przykrością muszę powiedzieć, że jeżeli wyjazd do Sparkesa był pomysłem Newtona, to najprawdopodobniej chciał Claire w coś wmanipulować.

- Ciekawe, jak się na siebie natknęli – powiedział Marino, zmagając się z fotelem. – Domyślam się, że ktoś jej go polecił.

- Nie, nie – odpowiedziała doktor Booth. – Spotkali się na zdjęciach próbnych.

- Jak to? – zapytałam, a w żyłach stanęła mi krew.

- Lubił wszystko, co się wiąże z Hollywood, i wkręcił się jakoś do pracy w ekipie produkcyjnej zajmującej się filmami i fotografią. W mieście działa studio Screen Gems, a Claire jako drugi fakultet studiowała film. Marzyła o karierze aktorskiej. Urody jej na pewno nie brakowało. Z tego, co

słyszałam, pozowała do zdjęć na plaży, zdaje się, że dla jakiegoś czasopisma o surfing. A Newton należał do ekipy produkcyjnej. Tym razem występował w roli fotografa.

– Mówiła pani, że często nie było go w domu – powiedział Marino. – Może więc miał jeszcze inne rezydencje.

– Niestety, nic więcej o nim nie wiem – odpowiedziała.

Godzinę później Departament Policji w Wilmington miał już pozwolenie na przeszukanie posiadłości Newtona Joyce'a, znajdującej się w zabytkowym osiedlu oddalonym o kilka kwartałów od wody. Biały dom był parterowy, miał spadzisty dach, zadaszony ganek od frontu i znajdował się na końcu cichej uliczki w otoczeniu innych podniszczonych, dziewiętnastowiecznych budynków z werandami i placykami.

Ogromne magnolie rzucały cień na podjazd i tylko niewielkiej ilości słońca udawało się przedostać przez gęste listowie, w powietrzu roiło się od owadów. Dołączyła do nas McGovern i razem czekałyśmy teraz przed gankiem, gdy oficer dochodzeniowy łomem rozbijał szybę w drzwiach, a potem sięgał ręką i od wewnątrz przekręcił zamek.

Najpierw do środka wkroczyli Marino, McGovern i detektyw Scroggins z pistoletami gotowymi do strzału. Ja stałam z tyłu, bez broni, i spoglądałam na szkaradztwo nazywane przez Joyce'a domem. Weszliśmy do małego pomieszczenia przerobionego na poczekalnię dla pacjentów. Stała tam dość niewygodna, stara, czerwona, wiktoriańska aksamitna sofa, stolik z marmurowym blatem i lampą z mlecznego szkła, na innym stoliku leżały czasopisma sprzed wielu miesięcy. Gabinet Newtona za drzwiami wyglądał jeszcze nieprzyjemniej.

Fotografie aktorów i modelek w różnych pozach niemal całkowicie przykrywały nierówne, poźółkłe ściany. Były tam dosłownie setki zdjęć i domyśliłam się, że Joyce robił je sam. Jakoś nie potrafiłam sobie

wyobrazić, że pacjent mógł ujawniać swoje problemy w obecności tak wielkiej liczby ciał i twarzy. Na biurku obok telefonu leżały terminarz, notatnik i trochę luźnych kartek. Scroggins odtwarzał informacje z automatycznej sekretarki, a ja szukałam innych interesujących rzeczy.

Na półkach stały mocno zużyte książki, wiele oprawionych w skórę, przeważnie klasyka. Wszystkie tak zakurzone, że na pewno nikt od lat ich nie otwierał. Brązowa, pokryta skórą leżanka przeznaczona była zapewne dla pacjentów, obok niej na stoliku stała szklanka z wodą. Była prawie pełna, dokoła brzegu ubrudzona brzoskwiniową szminką. Dokładnie naprzeciwko leżanki stał wymyślnie rzeźbiony, mahoniowy fotel z wysokim oparciem, który przywodził na myśl tron. Słyszałam, jak Marino i McGovern przeszukują inne pomieszczenia, a z automatycznej sekretarki płyną głosy. Wszystkie wiadomości zostawiono po piątym czerwca albo dzień przed śmiercią Claire. Przeważnie dzwonili pacjenci w sprawie wizyt. Agent z biura podróży wspomniał coś o dwóch biletach do Paryża.

– Mówiła pani, że jak wyglądała ta podpałka? – zapytał detektyw Scroggins stojący nad wysuniętą szufladą.

– Taki kawałek srebrzystoszarego metalu – odpowiedziałam. – Jak pan zobaczy, to pan rozpozna.

– Nic tu takiego nie ma. Ale facet miał chyba słabość do gumowej taśmy. Mnóstwo tu tego. Chyba sam robił te śmieszne piłeczki.

Wyjął idealną kulę utworzoną w całości z gumowej taśmy.

– Jak on to robił? – dziwił się Scroggins. – Może nawijał na piłeczki do golfa? Nie miałam pojęcia.

– Jaki w tym cel? – mówił dalej Scroggins. – Myśli pani, że tak siedział i nawijał, rozmawiając jednocześnie z pacjentami?

– W tej chwili już nic nie jest w stanie mnie zaskoczyć – odparłam.

– Co za świrus. Jest tu trzynaście, czternaście... dziewiętnaście kul.

– Układał je wszystkie na stole i właśnie w tej chwili z tyłu domu zawołał mnie Marino.

– Kay, chyba dobrze by było, gdybyś tu przyszła.

Poszłam w ślad za dobiegającym głosem, mijając kuchnię ze starymi sprzętami, pokrytymi resztkami posiłków. Naczynia leżały w zlewie z zimną wodą, po wierzchu pływały kawałki jedzenia, roznosił się przykry zapach. Newton Joyce był jeszcze bardziej niechlujny niż Marino, chociaż wydawało mi się, że to niemożliwe i nie pasuje do pedantyzmu przy zwijaniu kul ani przy jego domniemanych przestępstwach. Lecz wbrew kryminałom i hollywoodzkim filmidłom ludzie nie są robotami i nie postępują sensownie ani konsekwentnie. Koronny dowód tego twierdzenia Marino i McGovern znaleźli w garażu.

Prowadziły do niego drzwi z kuchni zamknięte na kłódkę, którą Marino osobiście przepiłował brzeszczotem przyniesionym z samochodu McGovern. Za nimi znajdowała się swego rodzaju pracownia bez drugiego wyjścia, ponieważ zasłaniał je betonowy blok. Przy jednej z pomalowanych na biało ścian stały pięćdziesięciogalonowe beczki z paliwem lotniczym, przy drugiej również zamknięta na kłódkę lodówka Sub-Zero z nierdzewnej stali. Betonowa podłoga świeciła czystością, w kącie leżało pięć aluminiowych pudełek z taśmą filmową oraz różnej wielkości termoszczelne skrzynki ze styropianu. Na środku stał przykryty sukrem stół z ułożonymi narzędziami zbrodni Joyce'a.

W idealnym rzędzie, w dokładnie takich samych odległościach od siebie leżało pół tuzina noży – wszystkie w skórzanych futerałach. Skrzyneczka z drewna sekwoi kryła oselki.

– A niech go – rzekł Marino, pokazując mi noże. – Chodź, to ci pokażę. Ten z rączką służył mu do obdzierania ze skóry, został wyprodukowany

przez Berettę. W numerowanej serii dla kolekcjonerów. Kosztują ze sześćset dolców za sztukę.

– Patrzył na nie z pożądaniem, ale ich nie dotykał. – Ten z niebieskiej stali to Chris Reeves, co najmniej czterysta za sztukę. Koniec rączki odkręca się i można tam schować na przykład zapalki.

Usłyszałam w oddali stuk i po chwili pojawił się Scroggins w towarzystwie Lucy. Detektyw był zaaferowany nożami nie mniej niż Marino. Obydwaj wraz z McGovern zajęli się przeglądaniem szuflad i szafek, gdzie trafiali na dalsze dowody świadczące o tym, że znaleźliśmy poszukiwanego mordercę. Foliowa torba zawierała osiem silikonowych czepków, same różowe, każdy w innej mniejszej torebce z ceną, z której wynikało, że Joyce płacił za nie po szesnaście dolarów. A co do podpałki, to w torbie z Wal-Mart znaleźliśmy aż cztery sztuki.

W swej betonowej jamie Joyce miał też stanowisko komputerowe, gdzie teraz zasiadła Lucy, żeby wygrzebać najwięcej, jak się da. Zajęła biurowe krzesło i zaczęła stukać w klawiaturę, natomiast Marino zajął się forsowaniem łańcucha na lodówce, która dziwnym trafem była dokładnie taka sama jak moja.

– Prościzna – oznajmiła Lucy. – Zapisywał e-maile na dysku. Bez żadnych haseł ani zabezpieczeń. Ma wszystko, i to, co wysyłał, i co odbierał, z ostatnich osiemnastu miesięcy. Mamy katalog FMKIRBY, to pewnie skrót od From Kirby, „z Kirby”. Ciekawe, z kim on się przyjaźnił korespondencyjnie – dodała zjadliwie.

Podeszłam bliżej i spojrzałam jej przez ramię, gdy przesuwiała tekst korespondencji nadawanej przez Carrie do Newtona Joyce’a – który przybrał sobie login „Skinner”, a więc „odzierający ze skóry” – i tych, które on przesyłał do niej. Dziesiątego maja napisał:



Znalazłem ją. Ma takie kontakty, że nadaje się do ukatrupienia. Co byś powiedziała na magnata prasowego? Dobrze się spisałem?

Carrie odpowiedziała następnego dnia:

O tak, wspaniale. Wchodzę w to. A potem mnie stąd zabierzesz, mój orle. Później wszystko mi pokażesz osobiście. Chcę patrzeć w ich puste oczy i widzieć.

– Mój Boże – szepnęłam. – Namawia go do morderstwa w Wirginii, a więc po to, żeby mieć pewność, że ja się tym będę zajmować.

Lucy przesunęła tekst, wciskała strzałkę „w dół” z coraz większą złością i niecierpliwością.

Natknął się na Claire Rawley podczas sesji zdjęciowej i posłużyła mu za przynętę. Jej zerwany romans z Sparkesem pasował idealnie. – mówiłam. – Joyce i Claire pojechali na farmę, a potem on zniknął. Sparkesa akurat nie było, więc Joyce zamordował Claire, okaleczył ją i wzniecił pożar. – Przerwałam, żeby przeczytać kilka następnych przesyłek. – No i w końcu na niego trafiliśmy.

– Trafiliśmy, bo ona tak chciała – powiedziała Lucy. – Tak to wykalkulowała, żebyśmy tu trafili.

Nerwowo uderzyła w klawisz. – Nie rozumiesz?

Odwróciła się i na mnie spojrzała. – Zwabiła nas tutaj, żebyśmy to wszystko zobaczyli.

Nagle brzeszczot przeciął kłódkę i drzwi do lodówki zostały otwarte.

– O kurwa jego mać! – krzyknął Marino. – O kurwa!

Rozdział

dwudziesty trzeci

Na najwyższej drucianej półce leżały dwie głowy manekinów – jedna męska i jedna kobieca – z twarzami czarnymi od zamarznętej krwi. Służyły za formy dla twarzy, które Joyce kradł. Każdą z nich nakładał na głowę manekina i zamrażał, aby nadać swym trofeom stosowny kształt. Makabryczne maski okrywały trzy warstwy folii oznakowane etykietkami z numerem sprawy, lokalizacją i datami – jak dowody rzeczowe.

Najnowsza znajdowała się na samej górze. Na jej widok serce natychmiast zaczęło mi się miotać w piersi tak mocno, że aż pociemniało mi przed oczami. Zaczęłam się trząść i zapamiętałam tylko tyle, że padłam McGovern w ramiona, a ona pomogła mi podejść do krzesła, które zwolniła Lucy.

– Niech jej ktoś przyniesie wody – powiedziała McGovern. – Już dobrze, Kay. Już dobrze.

Mój wzrok znów padł na plastikowe torebki wypełnione ciałem i krwią. Marino chodził po garażu w tę i z powrotem, trzymając dłonie zaciśnięte na resztkach swych włosów. Minę miał taką jak sekundę przed zawałem. Lucy zniknęła.

– Gdzie Lucy? – zapytałam, ledwie poruszając spierzchniętymi wargami.

– Poszła po apteczkę – odpowiedziała łagodnie McGovern. – Spokojnie, staraj się odprężyć. Zaraz cię stąd wyprowadzimy. Nie powinnaś tego oglądać.

Ale stało się. Widziałam puste twarze, zniekształcone usta i nosy bez mostka. Widziałam pomarańczowe zabarwienie skóry – skutek zamrożenia. Na etykietce przy jednej z toreb widniała data siedemnastego czerwca, lokalizacja: Filadelfia. Gdy skojarzyłam czas i miejsce, było już za późno. A może i tak bym chciała zobaczyć z własnej woli?

– A więc oni tu byli – powiedziałam. – Nagle zapragnęłam wstać, znów czułam w głowie jasność. – Byli tu dostatecznie długo, żeby to zostawić. Po to, abyśmy to znaleźli.

– Cholerny skurwysyn! – krzyczał Marino. – Zastrany cholerny skurwysyn!!!

Pięściami przetarł oczy i dalej chodził po garażu jak oszalały. Po schodkach zeszła Lucy. Była blada, miała wilgotne oczy. Wyglądała jak oszołomiona.

– McGovern do Correll – odezwała się do radionadajnika Teen.

– Tu Correll – padła odpowiedź. Przyślij tu swoich ludzi.

– Tak jest.

– Ja dzwonię po patologów – oświadczył detektyw Scroggins.

Też był przerażony, ale w zupełnie inny sposób niż my. Dla niego to nie była sprawa osobista. On nigdy nie słyszał o Bentonie Wesleyu. Starannie liczył torebki w lodówce, bezgłośnie poruszając ustami.

– Boże drogi – rzekł zdumiony. – Dwadzieścia siedem sztuk.

– Proszę podać miejsca i daty – powiedziałam, mobilizując wszystkie siły, żeby do niego podejść.

Razem patrzyliśmy na koszmarne widoki.

– Londyn, 1981. Liverpool 1983. Dublin 1984 i raz, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć, siedem, osiem, dziewięć, dziesięć, jedenaście. Aż jedenaście z Irlandii do 1987. Zdaje się, że go to wciągnęło – mówił Scroggins. Był tak roztrzęsiony jak ludzie na skraju hysterii.

Miejsca zbrodni Joyce'a najpierw znajdowały się w Irlandii Północnej, w Belfaście, po czym przeniósł się do Republiki. Dziewięć morderstw w Dublinie oraz okolicach, takich jak Ballboden, Santry i Howth, a także Galway. Potem zaczął swą ohydą działalność w Stanach Zjednoczonych, głównie na zachodzie, na takich odległych terenach, jak Utah, Nevada, Montana i stan Waszyngton, a także Natches i Missisipi. To mi wiele wyjaśniło, zwłaszcza gdy przypominałam sobie list od Carrie. Z powodów, które wtedy wydały mi się dziwne, wspominała tam o „przepiłowanych kościach”.

– Niewyjaśnione ćwiartowania ciał w Irlandii – powiedziałam, gdy prawda dotarła do mnie z gwałtownością piorunu. – A potem osiem lat ciszy, bo zabijał u nas na zachodzie. Ciał nigdy nie znaleziono, a przynajmniej nie zgłaszano tego do instytucji centralnych. A zatem o nich nie wiedzieliśmy. Ale on nie przestawał. Dopiero w Wirginii jego obecność zwróciła moją uwagę i pogrążyła mnie w rozpacz.

W 1995 roku znaleziono dwa tułowie, jeden nieopodal Wirginia Beach, a drugi w Norfolk. Rok później dwa następne, tym razem w zachodniej części stanu, jeden w Lynchburgu, drugi w Blacksburgu, bardzo blisko miasteczka studenckiego uczelni Wirginia Tech. W 1997 roku Joyce zamilkł i najprawdopodobniej wtedy pokumała się z nim Carrie.

Poćwiartowane zwłoki wstrząsnęły opinią publiczną, choć udało się zidentyfikować tylko dwa pozbawione kończyn i głowy ciała dzięki porównaniu prześwietleń pośmiertnych ze zdjęciami robionymi za życia. Obydwa ciała należały do studentów college'u. Ja prowadziłam obie sprawy i zrobiła się wokół nich straszliwa wrzawa. Do działań wkroczyło nawet FBI.

Teraz zrozumiałam, że Joyce stawiał sobie za cel nie tylko uniemożliwienie identyfikacji, lecz – co ważniejsze – ukrycie okaleczeń,

jakich dokonał na zwłokach. Nie chciał, byśmy wiedzieli, że pozbawia swe ofiary urody, kradnąc im twarze i dodając do swej koszarnej kolekcji. Być może obawiał się, że wiedza o dodatkowych okaleczeniach zintensyfikuje pogoń za nim, więc zamienił modus operandi na ogień. Niewykluczone, że za radą Carrie. Łatwo było się domyślić, iż poznali się za pośrednictwem Internetu.

– W pale się nie mieści – mówił Marino.

Uspokoił się już trochę i zaczął się zastanawiać nad paczkami Joyce’a.

– Jak mu się udało to wszystko tu sprowadzić? – pytał. – To znaczy z Anglii i z Irlandii? A z Venice Beach i Salt Lake City?

– W suchym lodzie – odpowiedziałam, patrząc na metalowe pudełka na taśmy filmowe i styropianowe termoszczelne pojemniki. – Mógł je zapakować i nadać na bagaż tak, że nikt się nie zorientował.

Dalsze przeszukanie domu przyniosło kolejne pograżające Joyce’a dowody. Nie było żadnych niedomówień ani wątpliwości. Do oskarżenia wystarczyły magnezowe podpałki, noże i fragmenty ciał, a w takim wypadku policja była upoważniona do dokładnego przetrząśnięcia domu; gdyby chcieli, mogli nawet rozbijać ściany. Kiedy miejscowy lekarz sądowy zabierał zawartość lodówki do prosektorium, przejrzane były już wszystkie kartoteki i włamano się do sejfu. W środku znajdowały się obce waluty i tysiące zdjęć setek ludzi, którzy dzięki uśmiechowi losu nie zostali zgładzeni.

– Znaleźliśmy też fotografie – jak się domyślaliśmy – samego Joyce’a siedzącego na fotelu pilota w swoim białym Schweitzerze lub wychylającego się z rękami założonymi na piersiach. Patrząc na jego wizerunek, starałam się wniknąć do wnętrza duszy. Był niski, drobny, miał brązowe włosy i mógłby nawet uchodzić za przystojnego, gdyby nie był straszliwie oszpecony przez wykwyty skórne.

Całą powierzchnię skóry aż po wycięcie koszuli naznaczały głęboko wyżłobione blizny. Mogłam sobie tylko wyobrazić, jak wstydził się ich za młodu i jak bardzo doskwierały mu śmiech i drwiny rówieśników. Dawniej znałam takich jak on młodych ludzi zdeformowanych od urodzenia lub z powodu jakiejś choroby. Nie mogli się cieszyć młodością ani stać się obiektem czyjejś miłości.

Pozbawiał więc innych tego, czego sam nie miał. Niszczył, bo sam był zniszczony. Oto siła sprawcza odpowiedzialna za jego zbrodnie i okrutne ja. Nie było mi go żal. Nie myślałam też o tym, że razem z Carrie są w tym mieście lub gdzieś w najbliższej okolicy. Przynajmniej na razie dostała, czego chciała. Zastawiłam pułapkę, ale sama się w nią złapałam. Chciała, żebym znalazła Bentona, i go znalazłam.

Nie było wątpliwości, że to, co zrobiła, dawało jej przewagę. Czułam się pobita, rozłożona na łopatki. Czułam się martwa. Odrobinę spokoju znalazłam na starej drewnianej ławce w gąszczu zapuszczonego ogrodu na tyłach domu Joyce'a, gdzie o słońce walczyły ze sobą trawy, begonie, lilie i drzewka figowe. Na skraju cienia rzucanego przez dęby, gdzie rosły czerwone i żółte dzikie hibiskusy, dostrzegłam Lucy.

– Chodźmy do domu – powiedziałam do niej.

Usiadłam obok niej na twardym, zimnym kamieniu kojarzącym się z cmentarzem.

– Mam nadzieję, że umarł, zanim mu to zrobili – powtórzyła po raz kolejny. Ja nie chciałam o tym myśleć. – Mam nadzieję, że nie cierpiał.

– Ona chce, żebyśmy przejmowali się takimi rzeczami – powiedziałam, gdy zaczęła się we mnie budzić złość. – Już i tak dużo nam zabrała, nie sądzisz? Lucy, nie dajmy jej już ani odrobiny niczego.

Nie odpowiedziała.

– Teraz zajmie się wszystkim policja i ATF – mówiłam dalej, trzymając ją za rękę. – Chodźmy stąd do domu.

– W jaki sposób?

– Jeszcze nie wiem. – I to była prawda.

Wstałyśmy i poszłyśmy przed dom, gdzie McGovern rozmawiała przy samochodzie z jakimś agentem. Spojrzała na nas i w jej oczach pojawiło się współczucie.

– Jeżeli podrzucisz nas do śmigłowca – odezwała się Lucy ze sztucznym spokojem – polecę nim do Richmond, a stamtąd odbierze go Straż Graniczna. Tak chyba będzie dobrze.

– Nie wiem, czy powinnaś latać w takim stanie. – Nagle McGovern znów stała się przełożoną Lucy.

– Nic mi nie jest – odpowiedziała bardziej stanowczo Lucy. – Poza tym ktoś musi odtransportować tę maszynę. Nie zostawimy jej na boisku.

McGovern przyglądała się Lucy, w jej oczach znać było wahanie. W końcu otworzyła samochód.

– Dobra, wsiadajcie.

– Będę się meldować kontroli naziemnej – powiedziała Lucy, zajmując przedni fotel. – Będiesz mogła cały czas sprawdzać, gdzie jesteśmy, jeśli to ma ci jakoś poprawić samopoczucie.

McGovern wezwała przez radio agenta ze środka domu.

– Podaj mi Marina – poprosiła.

Po krótkiej przerwie w eterze usłyszałam głos Marina.

– Jedźcie same – rzekł.

– Zostajesz? To już koniec zabawy.

– Muszę się jeszcze tu rozejrzeć. Moja pomoc będzie konieczna.

– Dobra. Powodzenia.

– Życz im ode mnie bezpiecznego lotu – dodał Marino.

Gdy dotarliśmy do śmigłowca, stał tam na straży miejscowy policjant z patrolu rowerowego. Na korcie obok toczył się zacięty mecz tenisowy, słyszałyśmy stukanie piłek. Przy bramce na boisku kilku mężczyzn trenowało strzały. Niebo było błękitne, drzewa lekko szumiały, jakby nigdy nic złego się tu nie stało. Lucy dokonywała rutynowego przeglądu, a ja i McGovern czekałyśmy w samochodzie.

– Co zamierzasz teraz zrobić? – zapytałam ją.

– Zarzucić media ich zdjęciami, może ktoś ich rozpozna – odparła. – Muszą przecież coś jeść, muszą gdzieś spać, muszą tankować paliwo lotnicze. Nie mogą ciągle tylko latać.

– Dziwne, że do tej pory nie został zauważony podczas lądowania, tankowania, lotu i tak dalej.

– Całkiem spory zapasik paliwa miał w garażu. Poza tym istnieje mnóstwo małych lądowisk, gdzie mógł się zatrzymać i tankować. One są dosłownie wszędzie. Oprócz tego w niekontrolowanej strefie powietrznej nie ma obowiązku meldowania się w wieży. No i Schweitzer to wcale nie taki rzadki helikopter. Że nie wspomnę już o tym, że w gruncie rzeczy jednak został zauważony. Same go widziałyśmy, podobnie jak kowal i dyrektorka Kirby. Po prostu nie wiedziałyśmy, na co patrzymy.

– Na to wygląda.

W tej chwili nieco podupałam na duchu. Nie chciałam wracać do domu. Nie chciałam się nigdzie ruszać. Miałam wrażenie, że na dworze poszarzało, zrobiło mi się zimno, poczułam się samotna i nic z tym nie potrafiłam zrobić. W głowie kotłowało mi się mnóstwo pytań, odpowiedzi, domysłów i obaw. A kiedy tylko trochę się uspokajało, widziałam jego. Widziałam go w czarnych zgliszczach. Widziałam jego twarz pod grubą warstwą folii.

– Kay?

W pewnym momencie zorientowałam się, że McGovern coś do mnie mówi.

– Powiedz, jak się naprawdę czujesz. – Patrzyła na mnie przenikliwym wzrokiem.

Odetchnęłam głęboko, ale głos i tak mi się łamał.

– Dam sobie radę, Teen. Poza tym sama nie wiem, jak się czuję. Nie wiem nawet, czy czuję cokolwiek. Ale wiem, co zrobiłam. Wszystko zepsułam. Carrie bawiła się mną jak marionetką i Benton zginął. Ona i Joyce gdzieś tutaj są i szykują się do kolejnych niecznych czynów. Może zresztą już popełnili następną zbrodnię. To, jak się czuję, nic a nic się nie liczy.

Do oczu napłynęły mi łzy, widziałam przez mgłę, jak Lucy sprawdza szczelność korka paliwowego, a potem zaczyna przegląd łopat głównego śmigła. McGovern podała mi chusteczkę i delikatnie ścisnęła mnie za ramię.

– Kay, postępowałaś wspaniale. Przede wszystkim gdybyś nie znalazła tamtych opiłków, nie mielibyśmy podstaw do oskarżenia. Nie dostalibyśmy nakazu rewizji, a wówczas jakie mielibyśmy szanse? Owszem, jeszcze ich nie złapaliśmy, ale już wiemy, kim są. Znajdziemy ich.

– Na razie znaleźliśmy tylko to, co chcieli. – Lucy zakończyła inspekcję i spojrzała w moją stronę. – Chyba już pójdę. Dziękuję za wszystko. – Uścisnęłam jej dłoń. – Opiekuj się Lucy.

– Zdaje się, że ona sama doskonale potrafi o siebie zadbać.

Wysiadłam, a na odchodne odwróciłam się i jej pomachałam. Otworzyłam drzwi drugiego pilota i wspięłam się na fotel, po czym zapięłam pasy. Z kieszeni w drzwiach Lucy wyjęła listę rzeczy do sprawdzenia i wypełniała po kolei zawarte tam polecenia: wyzerowała wszystkie pokręta, spojrzała na bezpieczniki, upewniła się, że ster jest

opuszczony, a przepustnica zamknięta. Puls mego serca odbiegał od normy, oddychałam bardzo płytko.

W końcu uniosłyśmy się i zajęłyśmy odpowiednią pozycję w stosunku do wiatru. Z ziemi, osłaniając oczy dłonią, obserwowała nas McGovern. Lucy wręczyła mi mapę i powiedziała, że będę jej pomagać w nawigacji. Sama zawiesiła śmigłowiec nieruchomo i skontaktowała się z Kontrolą Ruchu Powietrznego.

– Wieża Wilmington, tu helikopter dwa-jeden-dziewięć Sierra Bravo.

– Tu wieża Wilmington, słuchamy cię, dwa-jeden-dziewięć.

– Prosimy o pozwolenie na lot z boiska uniwersyteckiego w waszą stronę z zachowaniem kontaktu naziemnego.

– Skontaktujcie się po wejściu w naszą przestrzeń. Na start z obecnej pozycji oczywiście udzielamy zezwolenia. Proszę zachować kontakt i przekazywać meldunki.

– Tu dwa Sierra Bravo. Przyjęłam. – Potem Lucy przełączyła się do mnie. – Będziemy się poruszać w kierunku trzy-trzy-zero. Twoim zadaniem jest takie trzymanie żyroskopu, żeby zgadzał się z kompasem i mapą.

Wzniosła maszynę na wysokość stu pięćdziesięciu metrów i wtedy wieża znów nawiązała z nami kontakt.

– Śmigłowiec dwa Sierra Bravo – rozległ się głos – Na szóstej godzinie od was mamy niezidentyfikowany obiekt. Leci na wysokości trzystu metrów i zbliża się do was.

– Tu dwa Sierra Bravo, rozglądamy się.

– Uwaga, anonimowy pojazd lecący trzy kilometry od lotniska. Proszę się zidentyfikować. – Wieża nadawała do wszystkich, którzy słyszeli.

Odpowiedzi nie było.

– Uwaga, anonimowy pojazd lecący trzy kilometry od lotniska. Proszę się zidentyfikować – powtórzyła wieża.

Znów cisza.

Lucy pierwsza zobaczyła obiekt, był dokładnie za nami, poniżej linii horyzontu, a więc leciał na niższym pułapie niż my.

– Wieża Wilmington – odezwała się. – Tu helikopter dwa Sierra Bravo. Niżej lecący obiekt znalazł się w zasięgu naszego wzroku. Będziemy utrzymywać dystans.

– Coś jest nie tak – stwierdziła. Jeszcze raz się odwróciła, żeby spojrzeć za siebie.

Rozdział

dwudziesty czwarty

Początkowo była to tylko ciemna, podążająca za nami plamka. Leciała po tej samej linii i z wyraźnie większą prędkością. Z bliższej odległości okazała się biała. A potem można było już rozpoznać Schweitzera, od którego błyszczącej kabiny odbijały się promienie słońca. Krew ścięła mi się w sercu, ogarnął mnie lęk.

– Lucy! – zawołałam.

– Przecież widzę! – powiedziała z nagłym gniewem. – Kurwa, wierzyć mi się nie chce.

Pociągnęła sterownicę i zaczęłyśmy nabierać prędkości. Schweitzer pozostał na tej samej wysokości, więc poruszał się jeszcze szybciej w stosunku do nas, ponieważ nasza prędkość spadła do siedemdziesięciu węzłów. Gdy Schweitzer nas dogonił, Lucy zwiększyła obroty, a on zaleciał nas od prawej strony, tam gdzie siedziała Lucy.

– Wieża – mówiła do mikrofonu. – Niezidentyfikowany pojazd wykonuje agresywne ruchy. Będę wykonywać manewry obronne. Skontaktujcie się z miejscową policją. Istnieje podejrzenie, że w niezidentyfikowanym pojeździe może się znajdować niebezpieczny i uzbrojony przestępca. Będziemy unikać terenów zabudowanych i postaramy się odciągnąć działania nad wodę.

– Przyjąłem. Natychmiast kontaktuję się z miejscowymi władzami.

Następnie wieża przeszła na częstotliwość awaryjną.

– Uwaga do wszystkich pojazdów, tu wieża Wilmington. Przestrzeń powietrzna zostaje chwilowo zamknięta dla wszystkich nadlatujących. Wszystkie pojazdy na ziemi muszą wstrzymać odlot. Powtarzam: Przestrzeń powietrzna zostaje chwilowo zamknięta dla wszystkich nadlatujących. Wszystkie pojazdy odbierające tę częstotliwość proszone są o natychmiastowe przełączenie się z kontrolą przylotów z Wilmington na Victor 135, 75 lub Uniform 343,9. Powtarzam: wszystkie pojazdy odbierające tę częstotliwość proszone są o natychmiastowe przełączenie się z kontrolą przylotów z Wilmington na Victor 135, 75 lub Uniform 343,9. Helikopter dwa Sierra Bravo, proszę pozostać na tej częstotliwości.

– Tu dwa Sierra Bravo, przyjęłam – odpowiedziała Lucy.

Wiedziała, dlaczego kieruje się w stronę oceanu. Nie chciała, żebyśmy spadły na zaludniony teren, gdzie ktoś postronny mógłby odnieść rany lub stracić życie. Byłam też pewna, że Carrie się tego domyślała, bo Lucy była dobrym człowiekiem. Zawsze dbała bardziej o innych niż o siebie. Zakręciła na wschód, Schweitzer wykonał ten sam manewr, utrzymując stały dystans około stu metrów, jakby miał pewność, że nie musi się spieszyć. Wtedy właśnie zdałam sobie sprawę, że Carrie najprawdopodobniej cały czas nas śledziła.

– Nie mogę przekroczyć dziewięćdziesięciu węzłów – oświadczyła Lucy. Napięcie w kabinie rosło z każdą sekundą.

– Dzisiaj nas widziała, jak poleciałyśmy prosto na boisko – powiedziałam. – Wie, że nie tankowałyśmy.

Przecięłyśmy plażę i przez chwilę widziałyśmy pod sobą kolorowe stroje pływaków. Ludzie zadzierali głowy i z zaciekawieniem przyglądali się dwóm śmigłowcom pędzącym w stronę morza. Pół mili od brzegu oceanu Lucy zaczęła zwalniać.

– Nie wytrzymamy takiego tempa – powiedziała takim głosem, jakby czytała wyrok skazujący. – Lepiej nie zatrzyć silnika. A poza tym mamy mało paliwa.

Wskaźnik pokazywał, że zostało niecałe dwadzieścia galonów. Nagle Lucy wykonała ostry obrót o sto osiemdziesiąt stopni. Schweitzer znajdował się jakieś pięć metrów pod nami i nabierał wysokości. Słońce uniemożliwiało zajrzenie do kabiny, ale ja i tak wiedziałam, kto tam jest. Nie miałam najmniejszych wątpliwości. W chwili gdy znaleźli się jakieś sto pięćdziesiąt metrów za nami i zaczęli podlatywać od strony Lucy, usłyszałam kilka szybko następujących po sobie uderzeń w kadłub, po czym nagle zboczyłyśmy z kursu. Lucy wyciągnęła z kabury pistolet.

– Strzelają do nas! – zawołała.

Przypomniał mi się karabin maszynowy Galico zaginiony z kolekcji Sparkesa.

Lucy zmagala się z drzwiami. W końcu udało jej się je wypchnąć i poszybowały w dół z dala od nas. Zmniejszyła prędkość lotu.

– Strzelają do nas! – krzyknęła w eter. – Odpowiadamy ogniem. Wstrzymajcie cały ruch w okolicach plaży Wrightsville!

–Zrozumiałem! Chcecie jeszcze jakiegoś wsparcia?

– Sprowadźcie na plażę naziemne ekipy ratunkowe! Spodziewamy się, że mogą być ofiary.

Gdy Schweitzer znalazł się dokładnie pod nami, dostrzegłam błysk ognia wylatującego prosto z otworu lufy wysuniętej przez okno drugiego pilota. Usłyszałam kilka strzałów.

– Chyba trafili w podwozie – niemal krzyknęła Lucy. Próbowwała celować z pistoletu przez otwarte drzwi, a jednocześnie pilotować. Dłoń z pistoletem miała zabandażowaną.

Szybko chwyciłam swoją torebkę, ale nagle przypomniałam sobie, że mój pistolet został w aluminiowej skrzynce zamkniętej w bagażniku. Wtedy Lucy podała mi swój pistolet, a sama sięgnęła nad głowę do działka rakietowego AR-15. Schweitzer okrążył nas i zmuszał do powrotu w stronę lądu. Wiedzieli, że tam im nic nie grozi, bo nie będziemy chciały narażać ludzi na ziemi.

– Musimy wracać nad wodę! – krzyknęła Lucy. – Tutaj nie mogę do nich wystrzelić. Wykop swoje drzwi. Tak żeby wyleciały z zawiasów i spadły.

Jakoś mi się to udało i gdy drzwi poleciały w dół, uderzył mnie silny powiew powietrza. Coraz bardziej zbliżyliśmy się do lądu. Lucy zrobiła zwód, Schweitzer ruszył w ślad za nią. Wskaźnik pokazywał coraz mniejszą ilość paliwa. Jak się wtedy wydawało, trwało to całą wieczność. Schweitzer przeganiał nas nad ziemię, a my umykałyśmy. Nie dało się do nich strzelać, bo każda kula musiała trafić w łopaty wirnika.

I wtedy na wysokości trzystu kilku metrów, kiedy byłyśmy nad wodą, zostałyśmy trafione w kadłub. Obydwie poczułyśmy, że kula uderzyła dość blisko, tuż za lewymi tylnymi drzwiami pasażerskimi.

– Nie ma na co czekać! – powiedziała Lucy. – Dasz radę utrzymać nas równo na tej wysokości?

Byłam przerażona. Śmierć zaglądała nam w oczy.

– Spróbuję – odparłam, przejmując ster.

Leciałyśmy prosto na Schweitzera. Znajdował się jakieś dwadzieścia metrów od nas i może trzydzieści kilka pod nami, kiedy Lucy odbezpieczyła działko i załadowała pocisk.

– Zmniejsz obroty! – zawołała. – Już! – Skierowała lufę w kierunku otworu drzwiowego.

Spadałyśmy z prędkością osiemnastu kilometrów na godzinę, miałam wrażenie, że zaraz wpadniemy na Schweitzera, i chciałam jakoś

zareagować. Lucy to przewidziała.

– Prosto! – krzyknęła.

Strzał usłyszałam dopiero w chwili, gdy wydało mi się, że zawadzamy o łopaty Schweitzera. Zaraz po strzale ujrzałam błysk, a Lucy dodała gazu, ostro skręciła w lewo, żeby znaleźć się jak najdalej od Schweitzera, który eksplozja zamieniła w pomarańczową kulę ognia. Płomienie niemal sięgały naszej maszyny. Lucy chwyciła ster, a ja przyjąłam pozycję gotowości do katastrofy. Wstrząsnęła nami silna fala uderzeniowa, a potem już ich nie było. Kątem oka zauważyłam szczątki lecące do Oceanu Atlantyckiego. Szybko odzyskałyśmy stabilność i skręciłyśmy w prawo. Patrzyłam na siostrzenicę z podziwem i niedowierzaniem.

– Niech was piekło pochłonie – powiedziała chłodno, gdy płonący, rozpołowiony kadłub dotarł do wzburzonej wody.

Z absolutnym spokojem nawiązała łączność.

– Wieża – powiedziała. – Śmigłowiec przestępców eksplodował. Szczątki znajdują się trzy kilometry od plaży Wrightsville. Nie widać żadnych rozbitków. Oblatujemy miejsce w poszukiwaniu śladów życia.

– Przyjąłem. Potrzebujecie wsparcia? – doleciała odpowiedź wśród szumów.

– Może trochę później. Nie, nie teraz. Lecę prosto do was w celu uzupełnienia paliwa.

– Przyjąłem, eee... – Wszechwiedząca wieża zająknęła się. – Kontynuuj lot. Na lądowisku będą czekały na was miejscowe władze.

Lecz Lucy zrobiła jeszcze dwie rundy nad szczątkami na wysokości piętnastu metrów, a potem rozległy się syreny strażackie i policyjne, wozy pędziły w kierunku plaży, migały światła ostrzegawcze. Przestraszeni pływacy wyskakiwali na piasek, inni, bardziej oddaleni od brzegu, z paniką rozgarniali wodę i zmagali się z falami, jakby nagle ukazał się wielki, biały

rekin. Szczątki śmigłowca kołysały się na wodzie. Na powierzchni pojawiły się jaskrawo-pomarańczowe kamizelki ratunkowe. Ale były puste.

Tydzień później

Wyspa Hilton Head

Szarość nieba zlewała się z kolorem morza, gdy tego ponurego ranka na pustej przestrzeni za plantacją sosen spotkało się tych kilkoro z nas, którzy kochali Bentona Wesleya.

Samochody zostawiliśmy przy domkach letniskowych i poszliśmy wąską ścieżką prowadzącą ku wydmom. Stamtąd skierowaliśmy się na piaskowe pagórki porośnięte nadmorską roślinnością. Plaża była tam węższa, piasek mniej stabilny, a drewno pływające po wodzie przypominało o częstych tutaj burzach.

Marino pocił się w prążkowanym garniturze, białej koszuli i ciemnym krawacie. Doszłam do przekonania, że po raz pierwszy w życiu widzę go tak porządnie ubranego. Lucy była odziana na czarno, ale miałam ją zobaczyć dopiero za jakiś czas, bo musiała załatwić pewną rzecz.

Przyszli również McGovern i Sparkes. Nie dlatego, że go znali, lecz aby swoją obecnością zrobić mi przyjemność. Kilka metrów od wody stała dawna żona Bentona, Connie, z trzema dużymi córkami. Było mi dziwnie, kiedy patrzyłam na nie i wiedziałam, że czują tylko smutek. Znikły wszelkie animozje, urazy czy wzajemne obawy. Tak jak życie je wzniecało, śmierć je ukróciła.

Byli także inni ludzie związani z Bentonem. Emerytowani agenci i były dyrektor Akademii FBI, który dawno, dawno temu uwierzył w Bentona, w jego wizyty w więzieniach i w badania psychiki przestępców. Teraz teorie

Bentona stały się już stare i zużyte, zniszczyły je filmy i telewizja, ale kiedyś stanowiły wybitne osiągnięcie. Kiedyś Benton był pionierem, twórcą lepszego sposobu rozumienia ludzi złych, bezlitosnych i naprawdę upośledzonych psychicznie.

Nie było przedstawiciela żadnego Kościoła, ponieważ odkąd znałam Bentona, do żadnego nie chodził. Zjawił się jedynie duchowny prezbiteriański, który udzielał konsultacji agentom przeżywającym stresy. Nazywał się Judson Lloyd, był człowiekiem drobnej budowy, na głowie pozostało mu niewiele siwych włosów, nosił koloratkę, a pod pachą trzymał małą Biblię w czarnej, skórzanej oprawie. Zebrało się nas na wybrzeżu nie więcej niż dwadzieścia osób.

Nie było żadnej muzyki ani kwiatów, nie było przemówień ani wspominek, ponieważ Benton wyraźnie zaznaczył w swej ostatniej woli, jak ma wyglądać jego pogrzeb. Mnie powierzył swoje zwłoki, powiedział: „W tym jesteś dobra, Kay. Wiem, że dopilnujesz, aby moje życzenia zostały spełnione”.

Nie chciał żadnej ceremonii. Nie chciał wojskowego pogrzebu, chociaż miał do niego prawo, nie chciał policyjnej eskorty, nie chciał salw karabinowych ani trumny owiniętej flagą. Poprosił tylko, żeby jego zwłoki poddać kremacji i rozrzucić prochy w jego ukochanym miejscu, czyli w cywilizowanej krainie Nigdy Nigdy – w Hilton Head, gdzie razem odseparowaliśmy się od świata, gdy tylko mogliśmy, i oddając się marzeniom, zapominaliśmy o wszystkim tym, z czym walczyliśmy.

Już zawsze będzie mi żal, że swe ostatnie dni spędził tutaj beze mnie. Nigdy nie uwolnię się od bezlitosnej ironii, że zatrzymała mnie masakra zgotowana przez Carrie. Był to początek końca, który okazał się końcem również dla Bentona.

Łatwo było mi żałować, że w ogóle zostałam wezwana do tej sprawy. Lecz gdyby stało się inaczej, gdzieś na świecie ktoś inny stałby teraz na czyimś pogrzebie. Tak samo jak w przeszłości stało już wielu, przemoc bowiem istniała zawsze i nigdy nie zostanie powstrzymana. Zaczął padać drobny deszczyk. Głaskał moją twarz niczym chłodna dłoń.

– Nie zebraliśmy się dzisiaj tutaj, aby powiedzieć Bentonowi do widzenia – zaczął wielebny Lloyd. – On chciał, żebyśmy wspólnie zjednoczyli siły i kontynuowali dzieło, które rozpoczął. Krzewił dobro i potępiał zło. Walczył ze złem, ale krył to w sobie. Przeżywał koszmary w samotności, bo nie chciał sprawiać bólu innym. Zostawił świat lepszym, niż go zastał. Zostawił nas lepszymi, niż nas poznał. Przyjaciele, idźcie i czyńcie, co on czynił.

Otworzył Biblię na Nowym Testamencie.

– W czynieniu dobrze nie ustawajmy, bo gdy pora nadejdzie, będziemy zbierać plony, o ile w pracy nie ustaniemy*[Ga 6,9.] – przeczytał.

Było mi gorąco, nie mogłam powstrzymać łez. Wytarłam oczy chusteczką i wbiłam wzrok w zakurzone czubki swoich czarnych butów. Wielebny Lloyd przyłożył palec do wargi, a potem dalej zaczął czytać fragmenty Listu do Galatów. A może do Tymoteusza?

W ogóle słabo docierały do mnie jego słowa. Stały się monotonnym strumieniem dźwięków, przypominały szumiący potok. Nie potrafiłam skupić się na ich znaczeniu, ponieważ uporczywie nasuwały mi się obrazy ze wspomnień. Najlepiej zapamiętałam Bentona w czerwonej bluzie, wpatzonego w rzekę po tym, jak go skrzywdziłam. Wszystko bym oddała, żeby odwołać każde wypowiedziane wtedy ostre słowo. Ale on na pewno rozumiał. Wiem, że mnie rozumiał.

Przypomniałam sobie jego regularny profil i nieprzeniknioną minę, którą przybierał w kontaktach z wszystkimi oprócz mnie. Być może uważano go za oziębłego, chociaż była to tylko skorupa skrywająca delikatną i otwartą

naturę. Zadawałam sobie pytanie, czy czułabym teraz co innego, gdybyśmy się pobrali. Zastanawiałam się też, czy moja potrzeba niezależności bierze się z wrodzonego poczucia niepewności. Zadawałam sobie pytanie, czy postępuję słusznie.

– Należy pamiętać, że prawo nie zostało stworzone dla człowieka godziwego, lecz dla nieposłusznych, lekceważących reguły, dla bezbożników i grzeszników, dla profanów, dla ojcobójców i matkobójców, dla oprawców – przemawiał wielebny.

Wpatrując się w prawie nieruchome morze, poczułam za sobą poruszenie. Nagle stanął koło mnie Sparkes, prawie dotykaliśmy się rękami. Stał wyprostowany i patrzył przed siebie, ubrany był w czarny garnitur. Odwrócił się do mnie i spojrzał ze współczuciem. Lekko skinęłam głową.

– Nasz przyjaciel pragnął dobroci i pokoju – wielebny Lloyd zmienił temat. – Pragnął harmonii, której nie zaznawały bronione przez niego ofiary. Chciał wyzwolić się ze smutku i gniewu, być nieskrępowanym przez złość i bezsenne noce pełne strachu.

Usłyszałam w oddali łopot śmigieł, ten dźwięk już na zawsze będzie mi się kojarzył z moją siostrzenicą. Podniosłam wzrok, słońce nieśmiało wyjrzało zza chmur, które zajmowały niepodzielnie całe niebo i nie chciały odsłonić tego, co tak bardzo pragnęliśmy ujrzeć. Na zachodzie ponad horyzontem ukazał się błękitny punkt, który na tle szarości błyszczał niczym diament. Bunt wojsk złej pogody rozjaśnił też wydmy za naszymi plecami. Warkot śmigłowca stawał się coraz donośniejszy. Spojrzałam ponad palmowe oraz sosnowe drzewa i zobaczyłam lecącą coraz niżej maszynę.

– Pragnę więc, żeby ludzie modlili się wszędzie, unosząc ręce w świętym geście, żeby niebyło w nich gniewu ani zwątpienia – mówił dalej

wielebny.

W niewielkiej urnie, którą trzymałam w dłoniach, znajdowały się prochy Bentona.

– Módlmy się.

Minąwszy czubki drzew, Lucy zaczęła schodzić jeszcze niżej. Miarowy stukot łopat właczał powietrze do uszu. Sparkes nachylił się, aby coś mi powiedzieć, i choć niczego nie usłyszałam, bliskość jego twarzy sprawiła mi przyjemność.

Wielebny Lloyd nadal się modlił, ale nikt z nas nie był już w stanie słuchać apeli do Wszchemogącego. Pilotowany przez Lucy JetRanger zawisł nisko nad brzegiem, tworząc powietrzne wiry i poruszając wodę.

Za szybą kabiny widziałam jej wpatrzone we mnie oczy. Zebrałam w sobie wszystkie siły, zmobilizowałam całą siłę ducha. Podeszłam bliżej śmigłowca i wzniesionego strumienia powietrza, który zmuszał wielebnego do przytrzymywania resztek włosów. Stałam po kolana w wodzie.

– Niech cię Bóg błogosławi, Bentonie. Obyś zaznał spokoju duszy. Tęsknię za tobą. – Moich słów nikt poza mną nie mógł usłyszeć.

Otworzyłam urnę i spojrzałam w stronę swej siostrzenicy; jej helikopter wytwarzał energię, bo tego życzył sobie Benton, kiedy jeszcze był wśród żywych. Skinęłam Lucy głową, a ona odpowiedziała mi uniesionym kciukiem. Poczułam ścisk w sercu i znów popłynęły mi łzy.

Popiół był delikatny jak jedwab, gdy wzięłam garść sproszkowanych kości Bentona i podniosłam rękę.

Rzuciłam go na wiatr. Zwróciłam go wyższemu łądowi, który on by stworzył, gdyby to było możliwe...